

**PIOTR
PATYKIEWICZ**

DOPÓKI NIE ZGASNĄ GWIAZDY

**PRZETRWAŁIŚMY...
NA JAK DŁUGO?**

SON
WYDAWCA
I DZIAŁALNOŚĆ

PIOTR PATYKIEWICZ

**DOPÓKI
NIE ZGASNA
GWIAZDY**

KRAKÓW 2015

Gdyby nie kpiny Stacha, Kacper nigdy nie odważyłby się odejść tak daleko w dół zbocza. Wiedział dobrze, czym to grozi. Nawet ojciec rzadko zapuszczał się w pojedynkę tam, skąd nie widać już dymów nad chatami. Zbyt wielu lekkoduchów przepadło w ten sposób bez śladu, nawet w pełni lata. Śmierć każdego roku odbierała, co swoje -- głównie spośród łowców, drwali i złomiarzy, którzy musieli schodzić do kotliny. Zaglądała do osady pod różnymi postaciami: nagłego załamania pogody, przysypanej śniegiem lodowej szczeliny, fałszywego kroku nad urwiskiem, napaści wygłodniałego niedźwiedzia; przyjmowano ją zwykle spokojnie, w milczeniu jako naturalną kolej rzeczy. Niebezpieczeństwo stanowiło część tego surowego świata, ludzie od dziecka uczyli się z nim obcować.

Kacper zdawał sobie sprawę z ryzyka, ale tej wiosny, szesnastej w życiu, nie mógł postąpić inaczej. Nie chodziło nawet o to, że po gnuśnej zimie, gdy wreszcie wydłużyły się dni, a w południe błękit nieba i biel śniegu aż kłuły w oczy, zwyczajnie ciągnęło go w nieznane, gdziekolwiek, byle dalej od obmierzłych kątów rodzinnej chaty, która na kilka miesięcy stała się więzieniem. Obyczaj kazał mu opuścić osadę i zdać się na przychylność gór, a zdobycz, z jaką powróci do domu, miała stanowić dobrą lub złą wróżbę na całe dorosłe życie. Wprawdzie matka, jak wszystkie matki, sarkała na te wilcze prawa, ale nie mogła zabronić mu tej próby. Gdyby stchórzył, stałby się popychadłem rówieśników i pośmiewiskiem wśród starszych, a ojciec, zwłaszcza po tym, jak się okazało, że pierworodny Stach woli nauki u księdza od strzelania z łuku, pewnie sposepniałby na starość do reszty.

Józwa należał do najbardziej cenionych łowców. Jego zdanie wśród starszyny często ważyło nawet więcej niż opinia księdza, zwłaszcza w tych przedsięwzięciach, które wymagały dłuższych wypraw poza osadę. Był poważny, nawet surowy, oszczędny w słowach, ale nie mrukliwy. Znał świetnie całą kotlinę -- jeziora, martwy las, Ruiny -- i wiodło mu się na łowach, więc w jego chacie, przy gospodarnej żonie, nigdy nie bywało głodno. Przy wszystkich swoich zaletach, wzbudzających powszechny szacunek, miał tylko jedno dziwactwo, z którego podśmiewano się z cicha: oprócz zwyczajnych psów do zaprzęgu, trudnych do okiełznania, niestrudzonych i odpornych na mrozy, trzymał także w osobnej psiarni inne jeszcze, wielkie jak kozy, spokojne, powolne, przyjazne i mądre. Poświęcał im wiele czasu, ale nie przyuczał do żadnej pożytecznej pracy. Gdy przechadzał się z którymś z nich po głównej uliczce osady, pies, choć bez smyczy, trzymał się zawsze nogi pana, przysiadał, gdy ten się zatrzymywał, chętnie słuchał poleceń, nie zbacał pod cudze psiarnie, nigdy nie pobiegł za suką, nie zważał na zaczepki obcych, bez pozwolenia Józwy nie przyjmował nawet poczęstunku. Ludzie dziwili się temu, kręcili głowami, ale ostatecznie uznali, że skoro myśliwego stać było na utrzymywanie takiej sfory, która na siebie nie zarabia, nikomu nic do tego.

Tak więc zanim gwiazdzista, bezwietrzna noc przeszła w świt, chłopak wstał i połknął w pośpiechu parę kęsów suszonego mięsa. Próbował wymknąć się z chaty cichaczem, ale gdy poruszył zasuwę drzwi, Stach przeciągnął się na łóżku i parsknął drwiąco w ciemnościach:

- Lepiej wracaj pod koc. To nie dla ciebie.
- Nie bądź taki przemądrzały! -- odburknął.
- Wrócisz z pustymi rękami, przybiegniesz, kiedy ci porządnie tyłek przemrozi.
- Jeszcze zobaczymy. Może będę lepszy od ciebie.

Choć Kacper miał zaledwie sześć lat, gdy starszy brat wyruszał na swoją wyprawę w dorosłość, bardzo dobrze zapamiętał tłustego szczura, którego ten po powrocie cisnął z dumą koło paleniska. Sąsiedzi zachodzili wtedy do matki przez cały dzień, poważnie kiwali głowami i winszowali jej pierworodnego; gospodyni ukradkiem ocierała łzy grzbietem dłoni. Bardzo trudno było wytropić tak okazałe zwierzę, a co dopiero osaczyć i zatłuc. Wyprawiona, popielata skórka do dziś wisiała na ścianie z rozcapierzonymi łapkami i błyszczącymi kamyczkami wstawionymi zamiast oczu.

Chłopiec czuł, że tylko wówczas będzie mógł stanąć przed bratem z podniesioną głową, gdy mu dorówna. Od tego nie dało się uciec.

Gdy otworzył drzwi, do sieni posypał się suchy, świeżo spadły śnieg. Twarz sparzył mu lodowaty podmuch. Naciągnął kaptur. Po raz pierwszy miał na sobie prawdziwą, myśliwską kurtę zszytą z białych lisich futer -- dar od ojca; prócz tego wysokie buty wiązane rzemieniami aż pod kolana, spodnie z foczej skóry i rękawice. Taki ubiór świetnie chronił przed mrozem i wichrem, a jednocześnie zapobiegał poceniu się. Dobrze skrojone ubranie w razie kłopotów z dala od domu mogło stanowić o życiu lub śmierci. Za pas wsunął krótką, drewnianą pałkę.

Wyprostował się powoli, chłonąc wszystkimi zmysłami cichy świt, zachwycająco świeży w porównaniu z zaduchem panującym w izbie. Kilkaset śnieżnych kurhanów oznaczało miejsca, gdzie gnieździł się ludźle. Chaty wgryzały się głęboko w skalisty stok; ciemne, ciasne nory o stropach podpartych drewnianymi stemplami, wmoszczone skórami, pełne dymu i woni zestarzałego tłuszczu, stanowiły jedyne schronienie ludzi przed mroźnym oddechem gór. Tylko kamienna wieża dzwonnicy sterczała przy kościele, kładąc pomiędzy domostwa swój wydłużony cień. Było urzekająco spokojnie, jak na odludziu. Wielu mężczyzn, w tym ojciec, nie powróciło jeszcze z pierwszej w tym roku myśliwskiej wyprawy, a inni dopiero wygrzebywali się z nagranych legowisk.

Dalej zaśnieżony stok opadał łagodnie, lekko pofałdowany, uczerniony gdzieniegdzie zrębami sterczących ponad zasy skał, ginąc w błękitnawej mgielce. Długi, rozszerzający się ku dołowi pas zbrocza zamykały z obu stron szkliste zwały lodowców; na ich obłych grzbietach coraz płomiennie rozlewało się zarzewie dnia, przywodząc na myśl krótkotrwały, letni wykwit czerwonych glonów na lodzie.

Przypiął do butów rakiety i ruszył prosto przed siebie. Nie chciał czekać, aż zakopcą kominy, rozejdą się zapachy gotowanej strawy, a w psiarniach zadudni ujadanie. Wyobrażał sobie, że Stach siedzi już przy palenisku, drapie leniwie zarośnięty policzek i czeka na jego porażkę. Zacisnął zęby; był gotów na wyzwanie.

Poprzedniego dnia rozstawił wśród pobliskich skałek trzy pułapki z przynętą. Nie miał wielkiej nadziei, że ten prosty sposób przyniesie powodzenie -- jedynie całkiem młode gryzonie dawały się tak łatwo oszukać. Myśliwi wieczorami chętnie opowiadali legendy o starych, mądrych szczurach, które potrafiły

przechytryć każdą obławę. Od tak dawna żyły w pobliżu ludzi, że trudno było je czymkolwiek zaskoczyć. Omijały trutki i potrzaski, biegnąc po śniegu, zacierały trop ogonem, starannie maskowały wejścia do swoich podziemnych przesmyków. Potrafiły się przegryźć do każdej, nawet najlepiej zabezpieczonej spiżarni i ogołocić ją ze wszystkiego w ciągu jednej nocy; nie bały się psów ani ognia; osaczone broniły się, skacząc przeciwnikowi do twarzy i gardła. W czasie szczególnie głodnych lat bywało, że zbierały się w stada i atakowały dzieci albo starców. Jeśli w porę nie nadeszła pomoc, znajdowano potem w śniegu tylko gołe kości. To była wojna, nieustanne zmagania o przetrwanie. Szczury zależały od ludzi, a ludzie od szczurów. Jedni drugich starali się wykorzystać, ale nie unicestwić. Upolowanie gryzonia było dla dorastającego chłopca czymś więcej niż tylko popisem siły i zaradności. Na wysokogórskim, jałowym zboczu prawo do życia należało okupić szczurzą krwią.

Pierwsza z pułapek, na wpeł przysypana, była nienaruszona. Z drugiej zniknęła przynęta -- pasek foczej skóry z resztkami tłuszczu -- jednak żelazne szczęki potrzasku pozostały rozwarte. Kacper ze złością uderzył pałką, ostre zębiska natychmiast wbiły się w drewno. Rozejrzał się zaniepokojony, czy nikt go nie obserwuje. Tego rodzaju niepowodzenie było szczególnie dotkliwie; gdyby ktoś się o tym dowiedział, całymi tygodniami musiałby wysłuchiwać docinków.

Głębiej naciągnął kaptur i chyłkiem pobiegł ku ostatniej, najodleglejszej pułapce. Śnieg skrzypiał pod raketami, słońce dźwigało się z wolna, obsypując całe zbocze miliardami iskier; jedynie w podłużnych cieniach skał wzrok mógł na chwilę odpocząć od blasku. Mróz nie pofolgował, ale ruch i emocje sprawiły, że Kacper nie czuł zimna. Para przyśpieszonego oddechu osiadała na brzegach kaptura białym nalotem.

Serce zabiło mu żywiej, gdy dostrzegł w oddali udeptany śnieg i smugi krwi pod samotnym, pochyłym głazem. Zwolnił kroku, pewniej ujął pałkę. Znał dziesiątki historii o szczurach wyglądających na martwe, które raptem ożywały, by odgryźć nieostrożnemu myśliwemu palec. Ustawił się tak, aby mieć słońce za plecami. Wstrzymał oddech, jeszcze tylko kilka kroków...

Przystanął, opuścił pałkę.

Szczura nie było, przynęty także. Do zatrzaśniętej pułapki niczym rdza przymarzły plamy juchy. Ślady zdradzały, że zwierzę nie padło od razu, próbowało się uwolnić. Co się wydarzyło potem? Jakies półdzikie psisko zwęszyło łatwą zdobycz, a może to złośliwa psota kogoś z osady -- choćby Stacha?

Zmrużył oczy, opadł na kolana. W cieniu, pośród nasiąkniętych krwią grudek śniegu, leżało coś jeszcze: różowa, pomarszczona łapka.

Nie mogło być wątpliwości -- potrzask chwycił tylną nogę szczura, który tak długo szarpał się i miotał, aż kończyna odpadła, a może nawet sam ją odgryzł. Okaleczony, osłabiony utratą krwi i bólem, nie mógł ujść daleko; możliwie, że zagrzebał się gdzieś i zdechł.

Chłopiec położył się na brzuchu, zrzucił rękawice i zaczął ostrożnie badać opuszkami palców najbliższe otoczenie pułapki. Nie śpieszył się, żeby nie przeoczyć żadnego śladu; takiej okazji nie wolno mu było zmarnować. Wreszcie znalazł to, czego szukał -- mały, ciemny skrzep, przysypany śniegiem. Kawalek dalej natknął się na zlepiony krwią kłaczek jasnej sierści.

Teraz, gdy znał już kierunek ucieczki, podniósł się na nogi i przygarbiony ruszył w pościg. Tak jak przypuszczał, po kilkudziesięciu metrach ranny szczur nie był już w stanie skutecznie zacierać tropu. Coraz częściej napotykał maleńkie czerwone dziurki w śniegu, wyżłobione ciepłymi kroplami juchy, a potem nawet ślady łap. Gryzoń umykał prosto w dół stoku, nie klucząc wśród porozrzucanych skał, byle dalej od

ludzkich siedzib. W miarę pokonywanej odległości Kacper nabierał szacunku dla zawziętości przeciwnika. Wiedział już, że przypadnie mu bardzo okazała zdobycz; wypatrzył delikatny odcisk ogona, gruby u nasady na dwa palce, długi na łokieć. Gdyby przyszło mu walczyć z takim olbrzymem na równych prawach, wynik starcia wcale nie byłby przesądzony.

Wdrapał się z trudem na wielką zaspę, raz po raz tracąc równowagę i padając twarzą w zimny puch. Właściwie zrobiłby rozsądniej, omijając to miejsce, ale bał się, że coraz wyraźniejszy trop zniknie gdzieś pomiędzy śnieżnymi usypiskami i już nie uda się go odnaleźć. Mozolił się długo, jego oddech stał się świszczący, aż wreszcie zjechał na plecach po drugiej stronie, gubiąc jedną z rakiet. Przed sobą miał teraz skupisko wysokich skałek pełnych pęknięć, szczelin i załamów. Wpełzał między nie krwawy ślad, tak świeży, że czerwień nie zdążyła jeszcze ściemnieć.

W okolicy nie było lepszego miejsca na kryjówkę, ale dla pewności Kacper obszedł kamienny szaniec, wypatrując najmniejszej skazy na śniegu. Nie znalazł nic; szczur musiał gdzieś tu być, przyczajony w ciemnej głębi jednej z rozpadlin, nasłuchując skrzypiących kroków prześladowcy.

Chłopiec odetchnął pełną piersią, starał się odzyskać spokój. Za wcześnie było na triumfowanie. Gdyby musiał przetrząsać kolejno wszystkie zakamarki, nie uporałby się z tym przed zmierzchem. Widział nieraz, jak starsi chłopcy otaczali szczurze siedliska i tak długo bili kamieniami w skały, aż udręczone hałasem gryzonie wymykały się na otwartą przestrzeń, gdzie łatwo było je zatłuc. Bez przekonania uderzył pałką tu i tam. Należało sądzić, że wyczerpane zwierzę prędzej zdechnie, niż pokaże się w świetle dnia. Przyszło mu do głowy, żeby spróbować wypłoszyć szczura dymem, wrzucając do szczelin płonące kępki wysuszonego mchu, ale ten sposób też nie zapewniał powodzenia. Gdyby przypaliła się sierść, nie mógłby nawet powiesić zdobycznej skórki w chacie obok trofeum Stacha.

Przystanął w zakłopotaniu, cofnął się o krok. Pomyślał, że dobrze byłoby się wspiąć na górę: może stamtąd uda się zajrzeć w głąb którejś ze szczelin.

Podniósł głowę i zamarł.

Czerwone, wypukłe, nieruchome ślepia wpatrywały się w niego z bliska. Od razu, w ułamku sekundy zrozumiał, że nie jest dobrze. Osaczony szczur zrobił wszystko, co mógł, żeby zająć najkorzystniejszą pozycję do walki o życie.

Kacpra ocaliło to jedno przypadkowe spojrzenie w górę. Choć atak nastąpił błyskawicznie, zdążył instynktownie uchylić się na tyle, że pazury nie sięgnęły oczu, a jedynie rozorały policzek. Szczur spadł u jego stóp. Choć mógł się odbić tylko z jednej łapy, natychmiast skoczył znowu, uderzając potężnym ogonem w śnieg. Nie zdołał sięgnąć zębami gardła chłopca, wczepił się tylko pazurami w kurtę na jego piersi. Próbował się wspiąć wyżej, lecz Kacper już oprzytomniał. Złapał za koniec ogona, mocnym szarpnięciem oderwał zwierzę, okręcił się i z całych sił uderzył broczącym krwią cielskiem o skałę.

Szczur podrygiwał jeszcze przez chwilę, potem wyprężył się i znieruchomiał.

Młodemu myśliwemu pociemniało w oczach; usiadł w śniegu, odrzucił kaptur na plecy. Wiedział, że już jest po wszystkim, ale jakoś nie potrafił wykrzesać z siebie radości. Nie dawała mu spokoju myśl, że pozwolił się przechytryć okaleczonemu zwierzęciu. Mógł to zataić przed ojcem, przed Stachem, przed wszystkimi, ale nie przed samym sobą.

Potrząsnął głową, przyjrzał się z ciekawością stygnącemu gryzoniowi. Na brzuchu, porośniętym białym, miejscami pożółkłym włosiem, ciągnęły się w dwóch rzędach sterczące, nabrzmiące pokarmem sutki. Nagle

wszystko stało się jasne -- odgryziona łapa, niezmordowana ucieczka, zajadła walka. To była samica, która usiłowała chronić coś więcej niż tylko własne życie.

Przysunął się do szczeliny w skale, gdzie ginął wygnieciony w śniegu ślad. Zamknął oczy, uciszył oddech. Po długiej chwili napiętego oczekiwania usłyszał nareszcie pojedynczy, bardzo cichy pisk.

Musiał ściągnąć kurtę, żeby wsunąć ramię do rozpadliny.

Wśród pokruszonych odłamków skalnych zalegających dno namacał zagłębienie wypełnione miękką ściółką z włosia i śmieci. Wsunął palce pod wierzchnią warstwę, między ciepłe ciała kilkudniowych szurzych noworodków. Wyciągnął jednego ostrożnie i obejrzał na otwartej dłoni, gryząc z przejęciem wargę.

Był niewiekszy od połowy kciuka, bezwłosy, różowiutki, ślepy. Miał nienaturalnie wielką głowę, którą potrafił dźwignąć tylko na chwilę, króciutki ogonek, cienkie łapki. Popiskiwał ufnie, lgnąc do ciepłej ręki.

Kacper wrzucił go do wewnętrznej kieszeni kurty, wymościwszy ją przedtem garścią suszonego mchu. Sprawnie wybrał resztę miotu -- szesnaście zdrowych, ruchliwych osesków. Przepęniała go radość i duma. Od małego uczono go, że gdy samica broni potomstwa, należy schodzić jej z drogi; ceną za lekkomyślność bywały blizny, a często i coś więcej. Uśmiechnął się, dotykając szramy na policzku. Wyobraził sobie moment, gdy Stach zważy w rękę ciężar ubitego zwierzęcia, a potem uznanie w oczach najbliższych sąsiadów, których matka zaprosi na poczęstunek. Zapach skwierczących na rozgrzanym tłuszczu noworodków, i to właśnie teraz, gdy po zimie w prawie każdym domu panował niedostatek, na pewno przyciągnie wielu ciekawskich, ale ten wyszukany, rzadki przysmak dostanie się tylko wybranym. Niech się wszyscy dowiedzą, że młodszy syn Józwy zasługuje na taki sam szacunek jak pierworodny.



Wstał, gotów do drogi powrotnej, uważnie rozejrzał się po okolicy. Zaszedł dalej, niż mu się początkowo zdawało -- lodowce rozstępowały się tak szeroko, że ledwie dostrzegał ich spłaszczony zarys. Osłonił dłońią oczy i spojrział w dół. Był ciekaw, czy zobaczy krawędź urwiska z kieratem, ale w południowym słońcu zatarła się granica pomiędzy śniegiem a wyblakłym niebem. Spróbował odszukać zagubioną rakieta, ale zniechęcił się szybko, ponieważ zadanie było niewykonalne. Dotknął kieszeni kurty, gdzie kłębił się osierocony miot. Nagim noworodkom dobrze było w ludzkim cieple. Wiedział, że mogą wytrzymać bez jedzenia nawet trzy doby, lecz przez nieuwagę łatwo mógłby je przygnieść albo zadusić. Bardzo pragnął, żeby były jeszcze żywe, gdy zsybie je do złączonych dłoni matki; nigdy wcześniej nie dostała takiego podarunku, nawet od męża.

Ruszył, trzymając się własnych śladów. Nie mógł zabłądzić. Żeby trafić do osady, trzeba było iść cały czas w stronę majaczącego w oddali ostrego zarysu szczytu Góry. Bez rakiety prawa noga zapadała się w śnieg powyżej kolana, ale i to nie budziło w nim obaw. Był dobrym piechurem, rozemocjonowany udanym polowaniem nie odczuwał zmęczenia, a do zmroku pozostało jeszcze dużo czasu. Wetknął pałkę z tyłu za pas, pogwizdywał z cicha. Często przykładał dłoń do kieszeni na piersi; miał wrażenie, że pulsuje tam drugie serce.

Po pewnym czasie zdał sobie sprawę, że sunący z boku jego własny cień wtopił się w poszarzały nagle śnieg. Zadarł głowę; blade błękit nieba zasnuły strzępiaste chmury, gasząc słońce. Tak nagle zmiana pogody

nie zapowiadała nic dobrego, tym bardziej, że do pokonania pozostał jeszcze spory szmat zbrocza. Lodowce zbliżyły się nieco, choć nie na tyle, żeby można było rozpoznać jakieś znajome szczegóły. Tak daleko od osady Kacper bywał wcześniej tylko kilka razy, zawsze pod opieką ojca albo starszego brata. Usiłował przyspieszyć kroku, ale to nie było łatwe. Gubił właściwy rytm marszu, źle rozkładał ciężar ciała, a wtedy noga grzęzła po pachwinę. Tracił sporo sił i cennego czasu, nim na niepewnym podłożu odnajdywał równowagę. Na domiar złego zaczął padać śnieg, zasypując ślady i ograniczając widoczność. Duże, mokre płatki zdawały się szemrać cichutko na stoku, pomimo naciągniętego kaptura osiadały na rzęsach i na wargach.

Wiedział, że zanosí się na coś niedobrego. Góry, podobnie jak ludzie, miały zmienne nastroje, zwłaszcza wczesną wiosną; potrafił wyczuć ich usposobienie z samej tylko barwy nieba, zapachu powietrza, smaku śniegu. Potężny, bezosobowy gniew wzbierał gdzieś w bezludnej kotlinie, przebiegał dreszczem skały i lodowce, żeby sięgnąć wreszcie szczytu oplecionego czarnym wieńcem chmur. Trudno było przetrwać wybuch takiej nieokiełznanej wściekłości nawet w gromadzie, w ukryciu, a co dopiero samotnie, na gołym stoku.

Niewielu było takich, którym udało się przeżyć, żeby mogli o tym opowiedzieć.

Pierwszy poryw wichru uderzył chłopca w plecy, od razu tak mocno, że obalił go na kolana. Całe zbocze zadymiło białą kurzawą, przeciągły świst odbił się echem od niewidzialnych teraz lodowych ścian. Potem na moment zapadła cisza. Kacper wykorzystał ostatnie chwile spokoju, żeby poszukać najlichszej choćby osłony; niestety, wokół nie było żadnych skał ani większych usypisk kamieni. Na czworakach dopadł pobliskiej zasy i zaczął kopać obiema rękami. Zdążył wygrzebać płytką jamę, gdy spadło drugie uderzenie wichury, jeszcze potężniejsze, niemal zdzierając z niego kurtę przez głowę. Pracował dalej, rozpaczliwie łapiąc dech otwartymi ustami. Gdziekolwiek odwracał twarz, drobinki lodu wgryzały się w skórę. Wyjąca zamieć wciąż zasypywała jamę -- ale nie rezygnował: zbyt wiele zyskał tego dnia, żeby teraz poddać się bez walki.

Naraz przebił się ramieniem do jakiejś głębszej niecki pod nawisem twardego, zmrożonego śniegu. Wpadł do środka, zwinął się jak embrion i ukrył twarz w oszronionych rękawicach. Jeszcze przez minutę czy dwie o jego plecy bębniły lodowe ziarenka, wichura szarpała za kaptur, dusiła zamieć, lecz w miarę jak ponad nim wyrastał śnieżny kopiec, robiło się ciszej, cieplej i mroczniej.

Mógł się nieco rozluźnić, otrzeć powieki i usta. Pod wpływem jego przyspieszonego oddechu w jamie zrobiło się wilgotno i duszno. Za pomocą pałki przewiercił otwór na drugą stronę, jednak niebawem warstwa śniegu stała się zbyt gruba i prześwit zgasł. Ułożył się wygodniej, zamknął oczy. Zdawało mu się, że wyczuwa drżenie smaganego burzą zbrocza; wiatr chichotał, rzeził i charczał. Nie ruszał się, żeby ograniczyć zużycie tlenu.

Choć nikt nigdy nie powiedział mu tego wprost, był świadom, że lodowaty wichur, który przetaczał się z rykiem ponad skalistymi graniami, może przynieść ze sobą jeszcze inne, o wiele straszliwsze zagrożenie, o którym starsi rozmawiali rzadko i niechętnie. Udawał sam przed sobą, że wcale o tym nie myśli, lecz to nie była prawda. Ukrył się w jamie właśnie przed tym, co niepojęte.

Jeśli tego dnia naprawdę miał się przekonać, czy góry są mu przychylnie, trudno było o bardziej wiarygodną próbę. Nic już nie zależało od niego. Z wolna zapadał w zdradliwe odrętwienie, złą senność, z której można się już nigdy nie otrząsnąć. Wciąż jeszcze docierały do niego odgłosy starcia żywiołów, ale nie

robiły już na nim takiego wrażenia. Stopniowo obojętniał na to, co się z nim stanie. Miał tylko nadzieję, że kiedyś ludzie z osady znajdą go, wykopią, wypróżnią kieszenie kurty, a wtedy zadziwią się wielkością samicy i liczebnością zamrożonego miotu. Niech wiedzą, czego dokonał. Niech wiedzą...



Śnił o czarnej zmurze, pozbawionej twarzy, która usiadła mu na piersi i zacisnęła na gardle długie, zimne paluchy. Chciał się bronić, zrzucić ją z siebie, ale nie mógł poruszyć ręką ani nogą. Próbował wzywać pomocy -- nie słyszał własnego głosu. Pomyślał, że jeśli uda mu się zajrzeć w ślepią demona, spłoszy go, lecz ponad sobą widział tylko nieprzeniknioną czerń.

Instynktownie, jeszcze nie całkiem obudzony, poderwał się na nogi, rozrzucając zwały śniegu. Senna zmora uciekła, mógł nabrać wreszcie tchu, ale po chwili poczuł w płucach palący ból; potężny mróz zamknął go w niewidzialnym uścisku.

Oprzytomniał do reszty, jakoś wybrnął z jamy, chwiejąc się na pozbawionych czucia nogach. Z początku sądził, że minęło niewiele czasu, ale gdy podniósł głowę, przed oczami zawirował mu niezliczony rój gwiazd.

Była pogodna, cicha, księżycowa noc. Zdawało się, że echa zamieci jeszcze dobrzmiewają gdzieś na dalekich przełęczach, lecz wokół wszystko zastygło w śmiertelnym bezruchu. Śnieg nasiąkał księżycowym lśnieniem, skały i zasy pyły rzucały niebieskawy cień, na ścianach lodowców rozwijały się i gasły wstęgi subtelnego blasku.

Panował spokój, który nie przynosił ukojenia rozedrganym zmysłom. Pierwsza noc po zamieci zawsze była niebezpiecznym czasem, kiedy mogło się wydarzyć wszystko co najgorsze. Taka mroźna, gwiezdna cisza sprzyjała zagubionym Świetlikom, które wiatr porywał z ciemnych dolin i porzucał wysoko na zboczach. Zanim szczyły w słońcu, nikt nie mógł być pewien swego losu.

Zacisnął zęby i podjął zmuśniętą wspinaczkę. Nie liczył na to, że ktoś z osady wyjdzie mu naprzeciw. Nie tej nocy. Musiał wierzyć, że szczęście nie zawiedzie go i tym razem. Starał się nie robić hałasu, ale na zmrożonym śniegu każdy krok skrzypiał donośnie, w gardle chrypiał oddech. Wypatrywał przed sobą jakichkolwiek oznak bliskości osady, lecz po śnieżycy zbrocze wszędzie wyglądało tak samo. Było wysrebrzone księżycem, pofałdowane, martwe. Położył dłoń na kieszeni, ale nic się tam nie poruszyło. Pozostała nadzieja, że przetrwa chociaż parę młodych szcurków.

Przystanął, żeby obetrzeć zasmarkany nos. Mimochodem rzucił okiem za siebie i tak już pozostał. Skamieniał z przerażenia.

Było tak, jakby na zaśnieżonym stoku, nieco poniżej, rozlał się płynny ogień, zagarniając czerwonym odbłaskiem coraz większą przestrzeń. Ponad nim kołysał się szereg osobnych płomieni, porozdzielanych mrokiem; unosiły się w powietrzu, roztaczając na stoku zlewające się kręgi jasności. Ogień i mróz, światło i ciemność. Cisza.

Świetliki!

Chłopiec stracił poczucie czasu, ale chyba nie tkwił w miejscu dłużej niż kilka sekund. Rzucił się do desperackiej ucieczki, choć jednocześnie rozumiał, że to bezcelowe. Nie mógłby się przed nimi ukryć, nawet gdyby zacisnął powieki albo zawiązał oczy. Świetlik zawsze znajdzie szczelinę, choćby najmniejszą, przez

którą precyzyjnie się do źrenic, a poprzez źrenice prosto do duszy, żeby ją pojąć i przeobrazić. Tylko woda była zdolna uwięzić taką światłość -- krążyły opowieści o myśliwych, którym udało się przeczekać ze wstrzymanym oddechem w foczej przerębli, aż Świetlik odleci w poszukiwaniu innej ofiary -- ale tutaj, na suchym stoku, nie mógł na to liczyć. Jedynym rozsądnym wyjściem pozostawała śmierć, która pozwalała ocalić choć to, co w człowieku nieśmiertelne, ale gdyby nawet wystarczyło mu odwagi i zdecydowania, to i tak nie miał noża.

Usłyszał za plecami niespodziewany odgłos, jakby zziębnięty oddech. Wiedział, że Świetliki poruszają się bezszelestnie, i zdumienie skuteczniej spętało mu nogi niż strach. Kaptur nie pozwalał spojrzeć przez ramię, musiał się odwrócić. Zanim to zrobił, jakiś ciężar spadł mu na barki i obalił twarzą w śnieg. Wywinął się jeszcze na plecy, wyrrywając zza pasa pałkę, uniósł ramię do ciosu, gdy coś ciepłego i mokrego omiotło mu twarz.

-- Kudłacz! -- wykrztusił.

Jeden z wielkich ojcowskich psów liznął go jeszcze raz po oczach i dopiero teraz rozszczękał się szaleńczo na wysokiej, radosnej nucie. Obskakiwał chłopca, tłukł puszystym ogonem w śnieg, ział z bliska śmierdzącym oddechem. Żeby usiąść, Kacper musiał szturchnąć go pałką w żebra. Od nadmiaru silnych wzruszeń kręciło mu się w głowie; miał wrażenie, że gwiazdy sypią się z nieba jak iskry.

-- Tutaj! -- Mocny, męski głos zabrzmiał z bliska, płomień błysnął prosto w oczy. -- Mamy go.

Rozproszeni szeroko na stoku mężczyźni schodzili się powoli, przyświecając pochodniami. Cienie błądziły po śniegu, para oddechów mieszała się z kopącym dymem. Spod kapturów nie było widać ich twarzy, ale chłopiec potrafił rozpoznać każdego z nich po barwie głosu i sposobie poruszania się.

Wzruszenie łaskotało go w gardle, ale jednocześnie było mu wstyd. Nigdy wcześniej nie odczuł tak całkowitego przerażenia, które ogarnia duszę i ciało -- a wszystko to z powodu głupiej pomyłki. Żeby pokryć zmieszanie, szorstko odtrącił Kudłacza i wstał, opierając się na pałce. Poszukał wzrokiem lekko zgarbionej postaci ojca. Nadszedł jako jeden z ostatnich, zapewne zamykał skrzydło pochodni.

W migotliwym oświetleniu Józwa z bliska zająknął synowi w oczy -- byli już niemal tego samego wzrostu.

-- Cały jesteś? -- spytał zamiast powitania. Zabrzmiało to dość oschle, ale Kacper umiał rozpoznać w zawieszeniu głosu niepokój.

-- Cały.

-- Żadnych ran ani odmrożeń?

-- Wszystko dobrze, tato. -- Spojrzał spod oka na innych, ale myśliwi już nie słuchali, zajęci przygotowaniami do dalszej drogi. -- Myślałem, że to...

-- Wiem -- ojciec uciął ostro, jakby nie życzył sobie słyszeć więcej. Zgasił pochodnię, wetknąwszy ją w śnieg, i po chwili dokończył łagodniej: -- Gdyby było tak, jak myślałeś, nie zdążyłbyś się nawet porządnie przestraszyć.

Pogasty płomień, śnieg znowu lśnił tylko w księżycowej poświacie. Mężczyźni rozchodzili się w milczeniu, pochyleni, starannie odmierzając każdy krok. Dopiero w tej chwili Kacper zdał sobie sprawę, jak bardzo wszyscy byli zmęczeni; nie mieli sił nawet na radość ani gniew.

-- Jak mnie znaleźliście? -- zapytał skruszony.

-- Znam cię dobrze. Wiedziałem, że w dzień szesnastych urodzin nie wrócisz bez szczura, choćby miały się zwalić na ciebie wszystkie plagi tego świata. Jesteś uparty po matce. -- Myśliwy uśmiechnął się zza

drobnych soplek, w które obrosły wąsy i broda. -- Mieliśmy ciężką drogę. U stóp urwiska dopadła nas śnieżycyca, dlatego nie zdążyliśmy na czas. Widziałem, co tu się dzieje. Całe zbocze zniknęło w zamieci. Miałem nadzieję, że nie odszedłeś za daleko i zdążysz schronić się przed burzą w osadzie, ale musiałem to sprawdzić. Zostawiliśmy zaprzęgi, zwierzynę i połowę ludzi na dole, a reszta ruszyła przodem, kiedy tylko trochę ucichło. Szliśmy ławą, z ogniami, rozgrzebywaliśmy każdy podejrzany wzgórek na śniegu. Szczęście, że ktoś wypatrzył twoją rakietę, a potem znaleźliśmy jamę, gdzie przeczekałeś zamieć. Resztę załatwił Kudłacz.

Ojciec opowiadał spokojnie, bez cienia wyrzutu, ale chłopiec i tak zwiesił głowę. Kroki myśliwych cichły w szarzyźnie nadchodzącego poranka. Mieli za sobą uciążliwy, nocny marsz, chcieli jak najszybciej ogrzać się przy piecu, zzuć buty i wyciągnąć obolałe nogi.

-- Nie musieliście tego robić -- wymamrotał. -- Sam bym sobie poradził.

Ojciec zmrużył oczy i milczał przez chwilę, obracając w dłoni wygasłą pochodnię. Potem rzucił na śnieg zapasową parę rakiet, otrzepał rękawicę i odwrócił się plecami.

-- O tym, czy jesteś mężczyzną, nie decyduje wiek ani nawet najtłustszy szczur -- powiedział na odchodnym. -- Kiedy następnym razem zechcesz powiedzieć coś równie głupiego, pomyśl, jak się czułeś, kiedy zobaczyłeś światła na pustkowiu. Może to cię nauczy nieco pokory.



Wszystko odbyło się całkiem inaczej, niż to sobie Kacper wymarzył. Wprawdzie na przekór obawom przetrwały wszystkie oseski -- chudziutkie, sine i pomarszczone -- ale matka ledwie rzuciła na nie okiem. Złapała głowę chłopca w kościste dłonie, przyciągnęła do siebie i nie wypuszczała bardzo długo, zwilżając jego włosy łzami.

-- Biegłam po ciebie, dziecko, ale ludzie zatrzymali mnie siłą. -- Końcami palców dotykała jego policzków, czoła, ust, jakby musiała się upewnić, że to naprawdę on. -- Taki wiatr, taki straszny wiatr...

Uwolniła go wreszcie z objęć, poprawiła kosmyk siwiejących włosów, który wymknął się spod czepka. Na twarz powrócił łagodny, nieco zatroskany uśmiech. Przywitała męża z powściągliwą czułością, usadziła go na ławie, pomogła rozwiązać rzemienie butów i dopiero wtedy odeszła do kuchni, żeby podsycić ogień pod blachą.

Stacha nie było w domu, wypadła mu tego dnia służba w sygnalizatorni, więc chłopak nie miał nawet komu zaimponować zeszywniałą na mrozie szczurzycą. Najbliżsi sąsiedzi zagłądali z gratulacjami, ale żaden nawet nie usiadł. Powrót myśliwych był o wiele donioślejszym wydarzeniem. Ludzie biegali od chaty do chaty, żeby nie uronić nic z tego, o czym opowiadano.

Zresztą Kacper czuł, że wielu uważa jego przygodę za wynik lekkomyślności, a nie odwagi. W głębi duszy przyznawał im rację. I choć tego dnia matka usługiwała mu przy stole jak dorosłemu, a ojciec zagadywał przy jedzeniu, cała radość z udanej wyprawy niepostrzeżenie uleciała. Wysiorbał ponuro mętną zupę, niewiele zjadł mięsa, odzywał się tylko półgębkiem.

Wcześniej wsunął się do łóżka, chociaż nie czuł senności, tylko jakieś przemożne otępienie. Dopiero gdy przyłożył głowę do poduszki, przekonał się, jak bardzo potrzebował odpoczynku. Nie usłyszał już matki, która pochyliła się nad nim i poprawiła koc. Zapadł w czarną dziurę bez żadnych marzeń ani strachów.

Obudził się późno z bólem głowy i ćwierkającym we wnętrzościach głodem. W chacie było pusto, chociaż na kuchennej blasze bulgotał parujący war. Przetarł powieki, poczochnął włosy i ziewając, usiadł na łóżku. Pomyślał, że matka zeszała do spizarni. Chciał ją zawołać, gdy nagle dobiegł go niecodzienny, zmieszany gwar wielu głosów, jakby cała osada wyległa na zewnątrz. Ktoś gwizdnął przeciągle, a z daleka odpowiedziało kilka okrzyków.

Ubrał się szybko i wypadł z izby prosto w oślepiającą biel śniegu. Wszyscy już tam byli -- rodzice, Stach, sąsiedzi. Oslaniając oczy dłońmi, próbował przeniknąć wzrokiem zimną, słoneczną jasność, która wytryskiwała wiązką promieni zza wschodniego lodowca i zalewała całe zbocze.

-- Idą!

Jeden z sąsiadów usiadł okrakiem na szczycie dachu i wyciągniętym ramieniem wskazywał w dół stoku, na gruzłowaty od zasp widnokrąg. Po chwili także pozostali mogli dostrzec kilka czarnych punkcików, a potem cały rozciągnięty wąż ludzi i sań, który powolutku, zakosami wpełzał pod górę.

Jak zwykle u progu wiosny spizarki w wielu chatach były puste, dlatego niecierpliwie wyglądano powrotu łowieckiej wyprawy. Młodszy chłopcy przypinali narty i z radosnym wyciem puszczali się w dół. Gromady dzieciaków, wrzeszcząc, ruszyły za nimi, przewracając się i obrzucając śnieżkami. Starsi dreptali niecierpliwie przed progami chat. Uwiązane psy miotały się na łańcuchach, wspinały na tylne łapy i ujadły ochryple, wyczuwając woń mięsa i krwi.

-- A! Wstałeś wreszcie! -- Stach spojrział na brata z ukosa, marszcząc piegowaty nos i odrzucając na bok przydługą, jasną grzywkę. -- Trochę cię wczoraj zawiało, co?

-- Nie twoja sprawa -- odburknął chłopak wyniośle. Teraz, kiedy stał się mężczyzną, zamierzał od początku dać do zrozumienia, że nikomu już nie pozwoli z siebie kpić.

-- Pewnie. Gdyby nie płacz matki, nawet nie zauważyłbym, że cię nie ma. Ale jesteś moim bratem i nie chcę się za ciebie wstydzić. Znalazłeś choćby jednego szcurzego bobka?

Kacper zamierzał zbyć zaczepkę wzruszeniem ramion, ale raptem zbladł, tknięty złym przeczuciem. Próbował przypomnieć sobie, czy po przebudzeniu widział upolowaną samicę powieszoną za ogon na belce stropowej, tak, jak zostawił ją wczoraj. Nie był pewien...

Przypuszczał, że dla dokuczenia mu Stach nie cofnąłby się przed żadną podłością. Na miękkich nogach, przytrzymując się framugi, wrócił do izby.

Pociemniało mu w oczach, gdy zobaczył, że belka jest pusta. Słyszał, jak Stach poświstuje z uciechy przez nos, wślizgnąwszy się za nim do chaty.

-- Gdzie moja szcurzyca? -- Nie wykrzesał z siebie gniewu. Była w nim jedynie naga rozpacz.

-- Tylko mi tu nie mdlej, bohaterze. Tam ją masz.

Jasnowłosa, wyczyszczona skórka wisiła rozpięta na ścianie obok tej, którą przed laty zdobył pierworodny.

Kacper osunął się na ławę, rozgarnął pod szyją wełnianą koszulę i głośno zaczerpnął oddechu.

-- Ty to zrobiłeś?

-- A co, miałem czekać, aż zaczniesz się psuć? Możesz mi podziękować, matka chciała uszyć ci z tego pamiątkowe rękawice.

Potrzebował trochę czasu, żeby przyjść do siebie, ale gdy już ochłonął, przymknął jedno oko i przekrzywił głowę.

-- Moja jest większa -- rzucił świadomie niedbałym tonem.

-- Brednie.

-- Chcesz, to zmierzmy.

-- Nic mnie to nie obchodzi. -- Stach splunął do kąta, ale uśmiechał się teraz jakby odrobinę mniej swobodnie. -- Zresztą twoja nie ma jednej łapy. To bardzo obniża wartość.

-- Jest większa. -- Chłopak klepnął się w uda i wstał z możliwie obojętną miną, jakby ta sprawa nie miała dla niego większego znaczenia.

Gdy wyszli, pierwsze sanie już zajeżdżały między chaty. Podrażnione zamieszaniem psy zaprzęgowe warczały na łańcuchowe kundle, ale nie psuły szyku; wywieszały na bok jęzory, opuszczały pyski i z uporem parły pod górę, żeby zasłużyć na swój codzienny przydział zjełczanego tłuszczu umazanego we krwi. Na saniach, uwiązane sznurami, piętrzyły się szare, płetwiaste cielska fok, zwisały lisie kity, sterczały zajęcze uszy. Zdrożeni myśliwi stawali na płozach albo biegli truchtem za zaprzęgiem po ubitym śniegu, okrzykami zachęcając psy do ostatniego wysiłku. Piski dzieci mieszały się ze śmiechem kobiet, rósł gwar. Z lodowatego blasku zbrocza wynurzał się zaprzęg za zaprzęgiem. Ludzie odrzucali kaptury na plecy, zębami zdzierali rękawice i otrzepawszy buty na progu, zagłębiali się w ciepły półmrok chat. Każdy komin buchał czarnymi kłębami, wszędzie wyczuwało się radosną pewność, że przez parę najbliższych tygodni można będzie nie myśleć o głodzie.

-- Teraz patrzcie! -- Ojciec przygarnął ramieniem żonę i gestem przywołał synów. -- Dwoje ostatnich sań to nasze.

Kacper wysunął się naprzód. Usiłował policzyć wąsate pyski fok, ale z podniecenia co rusz mylił rachunek. Chyba było tego znacznie więcej niż poprzednim razem; piwnica zapełni się po samą klapę, a i tak zostanie na sprzedaż jeszcze dużo mięsa, tłuszczu i skór.

-- Tam! -- Ojciec wskazał palcem na koniec pochodu.

Na ostatnich saniach leżał bokiem olbrzymi, kudłaty, żółtawobiały niedźwiedź. Grube, podbite poduszkami łapy podrygiwały na nierównościach, jakby zwierzę wciąż jeszcze śniło jakiś dziki, drapieżny sen. Z na wpół otwartego pyska sterczały kły, w szklistych ślepiach płonęło słońce.

Ludzie stłoczyli się przy saniach, cmokali z uznaniem, a potem podchodzili kolejno do Józwy, żeby mu powinszować i dopytać o szczegóły polowania.

-- Jedną strzałą! -- Roześmiał się głośno, dźwigając ciężki łeb zwierzęcia, żeby wszyscy mogli obejrzeć ranę na podgardlu. -- Nie ryzykowałbym, ale napadł nas pośrodku jeziora. Obskoczyły go psy, zatrzymał się na chwilę, wtedy puściłem cięciwę. -- Spoważniał, w zamyśleniu potarł zarost na policzku. -- Bóg prowadził tę strzałę, inaczej wielu z nas nie powróciłoby dzisiaj do domu.

Przysadzista, zwężająca się ku górze, wymurowana z ciężkich skrzyżali wieża wytrząsała śnieg z załomów grubych murów, drząc pod uderzeniami dzwonu. Głęboki pogłos niósł się bardzo daleko -- do tkaczy, rzeźników, cieśli, garbarzy, do drwali, którzy gdzieś u stóp urwiska wyrąbywali z lodu martwe, zamrożone drzewa, do zapuszczających się w niebezpieczne Ruiny złomiarzy, do mcharzy w wilgotnej Rozpadlinie, którzy zbierali paszę dla kóz, do kieratników, do komory sygnalizatorni; wszędzie, gdzie docierali ludzie z osady. Kto tylko mógł, odkładał mniej pilną robotę, żeby zdążyć w ostatnich rozbłyskach zachodzącego słońca do kuźni. Kobiety wplatały we włosy barwne nitki i zarzucały na kozuchy haftowane chusty z frędzlami, mężczyźni zakładali czyste koszule z koziej wełny i opasywali się szerokimi, suto ćwiekowanymi pasami. Podekscytowane dzieci przekrzykiwały się najbardziej niedorzecznymi wieściami z myśliwskiej wyprawy, wyolbrzymiając i przekręcając wszystko, co zdołali podsłuchać u starszych.

Powrót obładowanych zdobyczą zaprzęgów zawsze był świętem, niezależnie od tego, że często łączył się z powiększeniem licznej gromady wdów i sierot. Osada mogła się obyć bez zbytków -- przędzy, barwników, ozdób, wielu sprzętów, codziennego opalania chat -- lecz nie bez mięsa. Dwie albo trzy nieudane wyprawy z rzędu oznaczały głód, a być może zagładę. Także i tym razem cieszą się więc hucznie, chociaż starzy ludzie twierdzili, że to już nie to samo co dawniej. Mniej było śmiechu, a więcej picia na umór, zwłaszcza pośród tych, którzy wrócili z wyprawy -- jakby ludzie próbowali uśmierzyć wzrastający z roku na rok niepokój, którego nikt jeszcze nie odważył się nazwać.

Kuźnia zajmowała przestronną jaskinię, większą nawet od kościoła. Według tego, co przechowało się w zbiorowej pamięci przez trzy stulecia z pełnych trwogi czasów tuż po Upadku, właśnie tutaj schronili się pierwsi osadnicy, jeszcze zanim pobudowano chaty i inne budynki. Byli tacy, którzy wskazywali wpółzatarłe napisy na ścianach, jakieś imiona ryte w pośpiechu krzywymi liniami; mawiano, że to pamiątki z tamtych ciemnych lat, ale jak było naprawdę, nikt nie wiedział. Dość, że rozległa pieczara, sięgająca krętymi rozgałęzieniami w głąb zbocza, z licznymi szczelinami w sklepieniu, przez które uchodził dym, na zawsze pozostała miejscem publicznych zgromadzeń, zwłaszcza tych bardziej hucznych, które nie mogłyby się odbyć w świątyni. Już z rana rozniecano wszystkie paleniska, żeby ogrzać ogromną jaskinię, odsuwano pod ściany wielkie miechy, kowadła, młoty, kotły na wodę, obcęgi, a pośrodku rozstawiano na kozłach długie blaty, ławy, beczki z kumysem, ruszty na mięsiwa. Kto tylko potrafił muzykować, przynosił skrzypczki o strunach ze skręconych sznurów, bębny różnych rozmiarów albo kościane piszczałki. Niektórzy skrzykiwali się po kilku i przygrywali składniej, do tańca, ale inni rzępolili, jak kto umiał, tylko dla jednego stołu. Im bliżej zmierzchu, ludzi przybywało, rósł gwar, od wypitego kumysu plątały się języki. Tańczący wzbijali tumany pyłu, w płomieniach skwierczało focze sadło -- zabawa się rozkręcała. Każdy wiedział, że nazajutrz nie będzie już miejsca na beztroskę, więc świętowano tym gwałtowniej, tym

zachłannie, nie odmawiając poczęstunku nawet bezpańskim psom, które z podkulonymi ogonami wślizgiwały się do kuźni przy każdym uchyleniu wrót.

Jedynie mcharze o bladych, zielonkawych twarzach trzymali się z boku w swoim gronie; pili cicho, niemal ukradkiem, nie tańczyli, rzadko nawet podnosili oczy znad kubków. Wiedzieli, że ich obecność w osadzie jest tolerowana tylko na czas świątecznej nocy. O świcie będą musieli się wynieść do ciasnych dziupli przysiółka położonego wysoko na skalistym zboczu, gdzie wiatr przynosi czasem smród Czarnej Studni, na dnie której -- według legendy -- spoczywa jeden ze strzępów cielesnej powłoki Lucyfera, która roztrzaskała się przy Upadku i rozproszyła po całym świecie.

Kacper przyszedł z rodzicami i Stachem przy wschodzącym księżycu. Dbały o poważanie u ludzi Józwa nie mógł się zjawiać zbyt wcześnie, żeby nikt nie gadał, że chce się napić i najeść na koszt osady jak byle skrobacz mchu. Chłopiec był dumny z ojca, wiedział, że przy każdym stole rozprawiano szeroko o białym niedźwiedziu, który padł od jednej strzały -- ale jeszcze bardziej dumy był z samego siebie. Dlatego gdy rodzice skierowali się w głąb jaskini, żeby zasiąść między starszyzną, przemknął w bok, gdzie w półmroku za osłoną grubych stalagmitów, wokół odwróconej do góry dnem pustej beczki siedziało kilkunastu jego rówieśników. Wszyscy mieli już za sobą szesnaste urodziny i uważali, że wolno im pić, ile zechcą, i obściskować chichoczące panny, ale mimo wszystko woleli się trzymać na uboczu, żeby nie dawać starszym powodów do zrzędzenia.

-- Jesteś wreszcie! -- Tłusty, jasnowłosy Bartek podsunął mu kubek i zrobił miejsce koło siebie. -- Już myśleliśmy, że po ostatniej nocy boisz się wychodzić z chaty.

Kacper łyknął kumysu, przeczekując gromadny wybuch śmiechu. Spodziewał się, że będą kpić -- robili to zawsze i z każdego powodu -- lecz widział też w ich spojrzeniach z trudem powściąganą zazdrość.

-- Nocna burza na otwartym stoku to nic przyjemnego -- odezwał się z pozorną obojętnością, żeby podsycić ich ciekawość. -- Ale, jak widać, przeżyłem.

-- Upolowałeś coś? -- zapytał mały, chudziutki Marcel, który bardzo się jąkał, a w rozmowie z dziewczyną czasem zacinał się na amen.

-- Nie udawaj, że nie słyszałeś. -- Kacper swobodnym, podpatrzonym u brata gestem starł spod nosa biały mleczny ślad. -- Twój ojciec przyszedł powinszować mojemu.

-- Coś tam słyszałem... Inna sprawa, że gdyby twój szczur naprawdę był taki wielki, jak mówią, nie dałbyś rady go unieść.

-- Był wystarczająco duży, żeby poświęcić mu tamtą noc. Nie widziałeś takiego nawet z daleka.

-- Podobno już zdychał, kiedy go znalazłeś.

-- Nieprawda. To była samica z miotem, musiałem z nią walczyć. -- Od niechcienia przesunął palcem wzdłuż szramy na policzku i przyjrzał się koledze z ukosa, jakby nagle coś sobie przypomniał. -- A dlaczego ty nie pokazałeś nam jeszcze swojej skórki? Minęło już chyba z pół roku. Niektórzy mówią, że się wstydzisz, bo szczur był bardzo stary, parchaty i wyliniały.

Znowu gruchnął śmiech, teraz już pozbawiony poprzedniego napięcia. Byli jeszcze w tym wieku, kiedy zawiść rozpala się równie łatwo, jak i gaśnie.

Porozmawiali jeszcze o tym i owym, mocząc lśniące od tłuszczu wargi w kumysie, pośpiewali nieskładnie, dla zabawy rzucali w psy rozżarzonymi węgielkami -- a przy tym wszystkim ani na chwilę nie przestali wypatrywać wśród uczujących młodych dziewczyn. Te, które podchodziły zbyt blisko -- przez

nieuwagę czy celowo -- łapali w pół i siłą sadzali sobie na kolanach; wyrwały się zaraz z piskiem, zagniewane i rade jednocześnie. Paru złomiarzy, którzy pili ostro przy sąsiednim stole, zachęcało młodych chrapliwymi okrzykami do większej śmiałości, jakaś oburzona matka przybiegła z awanturą, powiewając spódnicą; ot, jak zwykle.

Kacper wypatrzył wreszcie czarne warkocze Miry obwiązane czerwonymi tasiemkami. Dziewczyna stała przy ruszcie, powoli obracając nad ogniem foczy ogon, ale chyba niewiele uwagi poświęcała temu zajęciu. Przyglądała się ścianom, jakby taniec cieni ciekawił ją bardziej niż żywi ludzie.

Ucieszył się na jej widok, chociaż z umiarem, jak przystało na poważnego młodzieńca, który ma już za sobą pierwszą noc w śnieżycy. Wszyscy uważali ich za narzeczonych, ale właściwie jeszcze nimi nie byli, ponieważ ojcowie nie przybili zgody przed Starszyzną i nie wyprawili hucznych zaręczyn. Więcej w tej sprawie miała do powiedzenia matka Kacpra, która upatrzyła sobie Mirę jaką synową, gdy ta była jeszcze małą dziewczynką, bo taka była zawsze posłuszna, cicha, a przy tym ładna. Ojciec krzywił się trochę -- wiadomo, ród drwali to nie to samo co ród myśliwych, ale ostatecznie po prostu wzruszył ramionami. Sam Kacper nie zastanawiał się nad tym nigdy, zresztą jego zdanie liczyło się najmniej. Lubił Mirę. Podobała mu się i chyba była mu przychylna -- czegoż więcej wymagać od przyszłej żony?

Odstawił kubek i podszedł do niej, trochę onieśmielony tą jej dziwną zadumą, która tak bardzo nie pasowała do świątecznej nocy.

-- Nie tańczysz? -- szepnął jej prosto w ucho, ujmując ją od tyłu za ramiona.

Wzdrygnęła się, jakby to spotkanie wcale nie sprawiło jej przyjemności.

-- Jakoś nie mam ochoty. -- Uniknęła jego wzroku. -- Skończę z tą pletwą i chyba pójdę do siebie.

Cały kumys nagle wyparował mu z głowy, w żołądku poczuł chłód. Raptem wszystko stało się nieważne -- zabawa, biały niedźwiedź, nawet szcurzyca z miotem.

-- Co się stało? -- wyczuwał pod palcami napięte mięśnie jej barków.

-- Ojciec nie przyszedł z wyrębu. -- Rzuciła mu wreszcie szybkie, zaniepokojone spojrzenie.

-- Przenocuje w którymś z szałasów, już tak przecież bywało.

-- Tym razem to coś innego. Odłączył się od grupy, ludzie nie mogli dłużej czekać i wrócili bez niego. O świcie pójdą go szukać.

-- Posłuchaj...

-- Nie! -- ucięła zmienionym, twardym głosem, jakiego nigdy wcześniej u niej nie słyszał. -- Szkoda gadania, to niczego nie zmieni. Będzie, co ma być.

Puściła rożen, odwróciła się gwałtownie i odeszła, przepychając się przez ciżbę w stronę wrót.

Został sam, trąc czoło w rozterce. Chciał za nią biec, ale jednocześnie czuł, że nie powinien.

-- Panna stroi fochy? -- Z cienia pod ścianą wysunął się Stach, ogryzając jakiegoś gnata.

-- Daj mi spokój! -- Kacper zjeżył się. Teraz i on miał ochotę stąd uciec.

-- Bez nerwów, nie obchodzą mnie jej dąsy. -- Sygnalista rzucił kość w ogień, wzniecając iskry. -- Mam kłopot. Jutro służba, a zostałem bez pomocnika. Upił się gnojek, tańczył na stole, spadł i złamał nogę.

-- Jest przecież zmiennik.

-- Trzeci dzień leży w gorączce.

-- Więc weź kogokolwiek, przecież masz prawo! -- Zniecierpliwiony Kacper wbił pięści w kieszenie.

-- Właśnie miałem taki zamiar, ale chyba źle trafiłem. -- Stach skrzywił się z niechęcią. -- Baw się dobrze.

Minęło kilka sekund, nim do chłopca dotarł właściwy sens tych słów. Skoczył za bratem, z przejęciem niemal włączając do ognia.

-- Zaczekaj!



Tej nocy Kacper bał się zasnąć. Truchlał na myśl, że jeśli przestanie czuwać, Stach nie dotrzyma obietnicy i nie obudzi go w porę. Przez ostatnie pół roku ze starego podręcznika brata w tajemnicy przed wszystkimi pilnie uczył się znaczenia świetlnych sygnałów, niecierpliwie wyczekując swego szczęśliwego dnia. Taka okazja mogła nie powtórzyć się prędko, nie wolno było jej zaprzepaścić, uparcie walczył więc z sennością. Leżał w ciemnościach izby na wznak, z otwartymi oczami nasłuchując znajomych odgłosów nocy. Oddechy ojca i matki zlewały się w jednostajny szmer, piec stękał gorącem, w kominie gwizdał wiatr. Małe okienka jeszcze nie zaczęły szarzeć świtem, bezsenny czas dłużył się w nieskończoność.

Wreszcie nie wytrzymał, zerwał się z łóżka, narzucając koc na nagie ramiona. Wzdrygnął się, dotykając bosymi stopami kamiennej podłogi, ale nie założył butów. Podreptał do łóżka brata, delikatnie potrząsnął śpiącego za ramię.

-- Zbudź się -- szepnął.

Tamten usiadł od razu. W mroku nie było widać jego twarzy, przyśpieszony oddech uspokajał się z wolna.

-- Czego? -- warknął niechętnie, gdy zorientował się, kto przerwał mu odpoczynek.

-- Nic, nic. Pomyślałem, że czas się zbierać.

Sygnalista rzucił okiem na okno, po czym parsknął ze złością.

-- Nie myśl tyle, to ci szkodzi. O świcie znaczy o świcie.

-- To już chyba niedługo...

-- Jeszcze słowo i możesz zapomnieć, że kiedykolwiek zobaczysz sygnalizatornię. -- Stach opadł na materac, naciągnął koc pod samą brodę.

Kacper wrócił do siebie, ale już się nie położył. Zwilżył twarz zimną wodą, ogrzał przy piecu zgrabiące dłonie, bez apetytu przeżuł pasek suszonego mięsa. Ubrał się, wybierając z kufra tylko stare, znoszone rzeczy; do takiej brudnej roboty szkoda było nowych.

Gdy przez mętne szybki wdarły się pierwsze, drżące smugi jasności, nawet nie uniósł głowy. Wstydził się tej przedwczesnej pobudki i teraz bardzo chciał udowodnić, że nie brakuje mu cierpliwości i rozsądku. Przysiadł w kuchni przed piecem, objął kolana i poprzysiągł sobie, że nie spojrzy w stronę łóżka brata, póki tamten nie będzie gotów do drogi.

Obudziło go szturchnięcie w plecy.

-- Wstawaj! Więcej pożytku miałbym z kulawego psa niż z ciebie.

Zerwał się zażenowany. Nie miał pojęcia, na jak długo przysnął -- może tylko na kilka minut; jakkolwiek było, wiedział, że zasłużył na drwiny. Wstał i w milczeniu pobiegł za Stachem, który już otwierał drzwi.

Poranek był chmurny, wietrzny, niespokojny, przyćmione światło zacierało kontury dachów. Przemknęli cicho między chatami w górę osady. Tu i ówdzie chrzęściły już łopaty gospodarzy, którzy odśnieżali przedproża, w krytych zagrodach pomekiwały głodne kozy. Minęli obwieszony sopłami żelazny krzyż przed kościołem, a dalej obszerne szopy, gdzie składowano drewno i złom. Jeszcze kilkadziesiąt metrów obłożonej kamiennymi szanćami dróżki i wreszcie znaleźli się u podnóża skalistego, niemal pionowego urwiska. Czarna pręga Rozpadliny, sięgająca od szczytu aż do połowy wysokości ściany, ginęła w kłębowisku sinych chmur.

Niski, ciemny otwór sztolni wykutej we wnętrzu góry szumiał jednostajnie jak wielka muszla. Gdy Kacper poczuł na twarzy zimny przeciąg, serce zatrzepotało mu ze szczęścia, ale nie zapomniał o swoich obowiązkach; szybko rozniecił płomyk w małej, oszklonej lampce. Zobaczył kilka pierwszych stopni kamiennych schodów, na których pełgał słaby odbłask, kawałek nierównej ściany, łukowato wygięte sklepienie.

Stach położył dłoń na ramieniu brata, obrócił go ku sobie.

-- Nie każ mi żałować, że pozwoliłem ci iść ze sobą. -- W chwiejnym oświetleniu jego twarz wydawała się obca. -- Trzymaj się blisko, nie zadawaj głupich pytań i nie rób nic bez pozwolenia. Jasne?

Kacper skwapliwie skinął głową gotów przyrzec wszystko, byle tylko wejść wreszcie do tego zakazanego dla niewtajemniczonych świata. Zdawał sobie sprawę, że Stach postępuje wbrew obyczajowi, zabierając kogoś tak młodego na górę; właściwie szesnastoletni wyrostek nie powinien nawet zbliżyć się do schodów. Gdyby coś poszło nie tak, sygnalista nie usprawiedliwiłby się łatwo przed starszyzną.

Stromy korytarz był tak wąski, że nie mogli iść obok siebie. Stach wziął lampkę i ruszył pierwszy, wypełniając barczystymi plecami niemal całą przestrzeń. Każdy nieostrożny krok na poszczerbionych, wyszlizganych stopniach groził upadkiem. W miarę, jak szli, robiło się coraz zimniej, na ścianach i na sklepieniu białą płaty szronu. Chłód schodów dawał się odczuć nawet poprzez skórzane podeszwy, oddech palił mrozem.

To było bardzo długie, zmudne podejście pośród monotonii z grubsza ociosanych ścian, bez jakichkolwiek szczegółów, na których można by zawiesić wzrok. Przez cały czas Kacper widział przed sobą tylko parę najbliższych stopni i czarną sylwetkę brata, którą okalała drżąca poświata lampy. Gdy spojrzął za siebie, zdawało mu się, że zagłąda w mroczną studnię bez dna. Wiatr świstał coraz głośniejsze, furkocząc, przechodząc raz po raz z wysokich gwizdów w niskie burczenie.

Mniej więcej w połowie drogi napotkali schodzącego ze służby drugiego sygnalistę z pomocnikiem. Kacper nie potrafił nawet rozpoznać rysów ich twarzy. Tylko oczy białą w czarnych obwódkach sady. Minęli się w ciasnocie korytarza, wymieniając ciche pozdrowienia; tamtym pilno było do ciepłej kąpieli, łyka kumysu i snu.

Mimo ziąbu, gdy wreszcie dotarli na miejsce, Kacper był spocony.

-- Uwaga, pochyl głowę! -- rzucił Stach.

Zza małych, żelaznych drzwiczek buchnęła mocna woń spalenizny. Chłopiec miał uczucie, że wchodzi do wnętrza wygaszonego pieca; wiedział, że to komora sygnalizatorni. Z wypiekami na twarzy stanął pośrodku długiej na kilkadziesiąt kroków kiszki pieczary. Osmalone ściany lśniły jak czarne szkło.

-- Gdzie palenisko? -- zmrużył oczy.

-- W głębi komory. -- Sygnalista powiesił lampę na wbitym w sklepienie haku.

Podeszli tam, wzbijając każdym krokiem szary pył. Chłopiec po raz pierwszy patrzył na to wszystko, co znał jedynie z opowiadań. Palenisko było wykutym w podłożu zagłębieniem o szerokości jakichś pięciu kroków, pełnym popiołów jeszcze ciepłych po nocy; ponad nim rozwierała się czarna paszcza dymnika przegrodzona grubą kratą. Po bokach wydłużonej jaskini ziały obszerne wnęki, gdzie składowano opał.

-- A to co? -- Dotknął zwisającego przy ścianie łańcucha, którego drugi koniec zniknął w głębi wywierconego w sklepieniu otworu.

-- Zostaw! Wyżej jest duża cysterna. Czasem zdarza się, że trzeba szybko wygasić palenisko. Jeśli pociągniesz za łańcuch, otworzy się upust.

-- Woda nie zamarza?

-- Zamarza, ale niedługo będzie tam tak ciepło, jakbyś kocioł postawił na piecu.

Przeciwnie do paleniska kraniec komory zasłaniała ciężka, żelazna kurtyna pełna guzowatych ćwieków; obok ze ściany sterczał drewniany pulpit z kartką papieru, przyszpiloną na rogach, aby nie porwał jej wiatr, i ołówek. Kacper wiedział, że po drugiej stronie rozpościera się otwarty, mroźny bezkres. Nie dobiegał stamtąd żaden odgłos, zamieć huczała tylko w okopconej gardzieli dymnika.

-- Kiedy otworzysz? -- zapytał z przejęciem.

-- Jak przyjdzie czas. Najpierw posprzątaj tu.

Drżącymi dłońmi Kacper wyjął z ukrytej we wnęcie skrzyni ubranie ochronne pomocnika sygnalisty -- sztywny jak blacha skórzany fartuch, ciężkie buciory z cholewami sięgającymi powyżej kolan, rękawice o jednym palcu i kaptur zasłaniający niemal całą twarz. Gdy miał już to wszystko na sobie, poczuł się ciężki i niezdarny, ale z gorączkowym zapalem zabrał się do pracy.

Szybko zrozumiał, że to o wiele trudniejsze zadanie, niż mogłoby się wydawać. Wybierał popiół z paleniska szeroką szuflą i zrzucał do otworu zsykowego, z odrazą wdychając zatechły smród, który bił z mroczej czeluści. Gdy dogrzebał się w końcu do dna zagłębienia, jego ramiona omdlewały z wysiłku, a w zębach trzeszczał gorzki pył. Otarł mokrą twarz rękawem, rozmazując na policzkach smugi sadzy.

-- Zrobione -- odetchnął.

Stach drzemał we wnęcie na kupie starych, potarganych worków. Spojrzał jednym okiem spod futrzanej czapy i postępując, obrócił się na drugi bok.

-- Dobra. Teraz ułóż drewno. Tylko porządnie, bo zaczniesz wszystko od początku.

Następne godziny wysały z Kacpra prawie wszystkie siły. Brał ze składu po jednym pękатыm kłocu, zarzucał na kark, dźwigał do paleniska i układał równo na rosnącym stosie. Było mu źle w zbyt luźnych rękawicach, ale kiedy próbował pracować bez nich, szybko zdarł skórę na dłoniach do krwi. Spoglądał na wystające z wnęki stopy brata, rzeził, kwękał, kłął pod nosem, ale nie ustawał. Nabrał zupełnie nowego wyobrażenia o fachu sygnalisty. Nie było w tej robocie ani krzty poczucia obcowania z tajemnicą, jak to sobie wyśnił -- tylko smród, pot i drapanie w gardle.

Ułożył ostatnią warstwę stosu, osunął się na kolana.

-- Gotowe! Co teraz?

Stach ziewnął, leniwie kiwnął jednym butem.

-- Nic.

-- Jak to nic?

-- Miałeś siedzieć cicho, szczeniaku.

-- Odwaliłem za ciebie najgorszą robotę, a ty nawet nie chcesz podnieść kurtyny? -- chłopiec zakrzuszył się oburzeniem. -- Oszukałeś mnie!

Sygnalista nie odpowiedział od razu, jakby zaskoczony tym wybuchem. Nigdy nie mieli ze sobą bliskiego kontaktu, dzieliła ich zbyt duża różnica wieku. Po raz pierwszy zdarzyło się, że to młodszy podniósł głos na starszego.

-- Nic ci nie obiecywałem. -- Stach dźwignął się wreszcie z barłogu, prostując barki. -- Jeśli pogoda pozwoli, zamrugamy po zmierzchu. Przy burzy albo zbyt mocnym wietrze nie ma mowy.

-- Ale...

-- Jak ci się coś nie podoba, wracaj do matki. -- Pogroził palcem, a potem nieoczekiwanie złagodniał. -- Skąd u ciebie taka niecierpliwość? Przecież wielu ludzi przez całe życie nie ogląda nic poza osadą. Prawdę mówiąc, to niewielka strata. Tam nie ma nic ciekawego.

Kacper uspokoił się trochę, usiadł na skrzypiącym zydelku i przez chwilę przyglądał się w milczeniu swoim pokrwawionym palcom.

-- Nie mów do mnie jak do dziecka -- burknął zrezygnowany. -- Nie każdemu wystarcza do szczęścia ciepły kąt i miska żarcia. Ja chcę poznać coś więcej. I zrobię to, choćbym musiał się zaciągnąć do drwali albo do złomiarzy.

-- Jesteś jeszcze smarkaty, nie przyjmą cię. Chociaż... -- Stach podrapał się za uchem. -- W sumie znalazłby się jeden sposób.

-- Jaki? -- ożywił się Kacper.

-- Jeśli nie zaczniesz wreszcie słuchać mądrzejszych od siebie, bardzo prawdopodobne, że skażą cię kiedyś na kierat. Stamtąd też można wiele zobaczyć.

-- A żebyś wiedział! Wszystko jest lepsze od takiego życia z dnia na dzień, wciąż tylko we własnym smrodzie.

-- Ale to jednak życie, a na nizinach czeka tylko śmierć. -- Stach na moment zmrużył oczy, patrząc na kopcającą lampkę. -- Wiem, jak to jest. Ze mną kiedyś było podobnie. Właśnie dlatego zostałem sygnalistą. Nigdy nie żałowałem tego wyboru, ale... -- Nie dokończył, wzruszył ramionami.

-- Ale co?

-- Dzisiaj już wiem, że nie wolno się przyzwyczajać do złudzeń. Nasze miejsce jest tutaj, nic tego nie zmieni. -- Uderzył pięścią w skałę.

-- Mogę jeszcze zostać gońcem! -- wypalił Kacper bez namysłu.

Starszy brat zmierzył go uważnym spojrzeniem, a potem powoli pokręcił głową.

-- Nie wiesz, o czym mówisz.

-- Wszystko przemyślałem. Tylko goniec jest naprawdę wolnym człowiekiem, nikt inny nie dociera tak daleko.

-- Przed gońcem nie ma żadnej przyszłości. Najlepsi są w stanie zaliczyć w życiu kilkanaście kursów, ale w końcu każdy z nich... Rozejrzyj się na cmentarzu. Nigdzie nie znajdziesz grobu gońca. Czy tego właśnie chcesz?

-- Chcę się stąd wyrwać!

-- Głupi jesteś. -- Stach wycelował w brata palcem wskazującym. -- Lepiej nie opowiadaj o tym matce, bo dostaniesz chochlą w łeb.

W czasie tej krótkiej, burzliwej rozmowy powiedzieli sobie więcej niż kiedykolwiek przedtem. Każdy pozostał przy swoim, ale w głębi duszy Kacper miał pewność, że dopiero teraz naprawdę udało im się porozumieć. Ta myśl dodała mu otuchy, powoli ustępowało rozdrażnienie. Będzie, co ma być. Postanowił, że gdyby nawet tej nocy żelazna kurtyna się nie uniosła, zaciśnie zęby i przeboleje zawód w milczeniu.

A jednak -- gdy do sygnalizatorni dotarło echo odległego dzwonu, który zwoływał ludzi na wieczorne nabożeństwo, chłopcu mocniej zabiło serce. Stach przeciągnął się i wstał. Kacper nie śmiał głośniejszym odetchnąć, żeby nie spłoszyć szansy. Przypatrywał się w milczeniu, jak sygnalista sprawdza ułożony na palenisku stos, dopychając tu i ówdzie sterczący kłoc. Wydało mu się, że wiatr w dymniku świszczy jakby nieco ciszej. Pod kratą zawirowało parę zbłąkanych płatków śniegu. Sam już nie wiedział, czego się spodziewać.

-- Ogień. -- Krótkie polecenie Stacha skróciło mękę niepewności.

Kacper podpalił kilka natłuszczonych trzasek i wetknął w szpary stosu; suche drewno zajęło się od razu, płomień błyskawicznie wspiął się pod sklepienie, wypełniając komorę jasnością. Dymnik łykał czarne kłęby, żar buchał coraz mocniej.

-- Siedz tu! -- Sygnalista pchnął chłopca do wnęki. -- Otworzę trochę wcześniej, niż powinienem, bo w nocy nic nie zobaczysz. Sam się przekonaj, że nie masz tam czego szukać.

Zakręcił korbą, coś szcęknęło metalicznie, napięły się łańcuchy; masywna kurtyna drgnęła i gładko uniosła się w prowadnicach, znikając w szparze, która przecinała w poprzek sklepienie. Z tamtej strony wdarł się ryk wichury, właczając do komory sygnalizatorni kotłujący się, mroźny tuman -- ale po chwili śnieg opadł i odsłonięty wylot jaskini rozświetlił się czerwonym blaskiem.

Kacper, wyglądając z wnęki, ze ściśniętym gardłem patrzył w bezkres.

Zobaczył przyprawiającą o zawrót głowy przestrzeń niespętaną żadnymi granicami, pociętą pomarańczowymi smugami zmierzchu, dołem zmrozoną i martwą, u góry ożywioną ruchliwym deseniem chmur. Śnieg sypał nieprzerwanie, ale niezbyt gęsto; w zmiennych porywach wiatru powstawały wiry i kłęby, a czasem rozwierały się dalekie prześwity. W takich chwilach widać było wyraźnie groźny rys Krzywego Wierchu i rdzawą tarczę słońca, która staczała się już za jego stromy stok. Na tle płomiennego kręgu przemykały ulotne strzępki dymu czy mgły; chwilami dawał się dostrzec smukły kształt wieży wieńczącej odległy szczyt.

Rychło zapadła bezgwiezdna noc. Otwór jaskini ział teraz mroczną pustką, z której czasem wymykała się garstka białych płatków, niby ćmy szukające światła. To był jakiś inny rodzaj ciemności, zimnej, zachłannej, gotowej wessać każdego, kto zapatrzy się w nią, tracąc poczucie czasu.

Kacprowi w oczach stanęły świeczki, gdy brat otwartą dłonią klepnął go w kark. Otrząsnął się, wyteżył wzrok. Ponad Krzywym Wierchem, na wieży, trzykrotnie mrugnęło światełko maleńkie jak iskra; zgasło i nie pokazało się więcej.

-- Sygnał wywoławczy! -- zawołał w podnieceniu.

Stach założył ciężką uprząż sygnalisty, dopinając ciasno pasy na piersiach i na brzuchu. Z pleców zwisały mu teraz luźno ciemne skrzydła sklecone z płatów miękko wyprawionej skóry, rzemieni i drewnianych prętów. Wyglądał jak ogromne, niezgrabne ptaszysko. Chrząszcząc i klekocząc uprząż, podszedł do wylotu jaskini. Jego znieruchomiła, wyprostowana sylwetka wydawała się mroczniejsza od nocnego nieba.

Rozłożył ramiona, a wtedy skrzydła rozpięły się za nim półkolistie i łopocząc na wietrze, zasłoniły otwór. Opuścił ręce -- skrzydła opadły, wypuszczając na zewnątrz jasność płomienia. Znowu w górę, w dół, i jeszcze raz. Po trzykroć.

Kacper zacisnął z emocji pięści, obserwując, jak między wierchami nawiązuje się nic tego niesamowitego dialogu. Gdzieś tam niewyobrażalnie daleko, po drugiej stronie mroku, na przekór wszystkiemu także przetrwali ludzie -- pomimo głodu, mroku i zamieci. Ktoś tam czuwał, ktoś przydźwigał drewno i rozpałił ogień, żeby posłać przez noc trzy krótkie rozbłyski -- sygnały życia.

Stach czekał długo, oparłszy dłoń na pulpicie -- na próżno. Musiał walczyć z podmuchami, które wydymały skrzydła, bo wiatr zadął z nową siłą, a śnieg prószył teraz ukosem wprost do komory. Na palenisku miotał się płomień, snopy iskier tryskały na ściany.

Gdy wreszcie sygnalista opuścił kurtynę, Kacper zerwał kaptur z pałającej twarzy i odetchnął głęboko.

-- Czemu nie odezwali się już więcej? -- zapytał niemal z rozpaczą.

Zanim Stach odpowiedział, najpierw wyzwolił się z uprzęży, złożył ją ostrożnie i schował do skrzyni.

-- Może i mrugali, ale w zamieci nic nie mogliśmy zobaczyć. Nie narzekaj, czasami nawet przez parę nocy z rzędu nie ma żadnego kontaktu. A jeśli już zdarzy się dobra pogoda, zwykle jest tylko tyle czasu, żeby przekazać to, co najważniejsze -- kto się urodził, kto umarł, a kto zaginął bez wieści. Tak, bracie. -- Zablokował korbę, sprawdził napięcie łańcucha. -- Taka właśnie jest robota sygnalisty: mało mrugania, dużo dymu i sadzy. Trochę inaczej, niż to sobie wyobrażałeś, prawda?

Zamieć przycichła, ogień zmałał, ale w komorze wcale nie zrobiło się przytulniej. Kacper schował dłonie w rękawy i pomyślał z niechęcią, że do świtu zostało jeszcze bardzo dużo czasu.



A jednak nie odpuścił następnego dyżuru Stacha, i kolejnych także. Czar migocącego na Krzywym Wierchu ognika działał na niego tak silnie, że gotów był znosić wszelkie trudy, aby zobaczyć go znowu. Na ogół kontakt wyglądał podobnie jak tamtej pierwszej nocy -- przejaśnienia pomiędzy śnieżycami były bardzo krótkie -- jednak w końcu nastał pogodny dzień, a po nim cichy, bezchmurny wieczór. Gdy Stach uniośł kurtynę, otworzył się widok na niebo jasne od gwiazd.

Z oddali natychmiast zamrugał sygnał wywoławczy, kiedy Stach dopinał jeszcze w pośpiechu uprzęż. Odpowiedział, trzy razy rozpościerając skrzydła, a potem zaczął notować na pulpicie, prawie nie odrywając spojrzenia od szybko następujących po sobie sekwencji rozbłysków -- jednak po chwili odłożył ołówek i już do końca długiego przekazu wpatrywał się w skupieniu przed siebie, poruszając niemo wargami, jakby powtarzał w myślach każdy wyraz.

Wreszcie odmrugał zwięźle, szarpnął za dźwignię kurtyny, poluzował pasy i strząsnął z barków skrzydła.

-- Na dzisiaj koniec -- mruknął.

Kacper wyskoczył w podnieceniu ze swojej wnęki.

-- Jakie wieści?

-- Dowiesz się w niedzielę, ksiądz ogłosi wszystko z ambony.

-- Nie bądź taki! Swojemu pomocnikowi na pewno mówisz wszystko od razu.

-- Tamtego capa mało obchodzi poza tym, żeby w bukłaku nie zabrakło kumysu. -- Złożył kartkę na czworo, wsunął do wewnętrznej kieszeni. -- Ale skoro masz się czuć pokrzywdzony, niech będzie... Biskup błogosławi nam wszystkim. Na Krzywym Wierchu spokój. W pobliżu niżej położonych osad po ostatnich burzach widywano Świetliki. Były dwa nowe przypadki opętania. Biskup pyta o zdrowie naszego księdza. Wysłali do nas gońca po książki, trzeba wypatrywać go na Grani.

-- Co jeszcze?

-- Nic.

-- Nieprawda! Widziałem przecież, że przekaz był o wiele dłuższy. Notowałeś tylko na początku.

-- Zapisałem wszystko, co było przeznaczone dla księdza i Rady. Reszta to moja sprawa.

-- Twoja sprawa? -- Rozgoryczenie Kacpra ustąpiło miejsca zdumieniu. -- A jakie ty możesz mieć sprawy na Krzywym Wierchu?

-- Nie rozumiałbyś, nawet gdybym miał ochotę ci o nich opowiedzieć. Za mało wiesz o świecie.

-- Możliwe. Ale to jedno wiem na pewno: że mruganie poza raportem jest zakazane. Pożałujesz, kiedy starsi się o tym dowiedzą!

-- Na razie żałuję tylko, że zabrałem do sygnalizatorni takiego przemądrzałego gówniarza.

-- Pewnie. Lepszy był głupi pijak, który do niczego się nie wtrącał.

-- Znikaj stąd albo zrzucę cię ze schodów!

Kacper, choć wiedział, że w starciu z silniejszym bratem nie ma szans, nie ustąpił, pozostał na miejscu, hardo wysuwając podbródek.

Wydawało się, że Stach straci w końcu panowanie nad sobą i uderzy go, podniósł nawet pięść, ale zaraz potem zmarszczył brwi i opuścił powoli rękę.

-- Czujesz ten zapach? -- zapytał po chwili zmienionym głosem.

Wyraz jego napiętej, pobladłej twarzy sprawił, że Kacper natychmiast zapomniał o kłótni. Niepewnie pociągnął nosem. Pośród zwykłych woni sygnalizatorni przybierał na sile jakiś nowy, bardzo nieprzyjemny odór, jakby ktoś przypalił kawał zjełczałego tłuszczu.

-- Niczego nie wrzucałem do ognia... -- usprawiedliwił się na wszelki wypadek, po czym spojrzał w kierunku paleniska.

Z na w pół wypalonego stosu bił teraz bardzo gęsty, gryzący dym, który kłębił się pod kratą, ale nie uchodził wyżej, tylko nawarstwiał się pod sklepieniem niczym czarna piana. Płomień skwierczał i syczał, giął się na wszystkie strony, choć nie targał nim żaden podmuch; ciężki, duszny smród wypełnił komorę.

-- Gaś! -- krzyknął Stach, szarpiąc jednocześnie za dźwignię kurtyny.

Kacper zatoczył się w stronę paleniska bliski omdlenia. Prawie po omacku odszukał łańcuch i uwiesił się na nim. Wrząca woda chlusnęła obficie, szybko zduśzając ogień; zapadła ciemność rozpraszana jedynie przez bladą poświatę gwiazd zza uniesionej kurtyny.

Przez dłuższą chwilę dochodził do siebie, z ulgą łykając czyste powietrze. Cuchnący dym uchodził z wolna w noc. Na czole zakrzepły mu kropelki potu, gdy do komory wtargnęła fala mrozu.

-- Co... co to było? -- wykrztusił.

Stach stał wsparty na dźwigni, oddychał ciężko, ze świstem.

-- Brudna dusza.

Kacper słyszał już kiedyś to określenie, choć chyba nie w rozmowach myśliwych czy złomiarzy; wpływało czasem w różnych niesamowitych opowieściach, jakimi chłopcy lubili straszyć się nawzajem. Nie przywodziło na myśl niczego konkretnego, zawsze było jakieś niedopowiedziane, ale właśnie przez to złowrogie.

-- Ojciec nie wspominał nigdy o czymś takim -- odezwał się nieśmiało.

-- Ojciec zna się tylko na tym, co można spotkać w lesie, a brudne dusze błędzą wysoko, wysoko ponad szczytami gór. Chcą się wznieść do nieba, ale nigdy im się to nie uda. Są na to zbyt ociężałe, oblepia je brud, którego nie mogą się pozbyć. Czasem, kiedy widzą z góry światło sygnalizatorni, wlatują cicho przez dymnik. Wydaje im się, że wypalą się w ogniu, oczyszczą i odrodzą, a potem odejdą w ślad za innymi... Ale na to jest już za późno. Będą cierpieć tutaj do końca świata.

-- Myślałem, że po samozapłonie dusze giną w czarnej pustce...

-- Opętanie nie ma z tym nic wspólnego. Człowiek, do którego należała ta dusza, musiał kiedyś wejść w inny, o wiele ściślejszy związek z Lucyferem. Dziś to już właściwie się nie zdarza, ale w czasie pierwszych, ciemnych lat po Upadku, kiedy łatwo się było natknąć na rozrzucone po całym świecie kawałki jego ścierwa, wielu ludzi skończyło w ten sposób.

-- Czy... coś nam groziło?

-- Brudne dusze nie napastują ludzi, ale łatwo można się udusić w tym trującym dymie, szczególnie w zamkniętej komorze.

-- Nie miałem pojęcia... Przeczytałeś o tym wszystkim w książkach?

-- Nie, bracie. Książki drukowano w czasach, kiedy ludzie jeszcze mieli pewność, że los duszy zależy tylko od cnotliwego lub grzesznego życia. Po Upadku nic już nie było takie proste. -- Stach ze zgrzytaniem łańcuchów opuścił kurtynę, ciemność zgęstniała. -- Gdybym nie mrugał od czasu do czasu poza raportem, musiałbym wierzyć we wszystko, czego naucza ksiądz.

-- Uważasz, że on kłamie? -- Kacper zaniepokoił się jeszcze bardziej.

-- Myślę, że zna tylko część prawdy, a jest zbyt stary i zmęczony, żeby poszukiwać reszty.

W drodze na dół milczeli, także później nie rozmawiali już o tym. Kacper dreptał za bratem jakby onieśmielony; po raz pierwszy przyszło mu do głowy, że wcale nie zna Stacha tak dobrze, jak mu się zdawało.



Kiedy wypadał dzień wolny od służby, Stach pracował przy budowie chaty. Zabrał się do tego od razu po zaręczynach z Dorotą, jedynaczką kulawego, wiecznie podpitego złomiarza i jego tęgiej, astmatycznie posapującej żony. Dziewczyna była wdową z dwójką małych dzieci, starszą od narzeczonego, pracowitą, ale brzydką, o zepsutych zębach i opadniętej lewej powiece. Kacper nigdy nie mógł zrozumieć wyboru brata. Chodziły wprawdzie słuchy, że z pierwszego małżeństwa Dorocie pozostał spory mająteczek, ale to przecież nie mogło wszystkiego tłumaczyć. Stach nie musiał się martwić o utrzymanie, fach sygnalisty -- choć powszechnie lekceważony wśród myśliwych jako niemęski i właściwie zbędny -- gwarantował pewny byt, niezależnie od pogody czy łowieckiego szczęścia. Dawniej niejedna ładna, młoda, zdrowa panna uśmiechała się do niego na potańcówce czy w kościele, ale on nigdy nie okazał żadnej z nich

serdeczniejszych względów. Zaczęto już szeptać po trochu, że może coś z nim nie w porządku, w głowie albo w spodniach. Dopiero ogłoszone publicznie zaręczyny ucięły plotki. Matka wolałaby wprowadzić inną synową i tego nie ukrywała, ale ostatecznie gotowa była przystać i na tę, byle pierworodny wreszcie zaczął żyć jak człowiek.

Wybrał miejsce na budowę chaty na skraju osady, gdzie wiatr dął o wiele gwałtowniej niż między zabudowaniami. Ogrodził teren wysokim płotem dla ochrony przez zamiecią, odśnieżył do gołej skały i zaczął wykuwać podłogę, dzień po dniu coraz dalej wgryzając się w stromiznę. To była ciężka, mozolna robota, ale nie było go stać na wynajęcie pracownika, więc od świtu do nocy sam stukał kilofem, czasem tylko mając do pomocy Kacpra albo ojca. Uparł się, że wykończy domostwo do lata, jeszcze przed ślubem. Wybierał już nawet u drwali co lepsze bale i składował pod daszkiem na budowie. W domu nad piecem suszył mech do wypchania materaców i poduszek, targował się z sąsiadami o najpotrzebniejsze używane sprzęty. Wprowadzić bez kłopotu mógłby zamieszkać u teściów -- w przeciwieństwie do rodzinnej chaty miejsca tam było dosyć -- lecz nie skorzystał z zaproszenia; uważał, że tylko na swoim będzie mógł żyć tak, jak chce.

Tego dnia bracia od rana pracowali w milczeniu, pozwalając sobie jedynie na krótkie przerwy dla rozprostowania pleców albo łyk kumysu z dzbana, który grzał się w popiele. Pogoda ustaliła się chyba na dłużej. O deski płotu nie uderzał nawet najłżejszy podmuch, pod wypłowiałym niebem wisiało tylko parę niegroźnych obłoczków. Bili kilofami na zmianę w jedno miejsce, żeby skruszyć wyjątkowo twarde fragment skały; każdy cios krzesał żółte rozbłyski iskier, ale pod nogi sypały się ledwie drobne odłamki.

-- Nie damy rady! -- Kacper ściągnął czapę i cisnął na ziemię, choć mróz natychmiast zaszczypał go w uszy. -- Prędzej połamiemy styliska.

Stach wzruszył ramionami.

-- Tu nie potrzeba siły, ale cierpliwości. Czasem wykuwa się pół metra w jeden dzień, a innym razem potrzeba tygodnia, żeby posunąć się o palec.

-- W takim tempie nie skończymy nawet do następnego lata.

-- Na pewno nie, jeśli będziemy tak stać i gadać.

Wziął zamach, ale zamiast uderzyć opuścił powoli kilof; przez otwartą furtkę patrzył w dół stoku. Kacper podniósł czapę, otrzepał ją na kolanie i bez wielkiej ciekawości podążył za wzrokiem brata.

Dwóch ludzi ciągnęło w stronę osady sanie. Nawet z daleka łatwo było zauważyć, że są bardzo wycieńczeni, ostatkiem sił suwali rakiety po śniegu.

-- Dziwne -- mruknął Kacper. -- Nie wiedziałem, że nie wszyscy powrócili jeszcze z polowania.

-- To drwale, nie myśliwi. -- Stach przyglądał się jeszcze przez chwilę, wsparty na kilofie; raptem drgnął. -- Zdaje się, że znaleźli Tomasza, ojca Miry.

Kacper bez namysłu wyskoczył z wyrobiska i wielkimi susami pognał na spotkanie utrudzonym wędrowcom. W osadzie także już ich dostrzeżono. Między chatami wszczął się ruch. W ciszę słonecznego przedpołudnia wdarł się pośpieszny, nierówny głos dzwonu, prowokując psy do beładnej szczekanki.

Widząc nadciągających ludzi, przybysze zatrzymali się, zrzucili kaptury; parujące oddechy zasnuwały im twarze. Kacper dobiegł jako jeden z pierwszych, ale zwolnił, a potem przystanął o kilka kroków od sań. Ciało przykryto kozuchem razem z głową, z jednej strony zwisała tylko dłoń w rękawicy wytartej od

ściskania siekiery. Zarośnięte, oblodzone twarze drwali nie wyrażały nic oprócz zmęczenia. Wokół dudniły kroki osadników, którzy wylegli z najbliższych domostw, lecz nikt nie odważył się przerwać milczenia.

-- Przepuście mnie! Przepuściecie!

Tłum rozstał się szeroko przed Mirą, jakby ludzie bali się, że dotknąwszy jej rozwichrzonych warkoczy, zarażą się nieszczęściem. Wybiegła z chaty, jak stała, w samym tylko kaftanie obszytym lisim futrem, nie narzuciła nawet chusty na głowę. Słaniała się, krztusiła mroźnym powietrzem, wreszcie upadła obok sań na kolana.

Kacper chciał do niej podejść, ale ktoś go powstrzymał, łapiąc go za rękaw.

-- Nie teraz. -- Usłyszał szept brata. -- W niczym nie możesz jej pomóc.

Dziewczyna nabrała śniegu w złożone dłonie i bardzo mocno natarła nim twarz, jakby chciała czym prędzej obudzić się ze złego snu. Nie podnosząc oczu, zapytała przez zaciśnięte zęby:

-- Nie żyje?

Drwale wymienili bezradne, zakłopotane spojrzenia. Wyższy, o szerokich ramionach i pobrużdżonym czole, ściągnął rękawicę i położył wielką, włochatą dłoń na głowie Miry.

-- Żyje, dziecko, ale nie rób sobie wielkich nadziei. Długo błąkał się w głuszy, będzie z tydzień. Zgubił but, odmroził nogę.

Tłum zaszemrał cicho; jeden z kowali splunął przez ramię i zmarszczył czerwony nos:

-- Cóż... Nie pierwszy on i nie ostatni. Trzeba urznąć i przyżęgać. Jak przetrzyma, to może i dokuśtyka na drewnianym kulasie do późnej starości.

Drwale znowu spojrzeli na siebie, a potem na Mirę, wahając się wyraźnie, czy powinni mówić przy niej całą prawdę. Wreszcie ten drugi, starszy, siwiejący, z jednym okiem zasłoniętym czarną opaską, uznał chyba, że nie warto już niczego taić. Z ciężkim westchnieniem pokiwał głową.

-- Znaleźliśmy go bardzo daleko od urwiska. Wygląda na to, że szedł w głąb lasu.

Dzwon uderzył jeszcze kilka razy i zamilkł; zapadła zupełna cisza, jakby wszyscy naraz wstrzymali oddechy. Mira sięgnęła ręką do sań, chciała chyba odchylić skraj kozucha znad twarzy ojca, ale drwał zdumiewająco szybkim ruchem złapał ją za nadgarstek.

-- Nie rób tego, panienko.

-- Dlaczego?

-- Słońce go zabije.

Dziewczyna zerwała się nagle, zrozumiałwszy wreszcie, co stary chce powiedzieć. Obróciła się do ludzi, szukając u nich pomocy, ale pod jej spojrzeniem wszyscy po kolei opuszczali głowy.

-- Nie macie żadnych dowodów na to, że ojca dopadł Świetlik! -- Podniosła zaciśnięte pięści. -- Zna las od dziecka, chodził na wyręby jeszcze ze swoim dziadem.

-- Wiemy o tym, dziecko. -- Potężny drwał przytupnął dla rozgrzewki. -- Właśnie to nas martwi. Dlaczego człowiek, którego roztropność wszyscy znamy, poszedł w nocy tam, gdzie nie powinien? Jest tylko jedna rzecz, która mogła go do tego zmusić.

-- Nie macie pewności!

-- Gdybyśmy mieli, zostawilibyśmy go tam, gdzie leżał -- odrzekł twardo; napał szeroką pierśią na pas uprząży, sanie ruszyły z wolna. -- Musi przejść próbę świętego Jerzego, niedługo wszystko będzie jasne. Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

Tłum rozplynął się bezszelestnie jak rozwiany dym. Zginając z wysiłku grzbiety, drwale szli w stronę kościoła. Nieruchomy dzwon na szczycie wieży odbijał ostre, słoneczne światło.

-- Chodźmy do domu. -- Kacper łagodnie ujął Mirę pod rękę.

Potrząsnęła głową, raz po raz mrugając i patrząc na niego wielkimi, przestraszonymi oczami.

-- Zostanę przy nim.



Ksiądz był starym, smutnym, zmęczonym człowiekiem, który w ciągu długich lat życia wyżył się wszelkich złudzeń co do świata i ludzi. Półwiecze kapłańskiej posługi nauczyło go, że z biegiem lat wszystko zmienia się na gorsze. Modlił się żarliwie, chrzczył, głosił kazania, ale w gruncie rzeczy wiedział, że mimo duszpasterskiej gorliwości prawdziwa wiara powolutku wycieka z ludzkich serc, wędnie, zamiera z każdym nowym pokoleniem. Nie potrafił już się temu dziwić: jeśli nawet najbardziej pobożne życie nie gwarantuje wiecznej nagrody w niebie, a śmierć wcale nie musi być końcem utrapień -- jakże tu mówić o miłosierdziu i sprawiedliwości? Nikt nigdy nie zadał mu wprost takiego pytania, ale byłby naiwny, gdyby sądził, że osadnicy nie doszli do podobnych wniosków.

Pozostawał tylko kostniejący rytuał, coraz bardziej mglista pamięć o przeszłości. To też miało swoją wartość, pomagało ludziom wyraźniej określić swoją odrębność wobec zdziczałego świata, lecz autentyczna treść wiary coraz mocniej nasiąkała jadem współczesnych zabobonów i lęków -- do tego stopnia, że czasem trudno było oddzielić jedno od drugiego.

Kapłan był jedynym mieszkańcem osady, który nie urodził się tutaj. Dawno temu, po śmierci swego poprzednika, przywędrował z Krzywego Wierchu. Choć przyjęto go życzliwie i nie usłyszał jednego złego słowa, przez pięćdziesiąt lat ani na chwilę nie zapomniał, że jest tu obcy. Osadników łączyła gęsta sieć pokrewieństw, skomplikowanych zależności handlowych i towarzyskich, wspólnota przeżyć, udanych polowań i klęsk głodu; stanowili osobny, samowystarczalny wszechświat, który zasklepiał się w kręgu własnych spraw. Krótkie przekazy świetlne z Krzywego Wierchu, a za pośrednictwem tamtejszego sygnalisty niekiedy także z odleglejszych szczytów, omawiano wprawdzie na zebraniach starszyny, ale bardziej z nawyku niż z potrzeby. Obcy ludzie o nieznanym imionach, twarzach i głosach miewali podobne kłopoty, ale musieli zmagać się z nimi sami. Porozrzucane wzdłuż górskiego łańcucha osady tak naprawdę łączyło niewiele; z upływem czasu coraz mniej.

Patrzono więc na księdza jak na przybysza z innego świata. Pozostał taki na zawsze, choć upodobił się do miejscowych mową, ubiorem i obyczajem. Zamieszkiwał dolną część dzwonnicy, samotny i mrukliwy. Mało kto go tam odwiedzał, jeśli nie było do załatwienia jakiejś sprawy. Szanowano go powszechnie -- może nawet bardziej jako osobę niż jako urząd -- radzono się w trudnościach, lecz były między ludźmi i takie sekrety, o których nigdy się nie dowiadywał.

Drwale wciągnęli sanie na udeptany dziedziniec przed kościołem, ogrodzony kamiennym murkiem. W pewnej odległości za nimi, niczym szczupły kondukt żałobny, przydreptali Kacper z Mirą.

Ksiądz wyszedł przed próg uprzedzony widać już przez kogoś o tym, co zaszło. Pomimo sędziwego wieku wciąż jeszcze był wysoki i postawny; pomarszczoną twarz o ostrych, ptasich rysach okalały pasma rzednących, białych włosów. Nie powiedział ani słowa, pozdrowił drwali skinieniem głowy i prawie

jednocześnie odprawił ich zdecydowanym ruchem dłoni. Rzucili uprząż w śnieg i mimo zmęczenia odeszli śpiesznie, nie oglądając się. Kacper chciał pójść za nimi, ale ponieważ dziewczyna nie ruszyła się z miejsca, został.

-- Czego chcecie? -- zapytał ksiądz szorstko.

-- To mój ojciec... -- Mira wskazała sanie.

-- Był nim. Dopiero o świcie przekonamy się, czy dalej jest tym samym człowiekiem, którego znałaś. W razie potrzeby poślę po ciebie.

-- Zaczekam tutaj. -- Rozejrzała się niepewnie po dziedzińcu, a potem przykucnęła pod murem oparta plecami o zimne kamienie. Po drugiej stronie wznosiły się cmentarne krzyże nad śnieżnymi kopcami grobów.

-- Nie możesz tu siedzieć przez całą noc!

-- Wytrzymam.

Starzec przyjrzał się jej uważniej, przeniósł wzrok na chłopca, a potem uśmiechnął się słabo, jakby ten niespodziewany upór młodych sprawił mu przyjemność.

-- Zwykle w takich wypadkach ludzie uciekają jak najdalej, ale jeśli chcecie zostać, nie wyganiam was. Chodźcie ze mną.

Wspólnymi siłami przeciągnęli sanie przez próg do wnętrza wysokiej, kolistej izby. Choć w piecu huczał ogień, było tu bardzo zimno, szpary między kamieniami wypełniał lód. Poprzez witraż ze świętym Jerzym, godzącym włócznią w smoka, wpadało trochę dziennego światła. Pośrodku stał przykryty białą tkaniną stół, pod ścianami proste łóżko, klęcznik, parę okutych skrzyń. Długa drabina prowadziła do otworu w stropie; na wyższej kondygnacji mieściła się izdebka dzwonnika.

Ksiądz chwycił za uchwyt żelaznej klapy w podłodze i uniósł ją z trudem, odsłaniając strome schodki, które znikwały w mroku wilgotnej piwnicy.

-- Pomóż mi go znieść. -- Skinął na Kacpra.

Odrzucił kozuch z sań i wtedy Mira po raz pierwszy mogła zobaczyć nieruchomą twarz ojca. Oddychał spokojnie przez wpółotwarte usta, na zapadniętych policzkach czerwieniły się plamy odmrożeń. Miał otwarte oczy, ale gdy ksiądz zbliżył świecę, źrenice ani drgnęły; wydawały się nieco mętne, jak przy zaćmie.

-- Jest w mocy demona co najmniej od dwóch dni. -- Starzec wyciągnął dwa kościste palce i zamknął powieki drwala. -- Jeśli święty Jerzy pomoże i twój ojciec przeżyje, bardzo długo będzie dochodził do siebie.

-- Zaopiekuję się nim... Proszę mu pomóc.

-- Wszystko w rękach Boga.

Ksiądz dźwignął nieprzytomnego pod ramiona, Kacper za nogi, Mira podtrzymywała zwieszoną głowę. Ostrożnie zeszli na dno piwnicy, po omacku odnaleźli zawilgły materac i złożyli tam drwala. Chłopiec pierwszy wyskoczył z ulgą z tego mrocznego jak grobowiec pomieszczenia i pomógł się wydostać tamtym dwojgu.

Ciężka klapa opadła z hałasem, podmuch zachwiał płomykiem świecy. Starzec kopnięciem zamknął zasuwę, a dla pewności schylił się jeszcze i szarpnął za uchwyt. Końcami palców nakreślił na klapie znak krzyża.

-- To wszystko, co mogliśmy zrobić. -- Osłabł, wsparł się na szczeblu drabiny. Na jego wysokim czole lśnił pot. -- Sam chyba nie dałbym rady. Ta zima zabrała mi więcej sił niż wszystkie poprzednie. Wątpię, czy dożyję następnej. Nawet nie wiem, czy tego chcę.

Pomogli mu podejść do stołu, ciężko opadł na krzesło. Trwał tam przez jakiś czas ze zwieszoną głową, jakby drzemał, ale potem ocknął się i gestem zaprosił ich, by usiedli naprzeciw.

-- Czasem tak sobie myślę, że to jedyny prawdziwy pożytek, jaki ma ze mnie osada. -- Uśmiechnął się smutno, kładąc na blacie szczupłe, drżące dłonie. -- Nikt inny nie chce tego robić, ale kiedy mnie zabraknie, ktoś będzie musiał wziąć na siebie ten obowiązek.

Na górze zaszurały kroki dzwonnika. Rzadko schodził po drabinie ze swojej samotni górującej nad dachami osady. Mówiono o nim, że za młodu zamarzyło mu się, by zobaczyć morze, które nigdy nie zamarza. Wyruszył na północ, dotarł dalej, niż ktokolwiek przed nim, ale w burzy utracił zaprzęg i przez wiele dni musiał się na piechotę przedzierać z powrotem przez zasy rozległych, pustych nizin. Przeżył, lecz zapłacił za to licznymi odmrożeniami i śnieżną ślepotą. Od tego czasu żył samotnie w górnej izdebce dzwonnicy; jadał tam, sypiał, rozmawiał sam ze sobą, a rankiem i o zmierzchu ciągnął za sznur dzwonu.

-- Nie mogę uwierzyć, że to przydarzyło się właśnie ojcu. Zawsze był taki ostrożny... -- Mira oparła łokcie na kolanach i ukryła twarz w dłoniach; choć przez palce dziewczyny przeciskały się łzy, jej głos pozostał spokojny. -- Mam tylko jego, nie zostawiłby mnie samej.

-- To nie była jego wina, moje biedne dziecko. Kiedy człowieka noc zaskoczy na pustkowiu, ogarniają go ciemności, takie prawdziwe, najczarniejsze, przenikające na wskroś, i wtedy przestaje być sobą. Rozmawiałem z ludźmi, którzy przez to przeszli. Pamiętali tylko strach, rozpacz i zupełne osamotnienie... Wyobrażam sobie, że tak właśnie wygląda piekło. -- Ksiądz wpatrywał się w świecę, po której spływały wielkie krople roztopionego łoju. -- I nagle światelko, które kusi obietnicą wyzwolenia. Trudno nie ulec, nie patrzeć, to się dzieje poza wolą i rozumem. Jediną pewną ucieczką jest śmierć, ale na to potrafią się zdobyć tylko nieliczni. Kiedy demon usidli już człowieka, zagnieździ się w nim, zwiąże jego myśli i pragnienia, pozostaje bardzo niewiele czasu, żeby zwrócić się o pomoc do świętego Jerzego. Jeśli i to zawiedzie, nie ma już ratunku ani dla ciała, ani dla duszy.

-- Przeklęte Świetliki...!

-- Świetliki? Nie, dziecko. Ludzie wymyślili tę nazwę, żeby jakoś oswoić zło, którego prawdziwa natura zbyt ich przeraża. A przecież te nocne ognie są tylko manifestacją potężnej istoty, która myśli, czuje, nienawidzi. To Lucyfer, Niosący Światło. Ten, który na początku dzieła stworzenia uniósł się pychą, okazał nieposłuszeństwo Bogu, został strącony z niebios, długo błąkał się w pustce, aż wreszcie przed trzystu laty Pan dopuścił, że trafił na ziemię. Potem nastąpiła bardzo długa noc, a gdy znowu wyjrzało słońce, świat wyglądał już całkiem inaczej.

-- Dlaczego razem z nim Bóg ukarał także nas?

-- To nie kara, ale próba. Przed Upadkiem świat był pięknym miejscem, ciepłym i zielonym, ale ludzie nie potrafili uszanować tych Bożych darów. Wydawało im się, że wszystko zawdzięczają sobie, że mogą robić, co chcą, że sami rozgrzeszą się i zbawią. Zaczęli żyć tak, jakby Boga nie było, więc z dopuszczenia Pańskiego zaczął panować nad nimi Lucyfer. Od trzech wieków gnębi opornych i kusi słabych, a wszystko po to, żeby oddzielić ziarno od plew. Ci, którzy wytrwają do końca, zostaną nagrodzeni. Będą świadkami narodzin nowego świata.

-- Ale kiedy to będzie? I ilu z nas pozostanie?

-- Nie wiem, ale wierzę, że ten czas jest bliski. Z roku na rok Lucyfer śmieiej wdziera się na stoki Gór, coraz bardziej ryzykowne są wyprawy w doliny. Ludzie jeszcze tego nie dostrzegają, wciąż z nadzieją czekają na kolejną wiosnę i kolejny świt, lecz nadejdzie w końcu taki dzień, kiedy będą musieli porzucić swoje zwykłe, małe sprawy i zdecydować, po czyjej chcą być stronie. Zapewne doczekają tego tylko nieliczni, jak wybrańcy Noego, którzy przetrwali potop na arce, ale to właśnie z nich odrodzi się prawdziwy Lud Boży.

Dzwonnik wciąż krążył niespokojnie, jak pies zamknięty w pustej chacie. Starzec odchylił się na oparcie krzesła, schował zziębnięte dłonie w rękawy i przymknął oczy. Wiedział, że tego dnia nikt nie przyjdzie na wieczorne nabożeństwo.

Ta noc była dla Kacpra jeszcze trudniejsza do zniesienia niż tamta pamiętna, spędzona poza osadą. Właściwie wcale nie chciał tu siedzieć; dzielił powszechne wśród miejscowych przeświadczenie, że asystowanie przy próbie świętego Jerzego przynosi pecha. Książd to co innego -- chroniła go modlitwa egzorcyzmowa, woda święcona i długoletnie doświadczenie. W końcu od tego był, żeby strzec ludzi przed złem, które bierze się z ciemności.

Chłopiec już kilkakroć był świadkiem, jak prowadzono do wieży nieszczęśników podejrzewanych o opętanie: myśliwych, złomiarzy, drwali. Najczęściej wynoszono ich potem martwych z czarnymi, wypalonymi dziurami oczodołów. Rzadko zdarzało się, aby próba wypadła pomyślnie -- demon przepadł, a człowiek pozostał przy życiu. Tych, nad którymi zatrzasnęła się kłapa loszku pod dzwonnica, w gruncie rzeczy uważano za pogrzebanych żywcem, lecz ich los i tak był o wiele lepszy od tego czekającego tych wszystkich biedaków, których nie udało się w porę odnaleźć. Dla nich nie było już ratunku ani na tym świecie, ani na tamym. Czekala ich tylko wielomiesięczna tułaczka nocami po odludnych nizinach, dnie spędzane gdzieś w wykrotach w ukryciu przed słońcem i wreszcie koniec w oślepiająco jasnym, lucyferiańskim rozbłysku.

Mira zasnęła pierwsza. Była wyczerpana trwogą; pochyliła się nad stołem, podłożywszy pod czoło zgięte ramię. Oddychała niespokojnie, pojękując czasem cicho, jakby nawet we śnie nie odstępowały jej strachy minionego dnia. Starzec nie ruszał się. Był zatopiony w modlitwie, a może tylko we własnych myślach.

W miarę jak gęstniał wieczór, gasząc barwy na witrażu, płomyk świecy pozostał jedynym źródłem światła. Chłopiec miał wrażenie, że od kamiennych ścian biją w plecy fale zimnego mroku, przed którym nie było schronienia. Skulił się, skrzyżował ramiona na piersi i zapadł w półświadome odrętwienie.

Bardzo głośny, metaliczny dźwięk poderwał go na nogi. Z początku był pewien, że to dzwonnik zaczął bić na trwogę, ale gdy hałas się powtórzył, otrzeźwiał do reszty.

Drwał uderzał od spodu pięścią w kłapę.

-- Co to? -- Na wpół rozbudzona Mira rozglądała się w popłochu, końcówki warkoczy zamiatały blat stołu.

-- Odzyskał przytomność.

-- Już biegnę, tato! -- Wstała, przewracając krzesło, ale nim ruszyła z miejsca, książd zdmuchnął świecę. Zapadła ciemność. Nieco jaśniejszą plamą rysował się tylko wąski, ostrołukowy kształt okna.

-- Zostańcie na miejscach! -- zawołał gospodarz niespodziewanie mocnym głosem.

Kacper usiadł posłusznie, ale Mira zwlekała, dysząc nierówno.

-- On się boi... -- wyszeptwała.

-- Nie on się boi, ale zły duch, który nim zawładnął. Wie, co mu szykujemy, chce uciec.

Uderzenia powtórzyły się jeszcze kilka razy, natarczywe, potężne, aż klekotała zasuwa. Potem nastąpiła zupełna cisza. Mira ostrożnie podniosła krzesło i usiadła, starając się nie robić hałasu. Nasłuchiwali w napięciu, przygotowani na dudnienie kłapy, ale zamiast tego z dołu dobiegły przytłumione słowa:

-- Córeczko... Jesteś tam? Słyszałem cię.

-- Nie odpowiadaj! -- rozkazał kapłan, nim dziewczyna zdołała nabrać oddechu.

-- Dlaczego?

-- To nie jest twój ojciec. Lucyfer panuje nad jego ciałem, nad pamięcią, wiedzą i uczuciami. Zrobi wszystko, żeby cię oszukać.

-- Córuś! -- Głos z loszku rozległ się wyraźniej, drwał chyba przytknął wargi do szpary między klapą i podłogą. -- Nie słuchaj księdza, on się myli. Nie jestem opętany. Miałem wypadek na wyrębie, odmroziłem nogę. Umrę, jeśli mnie nie wypuścisz.

-- Zabierz ją do domu. -- Starzec pochylił się do Kacpra. -- Źle się stało, że pozwoliłem wam tutaj zostać.

-- Nie! -- Mira przysunęła do siebie ciężki świecznik, jakby zamierzała walczyć z każdym, kto jej dotknie. -- Chcę być przy tym do końca.

Przez pozostałe do brzasku godziny musieli znosić krzyki i prośby, złorzeczenia i błagania; łomotanie nie ustawało ani na chwilę. Kacper ścisnął zziębniętą dłoń dziewczyny, ale chyba nawet tego nie zauważyła; siedziała sztywna i milcząca, zwrócona twarzą w stronę okna. Za każdym razem, kiedy drwał wołał ją po imieniu, na parę sekund urywał się jej chrapliwy oddech.

-- Panie, Ty jesteś wielki, Ty jesteś Bogiem, Ty jesteś Ojcem -- szeptał ksiądz. -- Ciebie prosimy przez wstawiennictwo świętego Jerzego, aby nasz brat został uwolniony od złego ducha, który uczynił go niewolnikiem.

Gdy szkiełka witraża w ołowianej oprawie zaczęły wreszcie na powrót wypełniać się żółcią, czerwienią, zielenią i błękitem, na dole wszystko ucichło. Ksiądz podszedł do wiszącego na ścianie krucyfiks, dotknął stóp Ukrzyżowanego i pochylił głowę w ostatniej, krótkiej modlitwie; potem przyklęknął nad klapą i podniósł wzrok na wnękę okienną.

Na witrażu z wolna rozświeślały się zadnie nogi rumaka, zielona smocza łuska, zbroja rycerza, krzyż na tarczy, hełm. Gdy blask trysnął z ostrza wzniesionej włóczni, starzec jednym uderzeniem dłoni wybił zasuwę i szarpnął za uchwyt.

-- W Imię Pana, rozkazuję ci, wychodź!

Nad piwnicznymi schodami, w tęczowych smugach światła przesianego przez witraż, unosiły się kłęby pary i wirowały pyłki wzbitego kurzu. Przez chwilę nic się nie działo; potem na krawędzi otworu zacisnęły się palce, pokrzywione mrozem i latami ciężkiej pracy. Drwał wychynął z czeluści -- miał rozwichrzone, srebrne od szronu włosy, szarą twarz, poczerniałe wargi. Wyprostował się powoli, jakby niepewny, czy zdoła utrzymać się na nogach. Poczuł na prawym policzku słoneczne ciepło, wypuścił z półotwartych ust obłoczek oddechu i zwrócił w tamtą stronę twarz. Srebrny odblask grotu włóczni świętego Jerzego padł wprost na jego przyćmione źrenice.

Lucyfer opuścił go w pojedynczym, bardzo silnym rozbłysku, który na ułamek sekundy wypełnił izbę tak ostrą jasnością, że zetlały wszystkie barwy. Nie towarzyszył temu żaden odgłos, nie buchnął żar, jedynie

szkiełka witraża zadzwoniły cichutko.

Uwolniony od demona szerzej otworzył oczy, zachwiał się, ale kapłan nie pozwolił mu się stoczyć na dół; przytrzymał go i pomógł usiąść na kamiennym stopniu.

-- Już dobrze, synu... -- Sięgnął po kożuch z łóżka i narzucił drwalowi na ramiona. -- Przetrzymałeś.

Mira podbiegła z płaczem. Tomasz poszukał ręką jej twarzy, szorstką dłonią otarł łzy.

-- Nic nie widzę, córuś...

Drwale zabrali go i powieźli na saniach przez osadę w stronę kuźni. Mira, otulona pożyczonym od księdza kocem, pobiegła śladem płóz. Wszystkie drzwi otwierały się, jakby w każdej chacie ludzie z tym samym niepokojem wyczekiwali dnia. Odprowadzali ozdrowieńca wzrokiem, a potem podnosili oczy na wieżę, gdzie dzwon właśnie zwoływał na poranne nabożeństwo.

-- Temu jeszcze się udało, demon był w nim zbyt krótko, żeby okrzepnąć. Jeszcze doba i bylibyśmy bezsilni. -- W słowach staruszka zamiast radości Kacper wyczuwał tylko wielkie znużenie.

-- Czy to dzięki egzorcyzmom? -- zapytał chłopak, bardziej z uprzejmości niż z chęci podtrzymania rozmowy.

-- Odmawiam je, bo ludzie tego ode mnie oczekują. Wierzą, że potrafię walczyć z Lucyferem, ale to nieprawda. Mogę tylko zamknąć opętanego w ciemnicy, a o świcie postawić go przed świętym Jerzym. Nagie słońce na pewno by go zabiło. Tylko światło uświęcone przez Smokobójcę mogło go jeszcze ocalić. -
- Wsłuchał się w milknące echa dzwonu, zadrżał nagle. -- Wiem o złym duchu więcej niż ktokolwiek w osadzie, ale właśnie ta wiedza sprawia, że tak bardzo się go boję.

Kacper spuścił wzrok. Czerwieniąc się, otrzepał buty na wysokim progu. Zdawał sobie sprawę, że jest tylko przypadkowym świadkiem takiego wyznania i że ksiądz wcale nie oczekuje odpowiedzi. Widocznie musiał to powiedzieć, tu i teraz, patrząc na słoneczną pożogę, która zlewała się z grzbietu wschodniego lodowca.



Na pielgrzymkę do Przełęczy Pingwinów myśliwi nie zabierali psów ani broni. Każdego roku z początkiem wiosny, po powrocie z pierwszej wyprawy, gromadzili się w kościele, aby otrzymać specjalne błogosławieństwo przed wymarszem na lodowiec. Ksiądz nie odmawiał im go, choć w gruncie rzeczy uważał tę tradycję za nierozumny zabobon. Wiedział, że gdyby otwarcie sprzeciwił się temu zakorzenionemu od pokoleń rytuałowi, już nigdy nie odnalazłby drogi do serc tych upartych ludzi.

Dla Kacpra tegoroczna pielgrzymka miała być kolejnym krokiem w dorosłość, znakiem przynależności do grona myśliwych. Na pierwszą prawdziwą wyprawę musiał poczekać do lata, gdy dni staną się dłuższe i nieco złagodniej zamiecie, ale już teraz, stojąc w kościele u boku ojca, czuł przedsmak surowego życia gdzieś w odległym obozowisku, w mrokach martwego lasu. Zdawał sobie sprawę, że ojciec przeżył bolesny zawód, gdy ostatecznie przekonał się, iż pierworodny nigdy nie pójdzie w jego ślady. Choć Józwa nie mógł zrozumieć, dlaczego Stach wybrał nauki u księdza, a potem zaduch sygnalizatorni, nigdy się nie skarżył. Przeniósł po prostu wszystkie nadzieje na młodszego syna, a Kacper tym gorliwiej starał się im sprostać.

Wyszli z osady kilkudziesięcioosobową gromadą. Gdy mijali ostatnie zabudowania, nagle, gdzieś głęboko we wnętrzu góry, przebiegł wyczuwalny dreszcz, a z wysoka, od strony szczytu, spłynął przeciągły, szeleszczący odgłos. Wielu pielgrzymów udawało, że nic nie zauważyło, ale niektórzy odwracali się w marszu i podnosili wzrok na ciemną szparę Rozpadliny dymiącą pomiędzy oblodzonymi stokami.

-- W Rozpadlinie znowu wyroiły się ćmy, już trzeci raz tej wiosny -- mruknął Józwa półgębkiem. -- Zły znak.

-- Dlaczego?

-- Bo te stworzenia lęgną się w piekle.

Kacper przypatrywał się uważnie, próbując wysledzić w mroku ogromnego skalnego pęknięcia jakiś ruch, ale niczego nie dostrzegł. Szum rychło ucichł, znowu tylko chrzęściły pod nogami grudy zmrożonego śniegu. Przestał zaprzętać sobie tym głowę -- sprawy mcharzy zawsze były mu całkowicie obojętne. Jeśli myślał o nich czasem, to tylko w takich chwilach jak ta, gdy przez poświst wiatru przebijał się ten niepokojący dźwięk; dziś jednak bez reszty pochłaniało go łowieckie misterium, do którego po raz pierwszy dopuszczono go na równych prawach z dorosłymi mężczyznami.

Przecieli zbocze i niebawem zaczęli się wspinać na skłon zachodniego lodowca. Raki ułatwiały podejście, ale i tak trzeba było bardzo uważać. Każde potknięcie na śliskiej stromiznie groziło upadkiem wprost na ukryte pod śniegiem skały. Rozkruszony przez idących wyżej lód pryskał Kacprowi w twarz, odbite promienie słońca raziły oczy. Chwilami wzmagął się wiatr, zmiatając z obłego cielska lodowca sine tumany.

Przed zmierzchem, osłabli od całodziennego postu i rozgrzani wysiłkiem, stanęli na ośnieżonym grzbiecie. Zebrali się razem i milcząc, czekali na ostatnich pielgrzymów. Chłopiec ukradkiem obserwował

twarze mężczyzn -- na wszystkich dostrzegą uroczystą powagę.

Noc spędzili na czuwaniu, jak nakazywał obyczaj. Dla ochrony przed mrozem zbili się w ciasną gromadę, podobni teraz do stada zimujących pingwinów. Dreptali nieustannie, przemieszczając się z wolna od zacisznego środka ciżby, aż na skraj, gdzie musieli się kulić i wystawiać grzbiety na uderzenia wichru, i z powrotem. Kiwając się, mrużeli modlitwy, przytupywali w miejscu, pokasływali. Nawet gdyby któryś omdlał, w ścisku nie mógłby upaść. Pod stopami trzeszczał z cicha lodowy masyw.

Gdy o świcie niebo wreszcie zsiniało, ruszyli dalej w całkowitej ciszy. Po wyczerpującej nocy z wczorajszego entuzjazmu Kacpra nie pozostało już prawie nic. Włókł się za ojcem z opuszczoną głową, skostniały, zasmarkany, ledwie zauważając majaczące wokół sylwetki myśliwych. Gdyby nie ojciec, który w odpowiedniej chwili trącał go łokciem, wpadłby zapewne do którejś z lodowych szczelin, które przecinały co jakiś czas szarą pustać. Przeskakiwał je z trudem, padając po drugiej stronie na kolana i ręce; miał wrażenie, że ciężkie, bardzo niskie chmury przytłaczają mu barki.

Niewidoczne słońce chyba przebyło już połowę dziennej drogi, gdy myśliwi szeroką ławą stanęli nad gładkim zboczem po drugiej stronie lodowca. Kacper przepchnął się łokciami do pierwszego szeregu, nie zważając na gniewne posykiwania. Chciał zobaczyć wszystko, każdy szczegół, aby porównać rzeczywistość z obrazami z dziecięcych marzeń.

Kilkadziesiąt metrów niżej rozwierało się szerokie zakłębienie Przełęczy. Całą przestrzeń między stromymi zboczami wypełniały ciasno stłoczone pingwiny, setki, tysiące, głowa przy głowie, niczym czarny bruk -- jedynie na obrzeżach stada połśniewały białe brzuchy. Niektóre drzemały na stojąco, opuściwszy zakrzywione dzioby, inne prostowały grzbiety i wpatrywały się długo w rozległe, zawiane śniegiem podejście ku przełęczy.

-- Nie myślałem, że będzie ich aż tak wiele! -- szepnął zdumiony chłopiec.

-- Są niezłomne, żadna zamieć nie mogłaby ich stąd przepędzić. -- W głosie ojca wyraźnie drżało wzruszenie.

Kacper przyglądał się ptakom zafascynowany. Jako syn myśliwego od dziecka przysłuchiwał się opowieściom o pingwinach. Wiedział, że każdej jesieni przychodziły na Przełęcz znad dalekiego, wolnego od lodu morza, żeby połączyć się w pary; tutaj, gdzie nie docierały drapieżniki, mogły bezpiecznie odbyć lęgi. Gdy samica zносиła jajo, oddawała je w opiekę partnerowi, a potem opuszczała go na czas mrocznych zimowych miesięcy, powracając na wybrzeże, gdzie nie brakowało pożywienia. Dla pozostawionych w górach samców rozpoczynała się próba wytrwałości. Aby uchronić jaja przed mrozem, trzymały je na złączonych stopach, przykryte fałdem brzuszny; aż do wiosny nie jadły, dzieliły się w gromadzie własnym ciepłem i od czasu do czasu spozierały w dół Przełęczy. Gdy dostrzegały w końcu w oddali rozkołysane cienie tłustych samic, zadzierały dzioby i przekrzykiwały się radośnie. Jeśli trafił się cichy, bezwietrzny dzień, echa tej wrzawy słychać było nawet w osadzie.

Stadła odnajdywały się nieomylnie; przybyłe karmiły samców z dzioba do dzioba, opróżniając wola z odżywczej papki, a potem ostrożnie przejmowały od nich jaja. Wychudzone ptaki mogły nareszcie wyruszyć w drogę do swego morskiego, rybnego raj, ześlizgując się na brzuchach po oblodzonym stoku. Powracały niebawem, znowu tłuste, ze lśniącymi piórami, a kiedy wykluły się już opierzone szarym puchem młode, opiekowały się nimi razem z samicami, wyszukując pożywienie pod lodem pobliskich rzek i jezior. Gdy

przychówek okrzepł, któregoś dnia wczesnym latem wszystkie pingwiny zniknęły. Przełęcz pozostawała pusta aż do następnej jesieni, gdy rozpoczynał się nowy okres lęgowy.

-- To opiekunowie myśliwych, synu. -- Józwa wydobył z kieszeni mały, zawinięty w okrwawioną szmatkę pakuneczek. -- Nigdy o tym nie zapominaj. Nie krzywdź ich, nie zakłócaj im spokoju, a jeśli będzie trzeba, broń przed drapieżnikami. W lesie nie mamy innych sprzymierzeńców. -- Rozwinął szmatkę, położył chłopcu na dłoni gałkę oczną foki. -- To najlepsza częśćka z naszego pierwszego polowania. Złóż ją teraz w ofierze, żeby bracia pingwiny wiedzieli, że jesteś jednym z nas.

Pielgrzymi już ciskali w stronę stada swoje dary; nie wszystkie sięgnęły celu, wiele upadało w śnieg. Kacper cofnął się o krok, wziął szeroki zamach i rzucił z całych sił. Focze oko błysnęło w słońcu, a potem opadło łukiem w sam środek ptasiej kolonii. Zdawało mu się, że któryś z samców kłapnął dziobem i złapał kąsek w locie. Radość uderzyła mu do głowy ciepłą falą.

Choć z głodu bolał go brzuch, wracał do osady szczęśliwy, krocząc po lodowcu pewnym siebie krokiem prawdziwego łowcy. Świat wokół nie zmienił się, ale on sam stał się kimś innym; był gotów, żeby ująć własny los krzepko, po męsku, obiema garściami.



Ojciec udał się do kuźni na zebranie starszyny, matka doła w zagródce kozy. Kiedy Kacper wszedł do izby, z hałasem otrzepując buty ze śniegu, Stach grzał się w kącie za piecem, oparłszy nogi na zydlu. W migotliwym świetle łożówki przeglądał poplamiony strzęp książki, z której pozostała tylko pierwsza strona okładki i kilkanaście początkowych kartek. Niechętnie oderwał wzrok od zadrukowanego papieru.

-- Odprawiliście już te swoje gusła? -- zapytał bez zaciekawienia.

Chłopiec zajrzał pod pokrywkę stojącego na blasze garnka, prosto z chochli siorbnął gorącej zupy, a potem wyłowił z dna obrosniętą mięsem kość.

-- Nie jesteś myśliwym, nie potrafisz tego zrozumieć -- odpowiedział lekceważąco, siadając przy stole.

-- Możliwie. Ale ty patrzyłeś tylko na pingwiny z daleka, a ja wiele razy wchodziłem między nie.

-- Zmyślasz! -- Kacper na chwilę przestał przeżuwać. -- Po co miałbyś to robić?

-- Bo je lubię, chociaż się do nich nie modłę. Tylko one mają odwagę wędrować nad morze, gdzie woda nigdy nie zamarza.

Młodszy brat mlasnął jeszcze kilka razy, ale stracił cały apetyt. Wszystko, co przeżył i zobaczył w czasie pielgrzymki, nagle utraciło odświętny blask.

-- Lepiej nie chwal się tym między myśliwymi, bo stłuką cię kijami -- burknął rozdrażniony i szybko zmienił temat. -- Znowu przetrzymujesz jakieś papieryska? Powinieneś oddać to księdzu.

Dobrze wiedział, że złomiarze mają obowiązek zabierać z Ruin każdą książkę, jaką tam znajdą, ale zdawał też sobie sprawę, że w rzeczywistości rzadko to robią. Nie mają ochoty obciążać sań czymś, co uważali za zbędne. Jeśli już zdarzało się, że coś przynosili do osady, zwykle nie szli z tym do kościoła, jak należało, ale do Stacha. Nie lubili, kiedy proboszcz wypominał im, że nie widuje ich w konfesjonale; woleli korzystać z pośrednictwa sygnalisty. Potrafił czytać, więc uważali go za specjalistę od takich znalezisk -- a poza tym miał przywilej wyrywania niezadrukowanych stron, aby pozyskać papier do pisania raportów z sygnalizatorni.

-- Nie martw się. Goniec odniesie tę książkę na Krzywy Wierch do biblioteki katedralnej, jak wszystkie inne. Tam na pewno przetrwa, a u nas prędzej czy później ktoś użyłby jej na podpałkę. -- Stach wygładził kartkę dłonią. -- To poezja.

-- Poezja? Czy ma jakąś wartość?

-- W każdym razie nie taką, którą dałoby się przeliczyć na foczy tłuszcz. -- Sygnalista ironicznie uniósł jedną brew.

-- Więc po co narażać życie gońca? Coraz trudniej chodzić Granią.

-- Nie wiem. Może kiedyś nadejdą lepsze czasy i ludzie znowu zechcą pisać wiersze? Skądś będą musieli się dowiedzieć, jak to robić.

Skrzypnęły drzwi, weszła matka; przywitała synów uśmiechem. Przelała mleko z bukłaka do beczułki i mieszając długą łyżą, spozierała w milczeniu na Kacpra, jakby próbowała ocenić, czy podczas pielgrzymki zaszła w jego wyglądzie i zachowaniu jakaś subtelna zmiana, równie nieuchwytna, co nieuchronna.



Niebawem stało się jasne, że tego lata goniec już nie przybędzie. Minęły dwa tygodnie, od kiedy z Krzywego Wierchu dano znać o jego wyruszeniu w drogę. Zwykle przeprawa przez wąską Grań łączącą oba szczyty nie zabierała więcej jak trzy, cztery dni. Zaginięcie człowieka na tej niebezpiecznej trasie nie było niczym niezwykłym, zdarzało się niemal co roku, więc i tym razem nie wzbudziło w osadzie większego poruszenia. Ostatecznie -- był obcy, nie osierocił nikogo, w żadnej chacie nie płakali po nim krewni. Sam wybrał swój los.

Kacper zapamiętał go jako wysokiego, szczupłego mężczyznę o chmurnym spojrzeniu i zaciśniętych wargach, jakby w wiecznym zagniewaniu. W czasie krótkiego pobytu w osadzie mieszkał na uboczu, pod wschodnim lodowcem, w specjalnie dla niego zbudowanej chatce, która przez resztę roku pozostawała pusta. Poza księdzem i przedstawicielami starszyny nikt go tam nie odwiedzał, a i on sam rzadko wychodził na zbocze. Nie zawierał znajomości z miejscowymi, choć nie zabraniało tego żadne prawo. Jego wyjątkowa funkcja wzbudzała u ludzi szacunek, ale i lęk, jakby obawiano się dostrzec w jego nieprzyjaznym spojrzeniu odbicie tego wszystkiego, na co patrzył podczas samotnych nocy pod otwartym niebem. Powszechnie uważano, że był ułaskawionym przestępcą, choć nikt nie znał jego przewin. Mawiano, że kto znajdzie się przypadkiem w zasięgu cienia, który goniec rzuca na śnieg -- ten nie dożyje następnego roku. Pecha przynosiło także stąpanie po jego śladach, jedzenie mięsa upieczonego na jego palenisku, nawet uścisk dłoni. Ksiądz zwalczał te zabobony, grzmiał w kazaniach na ludzką głupotę, ale niewiele mógł zmienić; nieufność do wszystkiego, co pochodziło spoza osady, dla miejscowych była warunkiem przetrwania.

Gdy zabrzmiał dzwon, zwołując do kuźni członków starszyny, niewielu było takich, którzy pozostali w domach. Ludzie chcieli wiedzieć, jak potoczy się rada, bo sprawa była niełatwa. Zaginiony goniec pochodził z Krzywego Wierchu, a więc teraz, zgodnie z dawnym obyczajem, to osadnicy musieli wyznaczyć spośród siebie jego następcę -- i to szybko, żeby mógł natychmiast wyruszyć w drogę, dotrzeć do celu i powrócić, zanim rozsroży się zima.

Kacper przycupnął na jakimś pniaku pod ścianą, daleko od paleniska, wokół którego zasiedli najszacowniejsi z osadników. Był dumny, że pośród nich zasiada ojciec -- i to nie z racji wieku, ale dzięki

powodzeniu na łowach.

Ksiądz podniósł się z trudem, w zamyśleniu pogrzebał laską wśród zarzających się głowni.

-- Bóg znowu zabrał jednego z nas... -- Uchylił się przed snopem iskier, który wystrzelił z ognia. -- Bóg albo Lucyfer.

Któryś ze starszych drwali, o twarzy na wpół ukrytej w cieniu, wzruszył ramionami pod grubym kożuchem.

-- Nie był jednym z nas.

-- Na świecie pozostało tak niewielu ludzi, że utrata każdego z nich jest powodem do smutku. -- Duchowny podniósł drżący głos. -- Zresztą, ta jedna śmierć pociąga za sobą drugą, bo trzeba wybrać nowego gońca. Czy chcesz się zgłosić na ochotnika?

Urażony drwal splunął w ogień, ale zmilczał. Przeciągnęła się kłopotliwa cisza, pełna chrząknięć i pokaszliwań, aż wreszcie przerwał ją Józwa swoim głębokim, budzącym posłuch basem.

-- Prawda, szkoda człowieka, młody jeszcze był, ale to przecież zwyczajny gończy los. Nie zmienimy tego. -- Poczekał, aż przebrzmi aprobujący pomruk zebranych; zakończył słowami, na które wszyscy czekali: -- Trzeba zejść do kieratników. Jest tam paru z dożywociem, któryś na pewno zgodzi się zamienić taką karę na kilka lat swobody.

-- Prawo zabrania, żeby gońcem był morderca, podpalacz albo gwałciciel -- przypomniał ksiądz.

-- A więc wybierzemy złodzieja. -- Józwa pozwolił sobie na lekki odcień kpiny, wywołując w ciemnościach stłumione chichoty.

Sędziwy kapłan uderzył laską w ziemię, przywracając spokój.

-- Co się z wami dzieje, ludzie? Czy nie rozumiecie, że wyprawa na Grań jest zaszczytem, nie karą? Nie możecie stale wyznaczać na gońców najgorszych spośród siebie.

Siedzący przy ogniu pospuszczali głowy. Zamiast nich odpowiedział ktoś spoza starszyny, z mroku, łamiąc obyczaj:

-- Zawsze tak było! Nikt nie chce umierać.

-- Nie zawsze! -- Starzec uniósł chudą pięść, rzucając na sklepienie kuźni wielki cień. -- Nie chcecie pamiętać, jak żyli wasi dziadowie, żeby się przypadkiem nie okazało, że jesteście sparszywiałym pokoleniem niegodnym takich przodków. -- Kiedy wpadał w złość, nie przebierał w słowach; osadnicy znali go dobrze, wiedzieli, że każdy sprzeciw mógł tylko pogorszyć sprawę, więc siedzieli cicho, czekając, aż wyczerpią się jego wątle siły. -- Dawniej ludzie byli ciekawi, co się dzieje poza ich opłotkami, nie pielęgnowali w sobie strachu jak wy. Dużo podróżowali, i to nie tylko do Krzywego Wierchu, ale nawet znacznie dalej, do szczytów, których nazwy dzisiaj nic już wam nie mówią. Nie myślcie, że wtedy było łatwiej -- na szlaku groziły im te same niebezpieczeństwa, ale byli gotowi trzymać się razem nawet za cenę ofiar. Spotykali się, koligacili między osadami, dodawali sobie nawzajem ducha. Rozumieli, że przetrwają tylko we wspólnocie, a jeśli pozwolą rozbić się na małe grupki, wyginą wszyscy, wierch po wierchu. Co nam zostało z tamtych czasów? Kogo obchodzi coś więcej niż tylko najbliższa wyprawa łowiecka? -- Sapnął oburzony, blask ognia osiadał na jego pofałdowanym czole. -- Dzisiaj gońcem może zostać łotr, sygnalistą byle chłystek, a kiedy ja umrę, straciecie więź nawet ze swoim biskupem! Wydaje wam się, że wszystko idzie dobrze, bo zabiliście dużo fok, a tymczasem marniejecie z ojca na syna, coraz mniej przypominacie ludzi, a coraz bardziej zaszczute zwierzęta. Przyjdzie taki czas -- ja na szczęście tego nie dożyję -- kiedy nikt już nie będzie pamiętał,

że przed wiekami cały świat należał do nas. Staniecie się niewolnikami Lucyfera. To będzie jego prawdziwe zwycięstwo.

Ostatnie słowa rozsunęły się pod skalistym sklepieniem razem z dymem i oparami oddechów. Przez jakiś czas trwała cisza, nikt się nie poruszył. Przyzwyczajeni do takich gromów słuchacze cierpliwie odmierzali należną starcowi chwilę pełnego zadumy milczenia, a potem skupili spojrzenia na łysym, szerokoplecym kowalu Macieju, pierwszym w starszyźnie po księdzu.

Maciej wstał, skłonił się z szacunkiem w stronę kapłana -- nie za głęboko, w sam raz -- i wyciągnął nad ogniem wielkie, stwardniałe dłonie.

-- Nie ma co zwlekać, czasu mało. Goniec musi wyruszyć najpóźniej za kilka dni. Niech Józwa idzie do kieratników, najłatwiej się z nimi dogada, bo często tam bywa w drodze do lasu. -- Spojrzał spod przymrużonych powiek na łowcę, a kiedy ten potwierdził krótkim skinieniem głowy, usiadł.

Zebrani z wolna zaczęli się rozchodzić, najpierw kobiety i młodzieńcy spod ścian, a potem starszyzna. Kacper ze swojego miejsca przypatrywał się księdzu, który siedział przygarbiony i chyba modlił się, nie zważając na szuranie wielu butów. Było mu go szczerze żal.

Józwa lubił powtarzać, że przezorność jest dla mężczyzny ważniejszą cnotą niż odwaga, dlatego nawet w tak niedaleką podróż nigdy nie wybierał się sam. Po ostatnich udanych łowach myśliwym nie paliło się do opuszczania ciepłych chat, chcieli w spokoju zaleczyć urazy i odmrożenia, a także nabrać trochę tłuszczu. Gdy jeden i drugi wymówił się od towarzyszenia Józwie w drodze do kieratu, ten wrócił do domu, zagniewany trzasnął drzwiami i usiadł na ławie obok młodszego syna.

-- Nasmarujesz narty dla siebie i dla mnie. -- Otrzeptał ośnieżoną czapę o cholewę buta. -- Bądź gotów o świcie.

Kacper nie śmiał o nic pytać, żeby ojciec przypadkiem w ostatniej chwili nie zmienił zdania i nie wyruszył sam. Przygotował narty najlepiej, jak potrafił, sprawdził wiązania, natłuścił foczym łojem buty. Czułe pogładził szczurzą skórę rozpiętą na ścianie; góry chyba naprawdę zaczynały mu sprzyjać.

Rankiem wbił kijki w zaróżowiony od brzasku śnieg i pomknął za ojcem, wciąż jeszcze nie dowierzając własnemu szczęściu.

Był dobrym narciarzem, lepszym nawet od wielu starszych chłopców, ale z Józwą nie mógł się równać. Chociaż zwinnie omijał skałki, przeskakiwał nad rozpadlinami i pilnował, żeby nie ugrzęznąć w zaspach, co rusz tracił ojca z oczu; wstyd mu było, kiedy myśliwy zwalniał i oglądał się, żeby go nie zgubić. Nie przywykł do długiej jazdy i wkrótce zaczęły boleć go kolana i barki, ale nie zwalniał. Rozumiał, że w razie kłopotów powinien być dla ojca wsparciem, nie ciężarem. Zamierzał zrobić wszystko, by nie zawieść jego zaufania.

Około południa zatrzymali się na krótki odpoczynek, pod szeroką, chroniącą przed mroźnymi podmuchami skałą. Prawie nie rozmawiali. Żuli twarde skrawki suszonego mięsa zapatrzeni w dół zbocza, gdzie we mgłę kryła się odległa krawędź urwiska. Kacper nigdy jeszcze nie dotarł tak daleko od osady; z odrobiną zawodu przekonał się, że śnieg wygląda tutaj tak samo, wiatr wygwizduje w skalnych szczelinach podobne melodie i tylko grzbiety lodowców rozeszły się tak szeroko, że z trudem dostrzegał ich błyski na horyzoncie.

Na znak ojca szybko przełknął ostatni kęs, wytrząsnął śnieg z wiązań i założył rękawice. Ruszyli znowu poprzez zmrożoną, rozmigotaną w słońcu skorupę śniegu.

Przed zmierzchem z przodu uderzyła krótka, ostra zamieć zdzierająca kaptury z głów i utrudniająca oddychanie, ale chłopiec mało się tym przejął; był już tak zmęczony, że skupiał się tylko na tym, by ustać na nogach. Nie potrafił sobie wyobrazić, jakim cudem drwale albo złomiarze pokonują tę trasę w ciągu jednego dnia objuczeni ciężkimi narzędziami. Mrużył oczy przed wiatrem, pozwalał nieść się nartom, mało dbając o wybór najlepszej drogi. Gdyby ze śnieżnego tumanu niespodziewanie wyłoniła się skała, pewnie nie zdołałby jej wyminąć. Nie widział ojca, nie był w stanie ocenić, ile czasu pozostało jeszcze do nocy. Zgubił jeden z kijków, przysiadł na nartach i tylko siłą rozpędu przebijał się przez wicher. Był zziębnięty, głodny, wyczerpany do ostatka.

Nagle zamieć wygasła, ostatnie płatki, wirując, opadły na stok. Kacper zwolnił, a potem zatrzymał się, żeby wygrzebać śnieg z rękawic i spod kaptura. Spojrzał przed siebie, zachwiał się, usiadł w śnieżnej zaspie.

Dwa ogromne, drewniane koła kieratu, połączone biegnącymi po obwodzie szczeblami deptaka, umocowane na poprzecznej, grubej osi wewnątrz potężnego rusztowania, dalece przewyższały wszelkie wyobrażenia chłopca, jakie mógł sobie wyrobić, słuchając chciwie opowiadań starszych. Oniemiały ze zdumienia patrzył na większe i mniejsze zębatki, żelazne łańcuchy i bęben do nawijania ciężkich splotów liny. Przemknęły mu przez głowę urywki kazań księdza; po raz pierwszy zaczął pojmować tęsknotę staruszka za przeszłością, która bezpowrotnie minęła. Skoro dawniej ludzie potrafili wznosić takie wspaniałe konstrukcje, może naprawdę świat zmienia się na gorsze?

-- Poczekaj, kiedy zobaczysz go w ruchu. -- Ojciec wyszedł zza zasy, roztrącając butami głęboki śnieg, z nartami złożonymi na ramieniu. -- Dzisiaj za mocno wieje, ale jutro, kto wie?

Na zbitym z masywnych bali pomoście, który wysuwał się daleko poza krawędź urwiska, wspartym na sterczących ukośnie ze skalnej ściany podporach, już uwijali się ludzie, odmiatając świeżo nawiany śnieg; niektórzy wspinali się po linach i łańcuchach, oczyszczając zębate przekładnie i osie.

-- Robią to po każdej zamieci? -- zdziwił się chłopiec.

-- Tak, ale nie żałuj ich. Zasłużyli na taki los.

Myśliwy z synem wkroczyli na pomost, mijając wysoki słup z żelaznym koszem na wierzchołku, w którym płonął wieczny ogień; buty załomotały na deskach. Paru skazańców obejrzało się bez zaciekawienia. Z kamiennej chatki, wkopanej głęboko w ziemię prawie na skraju urwiska, wychyliła się czerwona od mrozu twarz nadzorcy.

-- A, jesteście wreszcie! Spodziewałem się was. -- Przywołał ich machnięciem ręki. -- Porozmawiajmy pod dachem.

-- Zaraz przyjdziemy! -- odkrzyknął Józwa; położył narty i chwycił syna pod ramię. -- Chodź ze mną, tylko ostrożnie. Za pierwszym razem każdemu miękną kolana.

Kacper dał się poprowadzić środkiem pomostu. Kiedy przechodził pod obręczami deptaka, mimo woli wcisnął głowę w ramiona. Zaśnieżone zbocze pozostało z tyłu, dookoła otworzyła się pustka wciąż jeszcze nasycona światłem wieczoru. Wiatr ustał niemal zupełnie, napięte łańcuchy połyskiwały warstewką lodu.

Końcówka nawiniętej na bęben liny chwiała się swobodnie nad przepaścią nieco dalej od miejsca, gdzie kończył się pomost. Zbliżyli się tam powoli, a kiedy od celu dzieliło ich ledwie parę kroków, myśliwy ścisnął ramię syna.

-- Teraz na kolana. Pamiętaj, żadnych wygłupów.

Gdy Kacper dobrnął na czworakach do ostatniego, wyslizganego bala i wyciągnął szyję, wydało mu się, że cały pomost zachwiał się pod nim. Gdyby nie Józwa, który mocno trzymał go za pas, pewnie stoczyłby się bezwładnie w przepaść.

Widok zapierał dech.

Szary, pocięty rozpadlinami masyw urwiska przytłaczał swoim ogromem płaską kotlinę, która rozłożyła się dwieście metrów poniżej, u jego stóp. Zasy z tej wysokości wyglądały jak drobne zmarszczki na płaszczyźnie bieli, zamarznęta rzeka błyszczała niczym srebrzysta pręga, a pniaki po wyciętych drzewach były tylko czarnymi kropeczkami. Z prawej i z lewej kotlinę zamykały ciemne, na wpół zasnute mgłą łańcuchy górskie; na wprost teren opadał łagodnie ku mroczniejącej na widnokręgu linii martwego lasu. Dalej, poza ostatnimi wzniesieniami przedgórza, zaczynały się już wrocie ludziom niziny, gdzie nie zapuszczał się nikt.

-- Co tam jest? -- Kacper wskazał odległe miejsce, gdzie tuż ponad czubkami drzew lśniły odbite blaski zachodu.

-- To szczyty siedmiu wież w Ruinach. Nie powinieneś się nimi zajmować, będziesz przecież myśliwym, nie złomiarzem. Patrz tam! -- Ojciec wskazał palcem zakole rzeki, gdzie rozmarzła cała wielka połać lodu; ciemna woda marszczyła się pod lekkim wiatrem, na powierzchni kołysały się kry. -- Opętany, któremu niewiele już brakuje do końca, zwykle szuka dla siebie odosobnionego miejsca, żeby spłonąć o świcie. Czasem zdarza się, że załamie się pod takim lód na jeziorze albo na rzece. Kiedy tonie, Świetlik próbuje uciekać i woda rozgrzewa się. Bywa, że topnieje cała pokrywa lodowa. Demon pozostaje w topielcu, póki drapieżniki nie wywleką ciała na brzeg. Dopiero wtedy jezioro na powrót zamarza. Nigdy nie zbliżaj się do takich miejsc. -- Szarpnął za pas. -- Wystarczy, wracamy! Słońce już prawie zaszło.

Zanim opuścili pomost, znowu uderzył wichur. Kacper wyczuwał pod stopami drżenie bali. Kierat drgnął, napinając z grzechotem łańcuchy blokady.

Dobiegli do chatki smagani po plecach śniegiem i lodem; ktoś otworzył przed nimi drzwi. Kuląc się, wpadli do parnego wnętrza buchającego ludzkim smrodem. Kacper zatrzymał się tuż za progiem. Był zaskoczony rozmiarami wykopu. Wąska ziemianka ciągnęła się daleko w głąb zbocza; środkiem biegł długi rów paleniska wypełniony żarem. Wzdłuż ścian, na kamiennych ławach, zarzuconych wytartymi kozuchami, siedzieli i leżeli kieratnicy. Niektórzy chłeptali wprost z drewnianych misek wieczorną polewkę gotowi w każdej chwili zerwać się na krzyk nadzorcy i wybiec w mroźną ciemność, żeby odśnieżyć wyciąg.

-- Siadajcie. -- Nadzorca wskazał przybyłym miejsca za stołem, podniósł zagrzebany w gorącym popiele dzban i odsłaniając w uśmiechu szczyrby między zębami, napełnił drewniane kubki. -- Nie wiem, czyście już próbowali tego napitku kieratników. To wódka pędzona z kumysu i foczej krwi. Pomaga znosić mróz, zmęczenie i strach przed wysokością, ale niewprawnych zwała z nóg.

Kacper ledwie umoczył wargi w mętym płynie, a od samych oparów zakręciło mu się w głowie. Ojciec pociągnął głęboko, po myśliwsku, sapnął z uznaniem, wierzchem dłoni otarł usta.

-- Książ mawia, że właśnie przez to wielu skazańców nie dożywa końca wyroku.

-- Łatwo się wymądrzać, kiedy zamieć przeczekuje się w kościele. -- Urażony gospodarz wzruszył ramionami. -- Gdybym spróbował odmówić im łyka wódki po każdym powrocie z pomostu, zatłukliby mnie gołymi pięściami. Jestem sam, do obrony mam tylko to. -- Położył na stole bicz skręcony z foczej

skóry. -- Nie zakuwam ich w kajdany, nie zamykam na noc drzwi. Słuchają mnie, bo wiedzą, że nie mają dokąd uciec. W osadach każdy obcy wzbudza zaniepokojenie, łatwo by ich rozpoznano.

-- Nie mogliby przepaść gdzieś w dolinach? -- zaniepokoił się Kacper.

-- Do tego potrzeba lepszego przyodziewku, broni i zaprzęgu.

-- To wszystko można ukraść.

-- Pewnie. Ale co dalej? Na dół chodzi się po mięso, drewno, żelazo, ale przecież trzeba mieć dokąd wrócić. Tam nie da się żyć.

Myśliwy wlał do gardła resztkę napitku, uderzył otwartą dłonią w blat i odwrócił się na stołku w stronę ciemnego wnętrza ziemianki.

-- Słuchajcie, ludzie! -- huknął, aż kilku podskoczyło. -- O świcie jeden z was wyjdzie stąd ze mną i nigdy więcej nie wróci.

Chyba spodziewali się tego. Wieści o zaginięciu gońca musiały dotrzeć nawet do nich. Ci, którzy drzemali, podnosili się teraz cicho i opuszczali stopy na klepisko. Ktoś rzucił na żar parę garści suszu. W półmroku pobłyskiwały niespokojne spojrzenia; milczeli.

Józwa wstał, wsunął dłonie za pas i powoli wszedł między kamienne ławy.

-- Dobrze wiecie, co to oznacza. Odpuszczenie win, wolność, dach nad głową i utrzymanie. -- Bez pośpiechu przemierzył całą długość izby, zawrócił przy końcu rozżarzonego rowu. -- Możecie być pewni, że taka okazja nie powtórzy się prędko.

Rozważali te słowa w skupieniu -- niektórzy pochyleni, z twarzami ukrytymi w dłoniach, inni oparci plecami o wilgotne ściany; wreszcie ktoś poruszył się, wyciągając do ciepła nogi w zniszczonych butach.

-- Mówią, że coraz niebezpieczniej chodzić po Grani. -- Szary cień skazańca zakołysał się na murze. -- Łatwiej spotkać tam Lucyfera niż człowieka.

-- Powtarzasz plotki starych bab. Świetliki nie docierają tak wysoko.

-- To czemu gońcy nie wracają?

-- Nie obiecywałem, że będzie łatwo. -- Myśliwy stanął okrakiem nad rowem i, zniecierpliwiony, podniósł głos. -- Na Grani trzeba przetrwać wicher, mróz i ciemność, ale przede wszystkim pokonać własny strach. Uwierzcie mi, widziałem wielu takich, którym się to udało.

-- Pewnie. Tych, którzy nie przeszli, nie mogłeś widzieć. Dlaczego sam nie pójdziesz szlakiem gońców?

-- Bo nie jestem śmierdzącym kieratnikiem i nie muszę tego robić.

Nadzorca przezornie sięgnął po bicz, ale gniewny szmer wśród więźniów szybko ucichł; kilku zwiesiło głowy, inni spoglądali po sobie niepewnie. W końcu wstał jeden z nich -- wielki, barczysty -- a po chwili w ślad za nim jeszcze czterech innych.

Nadzorca wetknął do paleniska natłuszczoną pochodnię, a gdy zapłonęła, oświetlił twarze ochotników.

-- Ci dwaj są braćmi. -- Wskazał stojących obok siebie młodzieńców o spękanych na mrozie wargach i zapadniętych, smutnych oczach. -- Pobili na śmierć ojczyma.

-- Słyszałem o tym, to chyba wydarzyło się przed dwoma laty w przysiółku mcharzy. -- Józwa przyglądał im się przez chwilę, jakby oczekiwał dalszych wyjaśnień.

Jeden z braci, z wyglądu starszy, wystąpił pół kroku naprzód.

-- Lżył naszą matkę -- jąkał się w zdenerwowaniu. -- Musiała harować ponad siły, chociaż była chora. Zamęczył ją, wpędził do grobu.

-- Nie mam powodu, żeby wam nie wierzyć, ale to niczego nie zmienia. Zabójca nie może zostać gońcem.

-- My tylko...

-- Wystarczy! -- Myśliwy odprawił ich zdecydowanym ruchem dłoni i wskazał na pozostałych. -- A ci?

-- Ten powaśnił się z sąsiadem. -- Nadzorca rękojeścią bicia szturchnął chudą pierś zgarbionego, bezzębnego skazańca z brudnymi strąkami siwych włosów okalającymi twarz. -- Porąbał siekierą płot i drzwi. Na szczęście w porę powstrzymali go ludzie, zanim poląła się krew. Ma niski wyrok, zostało mu pół roku.

-- Szanuję twoją odwagę, ale jesteś za stary na gońca -- orzekł Józwa i przeniósł spojrzenie na krępego, zwartego w sobie kieratnika, który wyzywająco mrużył oczy. -- Ciebie znam. Byłeś myśliwym w innej osadzie. Podobno w czasie wyprawy przywłaszczyłeś sobie zdobycz towarzysza, którego zabiła niedźwiedzica. Czy to prawda?

-- Skoro już wszystko wiesz, po co pytasz? -- Tamten uśmiechnął się kpiąco.

-- Odpowiedz.

-- To był młody dureń, pierwszy raz na dole. Zdawało mu się, że nie musi słyhać rad starszych. Wracaliśmy już po udanym polowaniu na foki, ale ten koniecznie chciał ustrzelić jeszcze młodego niedźwiadka, chociaż każdy go ostrzegał, że matka na pewno kręci się w pobliżu. -- Więzień splótł ramiona na piersi. -- Dostał tylko to, na co zasłużył. Nikt poza mną tego nie widział. Zabrałem jego sanie, to wszystko.

-- Kiedy myśliwy ginie na wyprawie, jego zdobycz trzeba oddać rodzinie. Tylko ostatni łajdak okrada sieroty.

-- Przyszedłeś tu wygłosić kazanie czy znaleźć kandydata na gońca?

Kieratnik spoglądał Józwie prosto w oczy i nie przestawał się uśmiechać. Tylko Kacper zauważył, z jakim trudem ojciec nad sobą zapanował, zanim podszedł do ostatniego ochotnika.

-- Mów -- rzucił sucho.

Zwalisty brodacz potarł upstrzony plamami po odmrożeniach policzek, trzepocząc powiekami, jakby nie rozumiał, czego się od niego żąda.

-- Jestem... Byłem drwalem -- zaczął tłumaczyć rozwlekłe, kiwając się na piętach. -- W nocy na wyrębie pilnowałem ognia. Mocno wiało, zawinąłem się w kożuch i jakoś mnie tak zmogło... Zasnąłem. Nad ranem, kiedy ogień wygasł, podeszły wilki, cała wataha. Poprzegryzały ludziom gardła po cichu, we śnie, jak to one potrafią. Mnie zostawiły sobie na koniec, ale obudziłem się w porę. Kilka zarąbałem siekierą, reszta uciekła, kiedy roznieciłem ogień. Pochowałem drwali w jednej mogile. Ośmiu ich było, nieboraków. Przywaliłem kamieniami, żeby zwierz nie wygrzebał. Wróciłem do osady i opowiedziałem o wszystkim. -- Rozłożył wielkie, pokryte bliznami dłonie. -- Moja wina, na straży nie wolno spać. Starszyzna zasądziła dziesięć lat.

Myśliwy skinął głową, znużonym gestem dotknął skroni.

-- Czemu chcesz być gońcem?

-- Sprzykrzył mi się kierat -- przyznał skazaniec otwarcie.

-- Nie boisz się iść na Grań?

-- Nie.

-- Na pewno?

-- Nic a nic.

-- I właśnie dlatego nie nadajesz się na gońca. -- Głos myśliwego stwardniał nagle. -- Kto się nie boi, ginie pierwszy. Gdybym wysłał cię na szlak, twoja śmierć spadłaby na moje sumienie.

Drwał pojął z tego w zasadzie tylko tyle, że będzie musiał odcierpieć karę do końca. Przyjął tę wiadomość z pokorną rezygnacją, jakby w gruncie rzeczy wcale nie oczekiwał niczego innego.

-- Co z wami, ludzie? -- Nadzorca strzelił z biczka ponad głowami siedzących. -- Takeście się do mnie przywiązali, że chcecie tu zdychać?

-- W porządku, nie trzeba. -- Józwa powstrzymał go, łapiąc za rękaw. -- Znalazłem już odpowiedniego człowieka.

-- Kogo?

-- Tego. -- Wskazał ruchem głowy złodzieja foczego mięsa, który wciąż szyderczo wydymał wargi.

-- Przecież to sukinsyn!

-- Ale za to ma szansę dojść do Krzywego Wierchu i wrócić żywym. Teraz tylko to się liczy, z reszty osądzi go Bóg.

Wyczerpany drogą, oszołomiony emocjami i alkoholem Kacper zasnął szybko, gdy tylko podścielono mu na ławie kilka wyliniałych lisich skórek. Zdawało mu się, że już w chwilę potem ciszę rozdarł przenikliwy dźwięk gwizdka nadzorcy. Zerwał się, ale ojciec pchnął go z powrotem na niewygodne legowisko.

-- Leż, to nie nasza sprawa.

Od gwałtownie otwartych drzwi wionął nocny mróz. Skazańcy nakładali czapy, brali łopaty, miotły i wiadra z popiołem do wysypywania ścieżek. Kolejno znikali w ciemnościach, potracając się nawzajem w wąskim przejściu i złorzecząc przez zęby.

Wrócili zziązani, parujący, oszronieni; pokrzepiali się przydziałowym łykiem wódki, owijali kożuchami i nieruchomieli, chroniąc w sobie tę odrobinę ciepła aż do następnego alarmu.

Kacper już nie zapadł w sen. Przypatrywał się spod półprzymkniętych powiek smudze żaru między ławami, nasłuchiwał westchnień wiatru w otworze dymnika. Bolała go głowa, gardło wyschło na wiór. Dręczyło go pragnienie, ale nie miał odwagi prosić o wodę, żeby nie zakłócać kruchego spokoju skazańców.

W ciągu nocy jeszcze trzy razy, po każdym nasileniu zamieci, nadzorca wyganiał ludzi do odśnieżania pomostu i kieratu. Nawiane z zewnątrz płatki śniegu osiadały chłopcu na wargach, przynosząc złudzenie ulgi. Z barwy nieba widocznego w prostokącie framugi próbował odgadnąć, ile czasu pozostało jeszcze do świtu, ale zupełnie stracił orientację. Prześwitujące zza chmur gwiazdy mrugały szyderczo, czas włókł się powoli od gwizdka do gwizdka. Łzawiły podrażnione dymem oczy.

Ktoś wyrwał go z płytkiej drzemki, potrząsając za ramię. Rozpoznał opasłą sylwetkę nadzorcy. Legowisko ojca było puste. Usiadł natychmiast przestraszony, ale tamten uspokoił go, kładąc palec na ustach.

-- Cicho. Nie trzeba nikogo budzić -- szepnął. -- Chodź ze mną, ojciec czeka.

Było cicho, bezwietrznie, bardzo zimno; grzbiety zasp różowiły się lekko w pierwszym brzasku. Nadzorca poprowadził chłopca ciemną od popiołów wstęgą ścieżki. Koła kieratu odcinały się wyraźnie od

jaśniejącego nieba. Józwa stał na samym krańcu pomostu i przytrzymując się ogniwa ciężkiego łańcucha, patrzył w dół. Nie obejrzał się, kiedy chłopak podszedł; uniesieniem dłoni dał znak, żeby stanął obok.

-- Najwyższy czas, żebyś nauczył się odróżniać ogień Lucyfera od zwykłego płomienia. -- Myśliwy ujął syna pod ramię. -- Niech Bóg da, żebyś oglądał to jak najrzadziej.

W kotlinie jeszcze zalegała noc, ale świt był już niedaleko; pobłyskiwały złodowaciale czuby drzew. Kacper przez jakiś czas błędził wzrokiem po szarym bezkresie, nie wiedział, czego wypatrywać.

Nagle drgnął.

Poprzez głęboki śnieg brnął do podnóża urwiska jakiś człowiek. Co parę kroków padał -- musiał być bardzo zmęczony, zapewne miał za sobą długi marsz. Czasami ukazywała się jego zadarta twarz i otwarte jak do krzyku usta.

-- Co on tam robi? -- Chłopiec przyklęknął na ostatniej belce i pochylił się nieco nad przepaścią, żeby lepiej widzieć.

-- Ucieka. -- Ojciec wskazał palcem w głąb kotliny, gdzie na śniegu rozsypało się kilkanaście ciemnych punktów. -- Zwykle wilki nie napadają na ludzi pod samym kieratem, muszą być bardzo wygłodniałe.

Samotny człowiek wymachiwał rękami, wołał coś, odrzuciwszy do tyłu głowę, ale trudno było odróżnić słowa. Prowadzący watahę basior zwolnił pewien już, że ofiara nie umknie. Pościg rozciągnął się półkolem, żeby osaczyć nieszczęśnika pod skałą.

-- Dlaczego nic nie robimy? -- Kacper obejrzał się na nadzorcę, który pozostał u nasady pomostu, od niechcienia rozgniatając butem grudy śniegu. -- Trzeba wołać ludzi do kieratu, spuścić kosz!

-- Nie, synu.

-- Rozpędźmy watahę płonącymi strzałami! Sam mnie uczyłeś, że to najlepszy sposób...

-- Nie tym razem. Uwierz mi, że dla tego nieboraka lepiej będzie, jeśli wilki go dopadną, zanim... -- Zmarszczył brwi, odetchnął głęboko. -- Zresztą, sam zobaczysz.

Uciekinier potknął się, upadł na kolana i już więcej nie powstał. Patrzył w górę, rozkrzyżowawszy ramiona, czapa zsunęła się na ziemię. W półmroku wydawało się, że z jego głowy spływa na plecy przejrzysty, świetlny welon. Chyba już zrozumiał, że od ludzi na pomoście nie otrzyma żadnej pomocy. Przestał krzyczeć. Obława zacieśniała się wokół niego bez pośpiechu. Chude, wilcze grzbiety otaczały go, były coraz bliżej.

-- Nie chcę na to patrzeć! -- Chłopiec szarpnął się, ale ojciec go nie wypuścił.

-- Zostań -- polecił szorstko. -- Właśnie w ten sposób zostaje się mężczyzną, nie przez bieganie za szczurem.

Pierwsza smuga słonecznej jasności wdarła się w kotlinę, skrząc śnieg. Oczy klęczącego pod urwiskiem człowieka rozbłysły na krótką chwilę niczym dwie bardzo jasne iskry; zaraz potem z jego otwartych ust, z nosa i uszu buchnęły niebieskawe płomienie.

-- A jednak doczekał świtu, teraz ogień Lucyfera wypali go od środka. -- Józwa zacisnął palce na ramieniu syna. -- Patrz! To nie potrwa długo.

Człowiek na dole nie upadł, nawet się nie poruszył, jakby wcale nie odczuwał żaru. Ogień wzmógł się nagle, obejmując całą postać niczym żywy ludzki knot. Chwiejny jęzor płomienia wystrzelił na kilka metrów wzwyż, rzucając błękitnawy odblask na skałę i śnieg. Wataha przepadła, znikając wśród zasp.

Kacper wiedział dobrze z licznych opowieści, które dorastający chłopcy lubili snuć między sobą przyciszonymi głosami, żeby poczuć na plecach dreszczyk grozy -- że lucyferiański samozapłon wygasa już po kilkunastu sekundach; wiedział, ale kiedy oglądał to na własne oczy, czas przestał mieć jakiegokolwiek znaczenie. Zdawało mu się, że pomimo odległości żar parzy mu twarz, że słyszy skwierczenie tłuszczu, wyczuwa odór spalenizny. Piekielna pożoga chciwie trawiła zastygłe na klęczkach ciało, nie osmalając skały ani nie topiąc śniegu.

Kiedy na dole pozostał już tylko lśniący krąg tłustych popiołów, ojciec potrząsnął lekko Kacprem, żeby uwolnić go od zgrozy.

-- Tak właśnie to wygląda. Czasem zostaje stopa albo dłoń, ale to i tak za mało, żeby człowieka pochować na cmentarzu. Taki jest los każdego, kogo usidli Świetlik, jeśli w porę nie zostanie poddany próbie świętego Jerzego.

Chłopiec był półprzytomny z przerażenia, ojciec musiał prowadzić go do ziemianki, objąwszy w pół ramieniem. Obok dreptał zasepiony nadzorca.

-- Skąd wiedziałeś, że jest opętany? -- zapytał Kacper cicho.

Ojciec zawahał się, ale po chwili odpowiedział spokojnie:

-- Miał nimb, a to zawsze jest oznaką bliskiego końca. Zresztą, nawet kiedy nie ma pewności, nie wolno nikogo wciągać na urwisko nocą. Takie jest prawo. Musimy bardzo uważać, żeby nie wpuścić do osady Lucyfera.

Zbliżali się już do drzwi, kiedy z cienia pod kopułą śniegu wysunął się jeden ze skazańców. Nadzorca natychmiast rozpuścił bicz, suchy trzask przeciął powietrze.

-- Gdzie łazisz? -- warknął. -- Nie było gwizdka.

Rozpoznali ochotnika wybranego na gońca. Nie uśmiechał się już jak poprzednio, miał bladą, ściągniętą strachem twarz.

-- Wszystko widziałem -- skinął w stronę pomostu. -- Rezygnuję, nie pójdę z wami do osady.

-- Sam się zgłosiłeś! -- Józwa poczerwieniał z gniewu.

-- Zmieniłem zdanie. Wolę zdychać w kieracie.

-- Nie będziesz mi tu grymasił, łajzo! -- Nadzorca uniósł rękę do ciosu, ale Józwa powstrzymał go w ostatniej chwili.

-- Zostaw. Nie można nikogo zmusić, żeby poszedł na Grań. -- Pchnął skazańca na spadzisty dach ziemianki, pochylił się nad nim. -- Nie wyglądasz na tchórza. Byłeś myśliwym, musiałeś wiele razy widzieć samozapłon.

-- Nigdy pod samym urwiskiem. Wiesz tak samo dobrze jak ja, co to oznacza. Lucyfer spotęźniał, na pewno potrafi już wznieść się na szlak gońców. -- Wstał, otrzepał śnieg z pośladków i z ramion. -- Nie chcę ginąć w ten sposób.

Gdy weszli do ziemianki, Kacper był pewien, że nikt nie spał. Ludzie siedzieli w ciemnościach i milcząc, nasłuchiwali ciszy.



2015
RZ

Nadzorca oddał Józwie zaprzęg, który utrzymywano przy kieracie na wypadek nagłej potrzeby. Myśliwemu śpieszno było do powrotu, żeby jak najrychlej przekazać starszyźnie niepomyślne wieści. Wolał uniknąć nocowania pod gołym niebem także ze względu na syna, który nie otrząsnął się jeszcze po tym, co zobaczył u stóp urwiska.

Wyruszyli bez zwłoki, przy słabym świetle wschodzącego słońca. Nie rozmawiali w drodze; Kacper przycupnął w tyle sań, owinąwszy twarz grubym szalem dla ochrony przed lodowatym wiatrem, Józwa strzelał z bata ponad skudlonymi karkami psów. Niebo przejaśniło się, pogoda sprzyjała; jeszcze przed zmierzchem dostrzegli z daleka smugi dymów osady.

Kacper zjadł tylko parę łyżek tłustej, zawiesistej zupy, półsłówkami zbywał pytania zatroskanej matki. Długo patrzył w ogień. Jak daleko sięgał wspomnieniami, domowe palenisko budziło w nim poczucie bezpieczeństwa, oznaczało ciepło i sytość. Teraz to się zmieniło; w płomiennym blasku wypatrywał niebieskawych płomieni.

Nazajutrz poszedł prosto do Miry. Wchodząc na podwórze, nabrał złych przeczuć; ścieżki od płotu do drzwi od dawna nikt nie odśnieżał, furtka odmykała się z trudem. W psiarni było cicho, zniknął zapas drewna spod daszku przy boku chaty. Małe okienka zabito na ukos deskami, wygaszony komin przywalała śnieżna czapa.

-- Czego szukasz? -- Zza płotu wychylił się sąsiad drwala, spozierając na chłopca podejrzliwie. -- Tutaj nikt już nie mieszka.

Kacper stropił się, przystanął zmieszany tuż za furtką.

-- Gdzie Tomasz?

-- Wyprowadził się przedwczoraj.

-- Dokąd?

-- Do przysiółka mcharzy.

Nowina była tak zaskakująca, że Kacper przez dłuższą chwilę nie mógł się otrząsnąć. Nie potrafił sobie wyobrazić, że tak dobrze znana izba, gdzie Mira gospodarzyła po śmierci matki, teraz stoi zimna i mroczna.

-- Dlaczego? -- zapytał wreszcie; jeszcze nie stracił nadziei, że to tylko przejściowa zmiana, że niebawem wszystko wróci na swoje miejsce i znowu w progu chaty będzie go witał śmiech dziewczyny.

-- Tomasz sprzedał psy, siekiery i piły. Już mu to nie będzie potrzebne, nigdy więcej nie powali żadnego drzewa. Stracił nogę. -- Sąsiad westchnął, oparł łokcie na płocie. -- Co zrobić? Trzeba jakoś żyć. W przysiółku będzie mu łatwiej.

-- Przecież kaleka nie może zbierać mchu!

-- Nauczy się skręcać liny. Tym zajmują się u nich starcy, którzy już nie mają sił na wspinaczkę. Do skrobania weźmie się dziewczyna. To parszywa robota, niebezpieczna, cały czas w ciemnościach i smrodzie

Czarciej Studni, ale do wszystkiego można przywyknąć.

Kacper cofnął się za furtkę. Był całkowicie bezradny wobec tego, co usłyszał. Właściwie nie zastanawiał się przedtem, jak będzie wyglądało życie Miry po nieszczęściu, które spotkało Tomasza; nie zamienili chyba na ten temat ani słowa. Przyjął za pewnik, że jakoś to będzie, a przez ostatni miesiąc pochłaniały go inne sprawy. Był zły na siebie, palił go wstyd. Zniknął akurat wtedy, gdy dziewczyna potrzebowała go najbardziej.

Nie wrócił już do domu, obszedł osadę bokiem i u podnóża masywu, wśród porzucanych głazów, odnalazł początek ścieżki mcharzy. Znał dobrze to miejsce z dzieciństwa, gdy razem z innymi chłopakami w tajemnicy przed matką wbiegał krętym, wąskim, bardzo stromym szlakiem aż do skalnego siedliska. Z ciekawością przyglądał się licznym wylotom pieczar na szarym, nagim urwisku, do których wchodziło się po żelaznych klamrach wbitych w ścianę. Z zapartym tchem odprowadzał wzrokiem powracających z Rozpadliny po całodziennym znoju zbieraczy, bladych z powodu niedostatku słońca, w łachmanach przesiąkniętych smrodem bijącym z mrocznych głębin, o brudnych, poobijanych palcach. Jeden za drugim kroczyli krzywą, śliską dróżką, mając z lewej strony urwisko, z prawej przepaść, ugięci pod ciężarem przytroczonych do pleców wielkich koszy wypełnionych mokrym mchem. Każdy był obwiązany na ukos przez pierś zwojami długiego sznura, miał czekan przy jednym boku i skrobaczkę przy drugim.

Potem, gdy dorósł, Kacper nie zaszedł tam już ani razu. Rozumiał, że syn szanowanego myśliwego nie powinien się pokazywać w takim miejscu, żeby nie narazić się na docinki. Gorszą opinię od mcharzy mieli chyba tylko kieratnicy.

Droga nie była długa, ale bardzo uciążliwa. Zasapał się, pokonując ostatni zakręt wznoszącego się zakosami szlaku. Spojrzał za siebie; skaliste zbocze opadało ku dachom chat na skraju osady. Śnieg zalegał tylko w szczelinach i zagłębieniach stromizny, słońce pobłyskiwało w lodowych naciekach. Przy mocniejszym wietrze wspinaczka byłaby bardzo ryzykowna.

Powyżej wznosiła się już tylko pionowa ściana, podziurawiona kilkudziesięcioma otworami mieszkalnych jaskiń, z których większość zamknięto od wewnątrz drewnianą klapą; nieliczne otwarte kopciły dymem. Słysząc było głosy ludzi, stukot naczyń, gdzieś płakało dziecko -- lecz minęło sporo czasu, nim w wylocie jednej z niższych pieczar mignęła kobieca twarz.

-- Niech będzie pochwalony! -- Kacper uniósł obie ręce, żeby zwrócić na siebie uwagę.

Mieszkanka skalnej dziupli wychyliła się zdumiona i chyba trochę przestraszona. Przyglądała się chłopcu w milczeniu z wysokości pięciu, może sześciu metrów.

-- Proszę mi powiedzieć, gdzie zamieszkał drwal Tomasz z córką. -- Musiał mocno zadzierać głowę, żeby nie stracić równowagi, oparł jedną rękę o skałę. -- Sprowadzili się niedawno.

-- Piąta klamra od lewej. -- Biała twarz zniknęła w zadymionym wnętrzu jaskini, kłapa trzasnęła.

Kacper ostrożnie ruszył wzdłuż ściany, odliczając sterczące uchwyty. Odnalazł właściwy, spojrzał w górę -- niewielki otwór czerniał wysoko, prawie u szczytu skały. Nacisnął na próbę stopą pierwszą klamrę, podciągnął się wyżej i rozpoczął wspinaczkę, nie patrząc w dół. Szybko dotarł do celu, zabębnił pięścią w deski. Długo czekał uwieszony nad przepaścią, nim wreszcie po drugiej stronie zapiszczał odsuwany rygiel i kłapa uchyliła się.

-- Kto tu? -- Tomasz wychylił głowę.

-- To ja... -- bąknął Kacper niepewnie.

-- Wybacz, nie poznałem cię. Nie do końca odzyskałem wzrok, wszystko widzę szare i zamglone... -- Uniósł przerzedzone brwi, poruszył zmętniałymi źrenicami. -- Ojciec cię zleje, kiedy się dowie, gdzie latasz.

Przepuścił chłopca i zaraz zatrzasnął klapę. Wsparty na drewnianej kuli pokuśtykał do paleniska, kilkoma szczapkami podsycił ogień. Stękając, usiadł na trójnogim stołku i wskazał gościowi drugi.

-- Wciągnęli mnie tu na sznurach i od tego czasu siedzę jak w ciemnicy. Za każdym razem, kiedy wyłożę spod kożucha, aż trzęsie mnie z zimna. -- Odkaslnął w stuloną dłoń. -- Mało tu palę i często wietrzę, bo nie ma komina, tylko lichy dymnik, ale trzeba utrzymać żar w palenisku. Kiedy przychodzi zamieć i nie mogę otworzyć klapy, mam do wyboru zamarznąć albo uwędzić się w dymie. A to żarcie! Szczurze mięso przyprawione jakimś zielskiem. Na foczynę nikogo w przysiółku nie stać.

Kacper rozejrzał się po jaskini; nie była obszerna, ale sucha i wymieciona do czysta -- łatwo odgadł w tym rękę Miry. Sporo miejsca zajmowały dwa proste łóżka, blat na krzyżakach, obudowane kamieniami palenisko. Pod ścianą stała okuta skrzynia, wiadro z wodą, tu i tam parę drobniejszych sprzętów przyniesionych z chaty. Więcej nic.

-- Chciałem... To znaczy... -- Ścisnęło mu się serce; nawet ziemianka kieratników wydała mu się przytulniejsza. Zabrakło mu słów, zażenowany zwiesił głowę.

-- Wiem przecież, że nie do mnie przyszedłeś. -- Kaleka poprawił się na stołku, znowu zakaszłał. -- Ale nie zastałeś jej. I chyba dobrze się stało. Nigdy nie miałem nic przeciwko waszym spotkaniom, ale teraz wszystko się zmieniło. Na pewno to rozumiesz. Idź do domu i nie wracaj tu nigdy więcej. Nie powiem jej, że byłeś.

Kacper wstał gwałtownie, przewracając stołek. Nie wiedział jeszcze, co powiedzieć, co zrobić, lecz nie zamierzał tak po prostu się poddać.

-- Nie możesz jej skazywać na takie życie! -- Rozłożył ręce, jakby chciał ogarnąć tym gestem całą nędzną norę.

Były drwal z impetem uderzył kulą w kamienną podłogę, jego twarz stężała. Przez chwilę zdawało się, że wybuchnie, ale gdy wysapał nadmiar złości, odezwał się nadspodziewanie cicho:

-- To był jej pomysł. Miała inne wyjście. Chodził koło niej jeden owdowiały złomiarz, nawet nie bardzo stary. Byłem z nim już po słowie, ale Mira zaparła się, głupia. Nie i nie. Co robić? Przecież na powrozie do narzeczonego jej nie zaprowadzę. Może jeszcze zmańdrzeje. Byle nie za późno, bo kiedy prześmierdnie i zzielenieje na twarzy, jak oni wszyscy tutaj, zechce ją za żonę tylko mcharz. -- Nagle zwiotczał, skulił się. -- Nie powinniście byli stawiać mnie przed świętym Jerzym. Nikt z was nie potrafi sobie nawet wyobrazić, jakie to piękne uczucie, kiedy duszę wypełnia jasność. Odebraliście mi szczęście. Bardzo tęsknię za światłem. Śnię o nim każdej nocy.

Kacper powoli opuścił ręce, szeroko otwartymi oczami patrzył na Tomasza.

-- To chyba minie... Potrzeba czasu. Źle, że siedzisz tutaj samotnie. -- Raptem zrozumiał, jak powinien postąpić. -- Gdzie znajdę Mirę?

Tamten milczał przez dłuższy czas, wreszcie machnął ręką zwyciężony uporem chłopca.

-- A gdzieżby? W Rozpadlinie.



Nie mógłby nie trafić -- istniała tylko jedna karkołomna droga, gdzie każda chwila nieuwagi mogła kosztować życie. Do pionowej ściany ponad ścieżką przytwierdzono wprawdzie łańcuch, którego można było przytrzymać się jedną ręką, ale wobec ogromu białej otchłani po drugiej stronie to zabezpieczenie wydawało się bardzo liche. Tylko miejscami skalny występ rozszerzał się na tyle, że mogło się minąć dwoje ludzi z kosztami na plecach; na pozostałej długości szlaku trzeba było stąpać niemal na krawędzi przepaści.

Kacper słyszał wiele opowieści o nagłych uderzeniach wichru, które strącały nawet po kilkunastu mcharzy powiązanych sznurami. Nikt nie zadawał sobie trudu, żeby szukać ich ciał na niedostępnym lodowcu pod urwiskiem pociętym szczelinami, usianym odłamkami spadających skał. Na takim roziskrzonym w słońcu cmentarzysku spoczęło więcej może zbieraczy mchu niż w mogiłach przy kościele.

Chłopcu drżały nieco łydki, lecz wytrwale posuwał się naprzód. Tam, gdzie łańcuch trzymał się na obluzowanych śrubach, szedł bokiem, szorując brzuchem po chropawej ścianie. Gdyby nie świadomość, że Mira przebyła już tę drogę kilkakrotnie, pewnie zawróciłby i zaczekał na nią pod jaskiniami. Wiedział, że jeśli tutaj przepadnie, rodzice nigdy się nie dowiedzą, jaki spotkał go los.

Nagle ścieżka rozszerzyła się, a zaraz potem urwała. Kacper stanął przed Rozpadliną. Pionowe pęknięcie urwiska, o szerokości rozstawionych ramion, rozszerzało się nieco ku górze, sięgając gdzieś tam pod chmurami samego szczytu. Szczelina przypominała ślad po uderzeniu gigantycznego toporzyska, które rozrąbało ścianę od góry aż do połowy wysokości. Z ciemnej, tchnącej pleśnią i zgnilizną głębi napływało cieplejsze powietrze. Brzegów pęknięcia czepiały się pierwsze kępki drobnego jeszcze mchu.

Pomimo odoru śmiało wkroczył między wilgotne ściany; poczuł się dużo lepiej, gdy wreszcie zostawił przepaść za sobą. Równa, wyslizgana przez wieki tysiącami stóp dróżka schodziła stopniowo w głąb góry. Skała z obu stron była naga i zimna, ale wyżej, gdzie docierało więcej słonecznego światła, kosmaciły się rozległe, brudnozielone narośle. Niebawem dostrzegł pierwszych zbieraczy -- wisieli na sznurach wysoko ponad jego głową, szerokimi skrobaczkami zdrapywali ze ścian miękkie naloty mchu i strząsali za siebie, do koszy na plecach. Ścieśniona przestrzeń potęgowała ich oddechy, uderzenia czekanów rozlegały się wielokrotnym echem. Pochłonięci pracą nie zwracali na przybysza żadnej uwagi, a jemu nie wystarczyło śmiałości, żeby podnieść głos i zapytać o Mirę. Instynktownie wyczuwał, że w tym miejscu nie powinno się krzyczeć; każdy ruch wymagał ostrożności i skupienia.

Wiedział, że najlepszy mech, gruby i soczysty, rośnie w głębi Rozpadliny. Światło docierało tam na krótko, kiedy słoneczna tarcza przechodziła wprost nad skalnym pęknięciem, ale za to było ciepło i parno. Pomyślał, że tam właśnie znajdzie Mirę -- w najdogodniejszym dla początkujących zbieraczy rejonie.

Z wolna gęstniała ciemność, wycinek błękitu za plecami zwiężał się, wypukłości ścian w górze lśniły coraz słabiej. Ludzie pracowali tutaj przy świetle kaganków, które wieszali na wbitych w skałę hakach. Z dołu wydawało się, że płomyczki tańczą w czarnej pustce. Zrobiło się cieplej, niemal jak w opalanej izbie -- Kacper wsunął za pas rękawice, otarł czapkę pot z twarzy. Ścieżka bywała węższa lub szersza, opadała stromo, to znowu łagodniej, ale wciąż wiodła w dół, w stronę odległych podziemi, skąd nieustannie wionął strumień gorącego, smrodliwego powietrza, które utrudniało oddychanie. Wzrastała wilgoć. Głośno dzwoniły spadające krople, w mlaskającym pod butami błocie woda żłobiła kręte kanaliki. Mech obrastał skałę już na wyciągnięcie ręki -- mokry, gotowy do zbioru.

-- Zbłądziłeś daleko od mamy, szczurołapie!

Z nagła rozniecony ogień łuczywa liznął chłopakowi twarz; odskoczył z krzykiem. Z początku nie widział nic, oślepiiony blaskiem, dopiero po chwili dostrzegł młodego mcharza, bosego, rozebranego do pasa, z nogawkami spodni zawiniętymi pod kolana.

-- Ładny kożuszek! -- Tamten przełożył łuczywo do lewej ręki i pomógł Kacprowi wstać. -- Kiedy stąd wyjdiesz, nie będzie już taki bielutki.

-- Jakoś go doczyszczę. -- Chłopak szybko ochłonął z pierwszego zaskoczenia. -- Powiedz, gdzie znajdę Mirę?

Mcharz wyprostował się zdziwiony.

-- Te nową?

-- Tak.

-- Pierwsze słyszę, żeby jakiś myśliwcyk z osady przyłąził tutaj za naszą dziewczuchą -- parsknął śmiechem i zaraz potem zakaszłał.

-- Nie jest wasza. Jeszcze dzisiaj wróci ze mną do domu.

-- Uważaj, biały kożusku! Bądź miłszy, nie jesteś u siebie. Mcharze nie kochają ludzi z osady. Każdego z nas kiedyś tam opluto, wyśmiano albo wytarzano w śniegu. Takich rzeczy się nie zapomina.

Kacper zdążył już oszacować przeciwnika: mógł być w tym samym wieku albo nieco starszy, był niższy, ale dobrze zbudowany. Nie miał chyba żadnej broni; czekan wystawał z kosza, który majaczył w półmroku kawałek dalej.

-- Zejdź mi z drogi! -- rzucił twardo syn Józwy.

Zanim skoczyli ku sobie z pięściami, Rozpadlinę wypełnił nagle wibrujący, pełen przerażenia krzyk. Półnagi mcharz natychmiast zagasił łuczywo w błocie; wyżej, na obu ścianach, jeden po drugim gasły ogniki kaganków.

-- Masz swoją pannę! -- sapnął gniewnie i biegiem ruszył w dół.

Kacper pognął za nim, ślizgając się na przyzmach błocka i obijając w mroku ramiona o miękkie od mchu ściany. Krzyk Miry rwał się chwilami, przechodził w spazmatyczny płacz, żeby za moment znowu rozdzierać ciemności najwyższymi tonami.

Zobaczył ją w końcu, potknął się z wrażenia, upadł i przez kilkanaście metrów sunął na brzuchu mokrym dnem rozpadliny. Zatrzymał go dopiero mcharz, łapiąc za futrzany kołnierz.

-- Zaczekaj, ja to załatwię -- polecił szeptem.

Mira klęczała w błocie przy przewróconym koszu, z którego wysypał się całodzienny urobek. W jej rozpuszczone włosy wplątała się włochata ćma -- wielka jak dłoń dorosłego mężczyzny -- z fosforyzującym deseniem na grzbiecie przypominającym rysunek trupiej czaszki; błyszcząły także obrzeża suchych, szeleszczących skrzydeł, rozrzucając po omszałych ścianach błękitne migoty. Owad miotał się, szarpał, ale nie mógł się wyzwolić; jedno skrzydło, chyba nadłamane, zwisało bezwładnie.

Dziewczyna w panice potrząsała głową, wymachiwała rękami; białka jej szeroko otwartych oczu wydawały się szmaragdowe.

Mcharz złapał ćmę oburącz, wyrwał z uwięzi zdecydowanym szarpnięciem i rzucił w błoto. Tłukła się jeszcze przez chwilę pomiędzy skałami niezdolna do lotu, aż w końcu rozgniół jej głowę bosą piętą. Skrzydło opadło, świetliste plamki na obrzeżach powoli zagasły.

Na ścianach znowu zapłonęły kaganki, ludzie wracali do pracy, jakby nie wydarzyło się nic wielkiego. Łagodny blask spływał aż na ścieżkę.

-- To się zdarza, czasem wylatują z mroku do światła. -- Mcharz przykucnął, oglądając wdeptanego w błoto owada. -- Pojedyncza ćma nie jest groźna, ale jeśli zaczniesz się z nią szamotać na ścianie, możesz odpaść. Dlatego nasze dziewczyny ścinają włosy na krótko. -- Podniósł oczy na Mirę, której wciąż jeszcze trzęsła się broda od tłumionego płaczu. Rozkaszał się gwałtownie, z trudem złapał oddech. -- Ty też musisz to zrobić.

-- Nie! -- Kacper przepchnął się naprzód, chwycił dziewczynę za ramiona. -- Zabieram cię stąd. Patrzyła na niego takim wzrokiem, jakby go nie poznawała.



Chciał to zrobić dlatego, że pozostał dla Miry jedynym oparciem. I dlatego, że w ten sposób otwierała się przed nim droga w świat. Ale najważniejszym powodem była wiara, że tak postąpiłby na jego miejscu ojciec -- nawet jeśli teraz to właśnie sprzeciw ojca był najtrudniejszą do pokonania przeszkodą.

Ksiądz wysłuchał go bez słowa, przypatrując się barwnym świetlikom z witraża, które odtwarzały na podłodze okrągłej izby postać świętego wojownika. Kiedy Kacper skończył, starzec podniósł się z ławy, grzebał przez chwilę pogrzebaczem w kominku; spojrzał wreszcie na swego gościa wyblakłym wzrokiem.

-- Nie.

-- Dlaczego? -- Chłopiec nie oczekiwał, że pójdzie łatwo, przygotował się do tej wizyty. -- Przecież nikogo nie zabiłem.

-- Jesteś za młody.

-- Skończyłem szesnaście lat. Zgodnie z prawem to wystarczy.

-- Brak ci doświadczenia.

-- Nie zgłosił się nikt poza mną.

-- Czemu tak ci na tym zależy? -- Ksiądz zbliżył się, jakby chciał lepiej widzieć twarz rozmówcy. -- Od lat nie mieliśmy kandydata na gońca spoza kieratników. Wyprawa na Grań to nie jakaś tam przygoda, którą można się pochwalić przed kolegami.

Kacper poczerwieniał. Zdawał sobie sprawę, że jeśli ma pozyskać zaufanie starca, musi wyznać całą prawdę.

-- Chcę się żenić, jak wrócę -- wybąkał.

-- A co ma wspólnego jedno z drugim?

-- Potrzebuję drewna do budowy chaty, mięsa na zimę, skór i żelaza.

-- Twój ojciec jest jednym z najlepszych myśliwych, nie brak mu niczego. Zaopatrzy cię jak należy.

Chłopak nerwowo przestąpił z nogi na nogę, ale nie odwrócił wzroku.

-- Raczej nie.

-- A więc to tak! -- Kapłan uśmiechnął się lekko, jakby zadowolony, że sprawa okazała się tak trywialna. -- Nie byłeś łaskaw powiadomić o swoich zamiarach rodziców?

-- Nie...

-- Mogę wiedzieć, z jakiego powodu?

-- Nie zgodziliby się na synową, która mieszkała wśród mcharzy.

-- To żadna hańba.

-- Nie dla mojego ojca. Wstydziłby się przed starszyzną, mając kogoś takiego w rodzinie.

-- Taak... -- Ksiądz przyjaźnie klepnął Kacpra w ramię. -- Uwierz mojemu doświadczeniu, synu, i nie rób niczego pochopnie. W takich przypadkach najlepszym sprzymierzeńcem jest czas. Udowodnij ojcu, że nie jesteś wartogłowem, przyucz się u jego boku do łowiectwa, odłóż trochę lisich skórek, żebyś miał za co pobudować chatę. Za trzy, cztery lata będziesz mógł z nim porozmawiać jak równy z równym.

-- Nie mogę tak długo czekać. -- Kacper zebrał się na odwagę. -- Chodzi o Mirę. To córka drwala, który przeszedł niedawno próbę świętego Jerzego. Stracił nogę, prawie nie widzi. Wyprowadzili się do przysiółka, a ja zabrałem ich stamtąd... Mają dach nad głową, jeszcze nie zdążyli sprzedać chaty, ale poza tym nie zostało im nic.

Ksiądz wrócił na ławę, oparł się o ścianę i utkwiał spojrzenie w krucyfiksie. Nie odpowiadał tak długo, że Kacper zaczął się oglądać na drzwi, ale w końcu kapłan drgnął i przetarł zbrązowiałe powieki.

-- Nie powinienes był tego robić. Wziąłeś na siebie wielką odpowiedzialność za tamtych dwoje, choć nie potrafisz jeszcze zadbać nawet o siebie. To piękny czyn, ale głupi. Bardzo prawdopodobne, że nie uda ci się wrócić nawet z pierwszej wyprawy na Grań. Co wtedy?

-- Mam prawo zdecydować przed podróżą, komu przypadnie moje wynagrodzenie, gdyby... -- zająknął się i natychmiast zmarszczył brwi. Był zły na siebie o tę chwilę słabości. -- Na razie proszę o zaliczkę, fokę albo dwie, żeby Mira z ojcem mieli co jeść przez najbliższe tygodnie.

Staruszek zgarbił się, oparł drżące dłonie na kolanach. Sprawiał teraz wrażenie bardzo zniedołężniałego, jakby jego czas na tym świecie już dawno przeminął, a przy życiu trzymało go tylko poczucie obowiązku i brak następcy, któremu mógłby powierzyć swoją owczarnię.

-- Kto wie, może to sam Bóg wskazał ci tę drogę? -- wymamrotał słabym szeptem. -- Możemy grzeszyli wszyscy, a ja najwięcej, wyznaczając na gońców kieratników? Nie wiem, nie wiem... -- Położył się z trudem, opierając głowę na gołych deskach ławy. -- Pobłogosławię cię przed wyprawą, jak każdego gońca. Teraz zostaw mnie samego.

Po półmroku, który panował w dolnej części wieży, biel śniegu aż kłuła w oczy. Kacper zaczerpnął pełną pierś mroźnego powietrza i rozejrzał się zatroskany; nie wiedział, dokąd iść. Ojciec rychło dowie się o wszystkim. Ksiądz na pewno zawiadomi go na samym początku, jeszcze przed resztą starszyzny. Chłopcu nie paliło się do domu, wolał unikać burzliwej rozmowy tak długo, jak się dało. Nie mógł też przenocować u Miry; teraz, kiedy stała się jego prawdziwą narzeczoną, taka wizyta na pewno roznieciłaby nieprzychylne plotki.

Założył czapę, postawił kołnierz i z rękami w kieszeniach kozucha poszedł szukać Stacha.

Znalazł go na placu budowy przy robocie. Nie przywitali się nawet; Kacper w milczeniu chwycił drugi kilof i miarowymi uderzeniami zaczął kruszyć skałę. Dużo później, gdy zrobił krótką przerwę dla rozprostowania grzbietu, Stach spojrzął na niego z ukosa.

-- Ojciec wściekły, matka płacze -- mruknął. -- Ktoś widział, jak sprowadzałeś ścieżką od przysiółka starego Tomasza i jego córkę.

-- Wcale się z tym nie kryłem.

-- A powinienes. Nie licz na to, że ojciec pozwoli ci dalej się z nią spotykać.

Kacper uderzył kilofem parę razy, odsunął stopą na bok skalne odłamki.

-- Czemu chcesz Dorotę za żonę? -- zapytał niespodziewanie.

-- Co?

-- Słyszałeś.

Stach wzruszył ramionami, ale nie zbył pytania kpina, jak zazwyczaj.

-- Ona jest w porządku.

-- I to wszystko?

-- Nie. Ma ojca złomiarza.

-- Co z tego?

-- Jest pewna rzecz, którą od dawna próbuję od niego wycygnąć. Dotąd nie chciał się zgodzić, ale zięciowi nie odmówi ślubnego podarunku.

-- Co to takiego?

-- Nie powiem ci, masz za długi ózór.

Kacper nie miał zamiaru wdawać się w kłótnię. Nie dziś.

-- Właściwie nie o tym chciałem z tobą mówić. Czy pozwolisz mi się przespać tutaj?

-- Zgłupiałeś chyba do reszty!

-- Wczołgam się pod daszek między bale. Jakoś przebiję do rana.

Stach wbił kilof w pniak, ośnieżoną rękawicą przesunął po czerwonej z wysiłku i gniewu twarzy.

-- Przestań wydziwiać, przecież nie pierwszy raz naraziłeś się ojcu. Przejdzie mu. Chodźmy wreszcie do domu, koniec na dzisiaj.

-- Proszę... Tylko na tę jedną noc. Jutro, kiedy zaprzysięgnie mnie starszyzna, będzie już po wszystkim.

-- Co ty wygadujesz?

-- Idę na Grań.

Sygnalista zbladł, zacisnął wargi, ale przyjął nowinę zadziwiająco spokojnie. W zamyśleniu pokiwał głową, błędząc wzrokiem wśród rozplomienionych od spodu chmur po zachodniej stronie nieba.

-- Zazdroścę ci -- powiedział niespodziewanie. -- Ja też chciałem to zrobić, kiedy byłem w twoim wieku, ale wtedy nie starczyło mi odwagi. Zostałem sygnalistą, żeby nie czuć się w osadzie jak w więzieniu. Przynajmniej mam pewność, że poza nami ciągle jeszcze żyją ludzie, w górach i na nizinach.

-- Na nizinach? Ojciec nic mi o nich nie mówił..

-- Myśliwi i drwale nie lubią rozmawiać o niczym, co psuje ich prosty obraz świata, ale nie wszystkie ślady, które znajdują na śniegu w martwym lesie, zostawiły dzikie zwierzęta. A przecież na horyzoncie, który widać z urwiska, nie kończy się świat.

Kacper słuchał z otwartymi ustami. Na chwilę zapomniał o własnych kłopotach. Zdawał sobie sprawę, jak mocno Stach musiał być poruszony, skoro pozwolił sobie na taką szczerłość. Tak bardzo przywykł do skrytej nieprzystępności starszego brata, że teraz nie wiedział, jak się zachować.

-- Wystarczy tego gadania, zaraz będzie ciemno. -- Sygnalista już powrócił do swego zwykłego, burkliwego tonu. -- Nie musisz sypiać byle gdzie jak zdziczały pies. Chatka gońca stoi pusta.



Zaprzysiężenie odbyło się bez żadnych ceremonii, niemal pokątnie, na długo przed porannym nabożeństwem w pustym, ciemnym kościele. Nie było bicia w dzwony ani procesji ze świecami, jak zwykle bywa przy podobnych okazjach. W pierwszej ławie zasiadło tylko trzech członków starszyny -- tyłu, ilu było koniecznych dla ważności przysięgi. Nie patrzyli na siebie, jakby zawstydzeni tym, że zgodzili się uczestniczyć w powołaniu gońca właśnie w taki sposób.

Kacper stał przed ołtarzem. Był senny po kiepsko przespanej nocy i trochę przestraszony. Dopiero teraz, w ciszy kamiennych murów, zaczynał zdawać sobie sprawę, na co się poważył. Wiedział, że ojciec siedzi tuż za nim, ale nie odwrócił się ani razu, żeby do reszty nie stracić odwagi. Drżącym głosem, zacinając się, powtórzył za księdzem rotę przyrzeczenia. Zdawało mu się, że nawet staruszek odprawia rytuał niechętnie, wbrew sobie, niczym przykry obowiązek, od którego nie mógł się uchylić.

-- Dopóki nie zapomnimy, skąd przychodzimy i ku czemu zmierzamy, możemy się nazywać dziećmi Boga. Jeśli kiedykolwiek odwrócimy się od wielkiej przeszłości przodków, utracimy też przyszłość. Musimy cierpliwie gromadzić skarby dawnej mądrości, choć dzisiaj często nie potrafimy docenić ich prawdziwego piękna. -- Zamrugnął załamionymi oczami, jakby nagle zorientował się, że głosi kazanie przed pustymi ławami. Położył dłoń o pokrzywionych palcach na głowie chłopca. -- Błogosławię cię, gończe, na trudną drogę. Ucałuj biskupi pierścień w imieniu nas wszystkich, wróć szybko z listem pasterskim od Jego Ekscelencji. -- Skinął na ministranta, który podał mu kilka książek obwiązanych na krzyż sznurkiem; Kacper rozpoznał na wierzchu tę, którą niedawno czytał Stach. -- Strzeż ich jak własnego życia. Twoje zadanie będzie spełnione dopiero wówczas, kiedy znajdą się w katedralnej bibliotece. -- Wręczył chłopcu pakunek i dokończył ciszej, tak, by nie usłyszał go nikt poza Kacprem. -- Uważaj na siebie, synku.

Nowy goniec schował książki do dużej torby przewieszanej przez ramię i starannie zapiął obie sprzączki. Począł, aż ucichną kroki wychodzących z kościoła mężczyzn, przyklęknął po raz ostatni i ruszył za nimi.

Nad lodowcem ledwie szarzała mgiełka przedświt. Na uspioną osadę prosił drobny śnieg. Kacper pomyślał z przykrością, że ojciec odszedł już z pozostałymi świadkami przysięgi, ale wtedy dostrzegł go stojącego nieruchomo nieopodal cmentarnej bramy ze stopą opartą na murku.

Zbliżył się nieśmiało.

-- Musiałem tak zrobić, tato -- wyjąkał.

W ciemnościach nie widział nawet, czy ojciec patrzy na niego. Jego milczenie raniło boleśniej niż najgorsza połajanka. Zamierzał już odwrócić się i uciec, gdy wreszcie usłyszał ciche słowa:

-- Mężczyzna sam decyduje, co jest słuszne, i odpowiada za swoje wybory. Ale nie wolno mu z powodu jakiejś głupiej miłości wystawiać się na pośmiewisko.

-- To nie jest głupia miłość!

-- Przekonaj mnie o tym.

-- Jak?

-- Jeśli naprawdę masz wobec niej poważne zamiary, nie daj się w drodze zabić ani opętać. Tylko w ten sposób udowodnisz, że dorosłeś do ożenku.

-- Czy mogę się pożegnać z matką?

Józwa znowu zwlekał z odpowiedzią, uniósłszy twarz w stronę brzasku, który przecierał się z wolna na wschodzie.

-- Nie. To byłoby dla niej zbyt trudne -- zdecydował wreszcie i zaraz potem zapytał niespodziewanie:

-- Czy wiesz, dlaczego zgodziłem się, żeby Stach został sygnalistą?

Kacper bez słowa potrząsnął głową.

-- Takie było jej pragnienie. Jako dziecko straciła na łowieckiej wyprawie ojca, dziada i trzech braci. Nie opowiadała wam o tym, ale ja wiem, że przez całe życie nie pogodziła się z tamtym nieszczęściem. Nigdy nie chciała mieć synów, modliła się o córki. Gdy urodził się Stach, nie zobaczyłem w jej oczach radości, ale trwogę. -- Przerwał na chwilę. Był wpatrzony we wspomnienia. -- Wtedy zrozumiałem, że gdyby las odebrał jej także pierworodnego, chyba pękłoby jej serce. Nigdy o nic mnie nie prosiła, ale widziałem, jak zamierała, kiedy mały brał w zabawie do ręki myśliwski nóż. Co miałem robić? Gdy chłopak podrośł, oddałem go na nauki do księdza. -- Machnął dłonią w stronę dzwonnicy. -- Przez kilka następnych lat Bóg nie pobłogosławił nas dziećmi. Myślałem już, że Stach będzie jedyny, ale wtedy przyszedłeś na świat ty. Zdrowy, silny, głośny. Mój następca.

Gdyby teraz Józwa rozkazał synowi złamać przysięgę, ten zrobiłby to bez wahania; lecz zamiast tego myśliwy nagle złapał go za ramiona, przygarnął do siebie i objął bardzo mocno.

-- Masz wrócić, słyszysz? -- wyszeptał. -- Mało jeszcze w życiu widziałeś, miasto łatwo może zaszumić ci w głowie.

-- Nie zaszumi.

-- Jeśli nie pokażesz się najdalej za miesiąc, sam przywlokę cię za kark jak krnąbrnego szczeniaka.

Cały dzień zużył na mozolne obejście strzelistego szczytu, aby wydostać się na Grań. Osada szybko zniknęła za garbem lodowca; jeszcze przez jakiś czas w błękitnej pustce snuły się dymy, słychać było cichnące ujadanie psów. Zaniedbany, z rzadka tylko wykorzystywany szlak ginął pod śniegiem wśród skalnych rumowisk. Trzeba było iść na wycucie, przemykać nad urwiskami, przeskakiwać głębokie rozpadliny w lodowej skorupie, ostrożnie stąpać na stromych zboczach, gdzie w każdej chwili mogła ruszyć lawina. W przejrzystym powietrzu nawet najdrobniejszy szczegół terenu wydawał się bliski na wyciągnięcie ręki, choć w rzeczywistości dotarcie tam wymagało długiego, żmudnego marszu. Czasami Kacper miał wrażenie, że drepce w miejscu, ale gdy próbował przyspieszyć kroku, zawsze w końcu upadał albo ześlizgiwał się parę metrów.

Jedynie zmieniający się z wolna profil wyniosłego wierchu przypominał, że dom pozostał daleko z tyłu. Chłopiec nigdy wcześniej nie zastanawiał się, dlaczego innym szczytom ludzie ponadawali nazwy, a góra wznosząca się ponad osadą pozostała Górą. Oglądał ją przez całe życie z jednej tylko strony; znał na pamięć każdy jej rys, wszystkie uskoki i wypukłości. Potrafił odtworzyć w wyobraźni jej wygląd w dowolnym oświetleniu, a nawet w nocy, na tle granatowego nieba. Teraz wyrósł ponad nim jakiś całkiem inny wierch, na którego zboczach wzrok gubił się w poszukiwaniu znajomych detali. To było nieprzyjemne doznanie, jakby twarz bliskiej osoby nagle zrobiła się obca.

Postanowił nie patrzeć w tamtą stronę; zacisnął zęby, poprawił torbę i ruszył dalej po zmrożonym śniegu.

Późnym popołudniem, kiedy stok zszarzał już w cieniu, zobaczył wreszcie Grań. Przypominała gigantyczny, zakłęśnięty do środka most, który łączył Górę z ledwie rysującym się w oddali czubem Krzywego Wierchu. Urwiste ściany, ciemne, niemal pozbawione pokrywy śnieżnej, uniemożliwiały wspinaczkę od strony kotliny; na osmagany wichrami, wąski grzbiet można było się dostać tylko oblodzoną, krętą percią, która przebiegała prawie pod samym szczytem. Miejscami ścieżka wiła się tak stromo, że

Kacper musiał odgrzebywać spod śniegu nadkruszone stopnie, wykute w skale jeszcze przez pierwszych osadników. Przed laty musiał panować tutaj spory ruch -- minął ruiny dawnej gospody, gdzie podróżni mogli się ogrzać i przenocować, a dalej co kilkaset kroków szlak wyznaczały kamienne słupy, niektóre mocno już pochylone, bliskie upadku.

Dziwnie było oglądać ślady ludzkiej pracy na tym pustkowiu. Wcale nie czuł się podniesiony na duchu; raczej przygnębiała go myśl, że tak niewiele pozostało z czasów, kiedy uciekinierzy z nizin trzymali się jeszcze razem. Może ksiądz miał rację, że z każdym pokoleniem świat zmienia się na gorsze.

Dobrnął na Grań już po ciemku. Był zmęczony i poobijany. W tym miejscu, blisko szczytu, grzbiet był jeszcze dosyć szeroki, dopiero dalej, opadając, stopniowo zwężał się tak bardzo, że przy świetle księżycy wyglądał jak długie, żelazne ostrze, po którym trudno byłoby się prześlizgnąć nawet lisowi.

Przeżuł z trudem parę kawałków zmrożonego na kamień mięsa. Nad knotem wetkniętym w kostkę tłuszczu roztopił w blaszanym kubku trochę lodu i łapczywie wysiorbał ciepłą wodę. Pod sterczącą skałą wykopał w śniegu jamę, zwinął się na dnie i zasnął od razu, nie dbając o to, że nocna zamieć może usypać nad nim grobowy kurhan.

Ranek wstał szary, przenikliwie zimny i zamglony. W gęstych oparach zginął nie tylko Krzywy Wierch z prawie całą Granią, ale nawet szczyt Góry. Zbocza z obu stron drogi wyrastały wprost z siwej mgły, która kipiała leniwie w dolinach; wężowate smugi przewijały się bezszelestnie nad skałami.

Wyruszył od razu, nie tracąc czasu na posiłek. Widział przed sobą ledwie paręnaście metrów oblodzonego szlaku, ale nie zwolnił kroku; chciał się rozgrzać marszem. Był świadom, że na tym najdłuższym, odsłoniętym odcinku trasy największym zagrożeniem jest wicher, ale w tej chwili z wdzięcznością przyjąłby każdy mocniejszy podmuch, który rozdarłby nieprzeniknioną zasłonę. Szedł, nie widząc celu. Oglądał się nieustannie, przeświadczony, że z tyłu dobiegają jakieś szelesty, chwieją się skupiska cieni, ale gdy wyteżał wzrok, wszystko rozplątało się z wolna. Spod czapy za kołnierz spływały krople zimnego potu. Z całych sił powstrzymywał się przed odruchem panicznej ucieczki.

Nagle stopa obsunęła się na jakiejś nierówności, odłupana podeszwą bryła lodu runęła w przepaść. Kacper przykucnął natychmiast, żeby nie stracić równowagi. Z przymkniętymi oczami czekał na odgłos upadku, ale nie dosłyszał go, jakby pod grubą warstwą oparów rozciągała się nicość.

To zdarzenie otrzeźwiło go trochę. Zrozumiał, że musi wziąć się w garść, bo następnym razem może nie mieć tyle szczęścia. Podjął wędrówkę, stąpając dużo rozważniej na lekko ugiętych nogach; nie spoglądał już w tył, choć pokusa była silna. Coraz częściej napotykał przeszkody, których pokonanie zabierało wiele czasu i sił -- nagłe uskoki, skalne spiętrzenia, obrosnięte lodem krzywizny. Grań była teraz tak cienka, że z trudem mieściły się na niej obie stopy. Posuwał się naprzód drobnymi kroczkami, rozpościerając ramiona jak linoskoczek. Przesunął torbę z biodra na plecy, żeby nie obciążała go jednostronnie. Tam, gdzie nie miał odwagi iść, siadał okrakiem na skale i osuwał się powolutku w dół, ku pogrążonemu we mgle najniższemu punktowi szlaku.

Zmierzch przyszedł tak nieoczekiwanie, że z początku nawet go nie zauważył. Było tak, jakby z dolin przybrało mroczne morze. Próbował jeszcze przez jakiś czas maszerować, ale gdy przestał widzieć własne buty, musiał się wreszcie zatrzymać.

Ta noc była o wiele trudniejsza do przetrwania. Nie miał się gdzie schować, nie znalazł nawet iluzorycznej ochrony przed tężejącym mrozem. Pomimo całodziennego postu nie czuł głodu, tylko

potworne znużenie. Bał się usiąść, żeby nie zasnąć i nie spaść w otchłań. Dreptał w miejscu, tupał, czasem przykuczał; ssał lód, nacierał twarz śniegiem dla odegnania senności. Nie widział nieba, więc nie mógł określić upływającego czasu. Zdawało się, że ten zmierzch, inny niż wszystkie, zapadł nad światem już raz na zawsze. Chciał choć trochę rozgrzać kostniejące dłonie nad płomykiem natłuszczonego knota, ale nie był w stanie utrzymać zapalki w zgrabiących palcach; wreszcie zrezygnował, naciągając z powrotem twarde i szorstkie rękawice.

Kiwnęła mu się głowa, potem znowu. Chyba drzemał przez parę minut skulony w kucki, lecz w porę ocucił go mroźny wiatr. Miał zaledwie na tyle czasu, żeby się odwrócić i przyłgnąć brzuchem do Grani, objąwszy rękami i nogami skałę; po chwili wichur dał już tak mocno, że zerwał mu z głowy kaptur.

Trzymał się z całych sił, wtuliwszy twarz w śnieg. Zawierucha siekła z różnych stron, doliny wypełniły się rykiem. Wichur ponawiał ataki niczym żywa, wroga istota, która chce ogłuszyć ofiarę, przerazić, a wreszcie oderwać od skały i cisnąć w mrok. Kacper stopniowo tracił czucie w drętwiejących ramionach, zaczynały mącić mu się myśli. Chwilami nie był pewien, gdzie jest i po co właściwie opiera się temu, co nieuniknione.

W momencie, gdy skała zaczęła się wyślizgiwać spod rękawic, wichur niespodziewanie ucichł. Chłopiec uderzył czołem w kamień, z trudem uniósł głowę.

Było cicho, gwiazdziście, bezkresnie; mgła przepadła. Przez łyż widział śmiesznie mały, ostry wierzchołek Góry, poniżej którego mrugało światło sygnalizatorni -- rozpoznał sygnał wywoławczy. Zdawało mu się, że to specjalnie dla niego. Chciał odpowiedzieć uśmiechem, ale jeszcze nie odzyskał władzy nad zziębniętą, zeszywniałą twarzą.

Z przeciwnej strony zamigotał Krzywy Wierch. Choć bardzo się starał, nie potrafił odczytać przekazu. Błyski wydawały się chaotyczne, niezrozumiałe, jakby nadawca wiadomości bardzo się śpieszył. Niemy krzyk pulsował beładnymi sylabami, które nie układały się w słowa, zatrzepotał ostatnimi rozbłyskami i zgasł raptownie.

Kacper dźwignął się na nogi i ruszył w dalszą drogę pośród martwej ciszy, która zapadła po burzy. Ten dziwny sygnał z Krzywego Wierchu przygnębił go bardziej niż cokolwiek innego. Nie wiedział, co o tym myśleć. Bardzo żałował, że nie może zapytać o zdanie Stacha. Postanowił nie zatrzymywać się już nawet na krótki odpoczynek, jeść w marszu, byle jak najszybciej przebyć Grań. Wierzył, że wytrzyma, jeśli tylko pogoda znowu się nie załamie. Ścieżka rozwijała się w mroku jaśniejszą wstęgą, niebo złociły gwiazdy; cała reszta świata, zatopiona w czerni, równie dobrze mogłaby nie istnieć.

Nad ranem powróciły chmury i szlak przestał być tak dobrze widoczny. Niebawem Kacper poczuł, że ścieżka już nie opada, a po chwili zaczęła się z lekka podnosić. To oznaczało, że połowę drogi ma za sobą. Wstępował teraz na trudniejszy odcinek trasy, ale wobec bliskości dnia cel wydawał się już niemal w zasięgu ręki.

Szybko się przekonał, że czeka go jeszcze wiele mozołu, nim będzie mógł odetchnąć. Podejście, początkowo łagodne, stopniowo robiło się coraz bardziej uciążliwe; niekiedy krawędź grzbietu była tak nierówna, że trudno byłoby się przedostać tamtędy bez łańcuchów i klamer. Przepaście z obu stron wabiły ciemnymi otchłaniami, obiecując spoczynek w jakimś zacisznym, osłoniętym od wiatrów żlebie. Sypnął gęsty, drobny śnieg, natychmiast przyprószając wszystko -- ubranie, lód i skały -- nietrwałą bielą.

Słońce weszło gdzieś za masywem góry, ciemność opornie ściekała ze zboczy ku dolinom. Przytłumione, szare światło nie przyniosło nawet złudzenia ciepła. Sine niebo wisiało bardzo nisko, wsparte całym ciężarem na górskich szczytach, które zatraciły wyrazistość konturów.

Piął się wytrwale, rzeżąc ze zmęczenia, na kolanach, na rękach, na brzuchu, jak tylko mógł. Wiatr wzmagał się, od czasu do czasu szarpiąc kurtynę śniegu to w jedną, to w drugą stronę, ale nie przerodził się w prawdziwą zamieć. W ruchliwym kłębowisku chmur porobiły się szpary i wyrwy, przez które słońce zapuszczało snopy światła. Krzywy Wierch nie przybliżał się wcale, wciąż tak samo niedostępny, otulony welonem śnieżnej zadymki. Trudno było uwierzyć, że tam naprawdę żyją ludzie, grzeją się przy piecach, rąbią drwa, kują żelazo.

Szlak stał się szerszy i mniej wyboisty, ale wciąż bardzo stromy; gdzieniegdzie pod świeżym śniegiem można było rozpoznać pozostałości dawnych schodów i słupków podtrzymujących balustradę.

Kacper był już byt wycieńczony, żeby się dziwić albo cieszyć. Chwilami ciemniało mu w oczach, stawiał kroki prawie na ślepo. Ślaniał się, przy każdym oddechu mróz palił płuca. Za cholewy dostało mu się dużo zbitego, mokrego śniegu, ale nawet nie próbował go wygrzebać. Bał się, że jeśli pozwoli sobie na choćby najkrótszy postój, nie zdoła już ruszyć ponownie. Osłabł tak bardzo, że nawet delikatne podmuchy spychały go z prostej drogi. Stracił czucie w stopach. Chwilami nie był pewien, czy wciąż jeszcze idzie, czy tylko wydaje mu się, że przebiera nogami. Rozumiał niebezpieczeństwo; wyczerpany do cna łatwo mógł popełnić błąd, lecz nie miał wyboru. Sen, ogień, ciepłe jedzenie -- na wszystko to mógł sobie pozwolić dopiero po drugiej stronie Grani.

Nagle z trzaskiem ustąpił pod nim lód, prawa noga aż po udo zapadła się w skalną szczelinę. Wyraźnie usłyszał, jak coś chrupnęło w kolanie, i zaraz potem poczuł ból. Nieporadnie próbował się wydostać z pułapki, ale był zbyt słaby, żeby się zaprzeć rękami na śliskiej powierzchni. Powoli, zaciskając zęby, ułożył wygodniej lewą nogę, wykręconą do tyłu przy upadku; potem zwiesił głowę i wbrew wszystkiemu zasnął natychmiast, z czapą zsuniętą na oczy i zamarzającymi pod nosem soplami.

Zbudził go wicher, który targał nim wściekle. Zamieć wpychała do otwartych ust całe garście śniegu, brakowało oddechu, napuchniętą nogę od biodra do stopy przenikał ostry ból.

Przesunął torbę przed siebie i nakrył własnym ciałem, żeby wiatr nie zerwał rzemienia. Jego czapa gdzieś odfrunęła, musiał więc mocniej zaciągnąć pod szyję sznurowanie kaptura. Resztkami siły walczył, żeby wyrwać nogę ze skalnej pułapki. Przy każdym naporze wichru czuł, jakby pękały mu mięśnie i kości. Krzyczał, ale pośród grzmotów i wycia nie słyszał swego głosu.

W końcu z bólu stracił przytomność i zawisł nad przepaścią, nienaturalnie wygięty do tyłu, tłukąc bezwładnymi ramionami o skałę.

Oprzytomniał w ciemnościach, nie od razu zdając sobie sprawę, że ciągle żyje. Zza strzępiastych chmur przezierał księżyc, czarny kontur Krzywego Wierchu zasłaniał dużą połąć nocnego nieba. Wiatr zrywał się jeszcze od czasu do czasu ze świstem, ale zamieć już osłabła, pozostawiając między sterczącymi skałami śnieżne usypiska.

Tkwiał w zaspie po pierś. Nie czuł nic -- ani bólu, ani zimna -- zdał sobie sprawę, że to bardzo niedobrze. Z trudem poruszył ramionami i odgrzebał się z grubsza, strząsając zwały śniegu w przepaść. Żeby zmienić trochę pozycję, musiał chwycić oburącz nogę i przesunąć ją na bok jak zawadzający kloc. Torba była na

miejscu, chyba nienaruszona. Kiedy ją oglądał, niespodziewanie dostrzegł na metalowych sprzączkach jakiś nikły odbłask.

Poderwał głowę, obłoczek gwałtownego wydechu uleciał w górę. O dwa kroki przed nim, tuż nad grzbietem skały, unosił się Świetlik.

Nie był większy od zaciśniętej pięści, kulisty, bladoniebieski, przejrzysty, rozedrgany. Choć wydawał się bardzo zwiewny, opierał się wichurze. Rozsiewał na lodzie bardzo łagodny odbłask, zimny i piękny.

Kacper bezgłośnie wypuścił z płuc powietrze i zamknął oczy. Tylko w ten sposób mógł odwlec zagrożenie -- o minutę, może dwie. Wiedział, że potem lucyferiański blask przeniknie przez jego powieki i wedrze się do źrenic. To nie zaboli; zdradliwa iskierka osiadzie gdzieś w głębi mózgu i przez parę tygodni będzie potężniała w ukryciu, trawiąc nie ciało, ale duszę. Ostatniej nocy przed samozapłonem nad głową pojawi się delikatna poświata, piekielny nimb, zapowiedź rychłego końca, a o świcie nieokiełznany żar dopełni przemiany istoty ludzkiej w coś, czemu przez trzy stulecia nikt jeszcze nie nadał nazwy.

Natychmiast przypomniał sobie szeptane na ucho opowieści o tych nielicznych, którym w podobnym położeniu nie zabrakło odwagi i zdecydowania. Istniała tylko jedna droga ucieczki. Nie czuł żalu. W czasie ostatniej zamieci już zdążył się pożegnać z życiem. Potrzebował jeszcze tylko odrobiny czasu i pewnej ręki...

W chwili, gdy namacał za pasem nóż, zrozumiał, że przegrał. Musiał zadać szybki, bezbłędny cios w szyję albo w serce, a tymczasem nie potrafił nawet zacisnąć na rękojeści sztywnych, zlodowaciałych palców.

Świetlik zbliżył się, zawisł mu tuż przed twarzą. Kacper zaszlochał z bezradności; między splekanymi wargami zaświstał długo wstrzymywany oddech. Przez powieki zobaczył gorejący błękit, wewnątrz czaszki poczuł słabe ukłucie, więcej nic. Znowu zapadła ciemność.

Zwiotczał, bokiem osunął się na skałę. Spojrzał w niebo, próbując odgadnąć, ile czasu pozostało do brzasku. Pragnął jeszcze choć raz zobaczyć słońce, zanim przestanie być panem własnych myśli.

Stał się poczwarką, ogniwem pomiędzy dwiema odrębnymi postaciami tego samego życia. Ani na chwilę nie stracił świadomości, choć zmysły przestały reagować na bodźce ze świata zewnętrznego. Buntował się przeciw temu; wszelkie uczucia -- nadzieja, gniew, wola walki, rozpacz -- nagle stały się nieważne, jakby dotyczyły kogoś całkiem innego. Zachował parę wyblakłych wspomnień, w których ludzie utracili twarze, a słowa znaczenie. Nie miał poczucia straty, nie tęsknił za niczym. Był pewien, że wszystko idzie naturalną kolejną rzeczą. Cały zwrócił się do wnętrza, skupił na samym sobie; przemiana, która się w nim dokonywała, bez reszty pochłaniała jego uwagę.

Płonął od środka, lecz wcale nie pragnął ugasić żaru. Rozumiał, że taki ogień nie niszczy, ale przeobraża. Niecierpliwie wyczekiwał momentu przesilenia, kiedy jasność oślepi go, zagarnie, uniesie. Chciał wyjść z poczwarki jako motyl.

Brutalna, zewnętrzna siła raptownie naruszyła jego spokój. Było tak, jakby ktoś przedwcześnie rozdarł bezpieczny kokon. Próbował się opierać, wymknąć, ale daremnie -- nie potrafił się wzbić do lotu, jeszcze nie zdążyły się ukształtować bezcielesne, świetliste skrzydełka. Płomień zatrzepotał w nim i zgasł. Z ciemności napłynęło zimno, ból i śmiertelne znużenie.

Otworzył oczy prosto na słoneczny blask.



R 2015
RZ

Brat Łukasz, katedralny Bibliotekarz, nie był jeszcze stary, ale nigdy niestrzyżona broda i nieco zamyślane spojrzenie przydawały mu wieku. Choć nosił stary, wypłowiały habit i koślawe buty, skrzypiące przy każdym kroku, taka niedbałość stroju wcale nie czyniła go mniej godnym szacunku. Na jego szyi, obok krzyża, wisiał żelazny klucz od bibliotecznych drzwi. Gdy siadywał w fotelu przy łóżku Kacpra, składając w koszyczek wiecznie poplamione atramentem dłonie albo szeleszcząc kartkami jakichś starych tomiszczy, które przeglądał, wydawał się tak zupełnie oderwany od codziennych spraw, że chłopiec nie miał odwagi nawet głośniej odchrząknąć.

A jednak ledwie poruszył się na poduszkach, Łukasz natychmiast przerywał swoje zajęcia i pochylał się nad nim troskliwie.

-- Boli? -- Podkładał pod unieruchomioną nogę zwinięty koc, badawczo dotykał czoła chorego. -- Jeśli gorączka nie wróci, będziesz mógł powoli zacząć wstawać. Jeszcze trochę cierpliwości.

Z początku nie rozmawiali wiele -- właściwie nie mieli o czym. Kacper cierpiał, napuchła w kolanie noga dokuczała mocno. Nocami majaczył, zrzucił z rozpalonego ciała przepocony koc, za dnia patrzył godzinami na wąski wycinek nieba w jedynym oknie. Nie chciał jeść, ale mnich potrafił cierpliwym uporem przekonać go, by przełknął choć parę łyżek ciepłej stawy.

-- Biskup osobiście powierzył cię mojej opiece. -- Uśmiechnął się, mrużąc zaczerwienione od czytania w słabym oświetleniu oczy. -- Jeśli szybko nie nabierzesz sił, będę miał kłopoty.

Chłopiec nie rozpamiętywał wyprawy na Grań, nie myślał o śmierci, która krążyła wokół niego z wyciem nocnego wichru. Wspominał światło, które utracił. Pozostało po nim w duszy puste, wypalone miejsce -- mroczna wyrwa, która nie zablizniła się jeszcze, nie dawała o sobie zapomnieć niczym ćmiący ból.

Wstydział się takich myśli, wiedział, że są grzeszne, ale nie umiał się od nich uwolnić. Chwilami przypuszczał, że to początek szaleństwa. W osadzie czasem słyszało się o ludziach, którzy pomyślnie przeszli próbę świętego Jerzego, ale potem nie byli już w stanie wrócić do normalnego życia. Pili na umór, zaniedbywali rodziny, a niektórzy po prostu porzucali chaty i samotnie wyruszali w doliny.

-- Nie dręcz się tym. -- Łukasz któregoś dnia odstawił parującą miskę zupy i z bliska zajrzał chłopcu w oczy. -- Ta tęsknota kiedyś minie, trzeba tylko czasu.

Onieśmielony Kacper uciekł wzrokiem na bok; nie przypuszczał, że mnich może tak dobrze wiedzieć, co się z nim dzieje. Nic nie odpowiedział, ale od tego dnia udręka stała się jakby odrobinę łatwiejsza do zniesienia.

Zaczął żywiej interesować się otoczeniem. Zwrócił uwagę na ściany niewielkiej izby wzniesione z tak równo ociosanych kamieni, że w szparach nie trzeba było upychać mchu. Nie miał pojęcia, że tak dokładna obróbka jest w ogóle możliwa; w jego rodzinnym domu żaden kąt nie był prosty. Leżał pod miękkim i

lekkim okryciem, nigdy wcześniej nie dotykał tak delikatnej tkaniny. Nawet świece w lichtarzu były długie i proste, a nie z grubsza toczone, jak w kościółku osadników. Gdy młody zakonnik wieczorami otwierał okno, żeby przewietrzyć pomieszczenie przed snem, za każdym razem z zewnątrz dobiegał zmieszany gwar wielu głosów, jakby nieustannie tam wiecowano albo się bawiono.

Zdał sobie sprawę, jak niewiele w gruncie rzeczy wiedział o Krzywym Wierchu. W osadzie rozmawiano na ten temat rzadko i raczej niechętnie; sąsiedni szczyt, widoczny tylko podczas pięknej pogody był obcym, niedostępnym światem. Z bliska oglądali go tylko gońcy, a przecież z nimi porządni ludzie nie zadawali się bez konieczności. Był jeszcze staruszek proboszcz, lecz z kolei jego opowieści, pełne grozy, zawiedzionych nadziei i złych przeczuć, tak bardzo przypominały cotygodniowe kazania, że nikogo nie mogły zaciekawiać.

Łukasz był jedynym gościem, który pojawiał się w izbie chorego. Spędzał tutaj większość czasu, jadł, czytał, modlił się, nawet sypiał w fotelu, opierając głowę o rzeźbione oparcie. Pielęgnował gońca wytrwale, bez śladu zniecierpliwienia na szczupłej, zarośniętej twarzy, ale nigdy nie narzucał swojego towarzystwa. Jego milcząca obecność nie była krępująca, potrafił wtopić się w ciszę jak cień na ścianie.

Czas płynął -- dnie i noce różniły się tylko barwą spłachetka nieba za oknem. Kolano wreszcie przestało pobolewać i Kacper postanowił wstać. Nie obudził mnicha, który drzemał nad otwartą księgą. Usiadł, rozciął przytrzymujące łupki rzemienie i ostrożnie opuścił wychudzoną nogę na podłogę. Ucieszył się, poczuwszy pod stopą chłód kamienia; znowu zachciało mu się żyć.

Zdołał przejść tylko dwa kroki -- przy trzecim osłabiona noga ugięła się, jakby wcale nie było w niej kości.

Łukasz natychmiast znalazł się przy nim i objąwszy w pól, podprowadził do parapetu.

-- Powolutku, jeśli nie chcesz połamać się na nowo. -- Pchnął okno, wpuszczając mroźny powiew, i sięgnął do stołu po kubek z kumysem.

Kacper wypił do dna, odetchnął głęboko i niepewnie oparł łokcie na parapecie.

-- Odpocznę trochę i spróbuję znowu...

-- Nie tak od razu. Co prawda wyglądasz dużo lepiej niż w dniu, kiedy cię tu przyniesiono, ale to jeszcze nie znaczy, że wszystko ci już wolno.

Kacper przymknął oczy; zawirowało mu w głowie od napitku i wysiłku.

-- Jak to było? -- Po raz pierwszy, drżącym głosem, zapytał o tamtą burzliwą noc. -- Nic nie pamiętam.

-- Miałeś naprawdę wiele szczęścia. Biskup był uprzedzony, że idzie goniec. Kazał dniem i nocą obserwować Grań z najdalej wysuniętej strażnicy. Nie widzieli cię w zadymce, ale dostrzegli światło Lucyfera. Myśleli, że już po tobie, taka burza nie zdarzyła się od wielu tygodni. Rankiem poszli cię szukać. Szczelina, w której uwięzła twoja noga, okazała się zbawienna, bo dzięki niej Świetlik nie mógł zmusić cię do szukania kryjówki przed słońcem. Walczyłeś z całych sił, żeby się uwolnić, cały czas byłeś w ruchu, dlatego nie zamarzłeś. Ocalił cię brzask.

-- Myślałem, że tylko próba świętego Jerzego może wyzwolić od demona...

Mnich roześmiał się z cicha, chowając dłonie w szerokich rękawach habitu.

-- W niektórych osadach ludzie trzymają się tego obyczaju, ale tak naprawdę nie chodzi o wizerunek świętego na witrażu, ale o słońce. Światło przenikające przez barwione szkiełka działa łagodniej, demon nie ginie tak gwałtownie i czasem udaje się uratować człowieka, który został niedawno opętany. Ciebie Świetlik

usidlił na krótko, ledwie na parę godzin, a ponieważ jesteś młody i silny, obyło się nawet bez uszkodzenia wzroku.

Kacper wspiął się na palce, żeby wyjrzeć przez okno, ale poprzez mętne szkło zobaczył tylko plamy bieli i szarości. Bibliotekarz pchnął ciężką, drewnianą ramę, a wtedy przytłumione odgłosy codziennej krzątania, szmerzące na zewnątrz, nagle buchnęły z pełną siłą. Chłopiec złapał obiema rękami za oblodzoną krawędź parapetu po tamtej stronie i podciągnął się wyżej, z dreszczem ulgi wystawiając twarz na mroźny powiew. Minęła dłuższa chwila, nim ochłonął na tyle, żeby spojrzeć w dół.

Potrząsnął głową zbyt zdumiony, żeby powiedzieć cokolwiek.

Zobaczył strome dachy -- całe setki, tysiące, kryte blachą albo czerwoną dachówką, wypełniające szalenie ogromną przestrzeń łagodnego zbocza. Śnieg zalegał wąskimi paskami na kalenicach; z kominów ulatywał siwy dym, rozmywając się w błękicie. Miasto oplątywała gęsta sieć ulic, zaułków i podwórz, wysypanych popiołem chodników, krytych rynsztoków, długich kolein wyżłobionych płozami nieustannie przemykających sań. Ponad monotonne brzęczenie ludzkich głosów od czasu do czasu wybijały się gwałtowne odgłosy psich utarczek.

-- Tutaj chyba każdy dom jest większy od naszego kościoła! -- wykrztusił wreszcie.

-- Najstarsza część miasta powstała w pierwszym dwudziestoleciu po Upadku, kiedy ludzie potrafili jeszcze porządnie budować. Nowsze dzielnice niewiele różnią się od myśliwskich osad. Dalej, za murami, są już tylko wielkie zagrody dla kóz i chaty hodowców.

Goniec zmrużył oczy, żeby lepiej przyjrzeć się szarzejącej w oddali, półkoliście wygiętej linii umocnień, poza którą błyszczało gołe zbocze. Wiedział, że kamienny pierścień z dwiema przeciwległymi bramami opasuje cały wierzchołek Krzywego Wierchu, wyznaczając granicę terytorium, które ludzie wciąż jeszcze uważali za swoje.

Kiedy uzmysłowił sobie rozmiar tych fortyfikacji, poczerwieniał z wrażenia.

-- Chyba musiały pracować przy tym tysiące ludzi?

-- Dopóki mieli maszyny i paliwo do nich, żadne wyzwanie nie było zbyt trudne.

-- Ale po co to wszystko? Przecież niedźwiedzie i wilki nie podchodzą tak wysoko.

-- Wtedy, trzysta lat temu, świat wyglądał zupełnie inaczej. W czasie Upadku i zaraz po nim wyginęła większość ludzi, ale przecież nie wszyscy. Byli tacy, którzy nie chcieli uciekać w góry, nie wierzyli w najgorsze. W rozproszonych grupach, wkopani głęboko w ruiny wypalonych miast, przetrwali pożary, huragany i powódzie. Kiedy niebo wreszcie oczyściło się z pyłu i po trzyletniej nocy znowu wzeszło słońce, nabrali wiary w lepszą przyszłość. Myśleli, że najgorsze za nimi. -- Łukasz stał wyprostowany, patrząc ponad głowę chłopca w dal, w białą pustkę. -- Ale wtedy nad morzami pokazały się Świetliki, niebawem zapłonęli pierwsi opętani. Ludzie powoli zaczęli rozumieć, z czym mają do czynienia i co ich czeka. Zapanowała rozpacz, a rozpacz bez nadziei łatwo przemienia się w szaleństwo. To właśnie w tamtych czasach powstał mur. Nie przeciw drapieżnikom, ale dla obrony przed zdziczałymi ludźmi, którzy ze strachu gotowi byli na każdą zbrodnię.

-- Nie rozumiem... -- szepnął Kacper. Nigdy wcześniej nie zastanawiał się nad tym, jak wyglądało przeobrażenie świata ze starej postaci w nową. Czasami nawet wątpił, czy ten utracony raj, o którym tak często wspominał proboszcz, rzeczywiście kiedykolwiek istniał.

-- Roje Świelików rozprzestrzeniały się nieustannie, w ślad za tłumami uchodźców. Zagarnęły morskie wybrzeża, potem rozległe niziny. Tereny, na których ludzie mogli jeszcze przeżyć, skurczyły się tak bardzo, że przypominały wyspy na wymarłym morzu. Ci, których nie zabił wcześniej mróz, głodne zwierzęta albo Lucyfer, dotarli w końcu do podnóży gór, ale i tutaj któreś nocy zaświeciły błękitne ognie. Rychło przekonali się, że ostatnim bezpiecznym schronieniem są wierchy, bo Świeliki nie potrafią wlatywać tak wysoko... -- Mnich milczał przez chwilę, przygryzając wargę. -- Cóż, kiedy od paru lat mieszkali już tutaj nasi przodkowie, przezorniejsi od innych, przyjęli tylu zbiegów z nizin, ilu mogli. Kiedy zaczęło brakować miejsca i pożywienia, musieli zamknąć bramy. To były najtrudniejsze lata, gorsze nawet od samego Upadku... Ale nie było innego wyjścia. Śnieg po tamtej stronie co dzień czerwienił się świeżą krwią.

Kacper nie miał już odwagi zadawać dalszych pytań. Żałował, że wplątał się w tę rozmowę o dawnych czasach, kiedy nagle świat stał się zbyt ciasny, by pomieścić wszystkich, którzy chcieli żyć. Przemknęło mu przez głowę, że niewiedza czasem bywa lepsza od mądrości.

-- No! -- Łukasz klasnął energicznie, jakby chciał rozpędzić ponure myśli. -- Wystarczy tego. Nie stój na wietrze, bo się przeziębisz.

Chłopiec nie cofnął dłoni, nie pozwolił zamknąć okna. Po dłuższej przerwie słońce znowu wychyliło się zza chmur. Zbocze przeciął bardzo długi, wąski cień, sięgając spiczastym wierzchołkiem najodleglejszych dzielnic miasta.

-- Czy to wieża katedry? -- sapnął głośno ze wzruszenia; nagle zdał sobie sprawę, dlaczego ogląda wszystkie dachy z góry.

-- Zgadłeś. Sygnalizatornia jest na samej górze. -- Mnich z uśmiechem wskazał kciukiem na sklepienie izby. -- Możesz być dumny, nie każdemu gońcowi sam biskup udziela gościny. Zasłużyłeś sobie na specjalne względy.

Kacper zrobił krok w tył. Miał wrażenie, że długi cień jest żywą istotą, która znajduje przyjemność w gaszeniu słonecznych rozbłysków na dachach.

-- Słyszałem, że ta wieża sięga chmur. -- Bezwiednie wtulił głowę w ramiona.

-- Zaprojektowano ją w taki a nie inny sposób, żeby sygnały były widoczne z odległości setek kilometrów. Początkowo światło miało wskazywać drogę wszystkim, którzy zbłądzili na dole. Wieża była znakiem nadziei, że nie wszystko stracone. Dzisiaj zaledwie na kilkunastu okolicznych szczytach żyją ludzie, którzy mogą ją dostrzec w ciemnościach i odpowiedzieć własnym mruganiem. Czym będzie w przyszłości -- kto wie? Może tylko pamiątką po nas samych, póki nie rozpęta się burza na tyle potężna, żeby zwalić ją na opustoszałe miasto.

Kacper zagubił się zupełnie; nie potrafił już rozpoznać, czy mnich chwali dokonania przodków, czy je potępia. Poczł się osamotniony, jakby nagle zakazano mu wstępu pod którykolwiek z tych spadzistych, czerwonych i srebrzystych dachów. Miał przeczucie, że wcale nie znalazł się u kresu drogi, ale na początku.

Ciszę przerwało głośne pukanie. Bibliotekarz otworzył drzwi, poszeptał chwilę z kimś niewidocznym w półmroku, a potem odwrócił się i wyciągnął do chłopca dłoń.

-- Biskup prosi.



Długa jak ulica, sklepiona wysoko ponad głową główna nawa katedry olśniewała ogromem i jednocześnie lekkością, jakby całą tę strzelistość podtrzymywało jedynie rusztowanie wzniesione ze światła, którego wielobarwne promienie przenikały przez smukłe witraże. Szare mury, szeregi zdobionych filarów, potężny głos dzwonu, od którego zdawały się drżeć płomyki setek świec w lichtarzach -- wszystko to olśniewało chłopca do tego stopnia, że co parę kroków potykał się na równej posadzce. Musiał przejść od ciężkiej, dwuskrzydłej bramy aż do oświetlonego rzęsiście ołtarza, między rzędami drewnianych ławek wypełnionych tłumem pobożnych, a może tylko ciekawskich mieszczan, którzy odprowadzali go wzrokiem.

Gdyby nie wsparcie kroczącego obok Łukasza, Kacper chyba by upadł. Grube kolumny chwiały się wokół niego, rozgorączkowane szepty i świst wiatru na zewnątrz zlewały się w jeden monotony szum. Pod pachą dźwigał książki; w czasie gdy powracał do zdrowia, oprawiono je w skórę, okuto na rogach i wyłoczono tytuły.

Kiedy dotarł w końcu do podwyższenia ze złożonym tronem, gdzie w purpurze zasiadał biskup, zupełnie nie wiedział, jak się zachować, choć przecież proboszcz starannie przygotował go na tę chwilę.

-- Klęknij i ucałuj pierścień -- szepnął Łukasz.

Ujął za końce palców suchą, ascetyczną dłoń biskupa i musnął wargami kamień pierścienia. Nie podniósł głowy, dopóki nie usłyszał cichych, przyjaznych słów:

-- Wybacz tę pompę, chłopcze. Ja sam także jestem niewolnikiem ceremoniału.

Zaskoczony spojrział w górę. Biskup dodawał mu otuchy uśmiechem wąskich, fioletowych warg.

-- Bóg czuwał nad samotnym pielgrzymem, Ekscelencjo -- wyrecytował zwyczajową formułkę. -- Niech ta mała cząstka mądrości przodków, jaką przynoszę, okaże się pożyteczna dla nas wszystkich.

Położył książki na kolanach hierarchy, a ten podziękował skinieniem głowy.

-- Brat Łukasz twierdzi, że biblioteka od lat nie wzbogaciła się o tak cenne tomy, a jemu w tych sprawach należy wierzyć. -- Duchowny pochylił się nieco, przymrużając jedno oko. -- Czasem podejrzewam nawet, że on bardziej kocha książki niż ludzi.

Kacper odprężył się nieco i przestał myśleć o setkach natarczywych spojrzeń, które śledziły każdy jego ruch. Spodobał mu się ten człowiek, który potrafił łączyć dostojeństwo urzędu z otwartością w zachowaniu. Był stary, ale nie tak jeszcze zgrzybiały jak proboszcz; w pomarszczonej, zwiędłej twarzy oczy lśniły wręcz młodzieńczym wigorem. Gdyby nie mitra i pastorał, którego nie wypuszczał z dłoni, mógłby chyba zasiąść w kuźni pośród starszyny i bez zgorszenia słuchać wieczornych opowieści osadników, surowych jak góry, często krwawych, zabobonnych albo sprośnych.

-- Ukłoń się i chodź za mną. -- Mnich dyskretnie, ale mocno ujął chłopca pod łokieć.

Zasiedli w bocznych ławach, rozstawionych z obu stron ołtarza, które zajmowali ważniejsi duchowni i członkowie miejskiej Rady. Kacper wreszcie mógł się ukryć za plecami innych; gdy rozpoczęło się nabożeństwo, przestał skupiać na sobie uwagę zebranych. W zachwycie chłonał uroczystą liturgię, jakiej w osadzie nie widywał nawet na Wielkanoc. Śpiew chóru, błyski w wyszywanych złotą nicią szatach celebransów i kadzidlane wonności trafiały do wszystkich zmysłów, wywierając wrażenie nieprzemijającej mocy, której nic nie może złamać. Dopiero tutaj, w grubych, wyłożonych białym wapieniem murach katedry, wobec jasności bijącej od ołtarza, zaczynał rozumieć, czym naprawdę jest pamięć o przeszłości sprzed Upadku. Codzienne sprawy myśliwych, złomiarzy, tkaczy, mcharzy i wszystkich innych, którymi żyła osada, nagle wydały mu się mało ważne i wstydliwie przyziemne wobec przedsmaku wieczności,

jakiego właśnie doświadczał. Wiedział już, dlaczego proboszcz tak często wpadał w gniew albo smutek, przypatrując się od półwiecza życiu osadników. Staruszek zachował przecież wspomnienie Krzywego Wierchu, tym żywsze, im bardziej odmienne od tego wszystkiego, co go otaczało. Był świadkiem upadku ducha, spopielenia marzeń, zdziczenia obyczajów; próbował z tym walczyć, zestarzał się pośród nieustannych zmagani -- i przegrał.

-- Nie śpij! -- Łukasz kolnął chłopca chudym łokciem w zębra.

Nic nie mógł poradzić na to, że broda coraz częściej opadała mu na pierś. Nie odzyskał jeszcze w pełni sił, wyczerpał go nadmiar wrażeń, usypiało ciepło niezliczonych świec. Wstawał i klękał, kiedy trzeba, reagował na szturchnięcia mnicha, ale niewiele już rozumiał z tego, co działo się przy ołtarzu. Było mu dobrze; pomimo zmęczenia mile łechtało go odkrycie, że długa droga przez Grań była ważna nie tylko dla Miry i dla niego samego, lecz także dla tych wszystkich obcych ludzi, którzy wypełniali katedrę śpiewem.

Drgnął, gdy przebrzmiała wielogłosowa pieśń i znowu usłyszał głos biskupa; rozpoczęło się kazanie. Nie było już w nim tego żartobliwego, swobodnego tonu, mocne słowa dźwięczały między filarami w nienaturalnej ciszy bez szelestów i pokasywań. Kacper skupił całą uwagę.

-- Wiele dni czekaliśmy na chwilę, w której znowu możemy powitać u stóp ołtarza gońca i z wdzięcznością przyjąć od niego dar jednej z osad. Przyszedł do nas, chociaż jest bardzo młody i nigdy wcześniej nie opuścił rodziców. Przyszedł po Grani, przez głębokie śniegi, przez zamiecie, przez noc. Przyszedł, chociaż drogę zastąpił mu sam Lucyfer. -- Mówca na chwilę zawiesił głos, podjął mocniej: -- Przyszedł, bo tam, gdzie jest opieka Boża, nie ma nic niemożliwego. To stara prawda, przekazywana z pokolenia na pokolenie, dzięki której mogliśmy przetrwać twardą, trzechsetletnią próbę. Cieszymy się z tej łaski, moje dzieci. Cieszymy się, póki możemy, bo to już ostatni goniec, którego przyjmujemy, i ostatnie książki.

Gdzieś po tylnych rzędach przebiegł szmer szeptów, ale urwał się natychmiast, gdy biskup spojrział w tamtą stronę. Kacper widział teraz jego twarz z boku; pozostała spokojna, choć na pobrużdżone policzki z wolna występowały rumieńce.

-- Nastal czas, który przepowiadali wszyscy dawni mędrzy. Mogliśmy mieć nadzieję, że to stanie się później, nie za naszych dni, ale teraz już nie ma wątpliwości, że to właśnie na nasze pokolenie przypadną dni ostateczne, dni doskonalenia mocy w słabości, oddzielenia ziaren od plew. Świetliki, które przed trzema wiekami były jeszcze nieliczne i przemykały nisko nad ziemią, z upływem lat rozpleniły się po całym świecie, nabierały sił i wlatywały coraz wyżej, a w ostatnich dniach widywano je na Grani i pod samymi murami miasta. Wiem, że bardzo wielu spośród was sądziło, że to się nigdy nie stanie. Przywykliście do życia w nędzy, w upodleniu, osaczeni przez Lucyfera, którego Pan stracił z wyzyn. Byli i tacy, którzy mawiali po cichu, że świat jest wystarczająco wielki dla niego i dla nas. Zapomnieli o pierwszych, strasznych latach po Upadku, wrosli w tę jałową ziemię, pobudowali się i z biegiem czasu zaczęli ulegać złudzeniu, że osiedliwszy się na szczytach gór umknęli przed najgorszym. -- Powoli pokręcił głową. -- To błąd, moje dzieci. Od demona nie ustrzegą was ani wysokie zbocza, ani mury miejskie, ani zabobony. Może was ocalić tylko prawdziwa, niewzruszona wiara, taka sama, która przeprowadziła tego odważnego chłopca przez Grań. Kto jej nie ma, ten zginie, choćby był najbogatszy i najmężniejszy.

Wychylił się ambony, jakby chciał zajrzeć w twarze ludzi siedzących w pierwszych ławkach. Ściszył głos, a mimo to słuchaczom nie umknęło ani jedno słowo.

-- Nakazuję zamknąć obie bramy. Od dzisiaj nikt nie wejdzie do miasta ani z niego nie wyjdzie. Przed nami najtrudniejsza próba. Nie wiem, jak długo to potrwa, lecz jednego bądźcie pewni -- przetrwają tylko najwierniejsi.

Kacper siedział jak skamieniały. Bardzo powoli docierał doń sens ostatnich zdań tego niezwykłego kazania. Gdy biskup schodził z ambony, postukując pastorałem, chłopiec zasłabł i osunął się cicho w ławie.

Wyniesiono go półprzytomnego do chłodnej zakrystii i położono na twardej kamiennej ławie. Szybko doszedł do siebie, ale nie od razu otworzył oczy, nasłuchując przytłumionych odgłosów nabożeństwa i krzątający Łukasza, który brzdąkał jakimiś naczyniami; poza mnichem nie było przy nim chyba nikogo. Gdy dobiegł go plusk przelewanej wody, podniósł się cicho i rozejrzał, próbując ustalić, gdzie jest drugie wyjście. Nim spostrzegł właściwe drzwi, stanął przed nim mnich z kubkiem w dłoni.

-- To wino pół na pół z wodą. Zapewne nie próbowałeś tego jeszcze, u was nie ma przecież szklarni. -- Uśmiechnął się z zakłopotaniem. -- Właściwie służy tylko do liturgii, ale biskup cię ceni, więc nie powinien się gniewać. Wypij, poczujesz się lepiej.

Napitek miał nieco cierpki smak, ale za to już po paru łykach ustąpiły dreszcze i nieprzyjemne kołatanie w głowie. Kacper wysiorbał do dna, myśliwskim obyczajem wytrząsnął ostatnie krople na ziemię i odstawił kubek na ławę.

-- Chcę wyjść -- mruknął.

-- Dobrze, zaraz pójdziemy. Ta część ceremonii, przy której musiałeś być obecny, już się zakończyła.

-- Nie potrzebuję dłużej twojej opieki.

-- Owszem, potrzebujesz. -- Łukasz skrzyżował ramiona i nieznacznie zmrużył oczy. -- Po dzisiejszym kazaniu biskupa w mieście będzie duże poruszenie. Na pewno znajdą się różni mąciociele. Może dojdzie do starć ze strażnikami przy bramach. W takim tumultie łatwo dostać po głowie.

-- Poradzę sobie.

-- Sam nigdzie nie pójdziesz, odpowiadam za twoje bezpieczeństwo.

-- A więc będziesz musiał zatrzymać mnie siłą. -- Kacper ruszył do wyjścia. Położył już dłoń na klamce, gdy zza pleców dobiegły go ciche słowa:

-- Co mam odpowiedzieć twojemu bratu, kiedy zapyta, dlaczego nie potrafiłem cię ustrzec?

Chłopiec nie nacisnął klamki, odwrócił się szybko.

-- Skąd wiesz, że mam brata? -- zapytał zmieszany.

-- Znam go dobrze od kilku lat, chociaż nigdyśmy się nie spotkali. Niewiele osad może pochwalić się tak dobrym sygnalistą.

-- Mrugałeś z nim? -- Zdumiony Kacper potrząsnął głową. -- Czy na Krzywym Wierchu zajmują się tym mnisi?

-- Na szczycie katedralnej wieży zbiegają się nitki światła z całych gór, gdziekolwiek żyją ludzie. To węzeł, który wiąże nas wszystkich w jedną owczarnię... -- Zawahał się, jakby nie był pewien, czy może mówić otwarcie. -- Obawiam się, że niedługo sygnalizatornie w osadach zaczną stopniowo gasnąć. Wszędzie Lucyfer podchodzi pod same wierchy. Nocami ze wszystkich stron widać tylko sygnały alarmowe. Kiedy nad górami zapanuje mrok, przestaniemy być Ludem Bożym, zamienimy się w gromady wrogich sobie nawzajem, przerażonych zbiegów.

Młody goniec nieoczekiwanie odnalazł w tych smutnych słowach krzepiącą pewność, że wcale nie jest tak osamotniony, jak dotychczas sądził.

-- Rozmawialiście o mnie ze Stachem? -- Zawstydzony błędnym spojrzeniem po kątach zakrystii.

-- Wiele razy. Kiedy wyruszyłeś na Grań, prosił, żebym się tobą zajął. W krótkich przekazach świetlnych nie mógł zawrzeć wszystkiego, ale domyślałam się, że twój brat widzi w tobie spełnienie własnych marzeń, które dla niego samego nigdy się nie ziszczą.

-- Nie mówił mi nic takiego...

-- Wcale mnie to nie dziwi. Między braćmi często trudniej o szczerość niż między obcymi.

Nawa katedry huczała ostatnimi pieśniami nabożeństwa. Kacper obejrzał się na drzwi, w rozterce przestąpił z nogi na nogę.

-- Co to za marzenia? -- spytał.

-- Chętnie ci o nich opowiem, jeśli tylko jesteś gotów jeszcze przez jakiś czas znosić moje towarzystwo - zawiesił głos, a gdy chłopiec po chwili skinął głową, dokończył weselszym tonem:

-- Nawet nie wiesz, jak bardzo przypominasz brata w uporze. Z nim udało mi się porozumieć, a więc wierzę, że z tobą nie będzie inaczej. Chodźmy, zaraz robi się tutaj tłoczno.

Gmach biblioteki wznosił się po drugiej stronie placu katedralnego. Masywny czworobok z blankowanymi wieżyczkami nad każdym z narożników i zakratowanymi oknami bardziej przypominał twierdzę niż przybytek wiedzy. Musieli się przecisnąć przez niespokojny tłum, który już zaczynał wylewać się z kościoła. Prysł odświeżony nastrój, wokół widzieli same smutne, gniewne albo przestraszone twarze.

Na schodach u wejścia do biblioteki stali dwaj strażnicy w rozpiętych skórzanych płaszczach, z okutymi pałkami w dłoniach. Spozierali badawczo na Kacpra, ale w milczeniu rozstąpili się przed mnichem, który żelaznym kluczem otworzył drzwi.

W ciemnym wnętrzu, przesyconym kwaśnym zapachem starego papieru, kurzu i łożowych świec, nie było słyhać ulicznego zgiełku. Łukasz poprowadził chłopca wśród wysokich regałów o półkach uginających się pod ciężarem tysięcy tomów; co rusz mijali rozstawione drabiny. W ogromnej sali byli chyba sami. Kroki stukwały głucho na deskach podłogi. Pod szarzejącymi zmierzchem oknami stały zydle i pulpity do czytania.

Kacper miał osobliwe wrażenie, że to dziwne, duszne miejsce w jakiś sposób pozostaje poza zwykłym biegiem codziennych spraw, nie tylko dzięki grubym murom i strażnikom przed drzwiami. Czuł się tak, jakby stapał po uświęconej ziemi, gdzie prawo wstępu mają tylko wybrani.

-- To mój ulubiony kącik. -- Mnich wskazał kamienne siedzisko w głębokiej okiennej wnęce, przykryte wygniecioną poduszką. -- Przez kanał grzewczy pod podłogą idzie gorące powietrze.

-- Ile potrzeba drewna, żeby utrzymać ciepło w takiej wielkiej izbie?

-- Ani szczapki. Wykorzystujemy ten sam podziemny żar, który u was pozwala wegetować w Rozpadlinie mchom i porostom. Ogrzewamy w ten sposób całe śródmieście, także szklarnie. Wszystko to powstało dawno, dawno temu, do dziś nie zachowały się nawet plany. Gdyby wydarzyła się jakaś większa awaria, bylibyśmy zupełnie bezradni. Siadaj! -- Poprawił poduszkę. -- W pogodne dni można tu swobodnie czytać przy świetle słonecznym. Bywa, że spędzam tutaj całe godziny, zapominając o śnie i jedzeniu. Zaczekaj, coś ci pokażę.

Chłopiec usiadł i odwracając się, wyjrzał przez okienko. Na zewnątrz szybko zapadał wieczorny zmrok, ale dostrzegał przez małe, kwadratowe szybki odblask ogni na zaśnieżonym placu; słyszał krzyki i przekleństwa, brzęk tłuczonego szkła, szczucie psami.

-- Do rana wszystko powinno się ułożyć. -- Łukasz wrócił pomiędzy regałów, dźwigając grubą księgę. -- Nie zważaj na to. Ludźmi kieruje teraz rozpacz i strach, choć tak naprawdę nie mają przecież nic do stracenia. Zrozumieją to w końcu, a wtedy zapanuje spokój.

Kacper przylgnął czołem do szyby. Widział tylko przemykające cienie, czasem błysnęło czerwienią zachodu okucie wzniesionej pałki.

-- Powinienem być teraz ze swoimi... -- szepnął.

-- Tam, w osadzie, mógłbyś tylko czekać na to, co nieuniknione. Tutaj może od ciebie zależeć więcej, niż przypuszczasz. Spójrz... -- Mnich położył mu na kolanach otwartą księgę, zapalił świecę i zbliżył lichtarz. -- Poznajesz?

Te stronicę wyglądały inaczej niż w książkach, które Kacper widywał u Stacha. Czarne szlaczki druku zajmowały niewiele miejsca u dołu kart -- resztę papieru pokrywały wielkie, kolorowe ilustracje, tak wyraźne, tak szczegółowe, że wyglądały jak okna na inną, lepszą, bajkową rzeczywistość. Chłopiec wiedział, czym są fotografie, widywał je w książkach, które trafiały czasem w ręce Stacha -- ale tym razem aż stęknął z wrażenia.

Na największej z nich zobaczył górski stok, bezśnieżny, rozsloneczniony, cały kosmaty od żółtozielonej trawy. Gdyby nie kształt skalistego szczytu, który wznosił się powyżej, nie odgadłby, że to fotografia jego rodzinnych stron. Było pusto, na całym rozległym zboczu nie dostrzegł ani jednej chaty. W miejscu, gdzie powinien być kościół, w kępie kwitnących krzewów stała jedynie maleńka kapliczka. Nawet otwór kuźni wyglądał inaczej, częściowo zasłonięty liściastymi koronami młodych brzoźek.

-- Myślałem, że tak jest tylko w raju... -- Bał się dotknąć poślizgniętych przy krawędziach stron, żeby nie zostawić na nich odcisków brudnych palców.

-- To świat nieskażony Upadkiem. Taki, jakim Bóg stworzył go dla nas. Ciepły, cudowny, żyzny, obfitujący we wszelkie bogactwa. Żyło wtedy wiele wspaniałych zwierząt, które potem wygubiły mrozy, a ich miejsce zajęły inne, przybyłe z północy albo uwolnione z klatek i zamkniętych wybiegów. Rozmnożyły się w martwym lesie i dzisiaj ludziom wydaje się, że były tutaj od zawsze. -- Łukasz położył dłoń na głowie chłopca, ściszył głos. -- Ale przeszłość nie umarła bezpowrotnie. Nadejdzie taki czas, kiedy stopnieją śniegi, miękka ziemia zacznie rodzić i świat znowu nabierze barw.

-- Kiedy to się stanie?

-- Tego nikt nie wie. Może za tysiąc lat, a może szybciej, niż się spodziewamy. Ludzie przystosowali się do tej długiej zimy, nie wyginęli, ale co zrobią, gdy na rzekach zacznie wreszcie pękać lód? Wyjdą ze swoich nędznych kryjówek, lecz czy będą umieli na powrót stać się gospodarzami na nizinach? Czy podniosą z ruin miasto w dolinie? -- Odwrócił kartę księgi i Kacper zobaczył teraz szeroką ulicę, kolorowe pojazdy, lekko ubranych ludzi na chodnikach, szpalery żywych drzew i błyszczące witryny sklepów. -- Jeśli nie odtworzymy tego wszystkiego, nie wskrzesimy dawnej wiedzy, lepiej będzie, żeby do szczętu wypalił nas ogień.

-- Ale jak to zrobić? -- Chłopcu było na przemian gorąco i zimno. Ta wizja jednocześnie olśniła go i przeraziła.

Mnich wyprostował się gwałtownie i uniósł lichtarz ponad głowę, wsączając pomiędzy regały trochę światła.

-- W pierwszych latach po Upadku nie przywiązywano do książek znaczenia. Dopiero z czasem zaczęto gromadzić je w bibliotece. Pod tym dachem zebraliśmy całą mądrość przodków, którą udało się ocalić. Może się wydawać, że to zbyt mało, aby ożywić przeszłość, ale ja wierzę w potęgę człowieczego umysłu. Ta biblioteka jest iskrą, która w odpowiednim czasie wznieci pożar! -- mówił teraz głośno niczym kaznodzieja, potrząsając lichtarzem. -- To skarb, którego musimy strzec za wszelką cenę, bo inaczej zerwie się nic, która łączy to, co było, z tym, co nadchodzi. Każdy, kto poświęci się takiej służbie, przeciera ścieżki do nowych czasów. Najpewniejszym schronieniem dla skarbu mądrości są ludzkie umysły... -- urwał nagle, sapał przez chwilę w uniesieniu, a potem zdmuchnął świecę i pochylił się nad Kacprem. -- Twój brat zrozumiał to lepiej niż inni. Jestem pewien, że chętnie oddałby połowę życia, żeby być teraz na twoim miejscu. Kiedy tylko nauczył się czytać, poczuł głód wiedzy, który nie opuści go już nigdy.

-- Więc dlaczego nie przyszedł na Krzywy Wierch?

-- Bo tam, gdzie jest teraz, czeka na niego ważniejsze zadanie. Jednak ty masz wybór. Możesz odejść, nie zatrzymam cię siłą, ale możesz też zostać, żeby się uczyć.

Chłopiec czuł na kolanach ciężar księgi. Było teraz zbyt ciemno, aby mógł dostrzec ilustracje, ale pod jego przymkniętymi powiekami nie przestawały pulsować soczyste barwy innego świata.



Nie porzucił myśli o powrocie do swoich, ale nie buntował się już; pogodził się z tym, że nie nastąpi to wcześniej niż na wiosnę. Przewidywał, że do tego czasu wygasną wszelkie niepokoje w mieście i bramy znowu staną otworem -- a jeśli nie, znajdzie się przecież jakiś sposób, aby pokonać mury. Tymczasem rozsądek nakazywał przyjąć zaproszenie Bibliotekarza i przeczekać zimę w szkole.

Czuł się dziwnie, gładząc dłonią wystrzyżoną do gołej skóry czaszkę i przywdziewając zbyt obszerny habit z szorstkiej wełny, choć mnich wytłumaczył mu, że ten strój nie oznacza konieczności przyjęcia święceń.

-- To tylko zewnętrzna oznaka przynależności do naszej wspólnoty. -- Łukasz pomógł mu się opasać węzlastym sznurem. -- Noś tę szatę z dumą. Nie każdy może być uczniem szkoły katedralnej, chociaż wielu o tym marzy. Wybieram tylko takich, którzy są warci tego zaszczytu.

-- Skąd wiesz, że ja jestem? Każdy może przejść po Grani, trzeba mieć tylko trochę szczęścia.

-- Ty dokonałeś czegoś więcej. Spojrzałeś prosto w ślepia Kusicielowi, ale gdy słońce uwolniło cię od złego ducha, potrafiłeś wyrzec się jego słodkich obietnic. To dowód na wielką siłę woli.

W kilkudziesięcioosobowej trzódce podopiecznych Łukasza Kacper był najmłodszy i jako jedyny nie pochodził z miasta, ale nikt nie okazywał mu z tego powodu jawnej niechęci. Chłopcy nie zadawali żadnych kłopotliwych pytań. Wskazali mu twarde legowisko we wspólnej sali sypialnej na zapleczu biblioteki, dali wyszczerbioną miskę i blaszany kubek, a przed świtem, kiedy szybki witraży drżały od potężnego wichru, obudzili go na jutrznię.

Zziębnięty i niewyspany stał w pustej nawie katedry ze świecą w dłoni, płacząc słowa modlitw. Później w refektarzu kiwał się sennie nad miską, do której wlano pół chochli zupy na kościach bez żadnej okrasy.

Głodny podreptał razem z innymi do niewielkiej salki wykładowej, gdzie nareszcie mógł się ogrzać. Przycupnął z tyłu, na skraju trzeszczącej ławy, blisko okratowanego nawiewu ciepłego powietrza.

Dzięki temu, że wcześniej opanował podstawy mrugania, nie miał teraz kłopotów z przyswojeniem sobie zasad pisma. Szybko nadrabiał zaległości wobec kolegów; rzadko popełniał błędy, chociaż litery, które niewprawną dłonią kreślił węgielkiem na podręcznej tabliczce, wychodziły bardzo koślawo. Z zazdrością patrzył spod oka na najstarszego z uczniów, poważnego i pracowitego Marcina, który skubiąc młodzieńczą bródkę, pochylał się nad grubymi księgami. Jemu samemu Łukasz dawał do czytania tylko najprostsze lektury banalne, ilustrowane historyjki dla dzieci wydrukowane tłustą czcionką. Sylabizował półgłosem, wodząc palcem po tekście. Bardzo często potykał się na niezrozumiałych słowach, których sens zatarł się przez wieki razem z całą złożonością świata sprzed Upadku i właściwym znaczeniem wielu dziwnych czynności składających się na ówczesne życie. Nazwy roślin, dawno wymarłych zwierząt, maszyn i przedmiotów codziennego użytku brzmiały obco, ale miały też w sobie jakiś nieodparty powab; zapładniały wyobraźnię przeczuciem niespotykanych barw, zapachów i smaków.

Choć tęsknił za rodzicami i troskał się o los Miry, łatwiej mu było teraz znosić rozłąkę niż w pierwszych dniach pobytu na Krzywym Wierchu. Niezmienny, wypełniony pracą rytm upływającego czasu sprzyjał skupieniu myśli na nauce. Echa przeszłości zakrzepłe w drukarskiej farbie przenikały nawet do snów. Chciał dobrze wykorzystać każdy dzień, każdą godzinę spędzoną na lekturze, aby kiedyś zadziwić zdobytą wiedzą Stacha, proboszcza i całą starszyznę. To była najpewniejsza droga, żeby uciszyć wszystkich, którzy twierdzili, że jest jeszcze zbyt smarkaty na małżeństwo.

Lato i jesień przeminęły szybko dzięki wytrwałej pracy. Każdego ranka przemierzał razem z innymi plac przed katedrą w drodze na nabożeństwo. Zwykle odbywały się tutaj jarmarki. Mijali puste o tak wczesnej porze stragany, między którymi watahy półdzikich kundli walczyły na skrwawionym śniegu o resztki foczych wnętrzności, spoglądali ku sterczącemu na podeście kamiennemu pręgierzowi, gdzie cierpiał zwykle na mrozie jakiś złodziej albo gwałcieł, podnosili wzrok na podświetloną tarczę zegara u szczytu wieży; poza tym nie opuszczali bibliotecznego gmachu. Docierały do nich tylko strzępy nowin z miasta -- Łukasz nie chciał, żeby chłopców rozpraszały uliczne niepokoje. Idąc na jutrznię, widywali niekiedy krew na śniegu, nocą budziły ich krzyki pod oknami. Gdy gruchnęła plotka, że Świetliki pokazały się u samych bram, ludzie rzadziej wychodzili z domów po zmroku; między zachodem a wschodem słońca nad placem wisiła głucha cisza. Skończyły się bójki i obrzucanie kamieniami siedziby biskupiej -- mieszczanie zaczęli gromadzić zapasy, przepłacając strażników na murach i handlując pokątnie z okolicznymi osadnikami. Pogodzili się z odcięciem od świata, chociaż nie przestali uważać, że to wynik nadgorliwości biskupa, a nie konieczność.

Wszystko odmieniło się w noc wigilijną, podczas Pasterki, gdy katedrę szczelnie wypełnili wierni. Od rana nad Krzywym Wierchem zbierały się granatowe chmury i choć nie sypał śnieg, było tak ciemno, że ludzie musieli przyświecać sobie na ulicach łuczywami. Biskup przy ołtarzu wydawał się nieswój, jakby przeczuwał coś złego; wymruczał niezborne kazanie, co rusz tracąc wątek, a w czasie Podniesienia widocznie trzęsły mu się ręce. Ludzie patrzyli po sobie, szeptali za filarami. Wiatr trzaskał źle domkniętymi drzwiami kościoła.

Pod koniec mszy ktoś krzyknął, tłum zakołysał się. Mieszczanie wskazywali palcami sklepienie nad ołtarzem. Kacper stał w grupce uczniów tuż pod amboną. Minął jakiś czas, nim zorientował się, że chór

umilkł w połowie pieśni, a przestraszeni ministranci w komzach stłoczyli się u wejścia do zakrystii. Zaskoczony rozejrzał się wśród towarzyszy i w ślad za nimi zadarł głowę.

Unoszący się pod sklepieniem Świetlik był o wiele jaśniejszy od tego, którego napotkał na Grani. Zapewne wleciał do miasta tuż przed wschodem słońca, schronił się w pustej katedrze, aby przeczekać dzień w jakimś mrocznym zakamarku, a teraz rozbudził się wywabiony z kryjówki obecnością tak wielu ludzi. Pulsował coraz jaskrawszym blaskiem, przy którym bladły płomyki świec. Smugi kadzidlanego dymu pod łukami apsydy zabarwiły się błękitem.

-- Spokojnie... -- usłyszał Kacper schrypnięty szept Łukasza.

Powoli, niczym bańka mydlana, Świetlik zaczął opadać, wydłużając cienie lichtarzy. Panowała cisza; nikt nie uciekał z kościoła, jakby ludzie wciąż jeszcze nie mogli uwierzyć, że Lucyfer ośmielił się zmanifestować swą potęgę właśnie tutaj, w samym sercu górskiej enklawy, którą przywykli uważać za bezpieczną.

Biskup stał za ołtarzem z odrzuconą głową, a szafirowe odbłaski kładły się na jego spoconej twarzy i migotały w złoceniach naczyń liturgicznych. Oddychał tak chrapliwie, że słycać go było nawet w bocznych nawach; wsparł się rozdygotanymi dłońmi na obrusie, ani na moment nie odrywając spojrzenia od zbliżającego się Świetlika.

Gdy pęcherzyk zimnego blasku zawisł tuż nad jego czołem, opromieniając siwiznę na skroniach, umilkło starcze rżenie. Kacper wiedział, co teraz się stanie, był na to przygotowany -- nawet nie drgnął, kiedy bezgłówna eksplozja błękitu na ułamek sekundy wypłoszyła ciemność z najodleglejszych kruzganków. Na długą, rozkoszną chwilę ogarnął go spazm szczęścia, który wygasał stopniowo, pozostawiając poczucie żalu po stracie, ale wszystko to było jedynie bladym odbiciem dawnych emocji.

Zamrugął i rozejrzał się: wszędzie wokół widział znieruchomiałe, blade twarze, w uszach aż ćwierkała cisza. Powszechny, gęsty strach wypełniał półmrok, który znowu zaległ między filarami.

-- Wszyscy do biblioteki. -- Mnich rozłożył ramiona, jakby chciał ogarnąć uczniów szerokimi rękawami habitu. -- Czekajcie tam na mnie, przyjdę niedługo.

Zjawił się przed zachodem słońca, w zatroskaniu przeczesując palcami brodę. Usiadł w swojej ulubionej wnęce, a kiedy młodzieńcy stanęli przed nim półkolem, uśmiechnął się słabo, próbując dodać im otuchy.

-- Biskup umarł, nie wytrzymało serce -- oznajmił spokojnie. -- Miał szczęście, wymknął się Lucyferowi wprost do nieba.

Przyjęli tę wieść w przygnębiającym milczeniu. Nie przypuszczali, że Upadły Anioł może tak łatwo dosięgnąć najbardziej niezłomnego spośród swych przeciwników.

-- Co teraz będzie? -- zapytał Marcin.

-- Dla was nic się na razie nie zmieni. Musicie robić swoje, uczcie się wytrwale.

-- Nasza wiedza chyba nikomu już się nie przyda...

-- Mylisz się. Im gorsze wokół rozpęta się piekło, tym ważniejsze będzie, abyście to właśnie wy przetrwali, bo jesteście zaczynem nowego świata. Wiem, jak was ustrzec. Przekonacie się o tym we właściwym czasie.

-- Nawet biskup nie ustrzegł samego siebie.

-- Bo wierzył, że tę wojnę można wygrać jedynie modlitwą i postem. -- Łukasz podniósł długi palec, głos mu stwardniał. -- Zlekceważył naukę, nigdy nie miał zaufania do ksiązek. Wy musicie być inni.

Nadchodzi czas, kiedy śmierć okaże się ucieczką słabych, a życie wybiorą tylko najodważniejsi. Wtedy wy staniecie się solą ziemi i światłością świata.



Kacper często snuł się samotnie po rozległym budynku, próbując dojść do ładu z własnymi niespokojnymi myślami. Zapuściwszy się pewnego razu w odległy kąt biblioteki, przypadkiem odkrył ukryte za regałem żelazne drzwi zamknięte dwiema sztabami. Dowiedział się od Marcina, że to wejście do piwnic; tylko Bibliotekarz miał klucze do wielkich kłódek, ale nigdy nie wpuścił nikogo na dół. Kacper szybko o tym zapomniał, a niebawem znalazł coś ciekawszego -- schody prowadzące do wieżyczki nad narożnikiem gmachu, skąd przez wąskie okno mógł ogarnąć wzrokiem cały plac. Wspinał się tam często, gdy wiecznie zabiegany Łukasz zostawiał chłopców samych nad lekturą; patrzył z góry na ożywiony, gwarny ruch. Z nastaniem zimowych mrozów ludzie rzadziej zbierali się w większe grupy, żeby krzyczeć i wygrażać pięściami strażnikom. Targowali się zawzięcie o każdy ochłap mięsa sprzedawany prosto z sań, ale nie było słycać przy tym zwyczajnych jarmarcznych śmiechów i przekomarzań. Niespokojne psy zaprzęgowe warczały na przechodniów albo przeciwnie -- siedziały w śniegu osowiałe, stuliwszy uszy, podnosząc się niechętnie dopiero na trzaskanie bata.

Im bliżej wieczoru, tym częściej ludzie spoglądali w stronę zachodzącego słońca. Gdy zapadała noc, na placu zwykle nie było już nikogo, milkły nawet kroki strażników; we wszystkich okolicznych domach ryglowano drzwi i zamykano okiennice. Krzywy Wierch otulała niesamowita w tak ludnym miejscu cisza, a kiedy wypaliły się uliczne latarnie -- także mrok. Jedynie od czasu do czasu po kalenicach najwyższych budynków ślizgały się błyski sygnałów wieży katedralnej.

Parokrotnie widział z daleka lucyferiańską poświatę, od której błękitniały sopte u wylotów ustronnych zaułków. Świetliki wędrowały cicho po pustym, nocnym mieście, krążąc bocznymi uliczkami; z rzadka wzleciawszy wyżej, iluminowały dymy nad kominami. Zdawało się, że błędzą bez celu, rozgarniając mozolnie czarne płachty mroku, ale Kacper wiedział, że w każdej chwili któryś z nich może rozbłysnąć pełnym blaskiem, biorąc w posiadanie duszę kolejnej ofiary. Wyobrażał sobie, że z czasem, kiedy za mury przeniknie ich więcej, noce przestaną być ciemne, a plac pozostanie pusty nawet za dnia. Ostatni wolni od Lucyfera mieszczanie przetrwają może tu i tam w piwnicach, ale w końcu ich także głód wygna z kryjówek.

Któregoś dnia zwieziono na plac porąbane drwa, z których ludzie ułożyli stos. Paru strażników usiłowało w tym przeszkodzić, krzyczeli, wymachiwali rękami, ale po krótkiej szarpaninie odstąpili, nie wydobywszy nawet pałek. Kacper pojął, na co się zanosi, gdy na saniach przyciągnięto wielką, żelazną klatkę, w której kulił się jakiś skowyczący z trwogi człowiek. Paru mężczyzn z trudem ustawiło ją na wierzchu stosu. Wokół szybko zgęstniał milczący, ponury tłum. Strzeliły płomienie, dym przesłonił wykrzywioną cierpieniem twarz palonego żywcem nieszczęśnika.

Kacper odskoczył od okna. Chciał uciec, ale w wąskim korytarzyku na schodach stał Łukasz.

-- A więc tu jesteś. -- Bibliotekarz przyjrzał mu się badawczo, rzucił okiem na skłębiony za szybą tłusty dym. -- Nie powinieneś na to patrzeć.

Chłopiec miał wrażenie, że żar stosu parzy mu kark poprzez gruby mur.

-- Czy on... -- Pociągnął nosem, ukradkiem starł wzbierające w kącikach oczu łzy. -- Czy ten człowiek jest skazańcem?

-- Na pewno nie stanął przed biskupim sądem. Tego biedaka zabił ludzki strach. Ktoś musiał go oskarżyć o dobrowolne przyjęcie Lucyfera.

-- To prawda?

-- Nie wiem. Dzisiaj nikt nie jest bezpieczny nawet we własnym łóżku, ale też łatwo o plotki i zwyczajne oszczerstwa. Nienawiść przerażonego tłumu jest ślepa, może osiągnąć każdego.

-- Dlaczego temu nie przeszkodziłeś? Posłuchaliby cię!

-- W takiej chwili nie posłuchaliby nikogo, nawet gdyby stanął przed nimi sam święty Jerzy. -- Znużonym gestem podniósł dłoń do czoła. -- Oni wierzą, że paląc ciało, ocalają duszę. To bardzo stary przesąd, który rozpowszechnił się niedługo po Upadku. W tamtych strasznych czasach równie wielu ludzi zginęło na stosach co od mrozu i głodu.

Wrócili na dół. Blask stosu sięgał daleko między regały. Łukasz skierował się do salki wykładowej, ale Kacper przytrzymał go za rękaw.

-- Czy są jakieś wieści od Stacha? -- Uświadomił sobie nagle, że powinien zapytać o to już dawno.

-- Zbyt wiele teraz się dzieje, żeby marnować czas sygnalistów na mało ważne sprawy.

-- Tak, oczywiście... -- Zawstydział się. -- Ale może wiadomo chociaż, co w osadzie?

-- Na pewno nie gorzej niż tutaj. Lucyfera przyciągają najsilniej duże skupiska ludzkie. Tam, skąd pochodzisz, ludzie nie siedzą zamknięci za murami, mogą próbować ucieczki. W rozproszeniu uchowają się dłużej. Nie trać nadziei na spotkanie z rodziną, ale też nie zapominaj, że przyszłość wszystkich, którzy ocaleją, zależy głównie od nas. -- Musnął palcami grzbiety kilku książek. -- Musisz zostawić za drzwiami biblioteki strach, zwątpienie i tęsknotę. Teraz ważna jest tylko nauka, liczy się każdy dzień.

Pierwsza prawdziwie zimowa śnieżycą spadła na Krzywy Wierch nocą i srożyła się przez kolejne dwa tygodnie; nad miastem przetaczały się tak gęste tumany, że nie można było dostrzec budynków po drugiej stronie ulicy. Ciągły, niemilknący ryk wichru rozstrajał nerwy, a półmrok krótkich dni wywoływał przygnębienie. Ludzie nie opuszczali domów, a kiedy już zdarzyła się jakaś konieczna potrzeba, przemykali skuleni pod murami podobni do szarych zjaw.

Wreszcie zapadła cisza, przez rozstępy w powłoce ciężkich chmur przedostało się trochę więcej słonecznego blasku, który chwilami roziskrzył wymalowane mrozem szyby. Na ulicach leżał tak głęboki śnieg, że można było się poruszać tylko z rakietami na butach; gdzieś tam zaspy sięgały okien pierwszych pięter. Było tak zimno, że psy odmrażały łapy, a w szurzących gniazdach poukrywanych w piwnicach i na strychach wymarzały całe mioty. Już po paru bezwietrznych dniach zamieć rozpętała się z nową furją, łomocąc wściekle w uszczelnione mchem drzwi domów i okiennice, włączając przez kominy dym z powrotem do izb, a czasem zrywając nawet co liche dachy.

Tegoroczna zima trwożyła ludzi daleko bardziej niż wszystkie poprzednie. Mało komu udało się zgromadzić wystarczające zapasy żywności i opału, a dodatkowo przed zamknięciem bram w mieście schroniło się kilka tysięcy osadników, których wygnał z chat strach przed panoszącym się na otwartych stokach Lucyferem. Tęgie mrozy uśmierzyły zamieszki, na placu przestały płonąć stosy, ale w twarzach nielicznych przechodniów wyczuwało się napięcie. Powtarzano niepewne wieści -- że kapituła nie może się zgodzić co do wyboru nowego biskupa, że więcej niż kiedykolwiek wcześniej ma teraz do powiedzenia

dowódca straży, że wiele osad w ogóle przestało mrugać i nie wiadomo, czy na odosobnionych wierchach ktokolwiek przeżył.

Ludzie bardzo się bali, lecz gorsze od strachu było powszechne przekonanie, że przyszłość okaże się jeszcze straszniejsza. Pozaciemniali okna, żeby nie widzieć pulsującego nocami błękitu. Za dnia szukali z obawą tego samego blasku w oczach sąsiadów i bliskich, a gdy zdawało im się, że go dostrzegają, naciągali głębiej kaptury i odwracali się bez jednego słowa.

Kacper pracował zapamiętane, uciekając w naukę przed gęstniejącą grozą i własnymi rozterkami. Lektura pochłaniała mu niemal cały czas. Choć nie nabrał jeszcze biegłości w czytaniu, zaciął się często i musiał wracać do początku zdania, uparcie brnął przez gąszcz drukowanych liter nawet wówczas, gdy nie rozumiał prawie nic. Póki trwała zima i tak nie mógłby się ruszyć z miasta, a próba przedarcia się w rodzinne strony byłaby samobójstwem. Nie wypytywał więcej Łukasza o losy najbliższych -- musiało wystarczyć mu to, co już usłyszał.

Mimo że wszystkie dni i noce spędzał wśród uczniów, jakoś nie zżył się z żadnym z nich. Ci bladolicy, małomówni chłopcy, którzy bez szemrania wypełniali każde polecenie mnicha, w niczym nie przypominali jego rówieśników z osady. Sprawiali takie wrażenie, jakby świat poza bibliotecznymi murami przestał dla nich istnieć; nigdy nie opowiadali o swoich rodzinach, nie słuchali plotek przynoszonych przez strażników, rzadko nawet podchodzili do okien. Wszelkie ich pragnienia i ambicje ześrodkowały się w tej mrocznej sali pełnej zakurzonych ksiąg. Nie zwracali uwagi na dotkliwy chłód bijący od kamiennych ścian, głuchli na zamiecie i czytali przez długie godziny, mrugając załzawionymi oczami, z krótkimi tylko przerwami na posiłek i sen.

Łukasz nie prowadził ich już na jutrznię do katedry. Wszelkie nabożeństwa odprawiał na miejscu, w gmachu biblioteki. Często przesiadywał w swojej piwnicy za żelaznymi drzwiami, a czasem w ogóle zniknął gdzieś na kilka dni, zostawiając uczniów samym sobie. Gdy pojawiał się znowu -- wyczerpany, z twarzą siną od mrozu -- przypominał Kacprowi spracowanego drwala. Po paru łykach gorącego mleka i krótkiej drzemce był gotów do nowego wykładu: odpytywał chłopców sumiennie z tego, co przeczytali, wyjaśniał, karmił i chwalił, a potem przydzielał każdemu nowe lektury, wspinając się niestrudzenie na wysokie drabiny.

W dzień Matki Boskiej Gromniczej zniknęło dwóch uczniów. Chyba uciekli przez okno, Strażnicy nic nie widzieli, a Łukasz nie zarządził poszukiwań w mieście.

-- Lepiej, żeby najslabsi odeszli na samym początku -- rzekł bez gniewu, zebrawszy chłopców wokół siebie. -- Niech zostaną tylko ci, którzy nie cofną się w godzinę próby.

W środku burzliwej zimy uczniowie dostawali już tylko po jednym posiłku na dobę -- trochę tłuszczu, który musieli zeskrobywać z wewnętrznej strony pociętej w pasy focznej skóry, garść suszonych owoców, czasem plaster koziego sera albo zajęczą łapę do ugotowania zupy. Brakowało świec, które trzeba było zastępować śmierdzącymi, kopącymi czarnym dymem łożówkami. Popękały zaniedbane rury doprowadzające do budynku ciepłe powietrze; jeszcze przez jakiś czas działała kotłownia, ale gdy skończył się opał, na ścianach zaczął osiadać szron. Mnich ustawił w rogu ogromnej sali żelazny piecyk, nakazał chłopcom opróżnić jeden z regałów i ułożyć książki w stosach pod ścianą, a deski porąbać na szczapy. Jedyne ciepły kąt w całym gmachu stał się teraz dla nich czytelnią, jadalnią i sypialnią. Nigdy nie zdejmowali narzuconych na habity kozuchów, pisali w rękawiczkach o poobcinanych palcach. Szyby w

oknach całkiem zarosły lodem -- nie widzieli, co dzieje się na zewnątrz, zaledwie mogli odróżnić dzień od nocy. Kiedy strażnicy sprzed wejścia porzucili służbę, nie było nawet kogo wypytać o sytuację w mieście.

-- Nie zaprzatajcie sobie głów niczym poza nauką. -- Łukasz nałożył na drzwi dwie ciężkie sztaby. -- Tam umiera dawna epoka. Wy musicie być przy narodzinach nowej. Bądźcie cierpliwi. Wyprowadzę was, ale dopiero wówczas, gdy świat dojrzeje do tego, żeby was wysłuchać.

Kacper sumiennie czytał zadane lektury -- coraz dłuższe, coraz trudniejsze, pełne wyrażeń, których znaczenie musiał wyjaśniać mu mnich -- lecz to nie wystarczało, by zaspokoić jego rozbudzoną wyobraźnię. Nocami, kiedy głód i zimno nie pozwalały zasnąć, podnosił się cicho z barłogu i osłoniwszy dłonią płomyk małej lampki, ruszał między regały. Błądził po mroźnej sali, dotykał skórzanych grzbietów książek i wyciągał je z półek na chybił-trafił, niezmiennie z tym samym dreszczem zaciekawienia. Zdarzało się, że brakowało wielu stron albo kartki częściowo strawił ogień, ale jemu każdy skrawek zadrukowanego papieru wydawał się tak samo cenny.

Przysiadł na szczeblu drabiny, stawiał obok siebie lampkę i czytał -- o miłości, o podróżach, o naprawie samochodów, o jedzeniu, o wojnach, o Bogu. Bez pomocy mnicha niewiele pojmował, ale nie przeszkadzało mu to; niezrozumiałe ustępy zapełniał własną fantazją.



W tym roku Wielki Post był godzin swojej nazwy jak nigdy wcześniej. W osadzie ostatnie tygodnie zimy często bywały głodne. Nie zawsze wystarczało zapasów zgromadzonych w czasie sezonu łowieckiego, ale wszystkich krzepiła nadzieja, że po pierwszej wyprawie znów zapełnią się spiżarnie. Mieszczanie o wiele rzadziej cierpieli niedostatek. W razie potrzeby płacili po prostu za dostawy mięsa wyższą cenę, a kiedy było już tak źle, że na targu brakło sprzedających, przyganiano z podmiejskich zagród kozy i przez następne dni wszystkie rzeźnie spływały krwią.

Teraz wiele się zmieniło. Po zamknięciu bram przemycane zza murów mięso trafiało tylko do nielicznych. Pozbawione opieki i paszy kozy wyzdychały, a resztę rozkradli jacyś kręcący się po stoku ludzie, nie wiadomo -- spóźnieni uciekinierzy z osad, opętani czy zwyczajni złodzieje. Tuż po Środzie Popielcowej głodny tłum rozbił szklarnie, których nie potrafili ochronić zastraszeni strażnicy. Wydarto z ziemi wszystko, co nadawało się do jedzenia, ogołoco z owoców drzewka i krzewy, a pnie zrąbano na opał; w ciągu paru godzin uprawne grządki zamarzyły na kamień. Coraz trudniej było nawet o psie albo szczurze mięso. Ludzie pozyskiwali łój ze świec, rozgotowywali kawałki skórzanej odzieży albo żuli wypruty z materaców mech.

Na przełomie lutego i marca doszło do pierwszych samozapłonów. Nie było ich wiele, bo tylko nielicznym opętanym udało się przeżyć czas rozruchów i stosów w ukryciu przed światłem dnia. Wyłaniali się teraz o brzasku z mroków piwnic, zwracając wychudzone twarze na wschód. Gorzeli w ciszy wyludnionych ulic, najczęściej bez świadków. Za dnia przechodnie roznosili na butach ich popioły.

Uczniów ubywało po trochu, wreszcie została ledwie garstka, a i tych mocniej chyba przykuwały do miejsca nędzne, ale codzienne posiłki niż umiłowanie wiedzy. Łukasz zdawał się tego nie zauważać. Uparcie prowadził wykłady, sprawdzał postępy chłopców, a niekiedy nawet wymierzał kary za brak pilności. Kacper podziwiał w duchu wytrwałość mnicha, ale też tracił stopniowo wiarę, że schyłek tej straszliwej zimy może

przynieść zmianę na lepsze. Nauczyciel nie starał się nawet rozwiewać tych wątpliwości, jakby uważał, że zdradził już podopiecznym wystarczająco wiele. Twardo ucinał każde pytanie, które wykraczało poza zakres codziennej nauki. Kiedy któregoś ranka podczas modlitwy tuż za oknem rozgorzała łuna samozapłonu, spod namarszczonych brwi powiódł szybkim spojrzeniem po bladych twarzach chłopców, lecz nie zająknął się ani razu. Po skończonym pacierzu odwrócił się do wnętrza okiennej i zaciągnął grubą zasłonę.

Kacper coraz częściej przemyślał o tym, żeby odejść. Nie martwił się tym, że nie znał w mieście nikogo, bo i tak nie zamierzał tutaj zostać. Choć nosił taki sam habit jak reszta chłopców, uważał się za kogoś z gruntu innego. Ufał, że to wszystko, co usłyszał od ojca o martwym lesie, wystarczy, żeby przeżyć w kotlinie. Przygotowywał się nawet po trochu do tej wyprawy, łąając w tajemniczy dziury w swoim starym ubraniu, które tak dobrze posłużyło mu na Grani, rozpytując ostrożnie o bramy miejskie i o to, na co mógłby się natknąć poza nimi. Nie śpieszył się; wyczekiwał na dłuższe, cieplejsze dni -- i wciąż czytał, pochłaniał książkę za książką, z niesłabnącym zapałem odmalowując w wyobraźni barwy zaginionego świata, chociaż wątpił, by ta wiedza miała mu się w przyszłości do czegokolwiek przydać.

Jednak wydarzenia potoczyły się szybciej, niż przewidywał. Któregoś popołudnia Łukasz wrócił z jednego ze swoich niebezpiecznych wypadów do miasta, pośpiesznie otarł z twarzy mokry śnieg i klasnął w dłonie.

-- Wszyscy do mnie, natychmiast.

Zasiedli na trójnogich zydelkach wokół pieca -- ostatnia piątka najwytrwalszych. Przeczuwali, że tym razem chodzi o coś więcej niż zwyczajny wykład.

-- Dziś kapituła wybrała nowego biskupa. -- Zaczął bez wstępów, rozcierając zziębnięte policzki. -- To ksiądz Erazm, człowiek wielkiej wiary, ale małego rozumu. Jak wielu innych sądzi, że w czasach ostatecznych najbardziej wskazana jest beczynność, żeby przypadkiem nie pokrzyżować planów Pana Boga. -- Gniewnie zmarszczył czoło. -- Uważa, że mój stosunek do ksiązek jest bliski bałwochwalstwu, a wykłady są jak ziarna zwątpienia, które zasiewam w waszych umysłach. Nakazał zlikwidować szkołę, odesłać was do domów, a bibliotekę zamknąć i opieczetować.

Zrobiło się tak cicho, że trzask pękającego w ogniu drewna zabrzmiał w wielkiej sali jak strzał z bata. Chłopcy tkwili na zydlach bez ruchu. Byli wstrząśnięci niespodziewanymi wieściami.

-- Co teraz będzie? -- zapytał któryś wreszcie.

-- To biskup, musimy być posłuszni. -- Łukasz zatrzymywał wzrok po kolei na każdym z nich; siedzącemu z brzegu Kacprowi przyglądał się nieco dłużej. -- Trzeba ufać, że dobrze wykorzystaliśmy czas, który nam dano. Jutro rano opuścimy ten gmach, ale zanim to się stanie, wysłuchacie ostatniego, najważniejszego wykładu.

Odszedł na bok, stanął przy swojej ulubionej wnęce tyłem do okna, a potem, podkasawszy nieco sutannę, odmierzył pięć równych kroków naprzód. Przy ostatnim stąpieniu jedna z desek skrzypnęła nieco inaczej od pozostałych. Mnich przyklęknął i zastukał w podłogę. Nie odwracając się, zakomenderował krótko:

-- Łyżka.

Kacper opamiętał się jako pierwszy. Pognał do kuchni i natychmiast wrócił, zmiatając po drodze połami kożucha kurz z dolnych półek regałów. Łukasz wetknął łyżkę odwrotną stroną w szparę, podważył deskę,

wyjął jeszcze dwie sąsiednie. Ostrożnie wydobyl z płytkiej skrytki grubą księęę i uniósł ją oburącz niczym Pismo do błogosławieństwa.

-- To najcenniejszy skarb Biblioteki, chociaż w katalogach nie znajdziecie o nim wzmianki. Choćbyście zdołali nawet przeczytać wszystkie inne książki, bez tej jednej wasza wiedza nie będzie wiele warta.

Usiadł między uczniami, kładąc ciężki tom na kolanach. Już na pierwszy rzut oka dało się zauważyć, że tej księęę nie oprawiono równie starannie jak pozostałych. Na porysowanych i poplamionych okładkach nie wyłoczono nawet tytułu.

-- Na początku muszę was przestrzec, że lektura tych tekstów oznacza pogwałcenie biskupiego zakazu, który obowiązuje już od ponad wieku. -- Zdmuchnął z oprawy pył. -- Jeśli którykolwiek z was nie chce brać na sumienie takiego występku, powinien odejść.

Poruszyli się niespokojnie. Po chwili ciszy Marcin wyprostował się na stołku, odpowiadając w imieniu wszystkich:

-- Ufamy ci, nauczycielu.

-- To za mało. -- Łukasz przyjął tę deklarację wierności bez cienia uśmiechu. -- Ta wiedza jest najcięższym z brzemion, które trzeba dźwigać do końca życia. Skoro już raz ją poznacie, nigdy nie zdołacie o niej zapomnieć, nie wyprzecie się jej. Każdy z was musi sam zdecydować, czy ma odwagę pójść dalej tą drogą do samego końca, nawet kiedy mnie już przy was nie będzie.

Tym razem milczenie trwało jeszcze dłużej, ale Bibliotekarz nie ponaglał uczniów spojrzeniem ani gestem. Kacper zerknął w stronę Marcina, a gdy tamten nie podniósł zwieszanej głowy, sam zapytał z cicha:

-- Co jest w tej księęę?

-- Prawda -- odrzekł Łukasz bez wahania.

-- A więc dlaczego została zakazana?

-- Nie zawsze tak było. Dopóki trwała wśród ludzi żywa pamięć o Upadku, prawda była własnością wszystkich. Nikt nie mógł jej zamazać. Ale z czasem rzetelną wiedzę skaziły legendy, przesady i zwyczajne łągarstwa. Świat sprzed Upadku przestał być historią, zamienił się w bajkę, jak rajski ogród Adama i Ewy, a pełna grozy codzienność domagała się, aby ją oswoić, nazwać to, co niezrozumiałe, zobaczyć sens w przypadkowości. A w końcu, gdy osadnictwo na wierchach okrzepło, biskup uznał, że nawet ci nieliczni, którzy wciąż jeszcze znali prawdę, powinni zachować ją dla siebie.

-- Przecież nie można budować wszystkiego na kłamstwie! -- wybuchnął Marcin.

-- Można, a czasami nawet trzeba, jeśli prawda jest zbyt trudna do zniesienia. Ta księęę niweczy nadzieję, bez której zapewne nie przetrwalibyśmy tak długo w Górach. Ludzie nauczyli się wierzyć, że jeśli będą czekać wystarczająco cierpliwie, kiedyś wreszcie wszystko samo zmieni się na lepsze. Nie potępiam ich, nie osądzam także biskupów, którzy szczerze wierzyli w Opatrzność, lecz nigdy nie mieli wystarczająco dużo odwagi, żeby jej dopomóc. -- Zawiesił głos, kładąc dłoń na podniszczonej oprawie tomu. -- Od was wymagam więcej.

Dał im czas, żeby przetrawili te słowa, a gdy uznał, że są już gotowi, pochylił się naprzód, jakby chciał w migotliwym blasku łąówek lepiej widzieć ich twarze.

-- W dawnych czasach drukowano nie tylko książki, ale także wiele ilustrowanych pism, gdzie omawiano bieżące wydarzenia -- mówił dalej, szybko wyrzucając słowa. -- Ta księęę jest zbiorem takich druków zszytych razem. Wszystkie pochodzą albo z ostatnich miesięcy przed Upadkiem, albo z okresu tuż

po katastrofie. Podobno przed laty w Bibliotece było więcej takich tomów, ale zaginęły lub zostały zniszczone. Ocalał tylko ten jeden ukryty w porę przez któregoś z moich poprzedników na urzędzie. To prawdziwa relacja z czasów zagłady, nie na wespół zatarte wspomnienia, nie domysły, ale kronika rzeczywistych wydarzeń, tak, jak przeżywali je ludzie, dzień po dniu. -- Podniósł okładkę, przez chwilę w skupieniu szukał odpowiedniej strony, a gdy ją odnalazł, odwrócił otwartą księgę w stronę uczniów.

-- Oto Lucyfer -- powiedział głośno i wyraźnie.

Wielka fotografia rozlewała się głęboką czernią na obie kartki. Pośrodku mrocznej pustki lśniła jakaś bezkształtna bryła, podobna do odłamu brudnego lodu, otoczona jasnoniebieską poświatą, która z jednej strony wydłużała się w świetlisty, nieco wygięty warkocz, nadając całości pozory ruchu.

Kacper wstrzymał oddech. Czuł strach wypełniający chłodem trzewia, a jednocześnie olśniewało go groźne piękno tego, na co patrzył, uchwycone poprzez kontrast światła i mroku. Widok był całkowicie odmienny od wszystkiego, co mógł sobie wcześniej wyobrazić -- zniewalał przecuciem ukrytej potęgi.

-- Czy to naprawdę demon? -- Nawet nie zdawał sobie sprawy, że wypowiedział na głos tę głęboko tajoną wątpliwość.

-- Nie. -- Odpowiedź Bibliotekarza zaskoczyła go zupełnie. Ze zdumienia aż otworzył usta. -- Jedynie to, co ludzie uznali za demona, i to dużo później.

Marcin już od dłuższego czasu kiwał się jednostajnie w przód i w tył, jakby rozbolał go brzuch. Nie patrzył na mnicha ani na księgę, utkwiał wzrok w skwierczącym ogniku łożówki.

-- To przecież herezja! -- wychrypiął tonem człowieka błagającego o litość.

-- Tylko wówczas, jeśli wszystkich naocznych świadków Upadku także nazwiesz heretykami. Kiedy dostrzegli pośród gwiazd nowe światło, które zbliżało się z każdym dniem, nikt nie pomyślał nawet o strąconym z niebios Lucyferze. Wiedzieli, że to kometa.

Kacper miał sucho w gardle. Musiał odchrząknąć, zanim się odezwał:

-- Kilka lat temu też widać było na niebie kometę. Wyglądała inaczej.

-- Bo patrzyłeś na nią gołym okiem z bardzo daleka. Ale masz trochę racji -- tamto ciało niebieskie miało pewne osobliwe cechy, których ówczesni uczeni nie potrafili wyjaśnić. Chociaż mieli ku temu odpowiednie przyrządy, nie udało im się zbadać jądra, nie wyjaśnili także natury warkocza. A co najważniejsze, nie zdołali uchronić planety przed zderzeniem. Kometa rozpadła się na tysiące fragmentów. Największy wpadł do oceanu, który dzięki temu nigdy nie zamarzał, drobniejsze rozsypały się po świecie. Któryś z nich trafił prawdopodobnie gdzieś w nasze góry, ale nigdy go nie odnaleziono. Wielu uczonych przypuszczało, że właśnie wtedy trysnęły gorące źródła, wokół których przetrwała szczątkowa roślinność.

Marcin poruszał drżącymi wargami, ale nie powiedział już ani słowa. Pozostali chłopcy tylko pociągali zaczerwienionymi nosami przytłoczeni tym, co zobaczyli, co usłyszeli i czego nie mogli pojąć.

Kacper rozpaczliwie szukał jakiegoś sposobu, żeby pogodzić wiarę z wiedzą, sumienie z rozsądkiem, tradycję wpojona przez ojca z autorytetem uczonego mnicha.

-- Czy to nie wszystko jedno, jak nazwiemy... tę rzecz? -- zająknął się. -- Wystarczy, że przyniosła na świat samo zło.

-- Słowa są ważne, bo za słowami idą czyny. Przeciw Lucyferowi mamy tylko egzorcyzmy. Przeciw naturze -- wiedzę.

-- A opętania? Przecież to nie żaden wymysł, wystarczy nocą spojrzeć przez okno.

-- Nasi przodkowie odkryli wiele praw rządzących przyrodą, ale to nie znaczy, że wiedzieli już wszystko. Inaczej niż my, wciąż poszukiwali nowych odpowiedzi na stare pytania. Jeszcze przed Upadkiem przewidzieli długą noc, a potem mróz i śnieg. Przygotowali się do tego, jak mogli. Naprawdę zaskoczyło ich dopiero odkrycie resztek jakiejś substancji organicznej na niektórych odnalezionych odłamkach komety, które pozostały po zderzeniu, a niedługo potem wyrój Świetlików. Nie poddali się. Do samego końca próbowali zrozumieć, z czym mają do czynienia i jak z tym walczyć. Osiągnęli dużo, ale nie zdążyli już wykorzystać zdobytej wiedzy. -- Zamknął księgę i przytulił ją do piersi. -- Plaga samozapłonów rozprzestrzeniała się jak zaraza, jak pożar, zwłaszcza na początku, kiedy łatwo znajdowała pożywkę. W ciągu paru miesięcy opustoszały miasta na nizinach, do Gór przedarła się tylko garstka zbiegów. Mieli czas, żeby się jakoś urządzić. Świetliki przez wiele lat nie docierały tak wysoko, a kiedy pojawiły się wreszcie na podgórzu, ich ofiarami stawali się głównie ci, którzy musieli schodzić do kotlin, czyli myśliwi i złomiarze. Przez stulecia wydawało się, że tak już zostanie, że na zamieszkałe stoki niebezpieczeństwo może trafić tylko przypadkiem, zawleczone przez wichur... Aż do niedawna.

Kacper wiedział dobrze, że w mieście powszechnie łączono początek ostatnich nieszczęść z jego przeprawą przez Grań. Dopóki pojawiał się na placu albo w katedrze, nieraz wyłapywał w tłumie nieprzychylnie spojrzenia obcych ludzi. Dziś po raz pierwszy odniósł wrażenie, że przedłużające się ciężkie milczenie chłopców wymierzone jest także przeciw niemu. Choć nie czuł się winny, wiedział już, dlaczego pomimo pozorów braterstwa był wśród nich tak bardzo samotny.

Zrozumiał, że czas nauki dobiegł końca, choć zima jeszcze nie popuszczała. Każdy kolejny dzień spędzony tutaj byłby udręką.

Mnich przerwał pełen napięcia bezruch i podniósł się z ławy.

-- To wszystko, co wam powiedziałem, nie oznacza, że nie ma nadziei. -- Uśmiechnął się wreszcie po wielu dniach chmurnego zatroskania. -- Chodźcie, musicie coś zobaczyć.

Poprowadził ich do żelaznych, zamkniętych na dwie zasuwę drzwi, za które żaden z nich nigdy wcześniej nie zaglądał. Dreptali za nim między regałami, następując jeden drugiemu na pięty, przejęci wyjątkowością chwili. Brzęknęły klucze, zazgrzytały kłódki; w półmroku ukazały się wąskie, kręte schody prowadzące w dół. Zeszli gęsiego, podciągając długie habity powyżej kostek.

W niewielkim pomieszczeniu piwnicznym było prawie całkiem ciemno. Odrobina światła wpadała tylko przez małe, zakratowane okienko w głębokiej wnęce pod sklepieniem. Chłopcy stłoczyli się u wejścia i nie śmiejąc głośniejsz odetchnąć, czekali, aż bibliotekarz zapali świecę czy kaganek -- jednak zamiast tego skrzypnęły zawiasy i spod uchylonego wieka jakiejś dużej skrzyni trysnął błękitny blask.

Zaszurali na kamiennej posadzce, któryś stęknął z przestraszenia -- i znowu zapadła cisza.

-- Nie pokazuję wam tego, żeby was zatrwożyć, ale żeby dodać wam otuchy. -- Łukasz dźwignął wieko wyżej i pochylił się nad skrzynią. -- Nie jesteśmy aż tak bezbronni, jak wam się wydaje.

Wydobył z ukrycia duży, pękaty słoik z grubego szkła i trzymając go przed sobą oburącz, odwrócił się w stronę chłopców. W izdebce zrobiło się jasno, wirujące pod wpływem ciepłych oddechów drobinki kurzu przypominały niebieskie iskry.

Kulisty kształt Świetlika zanurzony w półprzejrzystej, żółtawej cieczy wydawał się rozmyty i drżący. Uniósł się powoli aż pod uszczelnioną gumowym kołnierzem pokrywkę, zakołysał się łagodnie i opadł na dno.

-- Patrzcie śmiało, nie obawiajcie się niczego. Od dawna wiadomo, że w wodzie Świetlik jest niegroźny, nie potrafi się wydostać i zagnieździć w człowieku, ale ja odkryłem, że jeszcze lepiej sprawdza się olej. Teraz jest jakby uśpiony, nie wydziela nawet ciepła. Przekonajcie się sami, że to nie żaden demon tylko zjawisko przyrodnicze, które można ujarzmić z pomocą rozumu. Przez ostatnie lata złapałem ich kilkadziesiąt.

Kacper, który trzymał się z tyłu, widział tylko przez chwilę słój zza pleców innych, jednak to wystarczyło, aby gwałtownie rozbudziło się w nim wspomnienie tamtego rozkosznego stanu upojenia światłem, jakiego doznał na Grani. Zaschło mu w gardle, oddech spłycał, miękkie nogi; zamknął oczy i przylgnął plecami do zimnego muru.

Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Uczniowie rozpychali się łokciami i wspinali na palce.

-- Łowy na Świetliki są trudne i niebezpieczne. Wymagają wprawy, ale każdy może się tego nauczyć. Wy także.

Chłopcy rozszepotali się w radosnym podnieceniu, wyciągali dłonie, żeby dotknąć słoja -- jeden Marcin nie uległ temu nastrojowi.

-- Po co mielibyśmy to robić? -- zapytał, krzyżując ramiona na piersi. -- Są ich tysiące. Wszystkich nie wyłapiemy.

-- Oczywiście, że nie. W pierwszych latach po Upadku ludzie chwyтали ich mnóstwo, urządzali nawet wielkie oblawy, ale nie zdało się to na nic, ponieważ mnożyły się jeszcze szybciej. Każdy opętany, zanim spłonie, wypuszcza na świat co najmniej tuzin nowych Świetlików. -- Podniósł słój wyżej i potrząsnął lekko, zmuszając pęcherzyk jasności do ruchu. -- Mnie chodzi tylko o to, żeby lepiej je poznać, odkryć ich słabe strony. Nie jestem pierwszy, miałem wielu poprzedników, choć wszyscy musieli prowadzić swoje badania samotnie, wbrew biskupiemu zakazowi. Niektórzy zapłacili za to więzieniem, paru opętaniem i stosem, ale Bibliotekarze przechowali w tajemnicy sporo notatek. Dzięki temu wiem już o nich całkiem niemało. -- Znów potrząsnął słojem. Świetlik zamigotał mocniej.

-- Czy umiesz je zabijać?

-- Nie. Obawiam się, że to niemożliwe. Na szczęście nie są długowieczne. Od chwili pierwszego rozbłyśnięcia mają najwyżej pół roku, żeby zagnieździć się w ludzkiej duszy. Jeśli im się to uda, zyskują nieśmiertelność. Jeśli nie -- gasną, nie pozostaje po nich żaden ślad. To my jesteśmy jedynym celem ich istnienia. Gdyby któregoś dnia zabrakło na świecie ludzi, po sześciu miesiącach zniknąłby także ostatni Świetlik.

Powoli odstawił słój na dno skrzyni i opuścił wieko. Zapadła ciemność.

-- Gdzie ta nadzieja, o której mówiłeś? -- zapytał ktoś cicho.

-- Wy nią jesteście. Właśnie tacy jak dziś, pozbawieni szkoły, nieliczni, pogardzani i wyklęci. Zaufajcie mi i wytrwajcie.



Nad ranem, kiedy wszyscy jeszcze spali, Kacper wstał cicho z legowiska, zdjął habit i odział się szybko we własne, myśliwskie ubranie, a potem uchylił okno i zeskoczył z pierwszego piętra w zaspę, tuż obok szerokich schodów ozłoconych łunami mroźnego brzasku.

Nie chciał słuchać więcej wykładów Łukasza, nie zamierzał dzielić z uczniami tułaczki po zamknięciu szkoły. Był przekonany, że nadmiar wiedzy pomieszał Bibliotekarzowi w głowie. Nie potrafił wyobrazić sobie świata bez Lucyfera, którego zastąpić miała jakaś ślepa, bezosobowa siła. Taka myśl nie tylko była grzeszna, ale przeczyła tradycji, doświadczeniu i zdrowemu rozsądkowi. Nie po to przecież Pan Bóg trudził się stwarzaniem, żeby teraz Jego dzieło miało się obrócić w pył przez zwykły przypadek. W tym musiał być jakiś wyższy cel -- jeszcze ukryty przed ludzkim rozumem, ale już bliski spełnienia.

Pobiegł ulicą, potracając pierwszych przechodniów, pod stopami skrzypiał śnieg zmieszany z popiołem. Przewrócił jakieś wiadro, ścigały go przekleństwa i śmiechy. Wzbudził zamieszanie w psim zaprzęgu, który piał się w przeciwną stronę. Musiał uskoczyć w bok przed trzaskającym batem. Mijał piętrowe budynki z malowanymi okiennicami i grzebieniami sopli zwisającymi u dachów, opustoszałe place targowe, stary kościół rozmigotany wielobarwnymi witrażami, buchającą parą kuźnię, potem znowu rzędy bliźniaczo podobnych domów. Nie skręcił w żadną z węższych i bardziej zasypanych przecznic; gnał ciągle w dół, ku murom, które zamykały odległą perspektywę ulicy. Mimo ogromu miasta miał poczucie zamknięcia w pułapce. Tęsknił do nagiego stoku, gdzie smagane wichrem grzbiety zasp dymiły śnieżnym pyłem. Chciał się tam znaleźć za wszelką cenę, nawet pomimo tego, że nie miał żadnych zapasów, a wiosna jeszcze nie nadeszła.

W połowie drogi zwolnił, otarł rękawicą zasmarkany nos. W miarę zbliżania się do celu zaczynał sobie uświadamiać, jak trudno będzie złamać biskupi zakaz i wydostać się z Krzywego Wierchu. Trzechsetletnie mury nie utraciły nic ze swojej majestatycznej potęgi. Wzniesione z wielkich, skalnych bloków, wysokie na kilka pięter, szersze u podstawy i zwężające się nieco ku górze, wciąż sprawiały wrażenie niezdołanych, choć miejscami mróz wykruszył zaprawę i powstały głębokie szczyrby. Rozmieszczone w regularnych odstępach wieżyczki strażnicze chyba były puste. Niektóre zawaliły się pod ciężarem czasu i burz. Gdzieś tam sterczały poczerniałe w pożarach fragmenty jakichś metalowych konstrukcji, w których gwizdał wiatr.

Cały dzień przesiedział skulony w drewnianej budzie, śmierzdzącej niewyprawionymi kozimi skórami, wyglądając na zewnątrz przez szparę między deskami. Ulice zaczęły się wyludniać na długo przed wieczorem i gdy stracił z oczu ostatni skrawek czerwieniejącego słońca, zziębnięty wyczołgał się z kryjówki.

Podszedł do drewnianej, dwuskrzydłej bramy nabitej gęsto ćwiekami wielkości pięści. Nigdzie nie widział strażników, ale belki trzech ciężkich zasuw tkwiły przymarznęte w żelaznych kołnierzach.

Spróbował poruszyć najniższą z nich, lecz szybko się przekonał, że to robota dla kilku krzepkich mężczyzn - w pojedynkę nie miał żadnych szans.

Mocniejszy podmuch wiatru zagrzechotał o wrota kawałkami lodu, ze szczytu muru oberwał się nawis mokrego śniegu. Kacper stał bezradny ze ściśniętym gardłem; chętnie zamieniłby nocleg w ciepłym łóżku na lichą jamę wygrzebaną pod zaspą, byle z tamtej strony bramy.

-- Pomyliłeś drogę. Nikt nie odpowie na twoje pukanie.

Odwrócił się gwałtownie, zawstydzony i trochę przestraszony. Kawałek dalej w górę ulicy stał jakiś człowiek niedbale oparty ramieniem o płot. Spod naciągniętego kaptura widać było tylko dolną połowę pozbawionej zarostu twarzy. W młodzieńczym głosie dźwięczała kpina.

-- Nie prosiłem o radę -- odburknął Kacper.

-- Duży błąd. -- Tamten oderwał się od płotu i powoli wyszedł na środek ulicy. -- Gdybyś zapytał kogoś wcześniej, dowiedziałbyś się, że w tej dzielnicy lepiej nie spacerować samotnie.

Dopiero teraz chłopiec rozejrzał się ukradkiem. Okolica bardzo różniła się od wyżej położonej części miasta -- małe domki, niestarannie wymurowane z chropawych kamieni, tłoczyły się wzdłuż ulicy. Pomiedzy nimi znajdowały się wąskie, ciemne zaułki. Wiele budynków sprawiało wrażenie opuszczonych. Pozbawione szyb okna ziały czernią. Czasem ze zwałów śniegu sterczał tylko dach. Miejski gwar cichł gdzieś w dali. Nadciągał zmierzch. Mrok wypełzał na ulice przez ślepe okna i szpary w krzywych płotach. Kacper poczuł się nieswojo.

-- Pójdę już -- mruknął.

-- To rozsądne. Noce są tutaj bardzo nieprzyjemne. Za niewielką opłatą chętnie cię stąd wyprowadzę, żebyś znowu nie pobłądził.

Kacper podniósł wzrok. Szczyt katedralnej wieży wciąż jeszcze jaśniał w ostatnich promieniach słońca.

-- Nie trzeba, sam trafię.

-- Na twoim miejscu okazałbym trochę wdzięczności. -- Obcy skrzyżował ramiona na piersi, jego głos stwardniał. -- Twój myśliwski kozuszek z daleka zalatuje foczym tłuszczem, nawet po ciemku wiadomo, że nie jesteś z miasta. Nie lubimy przybłądów. To właśnie tacy jak ty przywlekli do nas ze swoich śmierdzących nor Świetliki.

Z prawej strony skrzypnął śnieg, pod murem wybrzuszył się jakiś cień. Za płotem w dziurze okna zamajaczyła twarz i zaraz zniknęła.

-- Nie mam nic cennego. -- Kacper przylgnął plecami do bramy.

-- Każdy wie, że myśliwi tylko udają nędzarzy, a pieniądze noszą pozaszywane w łachach. Wypruwaj wszystko albo sami poszukamy.

-- Nie jestem myśliwym, tylko gońcem.

Cień przy murze zniknął raptownie, ktoś zaklął za płotem. Po chwili w zaułku zadudniły oddalające się kroki. Zakapturzony wyrostek opuścił ręce wzdłuż ciała, ale pozostał na miejscu.

-- Naprawdę? -- Splunął nerwowo, na moment utracił pewność siebie. -- Nie wiedziałem, że teraz biorą do tej roboty dzieciaki.

Kacper nabrał głębszego oddechu, zrobił kilka kroków naprzód. W osadzie stoczył wiele bójek i był pewien, że poradzi sobie z osamotnionym przeciwnikiem.

-- Zejdz mi z drogi -- powiedział spokojnie.

W dłoni tamtego nagle błysnął nóż.

-- Podobno spojrzenie gońca przynosi nieszczęście, ale ja nie jestem przesądny. Dawaj pieniądze albo obetnę ci uszy.

Chłopiec pobladł, bardziej z oburzenia niż ze strachu. W osadzie nawet podczas pijackich awantur w kuźni ludzie nie wyciągali przeciw sobie noży.

-- Już mówiłem, nic nie mam.

-- Chodzisz w zbyt porządnych butach jak na przybłędę. Ściągaj, zamienimy się.

Z wolna pokręcił głową.

-- Są mi potrzebne.

-- Pochwaliłem twój rozsądek, ale teraz wszystko odwołuję. Jesteś głupcem. -- Nieznajomy pochylił się nieco, ugiął lekko kolana. -- Sam wybrałeś. Bez uszu nigdy się nie ożenisz, ale przynajmniej nie odmroisz ich sobie gdzieś na szlaku.

Raptem gdzieś z boku śmignął smukły, szary kształt. Odbił się sprężysto od zmrożonego śniegu i z całą siłą uderzył rabusia w pierś. Ten z głuchym stęknieniem upadł na plecy. Próbował jeszcze zadać cios nożem, ale w tej samej chwili ostre zęby zacisnęły się na jego nadgarstku. Zawył przeciągle, aż echo poszło po pustej ulicy.

-- Chodź ze mną, chłopcze. -- W gęstniejących ciemnościach Kacper niespodziewanie usłyszał kobiecy głos.



Nie odzywała się, prowadząc go przez płataninę ciasnych uliczek pod samymi murami. Pomimo ciemności pewnie stąpała wąziutką ścieżką wydeptaną wśród zwałów brudnego śniegu; nawet w sięgającym kostek ciężkim kożuchu poruszała się bardzo swobodnie -- zapewne często chadzała tędy po zmroku.

Kacper zerkał w stronę Katedry, która ukazywała się chwilami poprzez szkielety dachów zrujnowanych domów. Ze szczytu wieży wytryskiwały snopy światła, pogodna noc sprzyjała sygnalistom. Wyobraził sobie, że w tym samym czasie uskrzydłony Stach także stoi u wylotu podłużnej jaskini, patrząc na odległe, mrugające światełko. Wiele by dał, żeby przekazać bratu choć parę słów, ale wiedział, że bez pomocy Łukasza to się nie może udać.

Mógł liczyć tylko na siebie.

Wcale nie był pewien, czy powinien ufać niespodziewanej wybawicielce, która nie oglądała się w marszu, jakby całkiem straciła dla niego zainteresowanie. Być może zdecydowałby się nawet umknąć bez podziękowania, nurkując w mrok któregoś z bocznych zaułków, gdyby nie ciche zwierzę, które chyłkiem sunęło w ślad za nim. W mieście widywał głównie duże psy do pilnowania domostw, rzadziej zaprzęgowe albo myśliwskie, lecz ten tutaj sylwetką i sposobem poruszania się nie przypominał żadnego z nich. Był prawie pewien, że to czystej krwi wilk. Nie miał wątpliwości -- jeden krótki rozkaz milczącej przewodniczki wystarczyłby, żeby drapieżnik skoczył mu na plecy i wbił kły w kark.

Nikt ich nie zaczepił. Parę razy zaskrzypiały w ciemnościach pośpieszne, ustępujące z drogi kroki. Mijali puste, głuche przecznice, kluczyli wśród gruzowisk, schylali głowy pod lśnącymi w księżycowej poświacie soplami. Robiło się coraz zimniej. Odsłonięte krokwie trzeszczały na wietrze.

Zaczynał już żałować, że pozwolił się wyprowadzić w nieznaną, gdy nagle stracił kobietę z oczu, jakby zapadła się pod ziemię. Przystanął zaskoczony, ale ponaglące warknięcie nie zostawiło mu czasu do namysłu. Przeszedł jeszcze kilka niepewnych kroków i niemal wpadł do czarnej dziury ukrytej wśród szczątków zawalonych ścian.

-- Dalej! -- Z dołu dobiegło suche polecenie.

Nie dostrzegł żadnych schodów albo choćby drabiny, lecz gdy warknięcie za plecami powtórzyło się, zamknął czy i skoczył. Nie było głęboko -- upadł na tyłek w kupie śniegu, poderwał się natychmiast i otrzepał spodnie.

Kobieta czekała w pobliżu z kagankiem w dłoni schylona w niskim korytarzu. Odrzuciła kaptur na plecy i wtedy Kacper po raz pierwszy zobaczył jej twarz. Była chyba dość młoda, miała włosy w nieładzie i ślady po odmrożeniach na policzkach, lecz szczegóły rysów zacierają się w słabym oświetleniu.

-- Czy to prawda, co mówiłeś przy bramie? Jesteś gońcem? -- zapytała, wysuwając naprzód rękę z kopącym kagankiem. -- Tym, który miał w sobie Światłość?

Kacper zawahał się, zanim potwierdził skinieniem głowy. Zdawał sobie sprawę, że to, co spotkało go na Grani, nie przeminęło bez śladu i w oczach innych na zawsze pozostanie kimś, kogo osmalilo gorące tchnienie Lucyfera.

-- Po co tu przyszedłeś? -- Kobieta przyglądała mu się czujnie. Zagłębienia jej oczu wypełniał cień.

-- Przechadzałem się...

-- Mów prawdę! -- Niecierpliwym ruchem odrzuciła włosy na plecy. -- Od tego zależy, czy wyjdiesz stąd żywy.

Czuł, że to nie jest czcza groźba. Rzucił szybkie spojrzenie w górę, gdzie nad krawędzią otworu wciąż lśniło dwoje ślepi. Gorączkowo szukał najwłaściwszej odpowiedzi, która mogłaby go ocalić, ale w głowie miał rozpaczliwą pustkę.

-- Chciałem uciec z miasta -- wystękał wreszcie zduszonym głosem.

Nieznajoma milczała przez chwilę, a potem niespodziewanie uśmiechnęła się. Zdmuchnęła płomyk i w ciemnościach ujęła twarz chłopca w obie dłonie.

-- Nie bój się, już po wszystkim. -- Dotknęła suchymi wargami jego czoła. -- Teraz idź.

-- Dokąd?

-- Korytarzem w dół. Przed tobą długa droga, ale na końcu odnajdziesz to, czego pragniesz.

Choć rozwierał szeroko powieki, widział przed sobą tylko mrok. Wydawało mu się, że z głębi korytarza dobiega odległy, falujący świst wiatru. Ruszył w tamtą stronę zgięty wpół pod niskim sklepieniem, lecz po paru krokach przystanął i odwrócił się.

-- A ty?

-- Pewnego dnia też stąd odejdę, ale na razie muszę zostać, żeby wskazywać drogę ucieczki za mury takim jak ty. -- Odetchnęła głęboko, jakby zeszło z niej całe napięcie. -- Nie martw się, nie zabłądzisz. Mój przyjaciel odprowadzi cię na miejsce, możesz na nim polegać. Na imię mu Cień.

Cztery łapy opadły miękko na ziemię.

-- Mam wędrować z wilkiem? -- Kacper zdrętwiał z przerażenia.

-- Oczywiście. Byłe kundel nie poradzi sobie w dolinie pomiędzy wygłodniałymi watahami. No, idź. Przed świtem powinieneś być jak najdalej stąd.

Kacper nie pytał już o nic. Nabrał przekonania, że nieznajoma jest obłąkana, ale nie miał wyboru -- musiał jej zaufać. Jeśli tylko ukryte przejście za mury nie było wymysłem, należało skorzystać z tej nieoczekiwanej szansy. Dopiero na zewnątrz, gdzie nie sięga już władza biskupia, przyjdzie czas, żeby się zastanowić, co dalej.

Poruszał się ostrożnie na nierównym, stromo opadającym podłożu usianym odłamkami skał. Było coraz ciśnień, sklepienie obniżyło się jeszcze -- wreszcie musiał się czołgać na kolanach i rękach, wymacując przed sobą drogę jak ślepiec. Coraz wyraźniej wyczuwał mroźny podmuch na spoczonej twarzy. W oddali ciemność powoli nasiąkała odblaskiem księżyca. Pod rękawicami znowu zatrzeszczał lód. Pod koniec zrobiło się tak wąsko, że był zmuszony pełzać, szorując policzkiem w śniegu. Bał się, że utknie, zahaczywszy kapturem o jakiś ostry występ, ale już nie mógł się cofnąć. Pozostała mu wiara, że przed nim ktoś już przecierał ten szlak.

Pokonał wreszcie ostatnie metry i krztusząc się mroźnym powietrzem, wystawił głowę przez otwór wyjściowy korytarza. Z początku nic nie widział, w oczach pulsowała mu czerwień. Dopiero po chwili, gdy uspokoił oddech, mógł rozejrzeć się przytomniej.

Wszędzie wokół, wyżej i niżej, wirowały śniegowe płatki. Zobaczył pod sobą fragment pionowego urwiska -- oblodzony, pobrużdżony szczelinami. Niżej wszystko spowijała ciemność. W zasięgu wzroku nie było miejsca na postawienie choćby jednej stopy. Wyglądało na to, że przecisnął się przez kamienną gardziel tylko po to, żeby zawisnąć bez sił nad przepaścią. Był poobijany i zziębnięty.

Wysunął się z otworu po pachy, z trudem oswobodził jedną rękę, potem drugą. Wiatr szarpnął za kaptur, mokry śnieg zalepiał oczy. Gdzieś w bezkresnej pustce rozległo się urywane wycie. Dołączyło doń kolejne, po chwili jeszcze jedno. Siwe, bezkształtne tumany gnały na oślep z ciemności w ciemność.

Wyczołgał się dalej, do pasa. Zgięty w pół próbował odnaleźć na ścianie jakieś miejsce dla wczepienia palców, ale rękawice ślizgały się na gładkiej skale. Nagle poczuł, że już nie jest w stanie się zatrzymać; ciało wysuwało się z otworu pod własnym ciężarem. Zamknął oczy, osłonił głowę ramionami i zachłystując się lodowatym wichrem, runął w dół.

Przekoziółkował raz i drugi, rozpaczliwie wymachując rękami, po czym niespodziewanie poczuł, że już nie spada, ale ześlizguje się na plecach po stromiźnie. Rozrzucił ramiona, krzykiem zagłuszył świst wiatru w uszach. Musiało minąć jeszcze kilka pełnych przerażenia chwil, nim zrozumiał, że sunie dnem oblodzonego żlebu o łagodniejącym stopniowo nachyleniu. Nabrał otuchy, chociaż wciąż jeszcze zagrażał mu każdy wystający kamień albo ostre skały u podnóża góry. Taki sposób ucieczki z miasta był szalony, ale czego właściwie mógł oczekiwać od kobiety, która oswoiła wilka? Lepsze to niż mozolne odszukiwanie dogodnego zejścia po zdradliwym zboczu.

Żleb opadał coraz mniej stromo, aż wreszcie lodowa rynna wypluła go na płaski teren, gdzie zarył obiema nogami w głęboką zaspę. Był oszołomiony, drżał na całym ciele, ale prócz paru siniaków i otarć nie stała mu się żadna krzywda.

Wstał chwiejnie, schylił się po czapę i otrzepał ją na kolanie. Spojrzał w górę. Nie widział stąd wieży, ale brzuchy chmur przepływających ponad szczytem migotały czerwono w rytmie pracy sygnalistów. Na czarnych stokach nadal kotłowała się zadymka, lecz tutaj, na dole, było bezwietrznie i cicho.

Celowo zwlekał, nim odwrócił się w końcu plecami do górskiego pasma, żeby spotkać się twarzą z twarzą z ciemną otchłanią kotliny. Rozumiał, że od tej chwili traci znaczenie wszystko, czego w życiu zdołał

się nauczyć. Otwierał się przed nim całkiem inny, nowy świat.

Biała, z lekka pofałdowana płaszczyzna zdawała się lśnić własnym światłem, dzięki czemu noc nie była aż tak mroczna. Nie widać było w pobliżu żadnej ścieżki czy choćby zwierzęcego tropu, nic nie poruszało się w mroźnej martwocie. Powinien być zadowolony, słyszał przecież jeszcze na górze nawoływania nocnych drapieżników -- ale samotność doskwierała mu zbyt mocno. Zdawał sobie sprawę, że minie bardzo wiele czasu, nim znowu zobaczy ludzką twarz. A być może nie stanie się to nigdy.

Wzdrygnął się, gdy coś lekko trąciło go w nogę. To był Cień. Stał tuż obok po brzuch w śniegu i przechyliwszy nieco głowę, przyglądał się chłopcu uważnie.

Kacper przemógł strach i ostrożnie wyciągnął dłoń, lecz cofnął ją natychmiast, gdy błysnęły obnażone kły.

-- Dobra, wcale nie muszę cię dotykać -- szepnął ochryple, żeby wreszcie przerwać tę nierzeczywistą ciszę. -- Podobno masz mi pomagać.

Wilk kilkoma sprężystymi susami oddalił się od skał, przystanął i wywiesiwszy jęzor, obejrzał się.

-- Wolałbym zostać pod górami... -- Kacper w rozterce potarł rękawicą policzek, ale gdy Cień warknął zniecierpliwiony, westchnął i ruszył jego śladem.

Zziajał się szybko, brnąc przez sypki śnieg, w który zapadał się czasem po biodra; niekiedy potykał się na pniaku pozostałym po drzewie zrąbanym przed wielu laty, w czasach, kiedy las dochodził do samych gór. Chmury przerzedziły się, odsłonięty księżyc nadał pokrywie śnieżnej nowego blasku.

Cień prowadził bezdrożem, ale nawet wśród kilkumetrowych zasp zawsze potrafił znaleźć przesmyk możliwy do pokonania przez człowieka. Parę razy nad mroźną pustynią rozległo się wilcze wycie; przystawał wtedy i węszył, zmrużywszy ślepią, ale nie odpowiadał. Gdy zdarzało się, że Kacper grzązał na dłużej w białym puchu, przewodnik zawracał i ze zwieszonym łbem patrzył z bliska, jakby chciał się upewnić, że wszystko w porządku.

Po długim, nużącym marszu wydostali się wreszcie na twardsze podłoże. Kacper zdołał przejść ledwie parę kroków, poślizgnął się i runął na plecy. Wstał obolały, rozejrzał się półprzytomnie. Drgnął, gdy raptem dostrzegł w pobliżu zamazane odbicie księżyca.

-- To jezioro! -- zawołał podekscytowany i pochylił się nisko nad lodem. -- Może są tu foki!

W mroku pod półprzejrzystą skorupą nie dostrzegł żadnego ruchu, ale i tak zrobiło mu się lżej na sercu. Pomyślał, że ojciec pewnie docierał w te okolice w czasie polowań. Niebawem znalazł otwór wytopiony w lodzie od spodu ciepłym foczym oddechem, kawałek dalej następny. Wiedział, że w takich miejscach wytrawny łowca potrafi godzinami stać bez ruchu w oczekiwaniu na zdobycz. Chętnie sam spróbowałby szczęścia, choćby po to tylko, żeby się pochwalić przed Stachem, ale wolał nie ryzykować, że rozdrażniony Cień pokąsa mu łydki. Wilk wyglądał na zaniepokojonego, krążył nieustannie wokół, z parsaniem obwąchując lód.

Maszerował wytrwale przez resztę nocy. Gdy nad wschodnim horyzontem z wolna zaczął się podnosić szary świt, z wyczerpania i głodu ledwie trzymał się na nogach. Coraz częściej przemykały mu pod nogami smukłe cienie fok, ale teraz już nie zwracał na nie żadnej uwagi. Marzył tylko o tym, żeby zwalić się gdzieś jak kłoda, choćby pod gołym niebem, zamknąć oczy i zasnąć, nawet gdyby ten odpoczynek miał być ostatnim w życiu. Było mu obojętne, dokąd idzie i po co, byle dojść już wreszcie do celu i uwolnić się od bezlitosnego opiekuna, który nie pozwalał na złapanie tchu.

Zatrzymał się naraz, wyprostował plecy. Czuł, że dzieje się coś ważnego, czego nie wolno przegapić. Przez szparki w opuchniętych powiekach patrzył na wstający dzień. Skraj jeziora chyba był już niedaleko -- stały tam rzędem obumarłe drzewa. Zamrugał kilkakroć. W oddali, na tle śnieżnej skarpy powoli przesuwały się sylwetki idących jeden z drugim ludzi. Musieli być złomiarzami, bo każdy ciągnął za sobą szerokie sanie z urobkiem, spod kapturów buchały opary oddechów. Wcześniej w tym roku zaczęli robotę, schyłkiem zimy -- widocznie doświadczeni starcy osądzili, że sprzyjająca pogoda utrzyma się na dłużej.

Chciał krzyknąć, zwrócić na siebie ich uwagę, ale udało mu się wydobyć z krtani tylko śmieszny skrzek. Uniósł obie ręce, żeby spróbować jeszcze raz, ale już nie zdążył -- upadł pod ciężarem Cienia, który zwałił mu się na pierś. Żółtawe zęby sięgnęły gardła. Zrozumiał, że jeśli chce żyć, musi leżeć spokojnie.

Wytrzymał, lodowaciejąc po trochu, chociaż od cuchnącego oddechu wilka robiło mu się niedobrze. Słaby wiatr jeszcze przez jakiś czas przynosił strzępy ludzkich głosów. Pobrzękiwało żelastwo, potem znowu zapadła cisza.

Cień wypuścił go wreszcie i od razu ruszył w dalszą drogę, jakby nie wydarzyło się nic ważnego. Kacper zdjął rękawicę i drżącym palcem dotknął śladów po kłach na szyi. Z trudem odrzucił pokusę ucieczki -- wycieńczony nie miał żadnych szans na otwartej przestrzeni. Musiał czekać na inną okazję, tymczasem trzeba było dźwignąć się na nogi i powlec dalej wilczym tropem, nie myśląc o tym, że teraz każdy krok, zamiast przybliżyć, oddala od bliskich.

Z tego dnia niewiele zapamiętał: wysoki brzeg jeziora, zasy po pas, przelotne zamiecie. Nie czuł stóp, chwilami nie był pewien, czy wciąż jeszcze idzie. Gdy zmuszał się do podniesienia głowy, widział daleko przed sobą rozchwianą, siną kreskę widnokregu.

Osunął się w końcu do głębokiej jamy wydartej w zmrożonej ziemi potężnymi korzeniami obalonego przez wicher drzewa. Niemrawo próbował się wydostać, ale to było już ponad jego siły. Skulił się na dnie i zasnął natychmiast, nie wytrzepawszy nawet śniegu z futrzanego kołnierza.

Kilkakroć budziło go dudnienie przetaczającej się górą burzy, ale nie otwierał oczu; chował twarz w rękawicach i spał dalej. Cień też tu był -- odczuwał bicie jego serca i ciepłość ciała. Bliskość zwierzęcia nie wywoływała teraz strachu ani obrzydzenia. Pamiętał dobrze przestrogi ojca, że w kotlinie śmierć najszybciej dopada samotnych.

Przespał dzień i noc. Na dobre ocknął się dopiero następnego ranka, gdy poróżowiał już lód na sterczących korzeniach. Był bardzo przemarznięty, z trudem poruszał rękami i nogami. Wilk zniknął -- pozostało po nim tylko odcisnięte w śniegu zagłębienie i garstka włosów.

Kacper jęknął i skubnął splekanymi wargami odrobinę śniegu. Wnętrza szarpał mu głód.

Na dno wykrotu upadł ochłap skrwawionego mięsa, z jednej strony pokryty szczeciniastą skórą, tak świeży, że wciąż jeszcze parował ciepłem. Chłopiec podniósł go bez wahania, wyrwał zębami spory kęs i przeżuł pośpiesznie, aż trzeszczały chrząstki i żyły. Zjadł, ile mógł, pomrukując z zadowolenia, resztę schował do kieszeni kurty. Uderzył rękawicami w uda, złapał za zwisający korzeń i sprawnie wydostał się na górę.

Cień siedział niedaleko na wystającym ponad śnieg ściętym pniu. Zdawało się, że jego nastroszone uszy przeświecła blask. Kacper niespodziewanie nabrał ochoty, żeby poczochrąć skudloną na grzbiecie sierść, jak robił to zawsze z młodymi psiakami, które ojciec dopiero przyuczał do zaprzęgu. Może odważyłby się na to, ale gdy tylko postawił pierwszy krok, wilk zeskoczył z pniaka i z wyprostowanym ogonem potruczał dalej.

Tego dnia przy dobrej pogodzie pokonali szmat drogi, sunąc poprzez monotonną, nieskazitelnie czystą pustynię, gdzie wobec braku punktów odniesienia zacierały się odległości, a wzrok gubił się w białym blasku. Czasem natykali się na odmiecione przez wiatr ze śniegu odcinki lodowych traktów z wyrytymi głęboko przez płozy sań koleinami, ale Cień nie trzymał się ich -- sam wybierał kierunek marszu.

Chłopiec spoglądał za siebie, na rozplomieniony lodowcami łańcuch gór. Rozpoznał charakterystyczny czub Krzywego Wierchu, powiódł wzrokiem wzdłuż Grani i odnalazł rodzinny szczyt. Choć bardzo się starał, osłaniając oczy przed słońcem, z tej odległości nie dostrzegł blaszanego dachu dzwonnicy ani nawet dymów osady.

Przed południem horyzont pociemniał, jakby przysypany grubą warstwą czarnej sadzy, i minęło jeszcze trochę czasu, nim Kacper zorientował się, że patrzy na martwy las. W jednej chwili przypomniały mu się wszystkie najmroczniejsze legendy drwali, którzy lubili szczycić się tym, że nikt prócz nich nie śmiał spędzić nocy pomiędzy oblodzonymi pniami. Nawet myśliwi, kiedy zapuszczali się do lasu w pogoni za zwierzyną, przed zachodem słońca zawsze wracali na wykarczowane obszary.

Przeszedł go dreszcz, kiedy po paru godzinach wkroczył w cień pierwszych drzew. Śnieg zdawał się szary. W nagich gałęziach nieustannie jęczał, gwizdał, zawodził wiatr. Zbliżył się do jednego z grubych pni, zdjął rękawicę i gołą dłonią dotknął pobrużdżonej kory. Wypatrzył ślady niedźwiedzich pazurów. Rozejrzał się za przewodnikiem -- szara sylwetka pojawiała się i znikła między drzewami. Pobiegnął w tamtą stronę zdjęty nagłą trwogą, że mógłby zostać tutaj sam.

Czuł się bardzo niepewnie w tym obcym krajobrazie, nasłuchiwał poskrzypywania ogromnych konarów. Przygnębiał go półmrok. Z rzadka tylko otwierały się szerokie pasy wyrębów iskrzące w słońcu. Mijał całe połacie spalonego lasu, gdzie sterczały tylko pozbawione gałęzi martwe kikuty. Śledził wzrokiem krzyżujące się tropy zwierząt, czasem natykał się na odchody albo żółte dziury w zaspach, wytopione gorącym moczem. Jako syn myśliwego zdawał sobie sprawę, że martwy las wbrew nazwie jest pełen życia -- wciąż jeszcze potrafił wyżywić, ogrzać i odziać ludzi z osad przycupniętych pod wierchami.

Raptem dostrzegł na śniegu czarną, okrągłą plamę, nieco w bok od śladu pozostawionego przez Cienia. Przyszło mu do głowy, że to może być pozostałość po nocnej watrze drwali. Skręcił w tamtą stronę, żeby sprawdzić, czy w popielisku zachowała się jeszcze odrobina ciepła.

Przyklęknął i znieruchomiał z wyciągniętą ręką.

Pośrodku okręgu, na wpół zagrzebana w tłustej sadzy, leżała ludzka dłoń o poczerniałych paznokciach. Na serdecznym palcu tkwił pierścionek z czerwonym oczkiem.

Uciekł stamtąd, nie oglądając się, ogarnięty zgrozą. Jeszcze długo potem zdawało mu się, że z każdym oddechem wciąga w płuca gorzki swąd spalenizny.

Przewodnik zniknął. Cienie drzew rozciągnęły się, niskie słońce skąpo przebłyskiwało wśród gałęzi. Wiatr zelżał, z ciemniejącego nieba sypnął się gęsty śnieg. Nadciągała noc, a razem z nią najskrytsze strachy zamieszkujące złe sny. Kacper znowu zwątpił w dobre intencje kobiety, która wysłała go na to odludzie. Wyrzucał sobie naiwność, żałował, że przy pierwszej sposobności nie zadźgał wilka nożem. Gdyby nie odszedł tak daleko od gór, być może już siedziałby w domu, chłepcąc w ogrzanej izbie matczyną zupę.

Zawrócił, żeby wydostać się z lasu po własnych śladach, ale już po paru krokach przekonał się, że wszystko pokrył świeży śnieg. Mimo to brnął dalej, zacisnąwszy zęby. Wypatrywał drzew o znajomych kształtach, strąconych przez burze konarów, na których potykał się, idąc w przeciwną stronę. Chwilami

ludził się, że jest na właściwym tropie, między drzewami spodziewał się ujrzeć prześwit, ale coraz częściej przystawał pełen zwątpienia. W ukośnych smugach gasnącego dnia każdy zakątek puszczy wyglądał podobnie -- groźnie i odpychająco. Padający śnieg tłumił wszelkie odgłosy, zawęzał pole widzenia, otępiał. Zza tej ruchliwej zasłony do lasu nieustępliwie wsączał się mrok.

Utknął wreszcie na dobre. Był całkowicie zdezorientowany. Dyszał ciężko, skóra na karku ścierpła mu ze strachu. Udeptał śnieg w rozwidleniu wysokich korzeni i przykucnął tam, wsparty o pień, ssąc resztkę otłuszczonej skórki bardziej dla uspokojenia niż z głodu. Nie wiedział, gdzie jest, nie mógł rozpalić ognia, a do obrony miał tylko nóż. Czekąca go bezsenna, mroźna noc -- pierwsza w lesie, a może i ostatnia.

Gdy zapadła ciemność, szybko stracił poczucie czasu. Miał wrażenie, że uwiązł gdzieś poza obrębem prawdziwego świata zapomniany przez wszystkich i skazany na wypatrywanie świtu, który nigdy nie nadejdzie. Właściwie przestał się bać. Był skupiony tylko na tym, żeby odegnać senność. Wiedział, że to ważne, choć już nie pamiętał dlaczego. Mróz opancerzał go z wolna, znieczulał na wszelkie doznania. Z mrocznego nieba padał czarny śnieg.

Nagle w ciemnościach rozjarzyło się dwoje wilczych ślepi. Kacper chciał przywołać Cienia po imieniu, ale udało mu się tylko poruszyć bezgłośnie zaskorupiałymi wargami. Niespodziewanie zamiast radości poczuł strach. Nieruchome, natarczywe spojrzenie wydało mu się tak obce, że mimo woli odwrócił wzrok; wtedy odkrył, że dookoła drzewa zacieśnił się bezszelestnie krąg kilkunastu podobnych, głodnych par oczu.

Nie zdążył sięgnąć po nóż. Błyskawiczny atak nastąpił z kilku stron naraz. W odruchu obronnym zdołał osłonić twarz. Kły natychmiast rozdarły grubą rękaw kurty, sięgając nagiej skóry przedramienia. Zwierzęta były tak wygłodniałe, że darły na nim spodnie, walcząc między sobą zaciekle o każdy skrawek foczej skóry. Wiedział, że gdy poczują świeżą krew, pozostanie mu już tylko parę chwil życia.

Raptem ponad wszelkie inne odgłosy wzniósł się przeciągły skowyt. Na moment zapadła cisza, a potem walka rozgorzała na nowo, jeszcze gwałtowniejsza, ale już nie tak chaotyczna, jakby pojawił się inny, wspólny dla całej watahy przeciwnik.

Kacper powoli opuścił poranioną rękę, odsłaniając twarz. Zobaczył Cienia -- tym razem nie mogło być wątpliwości, że to właśnie on. Wpadł między dzikie wilki ze zjezoną na karku, oszronioną sierścią, złapał któregoś za gardło i potrząsnąwszy łbem, odrzucił na bok. Szare ciało wyprężyło się na śniegu i zamarło. Dopadł następnego, zadusił, na chwilę legł pod ciężarem dwu innych, które wskoczyły mu na grzbiet, ale zaraz znowu był na górze, kłapnięciami skrwawionego pyska rozpędzając stado. Kilka wilków, podkulając ogony, umknęło w mrok, reszta watahy wycofała się z respektem. Zapewne znały Cienia z wcześniejszych utarczek. Może niektóre nosiły blizny po jego kłach. Głód nie pozwalał im na odwrót. Były w przewadze; pozostawało tylko kwestią czasu, kiedy zaszczują samotnego wroga, ale wiedziały, że przedtem padnie niejeden, a żaden nie chciał ginąć jako pierwszy. Warczały, parskały, dreptały w pociemniałym od krwi stratowanym śniegu. Z rozgrzanych walką, zapadniętych boków parował pot.

Przywódcą watahy, jeśli chciał nim pozostać, musiał podjąć wyzwanie. Skoczył cicho, bez ostrzeżenia, lecz Cień był czujny -- przyjął atak, wspiąwszy się na tylne łapy, i wytrzymał impet uderzenia. Przeciwnicy zwarli się w morderczym tańcu, pysk w pysk, w gardłach charkotała wściekłość. Dziki basior wydawał się szybszy, zwinniejszy, umykał spod kłów Cienia i odgryzał się natychmiast, zadając mu głębokie rany na szyi i głowie. Samotny wilk próbował odskoczyć, żeby zyskać choć kilka sekund wytchnienia, ale dorównujący mu wagą i wielkością wróg nie pozwalał na to, wczepiwszy pazury w jego grzbiet. Kołowali więc w stójce,

przepychali się, szczepiali zębami. Pochłonięci walką wypróżniali się po trochu spod uniesionych ogonów. Cień słabł wyraźnie, oddychał chrapliwie. Dawała o sobie znać długa droga, którą miał za sobą, a może i wiek. Już nie kąsał, coraz trudniej było mu unikać razów. Niewiele widział -- ślepie zalewała krew.

Kacper chwycił zębami rękawicę i powoli wysunął z niej dłoń. Sycząc z bólu, kilkakrotnie zgiął i rozprostował zeszywniałe palce. Nie patrzył na walczących. W skupieniu przyglądał się stłoczonej wokół watasze. Był pewien, że prędzej czy później któryś z młodych, niecierpliwych wilków zechce przyspieszyć koniec starcia, atakując bezbronny Cienia od tyłu.

Gdy kątem oka dostrzegł nagły ruch, pospiesznie dobył noża.

Poderwał się i rozplątał wilczy brzuch w pół skoku, aż ciepła jucha obryzgała mu twarz. Cień wykorzystał moment zawahania u basiora, który odwrócił głowę. Natarł ostatkiem sił, obalił przeciwnika w śnieg i chwycił zębami za odsłonięte gardło.

Kacper łudził się, że w pozbawionym przywódcy stadzie zapanuje chaos, stwarzając okazję do ucieczki, ale nadzieja szybko zgasła -- watahą rządził teraz głód. Drapieżniki obskoczyły go ze wszystkich stron. Zdołał jeszcze pchnąć ostrze w któryś z rozwartych pysków, przeorał krwawą pręgą kościsty grzbiet, lecz chwilę później już nie był w stanie unieść ramienia, bo na poszarpanym rękawie uwiesiło się kilka wilków naraz. Stracił równowagę, padł na jedno kolano. Któryś z młodych basiorów rzucił mu się do gardła -- ocalił go futrzany kołnierz. Chwycił lewą ręką za kudły na karku zwierzęcia, żeby oderwać go od siebie, ale ta rozpaczliwa obrona nie zdała się już na nic. Zachwiał się pod ciężarem napastników i ze zduszonym okrzykiem runął na plecy.

Coś świsnęło, wilk na piersi chłopca drgnął i zwiotczał. Kacper wciąż trzymał dłoń na jego grzbiecie -- gdy przesunął ją niżej, dotknął tkwiącej w ciele strzały.

Zrzucił z siebie truchło i usiadł. W mroku między drzewami raz po raz jęczały cięciwy. Prawie każda strzała była celna. Wilki motały się ze skowytem ogłupiałe z przerażenia; w końcu, gdy krąg na śniegu pokryło krwawe błoto, resztki przetrzebionego stada pierzchły w noc.

Sypnęły się skrzesane iskry i po chwili na wietrze załopotał płomień pochodni. Zza pni wyłoniły się ciemne sylwetki kilkunastu ludzi, którzy w milczeniu otoczyli pobojuwisko, wieszając na plecach łuki. Nie pokazywali twarzy, spod kapturów sterczały im tylko oszronione brody. W ciszy powyrywali swoje strzały, a potem skupili się wokół Cienia, który leżał na boku z wyciągniętymi łapami, oddychając z trudem. Któryś zamruczał niezrozumiale, dwaj inni rozpostarli na śniegu lisi kozuch, ostrożnie ułożyli na nim ranne zwierzę i owinęli troskliwie. Jeden z łuczników próbował napić wilka z dłoni odrobiną wody, ale zwierzę nie było w stanie dźwignąć głowy. Skamlało słabo, gdy na ramionach ponieśli je w las.

Odeszli tak samo niepostrzeżenie, jak się pojawili. Po prostu wsiąkli w noc. Pozostał tylko jeden, wyższy od innych, odziany w znoszony, wielokrotnie łatany myśliwski przyodziewek. Zbliżył się do Kacpra z wolna, rozkruszając rakietami kałuże zakrzepłej krwi. Przykucnął, odsuwając pochodnię na bok.

-- Naprawdę dzielnie walczyłeś. -- Podniósł nóż chłopca, podrzucił w dłoni i podał mu rękojęścią naprzód. -- Mam nadzieję, że okażesz się wart ceny, którą zapłacił za ciebie nasz przyjaciel.

Zgasił pochodnię w śniegu, wstał i ruszył śladem tamtych. Był już poza zasięgiem wzroku, gdy z ciemności dobiegł jego głos:

-- Lepiej pośpiesz się, chłopcze. Nas można spotkać tylko jeden raz w życiu. Następnej szansy nie dostaniesz.



Chociaż do osady nie było daleko, samodzielnie Kacper nigdy by tam nie trafił. Sióło rozciągało się na dnie głębokiego jaru ukrytego pośród lesistych wzgórz. Nie prowadziła tam żadna przetarta ścieżka. Nawet u samego wejścia do wąwozu nic jeszcze nie zapowiadało obecności ludzi -- dopiero kawałek dalej wąskie przejście między przeciwległymi zboczami zamykała wysoka na kilkanaście metrów palisada. Nie było żadnej bramy czy choćby furtki; gdy brodacz zagwizdał, na górze, w szarówce przedświt, ukazała się jakaś postać i opuszczono drabinę.

Chłopiec wdrapał się po śliskich szczelach, niemal mdlejąc ze zmęczenia. Ktoś przeciągnął go nad palisadą. Bezwładnie przetoczył się na tamtą stronę, padając w śnieg.

Usłyszał kroki i otworzył oczy. Pochyliła się nad nim drobna, pomarszczona staruszka. Pomimo mrozu miała gołą głowę, którą okalały rzadkie pasemka popielatych włosów.

-- Takiś młody, prawie dziecko. -- Uśmiechnęła się przyjaźnie. -- Czy bardzo tęskniłeś?

Nie wiedział, co odpowiedzieć, więc na wszelki wypadek skinął głową i ponad ramieniem kobiety spojrzął w głąb jaru.

Środkiem biegła prosta, wyściełana okrągłakami ulica, tak wąska, że dwoje ludzi ledwie mogło się minąć. Z obu stron, przylepione do stromych zboczy, ciągnęły się w dwóch szeregach drewniane, kurne chaty pozbawione okien ze skórzanymi zasłonami w niskich wejściach zamiast drzwi. Nie było podwórzy ani płotów. Panowała cisza, a przez szpary w poczerńniętych ścianach sączył się dym.

-- Trzeba się śpieszyć, zaraz wszędzie słońce. -- Staruszka podała mu dłoń o powykrzywianych przez artretyzm palcach. -- Chodź ze mną, pokażę ci twój dom.

-- Mój dom?...

-- Oczywiście. Chyba nie zamierzałeś spać pod gołym niebem?

Wbrew temu życzliwemu powitaniu Kacper czuł, że dzieje się coś złego, ale był zbyt znużony, żeby teraz nad tym rozmyślać. Marzył tylko o jedzeniu i długim śnie. Wstał i słaniając się, ruszył uliczką. Żaden pies nie wyskoczył zza węgła, żeby obszczezać obcego, z izb nie wybiegały ciekawskie dzieci. Grzbiety wzgórz pławiły się już w słońcu, ale w tej dziwnej, przyczajonej za palisadą wsi nie rozbrzmiewały odgłosy codziennej pracy. Martwą ciszę mąciło tylko stukanie obluźowanych kłód pod nogami i od czasu do czasu szelest osypującego się ze zboczy śniegu. Ludzie spali albo po prostu trwali beczynnym w zadymionym półmroku obojętni na wszystko, co działo się za progami chat.

Sędziwa kobieta wskazała Kacprowi jedną z chałup, machnęła na pożegnanie ręką i odeszła bez słowa. Rozejrzał się, lecz uliczka wciąż była pusta. Odgrzebał butem pierwszy stopień drewnianych schodków, podszedł do sztywnej zasłony i odchyliwszy ją, zajrzał do ciemnego wnętrza. W zimnym zaduchu rozpoznał woń zjełczalego tłuszczu, źle wyprawionych skór i dawno wygasłego ognia. Wszedł, starannie otrzepując buty na wysokim progu. Ze szczelin między belkami ścian ukośnymi smugami tryskało dzienne światło, malując na klepisku pasiasty deseń. Dostrzegł barłóg na ławie, obłożone kamieniami palenisko, a obok stos porąbanych szczap. Musiał długo chuchać na palce, nim udało mu się ująć krzesiwo i rozniecić ogień. Dym skupiał się pod dachem i drapał w gardle. Z sopli zwisających pod krokwiami zaczęła kapać woda.

W kącie znalazł gliniany dzban z kumysem, trochę wędzonego sadła i zmrożony ser. Zjadł wszystko, opróżnił dzban do połowy, a potem rzucił się na ławę, nie zdejmując nawet butów. Zapadł w sen niczym w

czarną rozpadlinę bez dna.

Budził się kilka razy, półprzytomny dorzucał do ognia i na powrót zagrzebywał się razem z głową w legowisku pod ciężkimi futrami. Czasem, kiedy nasycony ciepłem trwał w rozkoszonym półśnie, miał wrażenie, że ktoś chodzi po izbie, ale nie zadawał sobie trudu, żeby to sprawdzić. Zdążył się już przekonać, jak cenne są w kotlinie godziny odpoczynku, i wiedział, że trzeba wyzyskać je do końca.

Wreszcie głód wygonił go spod przykrycia. Usiadł na ławie, opuścił nogi na ziemię i zastygł w bezruchu.

Pod przeciwległą ścianą, oparłszy łokieć na belce, stał brodaty mężczyzna. Nie był już młody. W sięgających ramion włosach pojawiły się pierwsze wątki siwizny. Na grubo ciosanej twarzy łatwo było dostrzec ślady mroźnych wichrów i nocy spędzonych w marszu. Przyglądał się chłopcu w milczeniu, zadumany, jakby błędził myślami gdzieś daleko.

-- Wypocząłeś? -- zapytał po długiej chwili. Kacper rozpoznał po głosie swego niedawnego przewodnika.

-- Tak... Dziękuję za gościnę.

-- Nie musisz dziękować, tutaj wszyscy jesteśmy braćmi. Czy bardzo tęskniłeś?

Chłopiec opuścił wzrok na swoje buty. Dla zyskania czasu poprawił rzemienie. Już po raz drugi usłyszał to dziwne pytanie, które przywoływało cień niepokojących wspomnień.

-- Bardzo -- zaryzykował.

Brodacz zmrużył oczy, zahaczył kciuk na szerokim pasie.

-- Chyba jeszcze nigdy nie dotarł tu nikt w twoim wieku. Dzieci zwykle łatwo zapominają o Światłości, ale z tobą musiało być inaczej, skoro odważyłeś się na wędrówkę przez las.

Kacprowi zaschło w ustach. Chwycił dzban, w którym zagrzechotały kawałki lodu, i pociągnął bardzo długi łyk. Był pewien, że mężczyzna bierze go za kogoś innego. Gorączkowo zastanawiał się, jak z tego wybrnąć.

-- Ja... Chciałem tylko uciec z miasta -- zaczął ostrożnie. -- Przy bramie spotkałem kobietę, która mi pomogła.

-- To Krystyna. Wyprowadziła już za mury wielu ludzi.

-- Właśnie. Najtrudniejsze za mną, teraz chciałbym wrócić do swoich.

Mężczyzna nagle wyprostował się, opuszczając ręce wzdłuż ciała, i zmarszczył pobladłe czoło. Stanął w taki sposób, żeby zasłonić sobą wyjście.

-- Kim naprawdę jesteś? Kto cię tu przysłał? -- zapytał zmienionym, ostrym głosem.

-- Mówiłem przecież...

-- Oszukałeś Krystynę!

-- Nie! -- Kacper poczuł piekące łzy i ukradkiem starł je rękawem. -- Nie chciałem zrobić nic złego. Szukam drogi do domu, to wszystko.

Tamten przyglądał brodę i szybko obrzucił wzrokiem całą izbę, jakby chciał się upewnić, że są sami. Potem wyciągnął przed siebie otwartą dłoń.

-- Dawaj nóż -- rzucił rozkazująco.

-- Dostałem go od ojca! -- Kacper opadł na ławę. -- Jeżeli go stracę, nie będę mógł spojrzeć mu w oczy.

-- Powtórzę to tylko raz, potem cię zabiję. -- Brodacz zrobił krok naprzód, nie opuszczając ręki -- Dawaj.

Chłopiec wypiął pochwę i łykając łzy, położył nóż na dłoni mężczyzny. Tamten skinął głową i czym prędzej wsunął go za pazuchę.

-- A teraz dobrze się zastanów, zanim odpowiesz na moje pytanie. Od tego zależy twoje życie. -- Pochylił się nieco, zbliżając twarz. -- Czy byłeś oświecony?

Kacper zacisnął wargi, próbując powstrzymać szloch. Czuł się zwiedziony kolejno przez wszystkich, którzy twierdzili, że chcą mu pomóc -- Łukasza, Krystynę, a teraz także przez tego surowego człowieka.

-- Tak! -- warknął wściekły z powodu własnej naiwności. -- Na Grani dopadł mnie Lucyfer.

Po ciosie w policzek głowa odskoczyła mu na bok. Zacisnął powieki w oczekiwaniu następnych razów, ale po chwili ciszy skrzypnęła zasłona u wejścia.

-- Nigdy więcej nie mów w ten sposób o Światłości. Jeszcze nie wiem, co z tobą zrobimy. Na razie nie waż się opuszczać tej izby. Zajmie się tobą Michalina.

Grube podeszwy załomotały na progu.



Kacper nie dorzucił do ognia nawet wówczas, gdy po zmroku przez nieszczelne ściany zaczął się wciskać nocny mróz. Ciemność była teraz jego jedynym, złudnym schronieniem przed nieznaną grozą, która zawisła nad tym przeklętym jarem. Leżał na ławie odwrócony plecami do wejścia i zmartwiały ze strachu. Zrozumiał już, że nic gorszego nie mogło go spotkać. Przedtem, w Bibliotece, miał do czynienia z niedorzecznymi pomysłami szalonego mnicha i grupką zastraszonych chłopców, ale teraz znalazł się wśród odszczepieńców, którzy w imię lucyferiańskiego obłądu wyrzekli się wszystkiego, co ludzkie.

Nie podniósł się, gdy ktoś wszedł do chaty; po drobnych krokach i świszczącym oddechu rozpoznał starą kobietę. Chyba miała jakiś kaganek, bo kryształki lodu pomiędzy belkami zaiskrzyły słabym odbłaskiem.

-- Przyniosłam zupy. -- Usiadła na brzegu ławy. -- Zjedz, póki gorąca.

-- Nie mam ochoty -- odburknął.

-- Musisz nabrać sił.

-- Po co? Jestem więźniem.

-- Każdy z nas jest więźniem we własnym ciele.

-- Nie rozumiem...

-- Z łatwością możesz odzyskać wolność. Pilnuje cię tylko jeden strażnik -- ty sam.

Tknięty nagłym niepokojem Kacper spojrział przez ramię. Nikła nadzieja, którą przechował aż dotąd gdzieś na dnie duszy, rozviała się jak dym.

Głowa kobiety stała w ogniu. Niebieskawy, przejrzysty płomień ogarniał twarz, skronie, poradlone czoło, sięgał wyżej wąskim językiem, który chwiał się lekko przy każdym ruchu Michaliny.

-- Nie patrz na mnie z takim przerażeniem. -- Uśmiechnęła się lekko spoza blasków.

Kacper odsunął się najdalej, jak mógł. Za nim była już tylko ściana.

-- Ratuuj się!

-- Nic złego mi nie grozi.

-- Trzeba do księdza, przed świętego Jerzego...

-- Od dawna jest na to za późno. Światłość można zgasić tylko w ciągu paru pierwszych dni, a ja płonę już bardzo długo. Poprzednio widziałeś mnie tuż przed świtem, wtedy trudno zauważyć nimb. Dopiero w pochmurne noce widać, że mój czas jest już bliski.

-- Dlaczego żyjesz między ludźmi? Przecież to zagrożenie dla całej wsi!

-- Mylisz się. Jeśli wsi grozi jakieś niebezpieczeństwo, to nie z mojej strony, ale z twojej.

Jej pogodny spokój po trochu udzielił się i chłopcu. Opromieniona nimbem, pomarszczona twarz wzbudzała zaufanie. Przysiadł na piętach i potrząsnął głową, jakby nie dowierzał własnym odczuciom.

-- Nie chcę niczyjej krzywdy.

-- Wiem o tym, masz szczere spojrzenie. A jednak źle się stało, że do nas trafiłeś. Krystyna nie wypytała cię dokładnie, dlaczego uciekasz z miasta. Pomyślała, że to z tęsknoty za Światłością, jak wielu innych. -- Poprzez drżący błękit przyjrzała mu się uważniej. -- Kiedyś ty też miałeś ją w sobie, prawda?

-- Przez krótki czas. -- Zmarszczył brwi, jakby przywołanie tak świeżych wspomnień sprawiło mu niemałą trudność. -- Miałem wielkie szczęście, ludzie biskupa znaleźli mnie w porę.

-- A potem pomogli o wszystkim zapomnieć? -- Pokiwała smutno głową, na ścianach zamigotały przelotne błyski. -- Dzięki Bogu, nie zawsze im się to udaje. Niektórzy z oświeconych, nawet gdy utracą Światło, wciąż pamiętają o szczęściu, o pięknie, o rozkoszy poddania się oczyszczeniu i przemianie. Śnią, tęsknią, marzą o tym, żeby przeżyć to jeszcze raz. Najbardziej wytrwali docierają aż tutaj.

-- Żeby umrzeć?

-- Nie, chłopcze. Żeby wydobyć z siebie to, co najczystsze, wznieść się między gwiazdy i tam żyć wiecznie. -- Podsunęła mu miskę, podniosła się. -- Zjedz. Mam się tobą opiekować, więc będziemy się często widywać.

Przez resztę nocy Kacper nie zmrużył oka. Zdawało mu się, że poświata nie spełzła całkiem ze ścian -- przygasła tylko gotowa w każdej chwili buchnąć wokół jego głowy zimnym płomieniem. Myślał o cichych mieszkańcach sąsiednich chat, a wtedy na przemian pocił się i drżał z zimna.

Gdy wreszcie podłogę pokryły słoneczne pręgi, nabrał nieco odwagi. Zamierzał nawet wyjść na zewnątrz, ale skoro tylko sięgnął po czapę i rękawice, przed chatą załomotały ciężkie kroki.

-- Obudziłeś się? -- Brodacz nie wszedł, wetknął tylko do izby głowę. -- Dobrze. Pójdziesz ze mną.

-- Dokąd?

-- Zobaczysz.

Przeszli między rządami chat, okadzeni snującym się nisko dymem, aż do samej palisady. Mężczyzna zatrzymał się przy drabinie, przepuścił chłopca przodem.

-- Właż -- zakomenderował.

Wdrapali się kolejno na wąski podest. Kacper wsunął dłonie między zaostrome u góry kołki, wspiał się na palce i z bijącym sercem wyjrzał na tamtą stronę. Zobaczył rozszerzającą się gardziel wąwozu, czarne jamy wykrotów na stokach i przeświecające pośród drzew słońce. Wydawało mu się, że gdzieś tam dalej, pomiędzy zaspami, przewija się wpółzatarły sznur wilczego tropu i wzdrygnął się mimo woli.

-- Słuchaj teraz uważnie. -- Brodacz szarpnięciem za ramię odwrócił go ku sobie. -- Pomyliłem się co do ciebie. Nie jesteś jednym z nas, nie powinno cię tu być.

-- Więc mnie wypuście.

-- To niemożliwie.

-- Dlaczego?

-- Ta wieś musi pozostać tajemnicą.

-- Nikomu nic nie powiem, przysięgam!

-- Nie możemy ryzykować. -- Zdecydowanym ruchem dłoni zdusił protesty chłopca. -- Właściwie powinieneś umrzeć. Tak byłoby najrozsądniej.

Kacper przymknął oczy, trudno było mu zebrać myśli. Przemknęło mu przez głowę, żeby jednym skokiem przesadzić ostrokół i choć na chwilę poczuć się wolnym, zanim dosięgnie go strzała.

-- Sami mnie tu sprowadziliście.

-- Wiem. Tylko dlatego zostałeś przy życiu. Gdybym uznał, że świadomie chciałeś mnie oszukać, nie rozmawialibyśmy teraz. Ta sprawa nie ma dobrego rozwiązania ani dla ciebie, ani dla nas. Na razie zostaniesz tutaj. Nie próbuj uciekać, łatwo znajdziemy cię w lesie. -- Sięgnął za pazuchę po nóż. -- Bierz. Widziałem, że potrafisz go użyć. W kotlinie trudno o większą zasługę jak zabicie wilka. -- Zawahał się na moment. -- Szukaj mnie w razie kłopotów. Nazywam się Roch, jestem tutaj starostą.

Kiedy Kacper przypiął pochwę przy biodrze, poczuł się trochę pewniej. Zaufanie tego barczystego mruka, który nigdy się nie uśmiechał, sprawiło mu nieoczekiwaną przyjemność.

-- Mój ojciec jest myśliwym. -- Rozprostował plecy.

-- Lepiej o tym zapomnij.

-- Jak to?

-- Przeszłość dla ciebie umarła. -- Wątła nić porozumienia pękła. -- Jeśli mamy cię żywić, musisz być przydatny. Obserwuj uważnie wylot jaru. Czasem się zdarza, że zabłądzi tutaj jakiś myśliwy albo drwal. Trzeba go wtedy przepłoszyć, a jeśli się nie uda... -- Wzruszył ramionami. -- Alarmuj, jeśli kogoś zobaczysz.



W ciągu kilku następnych dni poznał wszystkich nieoświeconych mężczyzn. Zawsze któryś z nich był w pobliżu, rąbiąc drwa, naprawiając odzież albo po prostu stojąc nieruchomo na palisadzie ze wzrokiem utkwionym w cienistym wylocie wąwozu. Było ich kilkunastu -- jeden w drugiego zarośnięci i mrukliwi; nigdy nie rozstawali się z bronią, nawet przy jedzeniu obok miski kładli na stole łuk. Wydawało się, że żyją w ciągłym napięciu, jakby spodziewali się, że z lasu w każdej chwili może nadejść zagrożenie. Kacper wiedział, że go pilnują; nie mógł zrobić kroku bez ich czujnych, milczących spojrzeń.

Jedynie Jasiak był trochę rozmowniejszy, patrzył na świat weselszymi oczyma. Wyglądał na młodszego od innych. W jego czarnej brodzie nie srebrzyły się jeszcze niteczki siwizny. Miał smukłe, pozbawione zrogowaceń dłonie, jakby nigdy w życiu nie musiał ciężko pracować. Kacper chętnie spędzał czas w jego towarzystwie. Inni mężczyźni onieśmielali go. Miał wrażenie, że obcuje ze śmiertelnie chorymi ludźmi, którym nic nie może już ulżyć.

Roch wyznaczył chłopcu codzienną wartę na palisadzie od świtu do południa. To nie było trudne zadanie, nawet w czasie zamieci; nigdy nie udało mu się wypatrzeć żadnego ruchu w zasypanej puszczy. Każdego ranka nieoświeceni wychodzili dwójkami na obchód najbliższej okolicy. Od czasu do czasu większą grupą ruszali na łowy. Chociaż nie używali psów, nigdy nie wracali bez zdobyczy -- zwykle foki albo paru zajęcy. Nie było z tego radości ani śpiewów. Ponieważ wszyscy oświeceni zachowywali ścisły

post, mężczyźni w milczeniu dzielili zdobycz między siebie. Z wieczoru jar wypełniała woń pieczonego mięsa.

Któregoś dnia, o brzasku, Roch wniósł na palisadę Cienia. Nie wszystkie rany po walce wygoiły się do końca, na bokach bieleły placki gołej skóry po wyrwanej sierści, ale zdawało się, że wilk odzyskał siły. Spuszczono go na linie po drugiej stronie i natychmiast skoczył w górę jaru, gdzie przepadł w śniegach.

-- Mam nadzieję, że dotrze do miasta -- powiedział Kacper.

-- Nie ma takiej przeszkody, która mogłaby go zatrzymać. Jest twardy. Jego matkę ustrzelili myśliwi. Krystyna wyjęła go z jamy, ślepe szczenię, ostatnie żywe z całego miotu. Wykarmiła wilczka piersią po stracie własnego niemowlęcia. Teraz oboje służą tej samej sprawie co my wszyscy.

Chłopiec chciał jeszcze o coś zapytać, ale drabina już ugięła się pod ciężarem schodzącego brodacza.

Bardzo rzadko widywał innych mieszkańców chat. Oświeceni unikali spotkań i rozmów. Kiedy musieli wyjść na ulicę, przemykali ukradkiem w księżycowym cieniu, nie podnosząc oczu. Wszyscy mieli blade, wynędzniałe twarze -- starzy i młodzi, kobiety i mężczyźni -- ale nie sprawiali wrażenia smutnych czy zrezygnowanych. Niekiedy uśmiechali się przelotnie do własnych myśli skupieni na sobie, zapatrzeni w wewnętrzną jasność. Kacper nauczył się dostrzegać nawet w jasne noce zwiewną, migotliwą otoczkę wokół ich odkrytych głów. Z izb sączył się na śnieg nikły blask.

Gdy nie miał nic innego do roboty, spacerował czasem drewnianym chodnikiem w dół jaru, ale nigdy dalej, niż stały ostatnie chaty -- za każdym razem, gdy próbował przekroczyć tę niewidzialną granicę, spomiędzy głązów na stoku wychylał się któryś z nieoświeconych i bez słowa, gestem dłoni, nakazywał mu odwrót.

Pewnego razu natknął się w ciasnym przesmyku między ścianami chat na Jaśka, który obdzierał ze skóry młodą fokę. Od razu zorientował się, że tamten nie ma doświadczenia w takiej pracy. Wyciągnął nóż i sprawnie dokończył robotę. Był zadowolony, że może wykorzystać nauki ojca.

-- Dziękuję. -- Jasiek skinął głową. -- Widać, że nie robisz tego pierwszy raz.

-- Nic wielkiego.

-- Zawsze mam z tym kłopot. Nie lubię krwi. W mieście nigdy nie zabiłem nawet ślepego szczura.

-- Czym się zajmowałeś?

-- Byłem grajkim weselnym. Zarobek nędzny, ale kumys za darmo, a i panny dla muzykantów przychylne. -- Zarumienił się nagle i niespokojnie obejrzał przez ramię. -- Wybacz, niepotrzebnie tyle gadam.

-- Mnie to nie przeszkadza. Innym chyba szkoda na mnie słów.

-- Nie o to chodzi. -- Jasiek spowaźniał. -- Nie dziw się, że cię unikają. Jesteś częścią świata, od którego się odwrócili. Tutaj nie pielęgnujemy wspomnień.

-- Dlaczego?

-- Bo ważne jest tylko to, co nas czeka. Oświecenie, potem długi post, czuwanie po nocach, a wreszcie odrzucenie udreki ciała i Przeobrażenie. Ja jestem tutaj najkrócej ze wszystkich, więc czasem zdarza mi się o tym zapomnieć.

Nie odezwał się już ani słowem. Z zaciśniętymi wargami poćwiartował mięso, jakby zażenowany własnym gadulstwem.

Michalina zachodziła do Kacpra każdego wieczoru, coraz chudsza, coraz mniejsza, coraz mocniej przygarbiona. Gdy pojawiała się w mrocznej izbie, wyglądała jak żywa pochodnia, pióropusz jasności ponad jej głową sięgał niemal krokwi. Uśmiechała się, odsłaniając bezzębne dziąsła, siadała na ławie i zaczynała się kiwać w przód i w tył, jakby nie potrafiła poradzić sobie z rozpierającym ją szczęściem.

Rzadko zdarzało jej się odzywać pierwszej. Gdy Kacper przerywał ciszę, bardzo powoli skupiała wzrok na jego twarzy, wydobywając się z przepastnych głębin swojej rozświetlonej duszy.

-- Dlaczego tamci nie przyjęli jeszcze Oświecenia? -- zapytał ją pewnego dnia. -- Roch i pozostali...

Drgnęła, z cichym westchnieniem oderwała się od rozmigotanych marzeń.

-- Ze względu na innych odkładają spełnienie własnych pragnień. Ktoś musi pilnować, żeby chaty się nie rozpadły ze starości, zwozić drzewo, bronić wsi przed zwierzętami i złymi ludźmi. To wielka ofiara, największa, na jaką można się zdobyć. Wszyscy patrzyli już kiedyś w Światłość, ale świadomie powstrzymują się przed zaspokojeniem tęsknoty. -- Poprawiła opadający na czoło kosmyk włosów. Po ścianie przemknął zniekształcony cień dłoni. -- Nie miej im za złe, jeśli wydadzą ci się nieco oschli. Cierpienie, nawet dobrowolne, nadal jest cierpieniem.

-- Jak długo to trwa?

-- Zwykle parę miesięcy. Dłuższe odwołanie Oświecenia grozi pomieszaniem zmysłów. Jeden Roch jest wyjątkiem. Wytrzymał prawie dwa lata, ale z każdym dniem trudniej mu żyć w ciemności. Martwię się o niego.

-- Czemu czeka tak długo?

-- Uważa, że nie pojawił się jeszcze we wsi nikt odpowiedni na jego miejsce, żeby wszystkiego tutaj dopilnować. -- W jej oczach przelewał się czysty błękit.

-- To dziwne... Jak udaje mu się unikać Świetlików?

-- Nie musi tego robić, to one unikają jego. Dusza ludzka jest dla nich naga, widzą każdy jej odcień. Wiedzą, która śpi pogrążona w ciemnościach, a która już się przebudziła i prędzej czy później zapłonie. Szukają takich, które same nie mogą wydobyć się z mroku. Światłość jest zbyt cennym darem, żeby szafować nim nierozsądnie. Kiedy Roch postanowi przyjąć Oświecenie, nie będzie potrzebował Świetlików.

-- Więc jak to robi?

-- Sam się przekonasz, jeśli zdobędziesz jego zaufanie.

Na zewnątrz wszczął się z nagłą jakiś ruch, szpary w ścianach pojaśniały.

-- Co się dzieje? -- Kacper słuchał przez chwilę w napięciu.

-- To Tereska. Jest już gotowa, żeby wyzwolić się z ciała -- Michalina odpowiedziała szeptem, kładąc palec na wargach.

Chłopiec bezszelestnie podszedł do zasłony i ostrożnie wyjrzał na ulicę.

Wszyscy oświeceni stali przed swoimi chatami, tworząc długi, płomienisty szpaler. Niektóre z nimbów ledwie tliły się nad pochylonymi czołami, inne strzelały wysoko, rozświetlając śnieg na zboczach. Obciągnięte siną skórą twarze o wystających kościach policzkowych zdawały się wisieć w półmroku pozbawione reszty ciała. W wielkich, szeroko otwartych oczach lśnił zachwyt.

Środkiem ulicy szła młoda kobieta tak bardzo osłabiona wyniszczającym postem, że Roch musiał podtrzymać ją w pół, żeby nie upadła. Miała na sobie tylko luźną, sięgającą kolan koszulę. Długie włosy rozpuściła na ramiona. Stapała bosą po lodzie i śniegu, półprzytomna, w anielskiej ekstazie. Bardzo jasny

nimb falował za nią, migotały wirujące płatki śniegu. Wydawało się, że Światłość przenika od spodu jej przejrzystą skórę.

-- Dokąd ona idzie? -- Kacper czuł, że jaskrawy blask wyciska mu łyzy, ale nie cofnął się w głąb chaty.

-- Do lasu.

-- Tam przecież dopadną ją wilki!

-- Do samego końca będzie przy niej Roch. Potem, kiedy narodzi się na nowo w Świetle, nie rzuci już na nią cienia żaden ziemski strach.

Opuściła powieki i z cichym westchnieniem oparła się plecami o ścianę. Oddychała bardzo ciężko i nierówny, wargi miała spierzchnięte jak w gorączce. Kacper chciał podać jej kubek wody, ale odmówiła nieznacznym poruszeniem głowy.

-- Nie teraz...

Posiniała, złożone na kolanach dłonie zacisnęła w pięści; chyba nie mogła zaczerpnąć tchu. Wyglądało na to, że się dławi.

-- Co ci jest?

Przestraszony Kacper nie wiedział, co zrobić. Łagodne zwykle rysy twarzy Michaliny stężyły w jakimś odpychającym grymasie, z nosa puściła się krew, ciekąc głębokimi bruzdami wokół ust. Wybiegł z izby, wołając głośno o pomoc, ale wszyscy oświeceni rozeszli się już, a nie miał odwagi zaglądać do chat. Wrócił rozdygotany, bliski płaczu. Gdy spojrzął na staruszkę, poczuł mróz w kościach.

Miała teraz szeroko otwarte usta i wysunięty aż na brodę zbieleły język. Na szyi uwydatniły się żyły. Bardzo jasny nimb łopotał niczym płomień na wietrze. Coś wezbrało w niej gwałtownie, aż uniosły się wystające obojczyki, zaraz potem zbłękitniało podniebienie i spomiędzy bezzębnych dziąseł wydobył się Świetlik. Wzleciał pod powałę, zniknął na chwilę między belkami, a potem powolutku opadł tuż nad klepisko i śmignął nagle ku wyjściu, przemykając między drżącymi kolanami Kacpra.

Michalina osunęła się bezwładnie na ziemię, lecz gdy chłopak przypadł do niej i podtrzymał jej głowę, uśmiechnęła się kącikami ust, w których krzepła krwawa piana.

-- To nie jest takie straszne, jak wygląda... -- Spróbowała otrzeć twarz, jednak zabrakło jej sił. -- Ten był ostatni, którego wydałam na świat. Mam nadzieję, że w porę znajdzie dobrą kryjówkę przed słońcem. Potrzebuję czasu, żeby okrzepnąć, zanim zaczniesz szukać dla siebie duszy.

Ostrożnie przyłożył kubek z wodą do jej spieczonych warg.

-- Teraz już rozumiem, dlaczego mnie tu zatrzymujecie... To przez was całe nieszczęście. Świetliki rozmnażają się dzięki wam! Gdyby ktoś puścił tę wioskę z dymem, świat byłby wolny od plagi.

-- Widziałeś już tak wiele, a ciągle tak trudno ci zrozumieć, że to nie żadna plaga, tylko łaska Boża. Ale sama łaska niczego nie załatwi. Żeby była skuteczna, wymaga od człowieka odpowiedzi. Każdy Oświecony szuka schronienia przed słońcem, inaczej spłonie przedwcześnie, lecz to tylko instynkt, jak u zwierzęcia. To nie wystarczy, potrzeba wytrwałej współpracy, żeby udało się prawdziwe, zupełne Przeobrażenie.

-- Jakiej współpracy?

-- Trzeba odmówić sobie tego, czego każdy człowiek pragnie najbardziej. Jedzenia i snu. Na początku jest bardzo trudno, ale z czasem, kiedy całą duszę wypełni Światłość, także i ciało staje się posłuszne woli. Wtedy zaczynają się rodzić nowe Świetliki, bo łaska musi owocować, trzeba się nią dzielić. Tylko w ten

sposób Oświecony może dojrzeć do Przeobrażenia. Kiedy poczuje, że już czas, po prostu pozwala działać słońcu.

Kacper nie mógł uwierzyć w to, co słyszy.

-- To śmierć!

-- Przeciwnie, to powtórne narodziny. Ostateczne wyzwolenie. Nowe życie, które potrwa tak długo, dopóki nie zgasną gwiazdy.



Rankiem, gdy Kacper jak zwykle wdrapał się na podest palisady, zastał tam już dwóch nieoświeconych.

-- Dzisiaj nie stróżujesz, pójdziesz na obchód -- powiedział starszy z nich, Grzegorz, o rudej, rozłożystej jak łopata brodzie. Rzucił chłopcu parę myśliwskich rakiet. -- Wypatruj ludzi, którzy błąkają się bez celu po lesie. Każdy z nich może być oświeconym. Jeśli spotkasz kogoś takiego, przyprowadź go do nas. Tutaj bezpiecznie doczeka Przeobrażenia.

Kacper nie pytał o nic. Pośpiesznie opuścił drabinę na tamtą stronę, jakby się obawiał, że w ostatniej chwili zostanie przez kogoś odwołany. Obejrzał się jeszcze na rozciągniętą wzdłuż jaru wieś. Chciał chociaż wzrokiem pożegnać Michalinę, ale nie dostrzegł nigdzie jej drobnej, przygarbionej postaci.

Na dole czekał wsparty na podróżnym kijku Jasiek z cięciwą łuku opinającą na ukos pierś i grubym pękiem strzał w kołczanie.

-- Roch z początku nie chciał o tym słyszeć, ale tak długo za nim chodziłem, aż wreszcie ustąpił. -- Uśmiechnął się. -- Nie możesz wciąż tylko siedzieć na tyłku. Przyda ci się trochę ruchu.

Kacper pochylił się, żeby przypiąć rakiety do butów i jednocześnie ukryć zmieszanie. Wiedział, że musi być teraz bardzo ostrożny.

-- Dziękuję. -- Ruszył naprzód.

Kiedy wyszli z wąwozu i w oddali ukazały się zarysy górskiego łańcucha, z trudem zapanował nad sobą, żeby od razu nie pobiec w tamtą stronę. Jasiek musiał wyczuć jego nastrój, bo gdy stanął obok, odezwał się zmienionym, cichym głosem:

-- Nie powinieneś myśleć o przeszłości.

-- To nie przeszłość! -- Kacper obruszył się. -- Tam jest mój dom.

-- Wiem, że nie sprowadziła cię do nas Światłość, ale przecież nie możesz być tak ślepy, żeby nie wiedzieć, że dawny świat umiera. Jeśli się z tym nie pogodzisz, nigdzie nie znajdziesz szczęścia. -- Wiercił kijem dziurę w śniegu wyraźnie zafrasowany. -- A tymczasem pamiętaj, poręczyłem, że nie uciekniesz. Nie zawieź mnie.

Kacper nie odpowiedział i ze spojrzeniem wbitym w ziemię ruszył za towarzyszem w głąb lasu. Nie zrezygnował z myśli o dotarciu do gór, ale zrozumiał, że Jasiek nie zawaha się puścić za nim strzały. Byli skazani na obcość -- nad przepaścią, która ich dzieliła, nie dało się przerzucić żadnego trwałego mostu. Poza wsią, wśród dawno umarłych drzew, o wiele trudniej było udawać, że może być inaczej.

Jasiek nie był dobrym piechurzem, nie przywykł do rakiet, ale prowadził wytrwale, odszukując znaki wyryte nożem na pniach. Pochylał się nad każdym świeżym tropem, zaglądał do wykrotów, czasem przystawał, nasłuchując. Trasa obchodu zataczała wokół jaru wielkie koło, coraz liczniejsze pagórki

przesłaniały góry, z rzadka napotykali łożyska zamarzniętych potoków i oczka stawów. Jeszcze przed południem zaczął padać gęsty śnieg, przytłaczając świat białą ciszą. Przy takiej pogodzie wzrastały szanse na udaną ucieczkę, wystarczyło niepostrzeżenie uskoczyć w bok i znaleźć kryjówkę pod zwalonymi drzewami - - obfity opad bardzo szybko pokrywał ślady -- ale Kacper wiedział, że bez jedzenia na obcym terenie musiałby liczyć tylko na cud. Tamten zapewne także zdawał sobie z tego sprawę, bo nie oglądał się w marszu.

Zatrzymali się na krótki odpoczynek pod osłoną pochyłego pnia, który wsparł się na grubym konarze sąsiedniego drzewa. W milczeniu przeżuli po pasku suszonego mięsa, otrząsnęli ze śniegu czapy i rękawice, a potem ruszyli dalej, nie wymieniwszy nawet jednego spojrzenia.

Po pewnym czasie zasłona wirujących płatków zafalowała gwałtownie, skrzypnęły konary; z gniewnym świstem lasem przedarł się wiatr. Obwiązali twarze szerokimi szalami, zostawiając tylko szpary na oczy. Lodowaty wichur kęsał ich ze wszystkich stron niczym niewidzialna, wilcza wataha. Za każdym razem, kiedy podmuch bezlitośnie przewracał go na kolana, Kacper podnosił wzrok na znikające w zawierusze plecy Jaśka, które stały się teraz jego jedynym drogowskazem.

Zmierzch przyszedł niepostrzeżenie, burza zatarła granicę między dniem i nocą. Jasiak opasał się grubym sznurem, drugi koniec rzucił chłopcu. Związani brnęli dalej przez ruchome zaspy ogłuszeni nieustającym wyciem, bici po głowach i barkach przez spadające gałęzie.

Wreszcie niebo oczyściło się z wola, odsłaniając gwiazdne przestworza. Przestało sypać. Wiatr pogwizdywał jeszcze w ciemnościach, błędził między drzewami, ale wyczerpani wędrowcy mogli z ulgą rozprostować obolałe karki i odsłonić twarze. Kacper miał nadzieję, że rychło ogrzeje się przy ogniu, ale oblodzony sznur wciąż ciągnął go naprzód. Z zamkniętymi oczami człapał po śladach młodzieńca, pokaszując boleśnie, kiedy zbyt łąpczywy oddech wypełniał płuca mrozem.

Raptem Jasiak zatrzymał się, zdjął z pleców łuk.

-- Ktoś tędy szedł -- rzucił półgłosem.

Kacper dostrzegł teraz wygniecione w śniegu dziury. Trop był dziwny, nierówny, jakby ktoś stąpał na jednej nodze, o kuli.

-- Chcesz go ścigać?

-- Zmierza w stronę wsi, ale nie dojdzie.

-- Dlaczego?

-- Tutaj się zatoczył, a tam dalej upadł. -- Wskazał palcem. -- To już długo nie potrwa. Wątpię, czy spotkamy go jeszcze żywego.

Nie szukali długo. Za ledwie po pół godziny, klucząc za krętym śladem w blasku księżycy, zobaczyli siedzącego pod drzewem człowieka. Nie poruszył się, gdy ostrożnie podchodzili. Z głową opartą o pień wydawał się obserwować gwiazdy. Jasiak rozwiązał łączący ich sznur, gestem nakazał chłopcu pozostać na miejscu, a sam zbliżył się do drzewa, nakładając strzałę na cięciwę. Przyglądał się obcemu przez jakiś czas z odległości dwóch kroków, potem położył łuk na śniegu i podszedł śmiało, pochylając się nad samotnym piechurem.

Chociaż odezwał się bardzo cicho, słyhać było wyraźnie każde jego słowo.

-- Czy bardzo tęsknisz?

Tamten nie odpowiedział, ale po chwili zdołał lekko skinąć głową. Kacper nie czekał dłużej; skoczył naprzód, chwycił łuk i napiął cięciwę, mierząc prosto w kark Jaśka.

-- Mam tego dosyć! -- sapnął. -- Odchodzę, nie próbuj mnie zatrzymać. Zabieram łuk, muszę ustrzelić coś do jedzenia.

Nieoświecony wstał powoli i odwrócił się. Grot strzały niemal dotykał jego piersi.

-- Sam nie dam rady zanieść tego człowieka do jaru -- powiedział spokojnie.

-- Nie obchodzą mnie wasze sprawy!

-- Umrze tutaj.

-- Może to i lepiej. Jeżeli przeżyje, czeka go coś o wiele gorszego.

-- Powtórzysz mu to prosto w oczy? -- Jasiek odstepił na bok. -- Jest przytomny, zrozumie cię.

Kacper drgnął, gdy zobaczył podwiązaną pod kikutem nogawkę tamtego. Pochylił się, wstrzymując oddech. Nawet w tak skąnym świetle łatwo rozpoznał zabiedzoną twarz Tomasza.

Opuścił strzałę ku ziemi, zacisnął powieki. Miał wrażenie, że w środku jego głowy rozhułała się nowa zamieć.



Wrócił. Musiał wrócić, ale we wsi długo unikał spotkania z ojcem Miry. Nie wiedział zresztą, o czym miałyby z nim rozmawiać w tak niesamowitych okolicznościach. Dopóki wśród oświeconych widywał same obce twarze, łatwiej było mu się pogodzić z ich wyborem, który gwałcił samą istotę człowieczeństwa -- ale jak powinien się zachować teraz? Nie potrafił myśleć o starym drwale jak o zdrajcy, szaleńcu albo żywym trupie. Mieli się przecież stać rodziną.

Przez trzy dni prawie nie wychodził z chaty. Wieści o Tomaszu docierały do niego tylko za pośrednictwem Michaliny. Podobno kaleka przeżył cudem -- odmroził jedyną stopę i wszystkie palce u rąk. Gdyby wtedy, nocą, spóźnili się z Jaśkiem choć trochę, nie udałoby się go już odratować. Miejscowi znali się dobrze na pielęgnowaniu ofiar mrozu. Pośród nich wielu było takich, którzy trafili do wsi w jeszcze gorszym stanie. Wykapani drwale w gorącej wodzie, opatrzyli rany, dali mu nowe ubranie, a potem zostawili samego w jednej z pustych chat, żeby mógł się przygotować na przyjęcie Oświecenia. Kacper wyobrażał sobie, że w takim oczekiwaniu nie może być żadnej radości, tylko zwyczajne zmęczenie nieudanym życiem, ale w gruncie rzeczy niczego nie był już pewien.

Tomasz przykuśtykał wreszcie z trudem w rozchełstany kożuch i z obwiązanyymi dłońmi. Stanął przy wejściu wsparty całym ciężarem ciała na kuli, która wypychała jedno jego ramię do góry. Zamrugnął oślepiłymi oczami i powoli wszedł dalej.

-- Jesteś tutaj, synu? -- zapytał niepewnie.

Kacper najchętniej ukryłby się gdzieś, choćby pod ławą, ale rozumiał, że prędzej czy później i tak będzie musiał stanąć z drwalem twarzą w twarz. Odchrząknął z cicha w swoim ciemnym kącie.

-- Jestem, jestem. Nie spodziewałem się, że tak szybko będziesz mógł chodzić.

-- Po prawdzie, to nie bardzo mogę. -- Stary posunął się jeszcze kawałek, ostukując klepisko przed sobą. Trafił na pień do rąbania drew i usiadł z westchnieniem ulgi. -- Kulas rwie jak wszyscy diabli, ale nie urznęli mi go. Mówią, że kiedy ogrzeje mnie Światłość, przestanie boleć.

-- Pewnie. A za parę tygodni zostanie z ciebie tylko kupka popiołów.

-- Wtedy ciało nie będzie mi już potrzebne. Światłość mnie odmieni, stanę się wolny.

-- Gadasz zupełnie jak oni wszyscy! -- Nagromadzona przez ostatnie dni frustracja dała o sobie znać wybuchem gniewu. -- To nie są twoje słowa, przecież znam cię dobrze. Wmówili ci to.

-- Nieprawda, ja...

-- Nie chcę tego słuchać! -- Kacper uderzył pięścią w kolano. -- Mira poświęciła wszystko, żeby cię ratować, a ty ją po prostu porzuciłeś!

Tomasz sapał przez chwilę, wiercił się na pieńku, ale gdy znowu się odezwał, głos miał całkiem spokojny.

-- Na początku, tuż po tym, gdyście mnie postawili przed świętym Jerzym, myślałem, że jakoś to zniosę... Że z czasem tęsknota zelżeje, a potem całkiem zapomnę. Ale było inaczej. Czułem się pusty, jakby ktoś siłą wywlókł ze mnie duszę. Nie wiedziałem, jak mam dalej żyć. Najgorzej było w nocy. Te sny, takie jasne... Pod powiekami huczał ogień. Za dnia też nie mogłem usiedzieć na miejscu. -- Zrobił przerwę, jakby chciał oddzielić tamte bolesne wspomnienia od tego wszystkiego, co wydarzyło się potem. -- Nie porzuciłem Miry. Powiedziałem jej o wszystkim i od razu mi ulżyło. Krzyczała, płakała, naurągała mi nawet, ale w końcu zrozumiała, że tak musi być. To dobre dziecko. Odprowadziła mnie do samego kieratu, przekupiła nadzorcę.

-- Jesteś prawie ślepcem!

-- Wciąż mogę odróżnić jasność od ciemności, to najważniejsze.

-- Skąd wiedziałeś, dokąd iść?

-- Nie wiedziałem. Szedłem za tęsknotą. W dzień i w nocy przedzierałem się przez zamieć. Doszedłbym o własnych siłach, gdyby nie ten kulas... -- Westchnął i pokiwał w zamyśleniu głową. -- Właśnie z powodu córki do ciebie przychodzę. Nie przestała wierzyć, że wrócisz, ciągle czeka. Ja sam niedługo o niej zapomnę, ale zanim to się stanie, musisz mi obiecać, że nie pozwolisz zrobić jej krzywdy.

Chłopiec zwinął się na ławie, podłożywszy pod głowę zgięte ramię. Opuściła go złość, było mu tylko przeraźliwie smutno, jakby w końcu pojął, że wierzganie przeciw twardym prawom tego świata nie ma żadnego sensu.

-- Nikt ci nie powiedział, że jestem tu więźniem? -- Z goryczą potrząsnął głową. -- Mogłem uciec, była okazja...

-- Ale nie uciekłeś.

-- Zostałem przez ciebie. Roch na pewno już wie od Jaśka, co wydarzyło się w lesie. Nigdy więcej nie puści mnie na obchód.

-- Rozmawiałem z nim o tobie. Nie wierzył, że wrócisz. Nawet liczył chyba po trosze na twoją ucieczkę, bo wtedy mógłby z czystym sumieniem wytropić cię i zabić. To rozwiązałoby wszystkie kłopoty.

-- Obłudnik! Bardzo mi przykro, że jeszcze nie umarłem.

-- Nie ma powodów do kpin. Roch nabrał do ciebie szacunku, chociaż pewnie nigdy ci tego nie okaże. Prędzej czy później wypuści cię stąd. Chce tylko, żebyś przedtem zrozumiał, co tu się naprawdę dzieje. -- Drwał podniósł się ciężko, zaszurała na klepisku okuta końcówka kuli. -- Bądź przy mnie dziś w nocy, kiedy przyjmę Światłość.

Wyszedł z izby, postępując cicho przy każdym kolejnym kroku.

Kacper drgnął, jakby chciał za nim pobiec, ale nie zrobił tego. Nie znał słów, które mogłyby go zawrócić z drogi ku zagładzie.

Zasnął udręczony emocjami, których nie potrafił okiełznać.

Miał wrażenie, że Michalina obudziła go prawie natychmiast, ale w rzeczywistości za odsuniętą do połowy zasłoną już gęstniał zmierzch. Z nawyku rozejrzał się za miską zupy, lecz tym razem staruszka przyszła z pustymi rękami.

-- Zjesz później. -- Nie przywitała go zwykłym uśmiechem. Była poważna, niemal surowa. -- Pójdiesz ze mną.

Natychmiast wyparowały z niego resztki senności. Ubrał się w pośpiechu, niedbale zasznurował buty. W uszach wciąż jeszcze dźwięczały mu ostatnie słowa drwala, ale teraz brzmiały jakoś inaczej, budząc w chłopcu nieśmiałą nadzieję na uwolnienie.

-- Czy Roch naprawdę chce mnie wypuścić? -- zapytał, kiedy znaleźli się na ciemnym, pustym chodniku. -- Chyba nie myśli, że przekabaci mnie na waszą stronę?

-- To nie człowiek wybiera Światłość, ale Światłość człowieka. Chodzi tylko o to, żebyś przekonał się, że Przeobrażenie nie jest końcem, ale początkiem.

-- To jest straszne!

-- Tylko na pozór.

-- Widziałem człowieka, który spłonął pod samym kieratem. Był przerażony jak zaszczuty zając.

-- Niemowlę też jest przerażone, gdy przychodzi na świat. Wydobyć się z mroku trzeba okupić cierpieniem. Nie boi się tylko ten, kto przyjmuje nimb świadomie, z tęsknoty. Zaraz sam się o tym przekonasz.

Poprowadziła go w dół ulicy do niezamieszkałej części jaru. Tym razem nikt ich nie zatrzymał. Za ostatnimi chatami skończyły się okrągłaki, dalej była tylko ubita w śniegu ścieżka wijąca się pod sterczącymi ze zboczy splotami korzeni. Kacper oczekiwał, że niebawem dno wąwozu znowu zacznie się podnosić, ale po jednym z kolejnych łagodnych skrętów przystanął zdumiony. W poprzek jaru wyrastało pionowe skalne urwisko. Gdyby nie poświata nimbu staruszki, u podnóża ściany byłoby całkiem ciemno. Strome zbocza zbliżyły się jeszcze ku sobie, nachylone z obu stron drzewa niemal szczepiały się bezlistnymi koronami.

-- Tu przecież nic nie ma... -- Kacper mimowolnie zniżył głos do szeptu.

-- Mylisz się. Stoisz o krok od Światłości, która nigdy nie gaśnie.

-- Jest ciemno. -- Rozejrzał się niepewnie.

-- Cierpliwości, za chwilę zobaczysz Tomasza. Musisz przyrzec, że cokolwiek się stanie, zachowasz spokój. Nie wolno ci się nawet odezwać.

Skinął głową i wbił dłonie w kieszenie kurty. Chciał mieć to jak najszybciej za sobą.

Pod samym urwiskiem leżały blisko siebie dwa wielkie głazy. Chuda staruszka łatwo zmieściła się w wąskiej szczelinie pomiędzy nimi, ale Kacper musiał przeciskać się bokiem, szorując plecami po chropawym kamieniu. Gdy dobrnął do ściany, zobaczył niskie wejście do pieczary wypełnione łagodnym odbłaskiem. Wszedł do środka zgięty w pół. Dalej sklepienie dźwignęło się na tyle, że mógł rozprostować kark. Ogarnęło go cieplejsze, wilgotne powietrze.

Michalina podała mu dłoń i w ciszy powiodła dalej przez łańcuch niewielkich, mrocznych jaskiń połączonych ciasnymi przesmykami. Po ścianach ciekła woda, pod stopami chlupotało błoto, gdzieś

odbiegały w bok niskie korytarze czy ślepe zaułki. Schodzili coraz niżej, oddechy szemrały zwielokrotnionym echem. Zbyt grubo ubrany Kacper spocił się niemal natychmiast. Chciał zapytać, jak długo potrwa jeszcze ta podziemna wędrówka, gdy niespodziewanie za następnym przewężeniem otworzyła się przed nim obszerna, jasna grota.

Błękitny odbłask lśnił na powierzchni kałuż, przyzmach błota, mokrych kamieniach i kroplach wody nabrzmiewających wysoko w górze na czubkach stalaktytów. Nie od razu odnalazł wzrokiem źródło tego światła. Obszedł gruby skalny filar, a gdy otworzył się przed nim widok na dalszą część jaskini, zmrużył oczy.

Wśród guzowatych kolumn naciekowych leżał podłużny blok skalny, wydrążony na kształt wielkiego koryta, wypełniony podświetloną jaskrawym blaskiem wodą. W środku spoczywało nieruchome, zanurzone wraz z twarzą, czarne ciało. Kacprowi przemknęło przez głowę straszne przypuszczenie, że to zwłoki Tomasza, ale w tej samej chwili dostrzegł kalekę -- stał nieopodal kamiennego zbiornika nagi i siny z zimna. Broda mu drżała, na czole zgrubiały żyły, oddychał bardzo szybko przez otwarte usta. Za nim, w półmroku, zebrało się kilkunastu ludzi. Cienie zniekształcały twarze, ale Kacper rozpoznał sylwetki Jaśka, Grzegorza i paru innych.

U wezłowania leżącego pojawił się Roch. Zanurzył obie ręce i dźwignął pod pachy zwęglone zwłoki, unosząc je z wolna do pozycji siedzącej.

Trup wyglądał przerażająco -- gałki oczne strawił żar, ale zachowały się ostre rysy twarzy, garbaty nos, wysunięty podbródek z resztkami zarostu. Pomiedzy rozchylonymi w zastygłym grymasie bólu lub ekstazy wargami lśniły pokryte sadzą zęby, kapwały smoliste krople. Spod strzępów mokrego odzienia sterczały żebra, wyraźnie zaznaczały się łuki miednicy. Jedna z dłoni o popękanych paznokciach zsunęła się poza krawędź koryta i zawisła bezwładnie.

Czaszkę owiewał nimb potężniejszy od wszystkich, które Kacper dotąd widział. Języki zimnego ognia wydobywały się nawet z pustych oczodołów, z nozdrzy i uszu, łącząc się wyżej w błękitną pożogę. Szeroko rozprzestrzeniona łuna nadawała sklepieniu jaskini barwę pogodnego nieba.

Przerażony chłopiec chciał się wycofać za filar, ale Michalina, która stała tuż za nim, rozpostarła kościste ramiona.

-- Patrz! -- Poruszyła bezgłośnie wargami.

Ktoś pchnął lekko drwała w plecy. Ten zachwiał się, potrząsnął głową, a potem, stukając kulą, ostrożnie ruszył naprzód. Dotarł do zbiornika, oparł się na nim i powoli opadł na kolano. Kacper widział go teraz od tyłu -- białe pośladki, szerokie ramiona, wilgotne włosy przyklepione do karku. Ojciec Miry pochylił głowę, dotykając czołem kamienia, jakby się modlił. Uspokoił się chyba, oddychał równo i głęboko.

Nagle nimb pojaśniał jeszcze, spychając mrok w najodleglejsze zakątki jaskini -- jakby ktoś rozdmuchał żar kowalskim miechem. Błękit przeplótł języki czerwieni i żółci. Roch sięgnął od tyłu i delikatnie podtrzymał podbródek zmarłego, aby głowa nie opadła na bok. Drwał uniósł twarz i zastygł w bezruchu.

Kacprowi pociemniało w oczach; zmusił się, żeby patrzeć. Nie wiedział, czego się spodziewać po tym niezwykłym rytuale. Zdawało mu się, że wszyscy obecni na coś czekają -- pokornie i cierpliwie. Wraz z nimi zanurzył się w ciszy, stracił poczucie czasu. Stopniowo ustępowało nieznośne napięcie, napływające z nad zbiornika smugi pary otulały ciało uspokajającym ciepłem.

Bez żadnych wstępnych oznak z głębi wypalonych oczodołów trupa raptem podwójną błyskawicą wystrzeliła Światłość, sięgnęła twarzy drwała i zaraz zgasła.

Oślepiiony chłopiec potrząsnął głową, roztarł pięściami powieki. Gdy spojrzął znowu, osmalone ciało na powrót leżało w wodzie, czaszka opadła na dno zbiornika, a nimb zmniejszył się do poprzednich rozmiarów. W błocie kulił się drwał, przyciskając dłonie do oczu, trząsł się, szlochał w ciszy. Gdy odzyskał trochę sił, odczołgał się na łokciach w stronę grupki mężczyzn. Pochylili się nad nim, ujęli go pod ramiona i pomogli mu wstać. Ktoś narzucił mu na ramiona lisi kozuch.

Dopiero teraz Kacper zobaczył twarz drwała. Nigdy wcześniej go takim nie widział -- stary człowiek, którego nie ominęła żadna ludzka gorycz, jaśniał teraz radością dziecka. Wokół jego skroni unosiła się słaba jeszcze mgiełka nowego nimbu.

Chłopiec nie pamiętał, jak wyprowadzono go z jaskini, a potem powiedziano w górę jaru aż do chaty. Na dobre ocknął się dopiero wtedy, gdy klepisko pokryły pręgi brudnego brzasku, a Michalina podsunęła mu pod sam nos kubek mocnego kumysu.

-- No i po wszystkim. -- Podtrzymała go, a kiedy usiadł, wetknęła pod plecy zwinięte futro. -- Nie sądziłam, że przeżyjesz to aż tak mocno.

Natychmiast przypomniał sobie każdy szczegół poprzedniego wieczoru zakończonego eksplozją błękitu, która wstrząsnęła nim do głębi. Wychylił kubek do dna, gestem poprosił o jeszcze.

-- Nie tak ostro, to nie woda. -- Nalała z dzbana odrobinę i spojrzała z tklwym pobłazaniem. -- Nie staraj się zapomnieć o tym, co widziałeś. Spróbuj zrozumieć.

-- Nie chcę! -- Opuścił nogi na ziemię. -- Wszyscy jesteście szaleńcami.

-- Czy dlatego, że mamy odwagę spełniać marzenia?

-- Bezcieście ludzkie zwłoki. Jaki może być lepszy dowód na to, że za tym wszystkim stoi Lucyfer?

-- Nie szafuj pochopnymi sądami. Ciało to tylko skorupa, do której nie wolno się przywiązywać, bo nie można zachować jej na wieczność. Trzeba przyjąć Światłość, a potem przetopić w jej płomieniu własną duszę. Przeobrazić siebie samego, żeby pozbyć się wszelkich ograniczeń tej ułomnej, ziemskiej postaci. Dopiero wtedy można ulecieć między gwiazdy.

-- To zwyczajne samobójstwo. Nie przekonasz mnie do tego. -- Kacper potrzebował trochę czasu, aby ochłonąć. Przygryzł wargę.

-- Nie zamierzam. Sam kiedyś zrozumiesz, że tylko dzięki Przeobrażeniu wszyscy możemy się wreszcie wyrwać z tego świata, na który zostaliśmy skazani po utracie Raju. Możemy się stać równi aniołom, wolni i szczęśliwi.

-- Co w takim razie spadło z nieba, jeśli nie Lucyfer?

-- My nazywamy to Tchnieniem Stwórcy, ale nie słowa są ważne, tylko źródła łaski, które rozlały się po całym świecie.

-- A kim był ten człowiek, którego szczątki trzymacie w jaskini?

-- Nikt tego nie wie na pewno. Po prostu przed dwustu laty jako pierwszy zrozumiał, że Upadek nie był katastrofą, ale wybawieniem. Kiedy poczuł, że zbliża się jego własne Przeobrażenie, zanurzył się w wodzie i w ten sposób zatrzymał Światłość w swoim martwym ciele.

-- Ale... Po co?

-- Żeby nikt, kto szuka Oświecenia, nie musiał tułać się samotnie narażony na wszystkie niebezpieczeństwa puszczy. W lesie łatwiej spotkać wilka niż Świetlika, a tutaj łaska Boża czeka na każdego, kto za nią tęskni. Nie zagaśnie tak długo, póki do jaru trafiać będą uciekinierzy z gór. Gdy ich zabraknie i nie będzie komu pilnować, żeby woda w zbiorniku nie wyparowała, wtedy i on sam dokończy Przeobrażenia i wzniesie się do gwiazd. Wówczas na ziemi nie pozostanie już nikt. Oddamy ją zwierzętom, a w zamian zdobędziemy niebo.



Kiedy Roch stanął na progu izby, Kacper z początku go nie rozpoznał -- tak bardzo się zmienił w ciągu paru ostatnich dni. Wyraźniej zarysowały się bruzdy wokół jego ust, oczy zapadły głębiej, drżały dłonie. Wszedł powoli, powłócząc nogami jak człowiek, który ostatecznie przegrał walkę z długotrwałą, wyniszczającą chorobą. Ze stłumionym jękiem opadł na ławę. Milczał długo, grzejąc pokryte licznymi bliznami ręce nad ogniem, wreszcie odezwał się słabym głosem:

-- Dłużej nie wytrwam, to koniec. Życie w ciemności stało się dla mnie zbyt ciężkie. Grzegorz jest najstarszym z nieoświeconych, zostanie po mnie starostą. -- Patrzył w zamyśleniu w płomienie. -- Ale przedtem chcę załatwić sprawy między nami.

Kacper odsunął się trochę, choć tamten nie miał na sobie myśliwskiego pasa z nożem ani żadnej innej broni.

-- Co chcesz zrobić? -- zapytał podejrzliwie.

-- Zwracam ci wolność. Dostaniesz na drogę zapas mięsa, łuk i strzały. Jeśli dopisze ci szczęście, powinieneś dotrzeć do gór w dwa, najdalej trzy dni.

-- Nie boisz się już, że naśle na was ludzi biskupa?

-- Nie sprowadzisz przecież nieszczęścia na ojca narzeczonej. A poza tym... -- Złożył sękaty dłonie na kolanach, podniósł wzrok na chłopca. -- To wszystko, co tutaj zobaczyłeś, na pewno zostawi w tobie ślad. Wprawdzie powrócisz do swoich bez Oświecenia, ale już nigdy nie pozbędziesz się wątpliwości.

Kacper wstał, serce waliło mu mocno. Był gotów wyruszyć choćby zaraz, nocą, na czczo, bez broni -- reszta nie miała znaczenia.

-- Dziękuję -- bąknął.

-- Jeszcze jedno. -- Roch nie spuszczał z niego oczu. -- Zanim odejdziesz, wyprowadzisz do lasu Michalinę. Już czas.

-- Nie mogę tego zrobić! -- Poblądł i cofnął się.

-- Opiekowała się tobą, wiele jej zawdzięczasz.

-- Nie chcę patrzeć na to, co się z nią stanie.

-- W noc Przeobrażenia nikt nie powinien być sam.

-- Więc idź ty.

-- Brak mi już sił na taką wyprawę. -- Zwiesił głowę.

-- Są inni...

-- Stokroć wolałbym, żeby poszedł ktoś inny, ale według naszych zwyczajów wybór należy do samej Michaliny. Wskazała ciebie. Taka prośba to zaszczyt.

-- A jeśli odmówię? Nadal będę tu więźniem?

Roch dźwignął się, ciężkim krokiem przemierzył izbę. Przystanął jeszcze, odchyliwszy zasłonę.

-- Dotrzymam słowa. Pójdziesz, dokąd zechcesz.



Była tak lekka, że Jasek bez trudu przeniósł ją po drabinie na drugą stronę palisady. Ostrożnie postawił ją na ubitym śniegu. Kacper czekał już na dole z łukiem w garści i workiem podróżnym przytroczonym do pleców. Zapatrzył się ponuro gdzieś w bok, w prześwietloną ostatnimi blaskami zachodu martwą puszcę.

-- Umiesz strzelać? -- zapytał Jasek po chwili ciszy.

-- Lepiej od ciebie. -- Wzruszył ramionami. -- Pierwszy łuk dostałem od ojca, kiedy skończyłem sześć lat.

-- To dobrze. Do północy pogoda powinna się utrzymać. -- Tamten spojrzął w niebo. -- W razie silnej zamieci poszukaj jakiegoś schronienia i rozpal ogień. Lepiej unikaj ludzi, póki nie będziesz blisko gór.

-- Nie musisz mnie pouczać.

-- Czemuś taki markotny? Masz, co chciałeś, wracasz do domu.

-- Wolałbym zostać tutaj choćby na pół życia, byle nie patrzeć na to wszystko. -- Ruchem głowy wskazał Michalinę.

-- Czujesz strach przed nieznanym, ale już niebawem zrozumiesz, że nie miałeś racji.

Kacper spojrzął w górę. Ponad zaostrzonymi palami rozpoznał twarze Rocha, Tomasza i jeszcze parę innych. Nimb drwała był jeszcze bardzo słaby, przytłumiony przez wolno gasnące na niebie czerwone smugi. Chłopiec rad był z tego. Chciał zapamiętać ojca Miry właśnie takim -- niezłomnym, silnym pomimo kalectwa -- zanim na dobre upodobni się do ludzi widm.

Pożegnał tamtych krótkim uniesieniem ręki, ucisnął dłoń Jaśka, wziął staruszkę pod ramię i odszedł bez słowa. Nie chciał teraz o nich myśleć, zastanawiać się nad ich losem. Odrzucił kaptur i wystawił twarz na wieczorny powiew. Z każdym głębokim oddechem coraz bardziej chciało mu się żyć.

Dopiero teraz okazało się, jak zgubny wpływ wywarła na Michalinę wielodniowa głodówka i brak snu. Z mozołem przesuwiała po śniegu rakiety -- przy każdym kroku ledwie o pół stopy; charczała, rzęziła, wykaszliwała kłęby siwej pary. Gdyby Kacper jej nie prowadził, chyba nie zdołałaby dojść nawet do miejsca, gdzie stoki jaru rozpląszczały się i gubiły wśród zasp.

-- Może lepiej cię poniosę? -- mruknął wreszcie zniecierpliwiony.

Energicznie potrząsnęła głową, ale przystanęła na krótki moment.

-- Chcę do samego końca czuć, jak bardzo krępuje mnie to zniedołężniałe ciało. -- Pomimo wyczerpania w jej głosie wibrowała radość. -- Tym słodsze będzie wyzwolenie.

-- Dokąd pójdziemy?

-- Tam. -- Wskazała palcem grzbiet bezdrzewnego wzgórza, które wznosiło się ponad las. -- Upatrzyłam sobie to miejsce już dawno.

-- Sam nie wiem. -- Z powątpiewaniem zmarszczył brwi. -- Trzeba będzie się wspinać, a w twoim stanie...

-- Dojdę -- ucieła zdecydowanie. -- Chcę być tak blisko gwiazd, jak to tylko możliwe.

Podreptali dalej, bardzo powoli. Kacper zdawał sobie sprawę, że teraz każde wychrypiane słowo dodatkowo uszczupla jej wątłe siły, więc nie zadawał już żadnych pytań. Często potykała się i zwisała bezwładnie, uczepiona kurczowo rękawa jego kurty, ale nie upadała: odzyskiwała równowagę, łapała parę głębszych oddechów i podejmowała swoją cierpiętniczą pielgrzymkę. Wydawało mu się, że wyczuwa bijące od niej ciepło, jakby trawiła ją wysoka gorączka. Chwilami sądził, że to nimb łechce go żarem w policzek.

Długo biedzili się przy każdej przeszkodzie -- zwalonym pniu, zaspie czy dziurze -- a jednak posuwali się jakoś od drzewa do drzewa. Wzeszedł księżyc, ale jednocześnie na niebo wypełzły chmury. Gdy dotarli do wzgórza, na łagodnie wznoszącym się zboczu pojawiały się i nikły plamy ulotnej poświaty. Kacper wolał, żeby zamieć dopadła ich wyżej, ponad lasem, gdzie nie mogły zagrozić im obłamane przez wichry konary. Mocniej ścisnął rękę Michaliny i niemal przemocą powłókł ją w górę.

Już przy pierwszym podmuchu przestał cokolwiek widzieć. Wichry przetaczał się ponad grzbietem wzniesienia i uderzał z góry, wznecając kurzawę. Nie zatrzymali się, ale w zawiei trudno było odgadnąć, czy rzeczywiście posuwają się naprzód. Staruszka do reszty opadła z sił, wichura niemal wyszarpywała mu ją z objęć, lecz dopóki kątem oka dostrzegał przy sobie płonący nimb, wiedział, że życie z niej jeszcze nie wyciekło.

Gdy osiągnęli wreszcie szczyt wzniesienia, słaniał się na nogach. Upuścił Michalinę prosto w śnieżnym szmaciany tłumok. Na otwartym grzbiecie wiatr hulał jeszcze gwałtowniej. Kacper przykucnął, usiłował rozejrzeć się dookoła. W zadymce nie mógł dostrzec gór, ale daleko na zachodzie niebo przejaśniło się nieco, iskrząc gwiazdami -- to mogło zwiastować pogodniejszą drugą połowę nocy.

Zrzucił z pleców zwinięty w rulon kozuch, położył się obok staruszki i nakrył ich oboje razem z głowami. Było duszno, ale dosyć ciepło; gdy przysypał ich śnieg, wiatr przestał szarpać za rogi futra i Kacper z wolna zapadł w sen.

Ocknął się w całkowitych ciemnościach. Przestraszył się, że nimb zgasł, ale gdy sięgnął ręką obok siebie, nie znalazł ciała Michaliny. To przeraziło go jeszcze bardziej. Kopniakiem zrzucił z siebie ciężkie nakrycie i usiadł, zachłystując się czystym powietrzem.

Pod ogromną, rozgwieżdżoną czaszą było teraz bardzo cicho. Ogromny, bliski pełni księżyc zdawał się wisieć tak nisko jak jeszcze nigdy wcześniej. Zaśnieżone wzgórze pełgało niebieskawo.

Odwrócił głowę i dopiero wtedy dostrzegł Michalinę.

Stała nieopodal mizerna i chuda, lecz po raz pierwszy, odkąd ją znał -- wyprostowana, jakby na tę ostatnią, wytęsknioną noc ustąpiły wszelkie starcze dolegliwości. Przypominała świecę płonąca w ciemnościach równym blaskiem. Nimb miał chyba ze trzy metry wysokości. Smukły, jasny, obrębiony na brzegach żółtymi ognikami. Kacper dopiero teraz poczuł jego zapach -- intensywny, przyjemny, niepodobny do żadnej innej woni.

Widział dobrze każdy szczegół twarzy Michaliny -- opuszczone powieki, poprzetykane siateczką czerwonych żyłek, rozdęte nozdrza, wilgotne mimo mrozu wargi. Skóra wciąż była pomarszczona, ale rysy jakby odmłodziły rozpromienione błogostanem.

Był pewien, że spełnił już swoje zadanie, nie chciał widzieć tego, co nieuchronnie się zbliżało. Odszukał łuk, kołczan i worek, szybko zrolował kozuch. Gotów do drogi rzucił jeszcze na kobietę ostatnie spojrzenie.

Zastygł w pół ruchu, gdy nieoczekiwanie napotkał jej wzrok.

Przywołała go poruszeniem siwych brwi, a kiedy podszedł, kąciki jej warg drgnęły w leciutkim uśmiechu. Chyba nie mogła już mówić, ale zdołała unieść rękę, wskazując palcem przed siebie.

Daleko za lasem, za rozległą przestrzenią jaśniejszej, bezdrzewnej równiny, rozciągał się górski łańcuch. Na paru szczytach migotały niepozorne ogniki sygnalizatorni. Kacprowi ścisnęło się gardło -- poczuł się, jakby usłyszał głos Stacha.

Chciał wierzyć, że tym ostatnim gestem Michalina wyprawiła go w drogę, ale zaraz poczuł, że staruszka szuka nieporadnie dłonią jego ręki. Po chwili wahania zdjął rękawicę i delikatnie chwycił jej długie, lepkie od potu palce. Wiedział, że teraz powinien spojrzeć jej w oczy; czekała na to. Pociągnął nosem, przemógł się z trudem.

Głębia jej źrenic nie różniła się niczym od nocnego, bezchmurnego nieba. Zapadł w nią od razu całym sobą przekonany, że już nie ma drogi odwrotu, a jednocześnie dziwnie spokojny. Zobaczył Światłość w mroku -- najpierw pojedynczą iskierkę, potem rozpłomioną kulę, wreszcie eksplozję jasności, która pochłonęła wszystko. Nie cofnął się, nie próbował uciekać. Był przekonany, że nic mu nie grozi, jakby ta potężna erupcja światła rozbłysła w innym wszechświecie -- a właściwie w innej duszy.

Wyteżył wzrok aż do bólu. Z samego jądra błękitu oderwała się łopocząca plamka blasku, podobna do ognistej ćmy, która rozerwawszy powłokę poczwarki, zrywa się do swojego pierwszego lotu.

Pożegnał ją uśmiechem, choć wątpił, czy to ma jeszcze dla niej jakieś znaczenie.

Jasność rozpadła się na tysiące drobinek, które sypały się wszędzie wokół, dogasając w locie, jak deszcz meteorów. Kacper z westchnieniem otworzył oczy.

Stał pośrodku kręgu zimnych popiołów, w ręce pozostała mu tylko dłoń Michaliny -- nadpalona z wierzchu, ale cała. Nie upuścił jej ze wstrętem, lecz położył ostrożnie na śniegu, jakby nie chciał, aby i ona rozpadła się w proch. Zanim odszedł, zadarł głowę i długo patrzył w gwiazdy, próbując rozpoznać wśród nich tę, która dopiero się narodziła.



Choć patrząc ze wzgórza, wszystko wydawało się proste, w lesie bardzo szybko utracił orientację. Nie widział gór, przez jakiś czas próbował utrzymywać kierunek marszu wedle gwiazd, ale gdy niebawem niebo znowu się zachmurzyło i ogarnęła go nieprzenikniona ciemność, musiał się zdać na intuicję. Nie chciał czekać na świt -- teraz, gdy wreszcie decydował sam o sobie, niecierpliwiła go każda godzina zwłoki. Brnął niemal na oślep, grzęznąc w zaspach, zawracając i wpadając na pnie. W pewnej chwili postawił krok w próżnię i runął w głębokie zapadlisko, obtłukując się dotkliwie, ale wylazł jakoś, parskając krwią z rozbitego nosa.

Wierzył mocno, że każdy krok oddala go od przegrodzonego palisadą jaru i wzgórza z kręgiem świeżego popiołu na szczycie. Miał wrażenie, że teren wznosi się powoli, a drzewa nie rosną już tak gęsto, jakby przetrzebione były ludzką ręką. W każdej chwili spodziewał się wyjść na pofałdowaną pustą przedgórza -- lecz o brzasku wciąż jeszcze był w lesie. Prześwitująca zza chmur blada tarcza słońca dawała niewiele ciepła. Śnieg poszarzał, sine niebo zdawało się wisieć tuż nad czubkami drzew. Postanowił wdrapać się na jedno z nich, póki było bezwietrznie.

Zrzucił z pleców worek, odłożył łuk i podskoczywszy, złapał za oblodzony konar. Było to trudniejsze, niż sądził, gałęzie trzeszczały niebezpiecznie pod jego ciężarem, wyslizgiwały się z rąk, ale dotarł w końcu wystarczająco wysoko, aby rozejrzeć się w okolicy.

Góry były tak samo odległe jak nocą. Popielate urwiska wznosiły się pośród śniegów, najwyższe szczyty spowijały chmury. Sprawiały przygnębiające wrażenie; trudno było uwierzyć, że gdzieś tam na stokach uparcie trwają ludzkie osady.

Zniechęcony zsunął się na dół. Dopiero teraz dopadło go zmęczenie po długim marszu. Nad lasem przewaliła się gwałtowna zawieja, ograniczając widoczność ledwie do paru kroków. Nie zamierzał tracić więcej czasu na bezowocne błądzenie -- zawinął się w kozuch i usiadł pod pnem, żując powoli łykowaty kęs suszonego mięsa.

Przeczekał zamieć, drzemiąc po trochu, ukołysany świstem wiatru. Kiedy uspokoiło się nieco, ruszył w dalszą drogę, choć już nie tak ochoczo jak ostatniej nocy. Słońce przepadło na dobre za grubą zasłoną chmur. Trudno było nawet określić porę dnia. Nie przestawał sypać śnieg, zrobiło się zimniej, każdy mocniejszy powiew przenikał całe ciało lodowatym ziąbem. Dłonie i stopy przemarzły tak bardzo, że wspinaczka po gałęziach okazała się niemożliwa. Trudno było nawet utrzymać raz obrany kierunek wędrówki.

Nie zatrzymywał się prawie wcale, jadł w marszu. Zawierucha przycichała chwilami, ale nie rozpogodziło się już do końca dnia. Z głębi lasu dobiegały zwodnicze odgłosy, jakby jęki, śpiewy, chichoty, czasem w półmroku czmychnął jakiś cień. Musiał uważać, teren stał się bardzo nierówny -- kilka razy otwierała się przed nim z nagłą gardziel stromego jaru o dnie pokrytym zwalonymi pniami. Trzeba było nadkładać sporo drogi, żeby omijać takie miejsca. Coraz częściej wątpił, czy rzeczywiście posuwa się w pożądanym kierunku. Śnieg sypał tak gęsto, że gdy spoglądał za siebie, nie dostrzegał własnych śladów.

Pod wieczór nabrał nieco otuchy, gdy znienacka wydostał się spomiędzy drzew na otwartą przestrzeń. To nie był jeszcze kraniec puszczy, tylko rozległe śródleśne jezioro, ale nawet taka odmiana dawała nadzieję. Wiatr uderzył mocniej, zasy pyły z miejsca na miejsce jak żywe istoty -- lecz za to było o wiele jaśniej, oddychało się jakby swobodniej.

Już po kilkunastu krokach wpadł lewą nogą do zimnej wody aż po pachwinę; nie dostrzegł w porę ukrytego pośród zwałów śniegu otworu w lodzie. Wycofał się na tyłku. But na szczęście nie przemókł, ale nogawka w ciągu paru minut zeszywniała jak pancerz. Nie przejął się zbytnio tym wypadkiem. Wrócił na brzeg, nałamał gałązek i rozniecił niewielki ogienek, osłaniając go troskliwie dłońmi. Zamierzał odpocząć tu trochę i odtając, a jeśli pogoda pozwoli, jeszcze tej nocy ruszyć skrajem jeziora w dalszą drogę.

Naraz gdzieś w pobliżu głośno zatrzeszczał lód. To mógł być przypadek, zwyczajne focze harce, ale Kacper z opowieści ojca wiedział, że takich odgłosów nigdy nie wolno lekceważyć. Wytopione przez foki w zamarznętej powierzchni jeziora otwory oddechowe przyciągały nie tylko myśliwych. Sięgnął do kołczanu po strzałę, podniósł się cicho i czekał w napięciu. Coraz wyraźniej słyszał ciężkie człapanie, szmer rozrzuconego śniegu, głucho stęknięcia. Naciągnął cięciwę, gdy z mroku wyłoniło się rozkołysane, potężne cielsko białego niedźwiedzia. Nie wypuścił strzały -- gdyby nie udało mu się zabić zwierzęcia od razu, nie miałyby żadnych szans na ocalenie.

To był młody samiec, chyba niedawno odpędzony przez matkę. Zdążył nabrać już tyle doświadczenia, żeby przetrwać samotnie, ale zapewne nigdy jeszcze nie spotkał człowieka. Pochylił pysk nad otworem w

lodzie, zerkając jednocześnie w stronę roztrzępotanego płomienia. Zaciekawiony dreptał przednimi łapami w miejscu, wężąc z wyciągniętą szyją.

Ruszył zniechęca, skacząc wydłużonymi susami. Kacper puścił cięciwę, ale drgnęła mu ręka i strzała przeszła górą, drasnawszy tylko grzbiet napastnika. Nie było czasu, żeby nakładać następną. W instynktownym odruchu cisnął na lód worek z żywnością i dał nura w mrok. Biegając wzdłuż brzegu, nie oglądał się. Słyszał odgłos rozdzieranej skóry, potem pochrząkiwanie i mlaskanie. Na razie udało mu się wstrzymać pościg, ale wiedział, że jeśli niedźwiedź był mocno wyposzczony, na pewno nie zadowolony z zapasami z worka. Zastanawiał się gorączkowo, czy nie poszukać kryjówki w lesie, lecz skręcił na jezioro, oddalając się od drzew. Tutaj śnieg nie był tak głęboki, mógł biec szybciej, a w razie potrzeby z większą swobodą użyć łuku.

Padł na lód dopiero wówczas, gdy puszcza stała się tylko czarną linią oddzielającą granat nieba od przyćmionej bieli śniegu. Jezioro było ogromne, przeciwległy brzeg wciąż jeszcze nie ukazał się na widnokręgu. Niedźwiedź chyba nie podążył za tropem na płaskiej, otwartej przestrzeni powinien być widoczny z daleka.

Długo leżał na wznak, chrapliwie łapiąc oddech. Serce waliło, w uszach pulsowała krew. Uspokoił się z wolna, przekręcił na brzuch; zebrał rękawicą garść śniegu i przytknął do spieczonych warg.

Znieruchomiał na moment, a potem ostrożnie uniósł się na łokciach. W tym miejscu, pośrodku jeziora, lód był o wiele cieńszy; czuł wyraźnie, jak tafla ugina się pod jego ciężarem. W odsłoniętych miejscach poprzez przejrzystą skorupę widział czarną głębię. Zawirowało mu w głowie, jakby niespodziewanie znalazł się na skraju przepaści. Pomyślał o myśliwskiej śmierci w jej najgorszej postaci, która zdradziecko zabiera nieostrożnych łowców na jeziorze bez wieści i bez echa.

Zacisnął zęby, szerzej rozstawił ramiona i bardzo powoli zaczął pełznąć naprzód.

Usłyszał jakiś niepokojący dźwięk, jakby coś delikatnie otarło się od spodu o lód. Poruszył się zbyt nerwowo -- natychmiast otoczyła go pajęczyna pęknięć. Suche trzaski potężniały w nocnej ciszy. Przez szczeliny w lodzie zaczęła się przesączać woda.

Przyłgnął do spękanej tafli na płask, zamarł w bezruchu. Nie umiał pływać. Jak wszyscy ludzie gór bał się mrocznych odmętów. Teraz każde drgnienie groziło tym, że krucha skorupa rozpadnie się niczym stłuczony witraż.

Szmer powtórzył się. Z boku, nieco z tyłu, przydryfował pod lodem jakiś wydłużony cień. Kacper usiłował przekonać samego siebie, że to foka, ale gdy ciemny kształt znalazł się tuż pod nim, zobaczył z bliska obrzmiałą, siną twarz topielca. Rozdęty jak balon gnilnymi gazami trup unosił się na powierzchni. Wytrzeszczone oczy zdawały się wypatrywać czegoś z napiętą uwagą, pasma długiej brody falowały lekko. Otwarte usta wypełniała lazurowa jasność.

Lód załamał się z hukiem, wysoko w górę trysnęły strugi wody. Kacper znalazł się w zimnym jeziorze, wokół niego kry zderzały się na rozchybotanej powierzchni. Młóćąc bezładnie ramionami, walczył rozpaczliwie, żeby utrzymać głowę ponad wodą, ale raz po raz zalewała go czarna topiel. Próbował chwycić się lodowych odłamów, lecz wyslizgiwały mu się z rękawic. Słabł szybko, coraz rzadziej udawało mu się zaczerpnąć oddechu. Potworny, paniczny strach pchał go do beznadziejnej walki o życie, choć wiedział, że nieubłagane zbliża się moment, kiedy zamiast powietrza płuca wypełni woda.

Nagle natrafił ręką na trupa, uwiesił się na nim i podciągnął wyżej. Ogarnął go smród rozkładu. Prawie zemdłał, ale nie zwolnił uścisku. Odrzucił z czoła mokre włosy i rozejrzał się, oddychając łapczywie. Dostrzegł w pobliżu grubą krawędź nienaruszonej powłoki lodowej. Wdrapał się na topielca, legł na nim i powiosłował rękami w tamtą stronę, odpychając na boki rozkołysane kry. Wczołgał się ostatkiem sił na przyprószoną śniegiem taflę i odpoczywał przez jakiś czas, nie zważając na wszechobecne skrzywienie. Czuł, że gdyby i tym razem lód nie wytrzymał, topiel wessałaby go prosto na dno.

Poruszył wreszcie głową, odrywając przymarzniałe do podłoża włosy. Czapa przepadła razem z łukiem, kołczanem i jedną z rękawic. Podpełznął kawałek dalej, uderzył na próbę pięścią w zmrożoną powierzchnię jeziora, a potem dźwignął się na nogi. To było bardzo ryzykowne, jednak nie mógł tracić czasu -- potrzebował natychmiast chociaż odrobiny ciepła.

Pobiegł, zataczając się, byle dalej od tego straszego miejsca. Coraz grubsza skorupa dudniła głucho pod nogami, przybywało śniegu; tylko gdzieniegdzie połśniewał odsłonięty przez wiatr nagi lód. Nad foczymi wytopami unosiła się para. Rychło wypatrył w oddali wysoką skarpe brzegową, a ponad nią czarny cień puszczy. Nie zatrzymałby się teraz, nawet gdyby usłyszał z lasu wycie wilków. Wszędzie tam, gdzie przydurfował uwięziony w trupie swego nosiciela Świetlik, pod wpływem jego ciepła lód topniał i jezioro stawało się śmiertelną pułapką dla każdego, kto zechciałby skrócić sobie tędy drogę.

Dopał wreszcie lądu i zziębnięty wdrapał się na stromy brzeg. Obejrzał się: nad ledwo widocznym z tej odległości czarnym wyłomem w lodzie drżała błękitna mgiełka.

Naciągnął na głowę zlodowaciały kaptur, pozbawioną rękawicy lewą dłoń wetknął za pazuchę i kuląc się, poszedł dalej -- zziębnięty, głodny, przygnębiony. Nie miał już rakiet, w głębokim śniegu zapadał się często po pas. Zdawał sobie sprawę, że bez jedzenia i broni, zagubiony w lesie, ma bardzo niewielkie szanse na przetrwanie, ale nie myślał o tym. Liczył się tylko marsz. Dopóki był w stanie utrzymać się na nogach, miał pewność, że jeszcze nie umarł. Nie potrafił odróżnić szumu wiatru od huczącej w skroniach krwi, nie wiedział nawet, czy jest noc, czy dzień. Grube drzewa o spękanej korze pochylały się nad nim, zastępowały drogę, wygrażały konarami, z których zwisały sople. Zdawało mu się, że czekają, aż padnie i przemarznie na wskroś, jak one same. Złościł się, uderzał pięścią w najbliższy pień, a gniew dodawał mu sił na kilka następnych kroków. Czasem obskakiwały go wyimaginowane wilcze watahy, od których opędzał się coraz bardziej niemrawo. Widział nieznane górskie pasma, które zaraz ginęły w zadymce. Z ujadaniem przemykały psie zaprzęgi. Kilka razy otrząsał się, podnosił głowę i ze zdumieniem odkrywał, że zasnął na stojąco. Wyrywał ze śniegu pozbawione czucia stopy, rozłożywszy ramiona, łapał równowagę i brnął dalej.

Nie od razu uwierzył w ognisko na porębie i cienie ludzi na poczerwieniałym śniegu. Podeszedł bliżej, zachwiał się, oparł się o drzewo. Przywidzenie nie zniknęło -- ogień wciąż trząsał, a na jego tle poruszały się czarne postacie.

-- Stój! -- krzyknął ktoś rozkazująco.

Oprzytomniał od razu, ogarnął wszystko jednym spojrzeniem. Wokół chylącego się pod wiatrem płomienia stali okutani w grube kozuchy drwale w lisich czapach nasuniętych głęboko na oczy. Kawałek dalej wznosił się stos z grubsza obrobionych bali. Między ustawionymi w krąg saniami zbiły się w ciasną gromadę psy zaprzęgowe.

-- Ani kroku dalej. -- Jeden z mężczyzn, o złamanym nosie i ubielonych szronem wąsach, wysunął się nieco naprzód.

Kacper padł na kolana. Przez jakiś czas poruszał niemo wargami, zanim zdołał wykrztusić parę słów.

-- Pomóżcie mi, proszę...

Drwale spojrzeli po sobie, w blasku ognia lśniły ostrza ciężkich siekier.

-- Odejdź, chłopcze -- odezwał się krzywonosy trochę spokojniej. -- Inaczej będziemy musieli poszczuć cię psami.

-- Pozwólcie mi się ogrzać.

-- Kto dopuszcza w lesie do ognia obcego, nigdy nie wie, czy nie pomaga Lucyferowi.

-- Jestem gońcem... Zgubiłem się. Chcę tylko wrócić do domu.

-- Dosyć! -- Drwał przełożył długie stylisko siekiery do prawej dłoni. -- Nie obchodzi nas, co masz do powiedzenia. Takie jest prawo puszczy. Jeśli odważyłeś się zejść z gór, powinieneś o tym wiedzieć. Nikt uczciwy ci nie pomoże. Odejdź, mówię po raz ostatni.

Chłopiec cofnął się w mrok między drzewa. Odtrącony brutalnie patrzył w milczeniu, jak drwale pośpiesznie zbierają się do drogi. Załadowali bale na sanie i zaprzęgli, kopniakami przywołując do porządku podniecone psy. Z grubsza przysypali śniegiem wiatrę i ruszyli kolejno szeroką przesieką, pokrzykując i strzelając z batów.

Niebo szarzało, gdy odważył się podczołgać do stygnącego popieliska. Odgrzebał garstkę żaru, rozdmuchał, ogrzał dłonie. Znalazł parę rozłupanych kości, z których nie do końca wydłubano szpik, i zwęgloną zajęczą łapę. Nie było tego wiele, ale musiało wystarczyć; zjadł wszystko, co zdołał pogryźć, natarł twarz ciepłym popiołem i zaciskając zęby, podniósł się na nogi.

Biała przesieka porżnięta głębokimi koleinami, w których parowały grudki świeżych psich odchodów, ciągnęła się przez puszcę, jak daleko mógł sięgnąć okiem. Ruszył między szpalerami drzew. Wiedział, że każdy wytyczony przez człowieka szlak musi prowadzić do gór.

Posuwał się noga za nogą po głębokim śladzie pozostawionym przez płozy ciężkich sań przystosowanych do zwózki drzewa. Wiatr dął mu w plecy, ułatwiając marsz, ale mimo to często zataczał się i przewracał w zasy na poboczach. Bardzo trudno było się podnieść z takiego upadku, otrząsnąć z niebezpiecznej senności -- zwiastunki bezbolesnej śmierci. Aż do łez wpatrywał się w szarą perspektywę przesieki. Czasem zdawało mu się, że dostrzega tam zarysy gór, ale gdy chwilami ustawała śnieżycy, przekonywał się, że to tylko wał zawieszonych nisko nad widnokregiem obłoków. Właściwie nie miał już nadziei, że zdoła się wydostać z lasu, ale chciał po raz ostatni zobaczyć z daleka wierchy. Gdyby umarł tutaj, na uczęszczanym szlaku, i gdyby wilki nie dobrały się do niego zbyt szybko, może znaleźliby go drwale z rodzinnej osady. Rodzice i Mira dowiedzieliby się wtedy, jaki spotkał go los.

Miał dziwne uczucie, że ktoś towarzyszy mu w tej wędrówce. Słyszał nawet za sobą skrzywienie śniegu i strudzony oddech. Spoglądał w tył, lecz widział tylko ciągnące się w nieskończoność krechy wyslizganych kolein. Wiedział, że takie rzeczy przydarzają się myśliwym, którzy zbyt długo błądzą samotnie w puszczy. Podobno czasem wrażenie czyjejś obecności bywa tak silne, że prowokuje do głośnej rozmowy i wydzielania dodatkowej porcji mięsa przy posiłku. Wierzono, że w ten sposób daje o sobie znać anioł stróż, żeby przygotować człowieka na bliski koniec.

Potknął się i upadł zupełnie bezwładnie twarzą w śnieg. Nie czuł bólu ani zimna. Uzmysłował sobie, że tym razem już się nie podźwignie, ale było mu to obojętne. Obrócił się na bok, żeby ułatwić oddychanie,

spojrzał przez rzęsy na skute lodem drzewa. Był spokojny; pomyślał o sobie tak, jak zapewne będą wspominać go inni -- ot, jeszcze jeden goniec, który nie doszedł.

Nagle wstrzymał oddech -- z głębi lasu zbliżyły się jakieś rozchybotane cienie. Pomyślał, że to gromada myśliwych. Chciał krzyknąć, podnieść rękę, żeby zwrócić na siebie ich uwagę, ale nie był w stanie. Mógł tylko patrzeć bezradnie i liczyć na to, że śnieg nie przysypał go jeszcze zbyt grubo i tamci go zauważą.

Kiedy niskie, krępe sylwetki ukazały się na skraju lasu, zrozumiał, jak bardzo się omylił. Zobaczył biało upierzone brzuchy z bladożółtym odcieniem na piersiach, ciemne, prawie czarne grzbiety i głowy, pomarańczowe plamy na bokach szyi, lekko zakrzywione dzioby. Pingwiny jeden za drugim wychodziły z cienia, kołysząc się na szerokich łapach z błoną między palcami. Zatrzymywały się na chwilę, rozcapierały niewielkie, białe od spodu skrzydła, a potem przyśpieszonym krokiem pokonywały odsłonięty odcinek. Niektóre padały na miękkie brzuchy i odepchnąwszy się nogami, prześlizgiwały na drugą stronę przesieki. Zerkały na leżącego człowieka, ale chyba wyczuwały, że nie może być dla nich zagrożeniem, i mijały go obojętnie.

Początkowo próbował je liczyć, ale szybko stracił rachubę. Wyłaniały się z lasu dziesiątki za dziesiątkami, setki, całe ogromne, zjednoczone wspólnym celem wędrowki stado. Łatwo pojał, dlaczego myśliwi wzdragają się przed zabijaniem tych ptaków, nawet gdy brak innej zwierzyny. Były dumne, wytrwałe i piękne. Jaskrawe plamy na szyjach i podgardlach, widoczne z daleka, odbijały się wyzywająco od tła puszczy wызutej niemal całkowicie z żywszych barw.

Przemaszerowały wreszcie prawie wszystkie. Śnieg chrzęścił coraz ciszej po drugiej stronie przesieki. Ostatni w długim szeregu zatrzymał się na wzgórkku między koleinami, kilkakrotnie podniósł i opuścił skrzydła, jakby z wahaniem; niespodziewanie skręcił w bok i przyczłapał do osłabłego chłopca na krótkich nóżkach. Pochylił się nad nim, przekrzywiając głowę, przyjrzał mu się uważnie najpierw jednym, potem drugim okiem. Raptem wetknął koniec dziobu między jego rozchylone wargi, pchnął głębiej. Zabułgotało w ptasim wolu, a po chwili Kacper poczuł, że do gardła spłynęło mu parę łyków gęstej, przetrawionej papki.

Przez jakiś czas leżał bez ruchu, z zamkniętymi oczami rozkoszując się ciepłem, które wypełniło żołądek. Kiedy spojrzał znowu, pingwina nie było już w pobliżu. Zdażył tylko zobaczyć między drzewami kiwający się rytmicznie, lśniący kark. Usiadł, bardziej chyba ożywiony emocjami niż skąpym posiłkiem. Zadarł głowę -- między chmurzyskami przezierало pasmo przytłumionego światła. Tylko pojedyncze płatki śniegu tańczyły na wietrze. Tknięty nagłym przecuciem spojrzał w stronę, gdzie prowadziły ślady płóz.

Góry piętrzyły się nad lasem, szczerząc ostre grzebienie grani, pobłyskując jęzorami lodowców. Wyniosły masyw rodzinny szczytu przekłuwał białym wierzchołkiem obłoki.

Droga do podnóża urwiska zabrała mu resztę dnia i całą noc, ale teraz już ani przez chwilę nie wątpił, że dojdzie. Patrzył na znajomy wierzch. Nie stracił go z oczu nawet wówczas, gdy zapadły ciemności. Czuł się lekki, nieważki, nogi niosły go same. Gdy padał, parskał tylko jak szczenię po raz pierwszy wypchnięte przez sukę z kojca na głęboki śnieg i zaraz maszerował dalej w ślad za gwiezdą poświata, która osiadała na lodzie w koleinach. Był rozradowany, podekscytowany tym wszystkim, co miał do opowiedzenia w domu. Wyobrażał sobie rozświetloną dziesiątkami palenisk kuźnię, zaciekawione twarze słuchaczy i siebie samego z kubkiem grzanego kumysu w dłoni.

Szlak drwali wyprowadził go do z lasu i powiódł dalej przez stary, kamienny mostek nad łożyskiem zamarznętego strumienia, wietrzną równiną, między na wpół zasypane skałki. Na kupach śniegu z obu

stron traktu coraz częściej widział porzucone odpadki, fragmenty pozrywanych uprzęży, ogryzione gnaty. Zdawało mu się, że poświsujący nad górskimi zboczami wiatr przynosi ledwie uchwytną woń dymu.

Stanął pod urwiskiem o brzasku. Kolana trzęsły mu się ze zmęczenia, głowa ciążyła, szron niemal zalepił powieki -- lecz rozpierała go duma. Widok kieratu, który przecież tak niedawno wprowadził go w osłupienie, teraz wydał mu się całkiem swojski, niemal jak rodzinne opłotki. Sądził, że podobnie musiał czuć się ojciec za każdym razem, kiedy powracał z wyprawy do lasu. Zrozumiał, że nie istnieje bardziej męska radość i że o niej właśnie tak często marzył jako dzieciak.

Podwieszony pod wielkim kołem kieratu hak wyciągu tkwił umocowany na żelaznej klamrze. Zza krawędzi pomostu nie wychyliła się żadna twarz. Kacper wiedział, że nie uda mu się krzykiem wywołać nadzorcy z ziemianki, ale skazańcy niebawem powinni się zabrać do odśnieżania mechanizmu. Czekał cierpliwie, drżąc z zimna i przełykając ślinę na myśl o misce chudej, kieratniczej polewki. Przypomniał mu się tamten poranek, kiedy stał u boku ojca na pomoście i patrzył z góry na człowieka ściganego przez stado wilków. Rzucił okiem przez ramię: przedgórze było puste i ciche, ale niepokojące wspomnienie zmaćciło beztroskę, jakby na jasny, pogodny świt padł cień.

Wreszcie zadudniły kroki na deskach, z rusztowania pod pomostem osypało się trochę śniegu. Ktoś pochylił się nad przepaścią -- chyba jeden z kieratników; znikł, zanim chłopiec zdążył do niego pomachać. Przez chwilę trwała cisza, potem trzasnęły drzwi, znowu pośpiesznie załomotały ciężkie buty.

Mignęła czerwona twarz nadzorcy.

-- Nie wejdiesz! -- krzyknął ostro.

Kacprowi pociemniało w oczach. Przykucnął na ubitym, usianym drzewnymi wiórami śniegu. Był tak zaskoczony, że nie wiedział, co mówić -- błagać, grozić czy przekonywać. Dopiero teraz uświadomił sobie, że właściwie nie powinien się spodziewać niczego innego. Przecież ojciec przyprowadził go tutaj niegdyś specjalnie po to, żeby mógł poznać to najbezwzględniejsze z ludzkich praw.

Poczucie swojskości rozwiało się bez śladu. Ludzie z osady wydali mu się teraz tak samo obcy jak poznani niedawno leśni zbiegowie. Co oni właściwie mogli wiedzieć? Przyzwyczajeni byli od pokoleń dbać tylko o ten swój ciasny, ubogi zakątek. Jak miał z nimi rozmawiać o tym, czego nauczył się w bibliotece, o tym, co widział wśród Oświeconych? Czy naprawdę ta przedziwna wyprawa odmieniła go tak bardzo, że już nigdy nie odnajdzie spokoju -- nawet we własnym domu wśród bliskich?

Nie wiedział, ile czasu upłynęło, gdy usłyszał skrzypienie kieratu. Bał się spojrzeć w górę. Wyciąg zatrzymał się, ktoś zeskoczył na śnieg.

-- Aleś nabroił. -- Rozpoznał głos Stacha. Po policzkach spłynęły mu łzy. -- Co byś zrobił, gdybyś nie miał mądrzejszego brata? Dalej, chwyć się mnie mocno.

-- Jak dobrze, że jesteś... jak dobrze...

-- Cicho, nie teraz! Trzeba się śpieszyć. Musiałem przekupić nadzorcę. Poszły na to wszystkie moje oszczędności. Jeśli dowie się o tym ktoś ze starszyny, wrócisz do lasu, a ja przez resztę życia będę chodził w kieracie.

Sygnalista nie wypiął się z uprzęży; objął chłopca, przycisnął do siebie i gwizdnięciem dał znać na górę, że jest gotów. Kierat ruszył, lina napięła się, ziemia umknęła im spod stóp. Kacper patrzył na własne buty, oddech Stacha ogrzewał mu czoło. W połowie wysokości urwiska powiało mocniej, hak rozbujał się, ale po

kilku następnych obrotach kieratu znaleźli się między belkami rusztowania pod samym pomostem. Kilka par dłoni wyciągnęło się ku nim i po chwili obaj stali już na deskach.

Kacper jak przez mgłę widział skazańców zeskakujących z kieratu i nadzorcę, który starannie omijał go wzrokiem. Nie było żadnych powitań, nie padło nawet jedno słowo. Stach poprowadził go dalej, gdzie czekały już zaprzężone sanie.

-- Wskakuj, schowaj się pod kozuchem -- polecił z cicha. -- Znajdziesz tam trochę sera i bukłak z grzańcem. Nie wystawiaj głowy, dopóki ci nie pozwolę.



-- Nie rozumiem... -- Stropiony Kacper usiadł w saniach. -- Skąd się tu wzięłeś?

-- Od dawna kręcę się nad urwiskiem. Dostałem wiadomość z Krzywego Wierchu, że uciekłeś do lasu. Nie bardzo wierzyłem, że uda ci się dojść aż tutaj, ale musiałem to sprawdzić.

Wypoczęte psy żwawo ruszyły pod górę. Nie potrzebowały nawet bata. Sanie sunęły gładko, czasem tylko płoza zgrzytnęła na ukrytym pod śniegiem kamieniu. Kacper drzemał, z rzadka popatrywał spod uchylonego kozucha na zbocze. Owładnęło nim zaprawione goryczą zniechęcenie. Chwilami zdawało mu się nawet, że niepotrzebnie podejmował trud tej szalonej wyprawy przez martwą puszcę, po to tylko, żeby zawdzięczać ocalenie pieniądzom brata i łasce nadzorcy.

Mimo wszystko, gdy zobaczył wreszcie spadziste dachy pierwszych chat, zapomniał o wszelkich żalach. Zrobiło mu się ciepło na sercu -- nie przypuszczał, że aż tak bardzo stęsknił się za tym widokiem.

Sanie wpadły na główną ulicę, lecz zamiast powstrzymać zaprzęg, Stach strzelił z bata nad psimi grzbietami. Jakaś kobieta pośpiesznie usunęła się drogi, ktoś rzucił zza płotu grube przekleństwo. Minęli cmentarny mur, dzwonnice, komin za kominem znikał w tyle. Gdy pozostawili z boku zakręt do kuźni, a psy, dysząc chrapliwie, zaczęły pokonywać niezabudowaną stromiznę pod skalistym szczytem, Kacper nie wytrzymał -- odrzucił kozuch, usiadł i złapał brata za ramię.

-- Dokąd mnie wiesziesz? -- krzyknął.

Stach najpierw rzucił okiem w prawo i w lewo, dopiero potem spojrzał niechętnie za siebie.

-- Miałeś się nie pokazywać -- mruknął.

-- Chcę do domu!

-- Wiele się u nas zmieniło. Proboszcz umarł niedługo po twoim odejściu, kościół stoi zamknięty. Ludzie boją się coraz bardziej. Puścili z dymem chatkę gońca, nie chcą już więcej obcych w osadzie.

-- Ja nie jestem obcy, mam gdzie mieszkać. Zawracaj.

-- Nie zbliżaj się nawet do chaty rodziców, bo wtedy i tam wybuchnie pożar. -- Stach przygarbił się nieco. -- Zresztą nikt na ciebie nie czeka. Ojciec wyruszył na poszukiwania, kiedy tylko się dowiedział, że jesteś w lesie. Od tego czasu nie mam o nim żadnych wieści. A matka... -- Milczał przez chwilę, a potem z nagłą furią uderzył batem, aż któryś z psów zaskowyczał. -- Nie ma jej w domu.

-- Jak to?

-- Odeszła.

-- Dokąd? Przecież nigdy w życiu nie wychodziła poza opłotki osady!

Stach wstrzymał zaprzęg wśród porozrzucanych na stoku głazów; wyżej pięła się już tylko stroma ścieżka mcharzy. Zeskoczył z sań, złapał chłopca za łokieć i szarpnięciem zwałókl na śnieg.

-- Oprzytomniej wreszcie, gówniarzu! -- Zmrużył w gniewie oczy, drżały mu wargi. -- Nigdy nie zobaczysz matki. Lucyfer dopadł ją w samym środku osady, a po niej jeszcze paru innych. Nikt już nie jest bezpieczny. Ludzie po zmroku nie wychodzą z domów. Nie ma księdza, starzyzna się nie zbiera... Rządzi strach. -- Odetchnął, uspokoił się nieco. -- Idź do mcharzy, popracuj z nimi. Nie schodź do osady pod żadnym pozorem. Zajrzę do ciebie za parę dni.

Zawrócił zaprzęg i pomknął w dół.

Kacper pozostał sam -- nigdy przedtem nie czuł się tak całkowicie opuszczony, nawet na Grani, nawet w lesie. Płakał, choć nie zdawał sobie z tego sprawy. Wieść o matce ogłuszyła go, zdrętwiał z rozpacz -- a jednak, mimo wszystko, po pewnym czasie ożyło w nim niespodziewanie ciepłe wspomnienie Michaliny. Przeobrażenie było straszne, to prawda, ale i piękne. Matka zapewne pozostała pogodna do samego końca. Wystarczyło, że wyobraził sobie ten jej łagodny, dobry, wyrozumiały uśmiech, aby odzyskać odrobinę otuchy.

A przecież był jeszcze stary Tomasz. Mira sama pomogła mu uciec do lasu. Czy on zrobiłby coś takiego dla własnej matki? Czy może rozbeczałby się po prostu tak, jak teraz? Zawstydził się, otarł nos rękawem. Może nie miał już domu, potracił bliskich -- nie wiedział, czy ojciec wróci, a i Stach był jakby nie ten sam, co dawniej -- ale wciąż był ktoś, kto na niego czekał.

Rozpoczął wspinaczkę do przysiółka, gdy na grzbiecie zachodniego lodowca już gasły wieczorne rozbłyski.

Stanął pod dziuplami mcharzy w ciemnościach, słaniając się ze zmęczenia. Spojrzał w górę -- tylko w jednym otworze pełgał odblask ognia. Pozostałe zawarto już na noc. Wspiął się z mozołem po kłamrach, żelazo parzyło mrozem pozbawioną rękawicy dłoń. W słabym świetle błyszcząły śnieżne płatki; miał ochotę oderwać się od ściany i razem z nimi odpłynąć w przestrzeń.

W końcu wysunął zasmarkaną twarz ponad dolną krawędź otworu jaskini. Rozpoznał wnętrze -- już tutaj był. Od ognia podniosła się drobna postać o krótko, chłopięco przystrzyżonych włosach. Jeszcze zanim się odwróciła, wiedział, że to Mira.

Przywitali się raczej niezręcznie -- krótki uścisk, przelotne muśnięcie warg zamiast pocałunku. Dziewczyna zaryglowała kłapę u wejścia, powiesiła nad ogniem kociołek z zupą i wskazała Kacprowi miejsce obok siebie na ławie, uśmiechając się nieśmiało samymi oczami.

-- Wiedziałałam, że wrócisz. Nawet kiedy twój brat powiedział, że w puszczy często giną nawet starzy myśliwi... -- Urwała nagle, dorzuciła do ognia; dopiero teraz, przy lepszym świetle dostrzegła, jak bardzo chłopak zmienił się i zmizerniał. -- Boże! Przecież ty ledwie trzymasz się na nogach.

Kiedy usiadł, zzuła mu buty i pomogła zdjąć kurtę. Z początku próbował się opierać, ale po chwili uległ, wyciągając pokryte pęcherzami stopy do ognia.

-- Stach lubi się wymądrzać, znasz go. Wcale nie było tak ciężko. -- Musiał się oprzeć plecami o kamienną ścianę, bo cała pieczara zawirowała mu przed oczami.

-- Nie kłam, przecież nie jestem ślepa. Nigdy więcej nie pozwolę ci odejść. -- Zmieszała się, lekko wzruszyła ramionami. -- Jeśli oczywiście nadal chcesz mnie za żonę.

-- Dlaczego miałbym nie chcieć?

Podawała mu wiadro z ciepłą wodą dla obmycia nóg.

-- Bo ja już nigdy nie zejść do osady. Po tym, jak ojciec uciekł do lasu, ludzie nie dali mi spokoju. Dzieci obrzucały dom kamieniami, kobiety wyzywały i pluły na mój widok. Musiałam odejść, póki nie stało się nic gorszego. Tutaj przyjęli mnie dobrze, tylko kazali ściąć włosy, żeby nie przeszkadzały przy pracy.

Skinął głową; domyślił się tego już wcześniej.

-- Wygląda na to, że oboje nie jesteśmy na dole mile widziani. I wiesz co? Jakoś mnie to nie martwi. -- Złożył na kolanach popuchnięte dłonie; lewą pstrzyły przebarwienia odmrożeń. -- Weźmiemy ślub i zaczniemy wreszcie żyć tutaj spokojnie.

-- Z tym będziemy musieli poczekać na nowego księdza. -- Starła się zachować rzeczowy ton, ale nie zdołała ukryć wzruszenia; zerwała się, wycierając różkiem fartucha oczy. -- Co ze mnie za gospodyni! Gadam tylko, a w kociołku kipi.

Kacper przełknął kilka łyków gorącej zupy, zerkając ukradkiem na Mirę. Nie wiedział, jak powiedzieć jej to, co najważniejsze. Wreszcie odłożył parującą miskę, odchrząknął.

-- Widziałem twojego ojca.

-- Gdzie? -- Nie wyglądała na zaskoczoną.

-- W kotlinie. Rozmawiałem z nim.

Po twarzy dziewczyny przemknął cień niechęci, zakrzętnęła się przy ogniu. Ponieważ milczała, Kacper wyciągnął rękę i ostrożnie dotknął jej pleców.

-- Chciał, żebyś wiedziała, że jest szczęśliwy.

Odwróciła się do niego poważna i skupiona.

-- Wierzysz w to? -- zapytała, nie spuszczać z niego wzroku.

Zawahał się tylko na chwilę.

-- Tak.

-- Jeśli on jest szczęśliwy, to twoja matka także. Nie ma powodu, żeby ich oplakiwać, ale też nie powinniśmy o nich więcej mówić. Kiedy się z tym pogodzisz, będzie ci o wiele łatwiej. -- Zsunęła pod ścianą dwie ławy, zarzuciła kożuchem; zarumieniła się lekko. -- Mam tylko jedno legowisko. Do czasu ślubu tu będziesz spał.

Zbudził się zziębnięty z bólem głowy i suchością w ustach. Nie pamiętał, kiedy zasnął; chyba po prostu ciężko zwałił się na ławę, nie dochleptawszy nawet do końca zupy. Mira okryła go starannie, zostawiła na śniadanie pieczone w żarze szurze żeberka. Sama zapewne wczesnym rankiem wyszła do pracy.

Stanął niepewnie na obolałych nogach, zrobił na próbę kilka kroków, opierając się jedną ręką o ścianę. Pęcherze przez noc popękały, ale gdy posmarował piekące miejsca tłuszczem i owinął czystymi onucami, poczuł się nieco lepiej. Rozniecił ogień, umył twarz i ręce w zimnej wodzie, bez apetytu skubnął trochę mięsa. Pod ławą znalazł wyczyszczone buty, na przetartych łokciach kurty pojawiły się świeżo naszyte łaty. Wiedział, że jest jeszcze zbyt słaby, by wspinać się po omszałych ścianach, ale nie zamierzał siedzieć tutaj beczynnie do wieczoru.

Uchylił klapę. Słońce stało już wysoko, jasne niebo odbijało się w obu lodowcach. Było tak spokojnie, jak niżej, w osadzie, nie zdarzyło się nigdy. Zszedł po klamrach na ścieżkę i ostrożnie ruszył dalej, zważając, aby potrąceniem kamienia nie naruszyć ciszy.

Bez wstępu zagłębił się w kwaśny odór Rozpadliny. Nauczony doświadczeniem rozebrał się na samym początku, składając swoje rzeczy na skalnej półce obok znoszonych, wyliniałych kozuchów mcharzy. O tej porze dnia promienie słońca wdzierały się głęboko w mrok szczeliny, na ścianach pobłyskiwały kropelki wilgoci. Pod bosymi stopami czuł ciepłe błoto, przemieszane z gnijącymi resztkami mchu, wysoko w górze gęstniał siny opar. Mijał zbieraczy, zawieszonych w skórzanych uprzężach, z pękatymi koszami przytroczonymi do pleców. Skrobali skałę szerokimi, jednostajnymi ruchami, kropelki gęstej mazi pryskały na ich spocone twarze. Spoglądali na niego z góry, bez słowa odprowadzali wzrokiem, a potem wracali do roboty.

Zaczął się niepokoić. Doszedł już do miejsca, gdzie słońce ledwie muskało wyższe partie ścian. Na dole zalegał duszny mrok. Milkły stopniowo huczące echa pracy skrobaczek. Dalej mech porastał ściany jedynie lichymi kępami.

-- Znowu się tutaj kręcisz, szczurołapie? -- Zafurkotała lina, a po ścianie przemknął cień. W błocie plasnęły bosc stopy młodego mcharza. -- Mamy szczęście do spotkań. Albo raczej pecha.

Kacper skrzywił się, ale w porę pohamował gniew. Wiedział, że biedacy z przysiółka trzymają się razem. Nigdy nie stanie się jednym z nich, dopóki nie przekona do siebie tego bladokórego złośliwca.

-- Lepiej zacznij się przyzwyczajać -- odpowiedział spokojnie. -- Teraz będziesz widywać mnie częściej.

-- Kpisz? -- mcharz zachichotał drwiąco i odkaslnął. -- Wy tam na dole nie macie żadnego pojęcia o ciężkiej pracy. Zemdlalibyś w połowie dniówki.

-- Mira daje radę, to i ja przywyknę.

-- Ach, o to chodzi... Narzeczona, co? -- Tamten parsknął, zarzucił na ramię zwój liny. -- Dobrze ci radę, zapomnij o niej. Ona nie ma wyboru, musi tu zostać, ale z tobą jest przecież inaczej. Bardzo szybko zaczniesz żałować życia, które porzuciłeś.

-- Nic o mnie nie wiesz.

-- Bywali u nas już wcześniej tacy jak ty. Każdy miał inne powody do opuszczenia osady, ale żaden nie wytrzymał u nas nawet miesiąca. Wiesz dlaczego? Bo tutaj trzeba się urodzić, od dziecka wdychać smród, uczyć się wspinaczki wcześniej niż chodzenia. Chyba że... -- Zmarszczył jasne brwi, jakby przyszła mu do głowy niespodziewana myśl. -- Chyba że na dole zrobiło się już całkiem źle i teraz wszyscy zaczniecie do nas uciekać jak szczury z pożaru. Wiele bym dał, żeby coś takiego zobaczyć.

-- Na twoim miejscu nie czekałbym na to. Jeśli osada padnie, komu sprzedacie zbiory?

Mcharz zacisnął zęby, aż poruszyły się pod skórą kostki u nasady szczęk. Powoli odstąpił na bok, szyderczo uprzejmym gestem wskazał Kacprowi wolną drogę w dół, prosto w ciemność.

-- Twoja panna dzisiaj nie skrobie, ma co innego do roboty. Idź jej poszukać, jeśli masz chociaż w połowie tyle odwagi co ona.

Dopiero teraz Kacper zauważył w oddali, dużo niżej, niewielki płomień. Pobiegł tam, ślizgając się w gęstej mazi, która coraz grubszą warstwą pokrywała opadającą ścieżkę. Rozpadlina zwężała się stopniowo, po nagich ścianach ciekły strużki wody. Robiło się coraz goręcej, gdzieniegdzie spod błota z bulgotem wydobywały się pęcherzyki gazu. Od czasu do czasu z trzepotem skrzydeł przelatywała niewidoczna w ciemnościach ćma -- kulił się wtedy mimo woli z obrzydzenia.

Trudno było oddychać. Zatrute powietrze wywoływało nudności. Pocił się mocno, choć chwilami przeszywał go zimny dreszcz jak przy gorączce. W podrażnionych oczach nabrzmiwały łzy, a gdy próbował

obetrzeć je ręką, nieznośne pieczenie jeszcze się wzmagalo. W głowie pojawił się pulsujący ból, który przy każdym kroku przelewał się od skroni do skroni.

Ściany rozstały się wreszcie, tworząc wydłużoną, wysoko sklepioną jaskinię, z rzędami kolumn naciekowych po bokach, jak nawa katedry. Wstrząsany gwałtownym kaszlem chłopiec oparł się plecami o ścianę i powoli osunął na ziemię.

Mira siedziała na dużym kamieniu pośrodku jaskini odwrócona tyłem. Nad nią, zatknięte w uchwycie zamocowanym na jednym ze stalaktytów, płonęło łuczywo, wypełniając przestronne wnętrze słabą poświatą. Nie obejrzała się, choć musiała słyszeć z daleka kroki Kacpra. Zastygła pochylona, z łokciami opartymi na kolanach, jakby wypatrywała czegoś uważnie pomiędzy swoimi stopami.

Dopiero wówczas, gdy Kacper podniósł się z wysiłkiem, podszedł, rozchlapując wodę z kałuż, i stanął tuż za nią -- ukazała lśniąca od potu twarz.

-- Cii... -- Położyła palec na wargach. -- Mów szeptem, tu nie wolno hałasować.

U stóp dziewczyny w podłożu ciemniał otwór o poszarpanych krawędziach na tyle rozległy, że można go było obejść, tylko przesuając się bokiem pod samymi ścianami jaskini. Z mrocznej czeluści buchało rozgrzane powietrze. Pasma oparów unosiły się i oplątywały wokół kolumn, wsiąkając z wolna w cień.

-- Co to jest? -- Kacper musiał przykucnąć obok Miry. Znowu dostał zawrotów głowy.

Nie odpowiedziała od razu. Zdawało się, że parująca dziura pochłania całą jej uwagę, angażuje wszystkie zmysły. Wokół jej nieruchomych, przekrwionych oczu utworzyły się czerwone obwódki, na brwiach i rzęsach skraplała się woda. Przy każdym oddechu coś świszczą jej w krtani. Rozchylone wargi oblepiały zaskorupiały brud. Miała na sobie męskie spodnie o nogawkach podwiniętych wyżej kolan i zbyt wielką koszulę, która wisiała na niej jak worek.

-- One się tam lęgną, gdzieś bardzo głęboko -- szepnęła wreszcie, a gdy spostrzegła, że Kacper nic nie rozumie, zbliżyła usta do jego ucha. -- Ćmy.

-- Czarcia Studnia!

Nagle zdał sobie sprawę, co jest prawdziwą przyczyną strachu, którego nie mógł się pozbyć od chwili, gdy ponad ramieniem Miry spojrział w czarną czeluść. Z otchłani dobiegał nieustanny, przytłumiony odległością szum, jakby tysiące owadzych skrzydeł poruszały się jednocześnie, mieląc zatechłą ciemność.

-- A więc to prawda, one wylatują z piekła! -- Pochylił się ostrożnie nad krawędzią otworu.

-- Tego nie wiem. -- Potrząsnęła głową. -- Wiele ciem wydostaje się tutaj, żeby żerować na mchu. To nic groźnego, ale czasem zdarza się, że coś je spłoszy, a wtedy cały rój pcha się na oślep do góry. Trzeba w porę ostrzec ludzi, żeby zdążyli uciec z Rozpadliny. Każdego dnia stróżuje kto inny. Dzisiaj moja kolej.

-- Skąd będziesz wiedziała, że lecą?

-- Usłyszę. -- Syknęła zniecierpliwiona. -- Bądź już cicho.

Kacper usiadł wygodniej, oparł brodę na podciągniętych kolanach. Spod przymkniętych powiek obserwował strzępki cienia, które od czasu do czasu przemykały rwanym lotem między stalaktytami. Kiedy przysiadły na skale i rozkładały skrzydełka, dostrzegał majaczący w ciemnościach rysunek trupiej główki. Nasłuchiwał szmeru z głębin, próbując uchwycić każdą zmianę w jego natężeniu, lecz oszołomiony wyziewami coraz częściej zapominał, dlaczego to takie ważne.

Z trudem dotrwał do końca dniówki, a wracając, musiał się opierać o ścianę, żeby nie upaść.



Starostą przysiółka był Rafał -- mężczyzna w sile wieku, małowówny, postawny, o łysej czaszce pokrytej brązowymi plamami. Zajrzał wieczorem do dziupli Miry, ale nie wszedł dalej, tylko przysiadł na skraju otworu, zwiesiwszy nogi na zewnątrz. Zmrużył oczy, jak ktoś nawykły do częstego przebywania w ciemnościach, i przyjrzał się Kacprowi, który klęczał nad wiadrem udręczony długotrwałymi wymiotami.

-- Nic z niego nie będzie. -- Machnął ręką. -- Niech wraca do osady.

-- Nie przyjmą go. -- Dziewczyna uniosła brudną twarz, na której krople potu wyźłobiły jaśniejsze smużki.

-- Jeśli zostanie, będziesz musiała go utrzymywać.

-- Cały dzień spędził ze mną nad Studnią, a przecież to był jego pierwszy raz. Dojdzie do siebie na pewno.

-- Twoja sprawa. -- Rafał rzucił na ławę skórzaną uprząż do wspinaczki. -- Jutro rano dostanie resztę sprzętu. Zapłaci z tego, co zarobi. Na początek przydzielę mu Marka na opiekuna.

-- Może ja mogłabym...

-- Nie. Byłabyś dla niego zbyt łagodna, a on musi się uczyć szybko. -- Skrzywił się i pokręcił głową, kiedy chłopak głębiej pochylił się nad wiadrem. -- Moim zdaniem i tak szkoda na niego czasu.

Tej nocy Kacper prawie nie spał. Co kilkanaście minut podrywało go z legowiska szarpnięcie w trzewiach. Gardło paliło, jakby nałykał się wrzątku, w głowie huczało, przesiąknięta zimnym potem koszula lepiała się do pleców. Mira czuwała przy nim, podawała łyżką do picia jakiś gorzki wywar, ocierała mokrą szmatką twarz. Kłapa u wejścia dudniła pod uderzeniami wichru, przez szpary między deskami całymi garściami sypał się śnieg. Niepodsycany ogień wygasł -- dziewczyna bała się, że nadmiar dymu zaszkodzi Kacprowi; jedynym źródłem światła i ciepła był blednący krąg żaru w palenisku.

Przed świtem chory zdrzemnął się wreszcie, ale natychmiast otworzył oczy, gdy zazgrzytał odsuwany rygiel.

Zerwał się półprzytomny, przewracając w mroku wiadro.

-- Śpij, śpij... -- Przestraszona Mira zapaliła łożowy kaganek. Była już ubrana i gotowa do wyjścia.

-- Chciałaś mnie zostawić?

-- Musisz odpocząć. Wyłumaczę staroście, że zaczniesz pracę za kilka dni.

-- Nic mi nie jest.

-- Nieprawda! Zatrueś się wyziewami, ale to nie jest żaden powód do wstydu. Ja przyzwyczajałam się do tego po trochu przez wiele dni, a ty chcesz od razu wszystkiego.

Kacper podniósł uprząż pobrzękując metalowymi kółkami. Na stojąco wypił parę łyków skwaśniałego mleka i wsunął stopy do butów, nie sznurując ich nawet.

-- Jestem gotów.

Mira nie sprzeciwiała się dłużej. W głębi duszy przyznawała mu rację. Gdyby na samym początku okazał słabość, może już nigdy nie zyskałby szacunku wśród miejscowych.

Młody, znajomy już mcharz czekał u wejścia do Rozpadliny złośliwie uśmiechnięty.

-- Jak minęła noc, szczurołapie? -- zarechotał, odsłaniając nadpsute zęby.

-- Nie twoja rzecz -- odburknął Kacper.

-- Bądź grzeczniejszy. Jestem twoim opiekunem.

-- Mogłem się tego spodziewać.

Mira przeniosła uważne spojrzenie z jednego na drugiego, zaczerpnęła oddech, jakby chciała coś powiedzieć, ale zamiast tego przygryzła wargę i szybkim krokiem odeszła w głąb Rozpadliny.

-- No i zostaliśmy sami. -- Marek zaplótł ramiona na piersi. -- Nie wiem, czym naraziłem się staroście, że dał mi na dziś taką parszywą robotę.

Kacper zbladł z gniewu, zrobił pół kroku naprzód.

-- Posłuchaj, gnojku...

-- To ty posłuchaj. -- Tamten ani odrobinę nie zmienił swobodnej postawy, ale głos mu stwardniał. -- Jeśli do wieczoru nie zrobię z ciebie mcharza, będziesz musiał się stąd wynieść. Tylko od mojej opinii zależy, czy starosta uzna cię za zdolnego do pracy. -- Uśmiechnął się lekko jednym kącikiem ust. -- Zastanów się dobrze, czy w ogóle warto zaczynać.

Kacper mimo woli zacisnął pięści.

-- Dlaczego się na mnie uwziąłeś?

-- Może dlatego, że gdybyś tu nie przylazł, to ja sypiałbym u Miry zamiast ciebie? -- Nie zaczekał na odpowiedź, odwrócił się na pięcie i ruszył wąską ścieżką.

Nie zaszli daleko -- słońce rozświetlało Rozpadlinę niemal do samego dna -- gdy Marek zatrzymał się, skubnął trochę mchu i roztań w palcach.

-- Tu będzie dobrze -- odezwał się innym tonem, już bez zaczepki. -- Słuchaj poleceń, nie rób nic na własną rękę. Jeśli będziesz miał wątpliwości, pytaj. Jasne?

Kacper potwierdził mruknięciem i zadarł głowę. Wąski wycinek nieba u góry całkowicie zasnuł padający śnieg, ale płatki nie docierały do dna, wyparowując w rozgrzanym powietrzu.

-- Przede wszystkim musisz dbać o sprzęt -- ciągnął Marek. -- Każdy skórzany pas musi być dobrze natłuszczony. Tu masz linę. Jest bardzo wytrzymała, ale musisz ją sprawdzić od początku do końca, czy nie ma jakiegoś przetarcia. Trzeba to robić codziennie przed snem, choćby ze zmęczenia zamykały ci się oczy. Każde zaniedbanie zemści się na tobie, kiedy będziesz wisiał trzydzieści metrów nad ziemią.

Kacper zdjął z ramienia uprząż, która wyglądała teraz jak plątanina pasków, rzemieni, sznurów i kółek. Spróbował bez przekonania wysupłać najszerzy pas.

-- Nie tak! -- Młody mcharz założył sprawnie własny ekwipunek. -- To na uda, to na biodra, przewlekasz tutaj i zaciągasz, ale tak, żeby zostało trochę luzu.

Początkującemu zbieraczowi mchu powiodło się dopiero za trzecim razem, a i tak pod pachą uciskał go jakiś sznurek. Marek jednym szarpnięciem usunął tę niedogodność i poprawił jeszcze uprząż tu i ówdzie, żeby sprawdzić, czy pasy ułożyły się właściwie.

-- Nigdzie nie uwiera? To ważne, bo będziesz wisiał w tym przez wiele godzin.

-- W porządku.

-- To dobrze. -- Opiekun spojrzał w górę, osłaniając dłonią oczy przed jasnością, i wskazał jakiś punkt wysoko na ścianie. -- Widzisz hak?

Chłopiec wpatrywał się przez dłuższy czas, nim wreszcie dostrzegł srebrzysty błysk pośród ciemnej zieleni. Zbyt głośno przełknął ślinę; nie spodziewał się, że będzie aż tak wysoko.

-- Masz tu kosz na plecy i skrobaczkę. Musisz się tam wspiąć i zaczepić linę. -- Marek powiedział to takim tonem, jakby miał na myśli zwyczajną przechadzkę. -- Będę szedł sąsiednią ścieżką, żebyś nie pociągnął mnie za sobą, kiedy spadniesz.

Kacper rozgarnął dłońmi mech, znalazł jedną z klamer; była tak wąska, że ledwie mógł wściubić palce między żelazo i skałę.

-- Musisz mi uwierzyć na słowo, że nie zabraknie ich po drodze do haka. Czasem bywa, że któraś się obluzuje. Wtedy lepiej ją ominąć i sięgnąć do następnej. -- Marek zakaszłał, splunął. -- Wszystko jasne? No to jazda.

Kacper oparł palce stopy na najniższej klamrze, wymacał obiema rękami pod mchem śliskie żelazo i podciągnął się wyżej. Przez dłuższą chwilę dziobał paluchem drugiej nogi skałę, nim odnalazł oparcie. Wiedział, że doskonale widać z dołu jego drżące kolana, ale nic nie mógł na to poradzić. Odetchnął głęboko, zaplanował w myślach parę ruchów naprzód i wysunąwszy z przejęcia język, ruszył pod górę.

Z początku zatrzymywał się często, odpoczywał z czołem przyciśniętym do skały, ale gdy nabrał odpowiedniego rytmu, zaczął bezbłędnie trafiać na rozmieszczone w równych odstępach klamry i zyskał nieco pewności siebie. Nie patrzył w dół, tylko od czasu do czasu rzucał spojrzenie na hak, żeby ocenić odległość. Kosz, chociaż jeszcze pusty, ciążył na plecach, zawieszona na rzemieniu skrobaczka chwiała się u biodra. Nie widział opiekuna, ale słyszał w pobliżu po prawej jego równy oddech. W miarę wzrastającej wysokości powietrze oczyszczało się z mdlących oparów. Zrobiło się chłodniej. Czasem kątem oka widział zbłąkane śnieżynki. Tylko raz serce zabiło mu mocniej, gdy klamra, za którą złapał, zgrzytnęła i wysunęła się lekko z otworów. Natychmiast ją puścił, wyprostował ugięte kolano, dźwignął się wyżej i znalazł następną, dokładnie w tym miejscu, gdzie powinna być. Wydało mu się, że Marek sapnął z uznaniem.

Dotarł do haka, zaczepił kółko z przewleczoną liną, a reszcie zwoju pozwolił opaść na dół. Spojrzał w bok. Mcharz kilkoma zwinnymi ruchami przedostał się do sąsiedniego haka, który tkwił w skale na tej samej wysokości oddalony o jakieś trzy metry. Kiedy i tamten umocował swoją linę, po raz pierwszy od rozpoczęcia wspinaczki spotkali się wzrokiem.

-- Nieźle -- pochwalił Marek z przekąsem. -- Doceniam, że się starałeś, chociaż nawet sześćioletni chłopcy na ogół robią to szybciej.

Kacper przymknął oczy. Dopóki skupiony był na tym, żeby nie popełnić błędu, potrafił utrzymać na uwięzi własny strach, ale teraz nagle z całą ostrością dotarła do niego świadomość tego, na co się poważył. Nie musiał patrzeć w dół, żeby odczuć głębię Rozpadliny; przywarł całym ciałem do skały. Zakręciło mu się w głowie, dostał duszności. Stawy palców, które zastygły w przykurczu na klamrach, przekłuł ból.

-- Puść! -- Jakby z oddali usłyszał głos opiekuna kuszący niczym obietnica wytchnienia. -- Musisz zaufać linie, inaczej nigdy nie przestaniesz się bać.

Nie miał nic do stracenia. Żelazne uchwyty już zaczynały wyslizgiwać mu się z palców. Nie chciał, żeby to stało się wbrew jego woli. Skoczył, odepchnąwszy się mocno od ściany rękami i nogami.

Elastyczna lina niemal bez wstrząsu powstrzymała upadek. Przez chwilę widział przeciwną ścianę, oskrobaną miejscami do gołej skały, potem odwrócił się powoli i zobaczył podwieszony na haku Marka na tle ciemnozielonej mierzwy mchu.

-- Masz minę, jakbyś zmoczył spodnie -- Mcharz parsknął śmiechem, oparł rozstawione nogi o ścianę. -- Będziesz tak wisiał z otwartą buzią czy weźmiesz się do roboty?

Kacper sięgnął po skrobaczkę i zacisnął spocną dłoń na drewnianym trzonku. Narzędzie przypominało szerokie grabie o krótkich, ostrych zębach zagiętych nieco do wewnątrz. Przewleczony przez otwór na końcu rękojeści rzemień, umocowany z drugiej strony do pasa uprząży, był wystarczająco długi, żeby umożliwić swobodę ruchów.

Zaparł się nogami w miękkim, wilgotnym kozuchu, przesunął skrobaczką po ścianie z góry na dół. Na ostrzu między zębami pozostało ledwie parę wątych łądyżek.

-- Za mocno, nie usztywniaj nadgarstka. Musisz to zrobić jednym, płynnym ruchem, o tak. -- Skrobaczka Marka pozostawiła na ścianie pas jasnej łysiny. -- Są tacy, którzy potrafią się tym narzędziem ogolić.

Kacper spróbował znowu, przyłgnąwszy policzkiem do skały, żeby lepiej widzieć, jak posuwa się ostrze; tym razem zdołał zdrapać nieco mchu, ale gdy usiłował niezdarnie sięgnąć za siebie do kosza, wszystko osypało się w przepaść. Rozdrażniony spojrzał spod oka na opiekuna, który nie oglądając się nawet, uderzył lekko nasadą trzonka w krawędź kosza, strząsając mech do środka. Pogwizdując beztrosko, wydrapał na ścianie kolejną jasną smugę.

Następne godziny upłynęły Kacprowi w ciężkim, monotonnym, ogłupiającym znoju. Stopniowo nabierał odpowiedniego wyczucia i coraz sprawniej posługiwał się skrobaczką -- większość zebranego mchu z krzepiącym szelestem spadała do kosza, ale robota postępowała bardzo powoli. Podczas gdy Marek potrzebował zaledwie kilkunastu precyzyjnie odmierzonych ruchów, aby oskrobać całą ścianę w zasięgu ramienia, a potem popuszczał nieco liny i opadał niżej -- Kacper biedził się długo, nim odsłonił wreszcie pas szarego, porysowanego białymi krechami kamienia. Parę razy zahaczył przez nieuwagę o klamrę, szczerbiąc ostrze, a skrobaczka wypadła ze słabnącej dłoni, zwisając na rzemieniu. Pasy uprząży zaczęły uciskać podudzia i biodra, ale nie wiedział, jak je poluzować -- chwilami musiał przerywać pracę i stawać na klamrach, żeby poczuć choć odrobinę ulgi. Rozbolał go kark i barki, cierpiał od kolki, na prawej dłoni szybko porobiły się pęcherze. Szelki kosza coraz mocniej wpijały się w obojczyki, choć urobek ledwie pokrył dno.

Gdy mógł wreszcie zejść niżej, bezwiednie spojrzał pod siebie. Nad wąskim dnem Rozpadliny falowały smugi oparów i mgły. Marek zdołał dotrzeć do samej ziemi, pozostawiwszy na ścianie równy, szeroki ślad. Urobek wypełniał kopiasto jego kosz. Zsypał wszystko do wielkiego worka, łyknął z bukłaka, przeciągnął ramiona, a potem lekko, jakby bez wysiłku, wspiął się po klamrach z powrotem.

-- Radzisz sobie? -- Rzucił obojętne spojrzenie na oskrobany fragment ściany. -- Nie najgorzej jak na szczurołapa.

Odczepił linę, przełożył nad karkiem i starannie odmierzył do żelaznego kółka na końcu dziesięć łokci. Przytrzymując się lewą ręką klamry, rozbujał w prawej luźną końcówkę sznura. Rzucił jakby od niechcenia, prawie nie patrząc, a jednak kółko z brzękiem trafiło na kolejny hak.

-- Bez obaw, ta sztuczka cię nie obowiazuje. -- Był wyraźnie zadowolony z wrażenia, jakie wywarł na nowicjuszu. -- Łatwiej będzie ci zejść na dół i wrócić sąsiednią ścieżką.

Gdy Kacper dotarł w końcu na dno i spostrzegł, że młody mcharz zdążył jeszcze ośmiokrotnie zmienić hak, pozostało w nim już bardzo niewiele wiary w sens tego, co robił. Pot zalewał mu oczy, wewnątrz dłoni pulsowało bólem, omdlewały ramiona, spod połamanych na klamrach paznokci stóp sączyła się krew. Stał niepewnie na nogach i spojrzał w górę na swoje dzieło. Pas, który wyskrobał, miał nierówne brzegi.

Miejscami na skale pozostały całe kępy mchu. Wiedział, że powinien wrócić i naprawić nedoróbki, ale na samą myśl o tym poczuł mdłości. Drżącymi rękami przesywał urobek do worka, odwrócił kosz dnem do góry i usiadł na nim pełen najczarniejszych myśli. Gdyby nie to, że słyszał zbliżające się człapanie Marka, chyba zaszlochałby na głos.

Mcharz wydobyl z torby pląt wędzonego szczurzego mięsa, zębami rozerwał go na pół i jedną część położył Kacprowi na kolanie.

-- Bierz, nawet jeśli wydaje ci się, że nie jesteś głodny. Na górze nie ma prawa zabraknąć ci siły.

Zasepiony Kacper bardzo długo obracał w ustach suchy kęs. Zdołał go przełknąć dopiero wówczas, gdy pociągnął z bukłaka łyk zimnej żętycy. Poczuł się nieco lepiej, choć nie na tyle, by bez niechęci myśleć o powrocie do pracy.

Marek na razie skończył z docinkami. Pogrzebał chwilę w kieszeni i wydobyl mały, pomarszczony kapelusik suszonego grzybka.

-- Wsadź to pod policzek i trzymaj tak długo, aż puści sok. -- Kiedy Kacper milczał, trącił go pięścią w ramię. -- Nie bądź głupi, przecież nie chcę cię otruć. Na parę godzin będziesz mógł zapomnieć o bólu i zmęczeniu. Mało który z początkujących mcharzy obywa się bez tego.

-- Czy to rośnie na ścianach, jak mech?

-- Tak, ale trzeba wiedzieć, gdzie szukać. Są tu też inne grzyby, porosty i glony. Wiele jest jadalnych, niektóre lecznicze. Z czasem nauczysz się, co można zebrać na najlepiej nasłonecznionych skałach, a co w głębi Rozpadliny.

Chłopak wziął w dwa palce kapelusz z delikatnymi blaszkami u spodu i po chwili wahania wsunął go do ust. Poczuł gorzki smak, od którego cierpło podniebienie, ale wszelkie nieprzyjemne doznania szybko ustąpiły. Poruszył na próbę barkami, a kiedy nic nie zabolalo, kilka razy zgiął i rozprostował pokrwawione palce. W głowie szumiało mu lekko, ale rozumował całkiem jasno.

-- Niesamowite... -- Uniósł brwi. -- Dawno nie czułem się tak dobrze.

-- Pamiętaj, że to nie lekarstwo. Po robocie będziesz wył z bólu. Łatwo się do tego przyzwyczaić, trzeba uważać. Znałem takich, którzy nie przychodzili do roboty bez grzybka za policzkiem. Żaden z nich już nie żyje.

-- Dlaczego?

-- Przeceniali swoje siły i odpadali ze ściany albo po prostu którejs nocy zasypiali tak mocno, że już nikt nie mógł ich dobudzić. -- Wzruszył ramionami. -- Ból da się oszukać raz i drugi, ale nie można pozbyć się go na zawsze. Życie bez cierpienia jest jak śmierć. -- Wstał, zarzucił na plecy pusty kosz. -- Rusz się, to dopiero połowa dniówki.

Już wczesnym popołudniem, kiedy słońce zniknęło za krawędzią urwiska, w Rozpadlinie zaczęło się ściemniać -- zachmurzony pas nieba dawał niewiele światła. Zapłonęły lampki mcharzy podobne do okratowanych na bokach puszek. Na obu ścianach ukazały się ruchliwe kręgi jasności, które wstępowały powoli po ścieżkach klamer, a czasem opuszczały się błyskawicznie na linach. Zarysy ludzkich cieni rozmywały się w oparach.

Kacper tak jak inni powiesił lampę przy sobie na klamrze, by potem, w miarę jak postępowała robota, stopniowo przenosić ją niżej. Był dobrej myśli, znowu nabrał wiary w siebie. Pracował coraz sprawniej, raz po raz do kosza na plecach trafiała suta porcja wilgotnej mierzwy. Nie miewał już zawrotów głowy, przestał

mu nawet dokuczać odór wyziewów. Poświstując wesoło przez zęby, luzował linę, żeby ogołocić następną połąć skały z mchu.

Nagle zgasł płomyk za drucianą kratką lampki. Kacper sięgnął po zapalki, ale w tej samej chwili spostrzegł, że całą Rozpadlinę wypełnił mrok. Poznikały kółka blasku na ścianach. Zgrzane stopy zakołysały się w zimnym podmuchu, w ciemności narastał szum.

-- Chronź głowę! -- Krzyk Marka rozległ się w ostatniej chwili, sekundę później Kacper już nie mógłby go usłyszeć. -- To przeciąg!

Twarde uderzenie bocznego, lodowatego wichru było tak gwałtowne, że chłopak z początku nie wiedział, co się dzieje. Napór przeciągu uniósł go do pozycji poziomej, kilkakroć z całą mocą rzucił na skałę, szarpał ubranie i włosy. Drżała naprężona lina, trzeszczała uprzęż, odpryski lodu wpijały się w twarz i odsłonięty kark. Wiatr zerwał lampę, skrobaczkę, zdarł z ramion kosz. Struchlały Kacper czekał na moment, gdy hak nie wytrzyma przeciążenia i wicher wyswie go z Rozpadliny, rzuci pod chmury i roztrzaska w końcu gdzieś na pustym stoku.

Przeciąg ucichł niebawem tak samo niespodziewanie, jak przedtem się pojawił. Kacper zawisł bezwładnie w uprzęży. Był sponiewierany i przyduszony. Nie czuł bólu, ale zawdzięczał to tylko uśmierzającemu działaniu grzyba. Ostrożnie poruszył rękami i nogami, żeby się upewnić, czy kości są całe.

-- Dasz radę zejść sam? -- Trzasnęła zapalka, płomyk wydobył z mroku twarz Marka.

Skinął głową, po czym otarł przedramieniem zakrwawione czoło.

-- Mogłeś mnie uprzedzić, że tak tu wieje...

-- Tego nie da się przewidzieć. Jeśli przeciąg złapie cię, kiedy jesteś na klamrach, masz tylko chwilę na to, żeby przypiąć się do ściany. -- Zapalka dopaliła się i zgasła. -- Zmiataj na dół, a potem do wyjścia. Po pierwszym porywie czasem przychodzą następne.

Kiedy chłopak dobrnął do końca Rozpadliny, potykając się w ciemnościach na kawałkach porozrzucanego sprzętu, mcharze zbierali się już z wolna. Wielu krwawiło z nosów i porozbijanych głów, niektórzy z trudem powłóczyli nogami. Jakiegoś nieprzytomnego młodzieńca przyniesiono na rozprutym worku.

-- Jesteś! -- Mira precisnęła się przez ciżbę. W jej potargane włosy wplotły się gęsto niteczki mchu. -- Już chciałam biec po ciebie.

-- Nie jestem dzieckiem! -- zirytował się na tę troskliwość, ale gdy zobaczył, że rannego złożono pod ścianą i naciągnięto na twarz płachtę, nagle przeszła mu cała złość. -- Przepraszam. Nic mi nie jest, ale urobek przepadł.

-- Nie przejmuj się. Na dzisiaj to koniec roboty. Jutro poszukamy na dnie Rozpadliny sprzętu. Może coś ocalało.

Ostatni zjawił się Rafał. Ciężko łapał powietrze otwartymi ustami, ale nie usiadł, żeby odpocząć. Wyłuskał wzrokiem z tłumu Marka, przywołał go ruchem dłoni i podszedł do Kacpra z Mirą.

-- Skoro przetrwałes ten dzień, może nie zginiesz tak szybko, jak myślałem. -- Spojrzał z ukosa na młodego mcharza, który zbliżał się z widocznym ociąganiem. -- Ciekawe, co ma do powiedzenia twój opiekun.

Tamten skrzywił się, patrząc gdzieś w bok.

-- Nie było źle -- mruknął po chwili.

-- Jeżeli masz jakieś zastrzeżenia, mów od razu -- polecił starosta. -- Od jutra ten syn myśliwego stanie się jednym z nas. Nikt już nie będzie mógł go wyrzucić.

Marek w milczeniu skinął głową.

R 2015
R 92



Bardzo trudno było schodzić wąskim, krętym, stromym szlakiem z przysiółka do osady, gdy plecy przygniatał ciężar ogromnego kosza wypełnionego po brzegi przesuszonym mchem. Kacper dreptał gdzieś pośrodku długiego węża piechurów. Spod futrzanego kaptura widział tylko podkute obcasy poprzednika i kawałek skalnej ścieżki. Uciskające ramiona pasy utrudniały oddech, spod nóg niespodziewanie usuwały się luźne kamienie, kapryśna zadymka od czasu do czasu ciskała śnieg prosto w oczy. Nie mógł zwolnić ani nawet odsapnąć, bo wtedy wstrzymałby idących z tyłu. W pewnej chwili stąpnął nieostrożnie i noga ześlizgnęła mu się ze ścieżki. Gdyby nie złapał w porę wyciągniętej ręki któregoś z towarzyszy, stoczyłby się w przepaść.

Mira została w przysiółku. Nie chciała rozmawiać z nikim z osadników. Żal był jeszcze zbyt świeży. Kacper przeciwnie -- coraz bardziej niepokoił się losem ojca. Chciwie słuchał plotek, które znosili powracający z targu mcharze, ale wieści było skąpe i niejasne. Jedno tylko dało się z nich wysnuć bez żadnych wątpliwości -- w osadzie nie działo się dobrze. Gryzł się, nie sypiał po nocach, lecz musiało minąć jeszcze sporo czasu, zanim wspólnie z Mirą naskrobali i nasuszyli wystarczająco dużo mchu, żeby napełnić kosz.

Zgrzany, kulejąc, doczłapał wreszcie do osłoniętego skałkami od wiatru placu targowego. Zrzucił kosz z pleców i usiadł na nim. Był zbyt zmęczony, żeby sięgnąć po bukłak z grzańcem, który jeszcze nie ostygł pod kożuchem na biodrze. Rozglądał się bez ciekawości -- zdeptany śnieg upstrzony czerniałymi resztkami mchu, kozimi odchodami i bluzgami krwi szlachtowanych na miejscu szczurów. Choć słońce weszło już wysoko, na targowisku prócz ludzi z przysiółka nie było jeszcze nikogo. Dopiero po chwili z rozłożonej poniżej osady zaczęły się wyłaniać niewielkie grupki miejscowych.

Kacper zmrużył oczy, próbując dostrzec wśród nich brata; szybko rozpoznał jego charakterystyczny, nieco rozkołysany chód. Mimo obolałych nóg miał ochotę wybiec mu naprzeciw, lecz wolał nie zwracać na siebie niczyjej uwagi. Głębiej naciągnął kaptur i czekał cierpliwie, rozcierając od czasu do czasu dłonie.

Obserwował osadników, którzy z wolna wypełniali plac, kręcąc się między koszami. Zaskoczyła go cisza tak nietypowa dla tego miejsca -- żadnych śmiechów, złorzeczeń ani wyklócania się o cenę. Ludzie rzadko odrywali wzrok od ziemi, a jeśli już to robili, spozierali na siebie ukradkiem, jakby sąsiad nie ufał sąsiadowi. Bardzo rzadko błyskała wydobyta z rękawicy miedziana moneta z biskupią pieczęcią. Chętniej wymieniano mech na towary niezbędne w przysiółku: klatkę z wychudzonymi szczurami, lisią skórę, kawał żółtawego tłuszczu, garnek. Prawie nie było kobiet, a te nieliczne, które przyszły, starały się gorączkowym szeptem dobić targu i jak najszybciej wrócić do domu.

-- Inaczej tu dawniej bywało, prawda? -- Stach niepostrzeżenie zbliżył się do roztargnionego chłopca i przykucnął obok.

Nie wyglądał dobrze. Na poszarzałej twarzy zapadły się policzki, napuchnięta powieka niemal całkiem zasłaniała prawe oko; drugie, podkrążone i przekrwione, lśniło chorobliwie. Miał na sobie starą, wysłużoną kurtę, obwiązaną sznurkiem zamiast pasa, dziurawe na palcach rękawice, a przy czubkach butów odłaziły podeszwy. Kacper przyglądał mu się w milczeniu zbyt poruszony, żeby wykrztusić choćby słowo.

-- Będziesz się tak gapić? -- Poirytowany sygnalista trącił go łokciem. -- Twój prześmierdnięty kozuch wcale nie jest lepszy niż moje łachy. Porządne ubranie ukryłem w składziku na budowie, jeszcze może się przydać. Teraz lepiej narzucać na grzbiet byle co.

-- Dlaczego?

W odległym kącie targowiska wybuchło nagłe zamieszanie. Jakiś rozzłoszczony mężczyzna z biczyskiem na psy kopniakiem wywrócił kosz mcharza. Połowa zawartości wysypała się na śnieg. Właściciel poderwał się z zaciśniętymi pięściami, ale gdy awanturnik uniósł rękę do ciosu, cofnął się o dwa kroki.

-- Właśnie dlatego. -- Stach nawet nie spojrzał w tamtą stronę. -- Rabują nawet za dnia. Co cenniejsze futra zdzierają z ludzi wprost na ulicy.

Kacper osłonił dłonią oczy przed słońcem, a kiedy rozpoznał twarz człowieka z biczyskiem, drgnął.

-- Przecież to kieratnik!

-- Zgadza się. Dwa dni po twoim powrocie związali nadzorcę, wsadzili go między koła zębate i puścili kierat w ruch. Potem przyszli do osady. Wpadli do kuźni, gdzie właśnie radziła starszyzna, i wymordowali wszystkich. Nie zapomnieli, łotry, kto ich osądził i skazał.

-- Boże! Co na to ludzie? Czemu ich jeszcze nie wytłukli?

-- Kilku myśliwych chwyciło za broń, ale kieratnicy rozbiegli się i pochowali, a w nocy dla przykładu podpalili chaty opornych z kobietami i dziećmi w środku. To powstrzymało innych. Każdy woli zejść zbrojcom z drogi, żeby nie narazić rodziny na zemstę.

Napastnik szarpnięciem za kaptur rzucił mcharza w śnieg, a potem kopnął go jeszcze kilka razy w brzuch i w głowę. Nikt nie ruszył na pomoc, ludzie odwracali twarze.

-- Wszyscy skazańcy są łotrami, ale ten jest najgorszy -- Stach ściszył głos, końcami palców dotknął nabrzmiałej powieki. -- Bije dla przyjemności każdego, kto tylko mu się nawinie.

Targ szybko pustoszał, mcharzom udało się sprzedać ledwie parę koszy. Kieratnik odszedł wreszcie nękany pijacką czkawką. Kiedy mijał braci, Kacper dostrzegł świeżą krew na jego butach. Ludzie z przysiółka podnieśli pobitego, bezradnie rozglądając się po wymiecionym z kupujących placu.

-- Dzisiaj nikt już nie przyjdzie, chyba że znowu któryś z tych drani. Możecie wracać do siebie.

-- Ale ja przecież nic nie sprzedałem... -- zaprotestował Kacper niemrawo, przygnębiony tym, co zobaczył.

-- Dopóki tutaj nic się zmieni, nie schodźcie. Zresztą ludzie nie mają już prawie nic na wymianę. Nikt nie wyrusza na łowy, nadchodzą głodne czasy.

-- Nie będę dźwigać pełnego kosza z powrotem. Weź go, wystarczy dla kóz na tydzień albo dwa.

-- Zagródka pusta, wszystko zrabowane. Ostatnią kozę zarznąłem sam. Połowę mięsa zakopałem dla ciebie pod drewnianą. Zejdź którejs nocy po cichu, zabierz. Druga część będzie mi potrzebna na drogę.

-- Jak to? -- Zdumiony Kacper kilkakrotnie zamrugał powiekami.

-- Na razie trzyma mnie tu jeszcze służba w sygnalizatorni, ale to już długo nie potrwa. Na Krzywym Wierchu jest jeszcze gorzej niż u nas. Każdej nocy ludzie całymi gromadami uciekają za mury. Koniec jest

bliski. Kiedy w mieście nie będzie już komu mrugać, zejść do kotliny.

-- Zwariowałeś? Po co? -- Kacper złapał brata za rękaw.

-- Po wiedzę.

-- Znowu książki? W niczym nam nie pomogły!

-- Tym razem chodzi o coś innego. Bez urazy, ale lepiej będzie, jeśli szczegóły zachowam dla siebie. --

Rozwiązał dwa górne rzemienie kurty. -- Zeszłej nocy umarł na zapalenie płuc ojciec mojej narzeczonej. Zostawił dla mnie to, co najważniejsze.

-- Córkę?

-- Nie, głupku. Starego, doświadczonego złomiarskiego szczura, który w Ruinach będzie moim przewodnikiem. Teraz jestem już prawie gotów. -- Wymizerowaną, posiniaczoną twarz rozjaśnił słaby uśmiech.

Gryzoń wystawił zza pazuchy rozespany, siwy pyszczek i cofnął się zaraz zniechęcony mrozem. Stach poskrobał go paznokciem między uszami, podał wygrzebany z kieszeni okruch sera i z powrotem pozaciągał rzemienie.

-- Na co ci on? Przecież złomiarze szkolą szczury do poszukiwania złota i innych cennych metali.

-- Nie tylko. Ten to ratownik. W razie wypadku pomaga odnaleźć w gruzach zasypanych ludzi. Jest najlepszy, wielu z naszych zawdzięcza mu życie.

-- Czego właściwie chcesz szukać w Ruinach?

-- Odpowiedzi na najważniejsze pytanie. -- Sygnalista wstał, wyciągając dłoń. -- Przyszedłem po to, żeby się pożegnać. Nieprędka się zobaczymy.

Kacper obejrzał się szybko na mcharzy, rzucił okiem w stronę krętej ścieżki.

-- Idę z tobą -- wykrztusił z trudem.

-- Nie, bracie. Masz dla kogo żyć. Opiekuj się Mirą, zrób wszystko, żebyście przeżyli. Osada jest już skazana na zagładę, chociaż tutaj mało kto zdaje sobie z tego sprawę, ale wy, tam na górze, macie szansę na przetrwanie. Świetliki chyba jeszcze długo nie dotrą tak wysoko, a przed kieratnikami możecie się bronić na skałach, póki będziecie mieli co jeść. Może się tak zdarzyć, że kiedy na stoku nie pozostanie już nikt żywy, to właśnie wy sprowadzicie się kiedyś do pustych chat, żeby zacząć wszystko od nowa. A ja... -- Nie dokończył, zachwiał się na nogach. Gdzieś głęboko pod górą tapnęło głucho, zadrżała ziemia.

Pośród mcharzy wszczęło się zamieszanie. Porzucając kosze, zbili się w ciasną gromadę w rogu targowiska. Byli ludźmi zahartowanymi przez życie, ale teraz przypominali grupkę przestraszonych dzieci. Unosili pobladłe twarze i patrzyli w milczeniu na stromy stok ponad placem, z którego obrywały się wielkie śnieżne płyty, ześlizgiwały po zboczu i roztrzaskiwały na skałach. W każdej chwili mogła runąć potężna lawina, ale nikt nie rzucał się do ucieczki. Mcharze wyczekiwali na coś w napięciu, spodziewali się czegoś groźniejszego od ślepego żywiołu.

Podziemny dreszcz wygasł powoli. Przez jakiś czas cisza wydawała się głębsza niż przedtem. Gdzieś w górze rozległ się niewyraźny szelest. Kacper zrzucił kaptur, zadarł głowę. Dziwny szmer wzmógł się, a potem nagle buchnął głośnym szumem, jakby wydobył się wreszcie z ukrycia. Dopiero teraz chłopiec uzmysłowił sobie, że zna ten odgłos -- słyszał go z głębi Czarnej Studni.

-- Ćmy! -- wyszeptał ochryple.

Niewidoczna z tego miejsca Rozpadlina rezonowała trzepotem niezliczonych skrzydełek, aż wibrowało rozślonecznione, mroźne powietrze. Po stromiźnie znowu zaczęły się staczać grudy stwardniałego śniegu i kamieni. Mcharze zastygli w niemym przerażeniu. To, co się działo, wykraczało poza ich nagromadzone przez pokolenia doświadczenie.

-- Wyroiło się chyba więcej niż zwykle. -- Stach wziął brata pod ramię. -- Lepiej stąd chodźmy.

Ktoś krzyknął, wskazując wyciągniętym ramieniem na zbocze. Zza oblodzonego załomu ponad ścieżką uniosło się kilka ruchliwych, czarnych, dobrze widocznych na tle błękitu punkcików.

-- Od dłuższego czasu są bardzo podrażnione, ale nigdy nie wylatywały poza Rozpadlinę. -- Zaniepokojony sygnalista pokręcił głową. -- Coś jest nie tak...

Raptem cała połać nieba pociemniała, jakby wewnątrz góry eksplodowało ogromną chmurą popiołu. Rój ciem wysypywał się kolejnymi falami w otwarty przestwór, stok i osadę poniżej stopniowo zasnuwał zwarty cień. Szelest skrzydełek brzmiał teraz inaczej -- był rozproszony w pustce, wszechobecny, groźny.

-- Uświerkną na mrozie! -- krzyknął Kacper.

Stach puścił jego ramię. Już nie naglił do ucieczki. Na rozległym zboczach, które oddzielało targ od pierwszych chat, i tak nie miałoby się gdzie ukryć, a między skałkami mimo wszystko czuli się bezpieczniej.

-- Wyginą, ale nie od razu. Dopóki są w ruchu i trzymają się razem, wytwarzają dużo ciepła. -- Sygnalista nieustannie przenosił wzrok z jednego punktu roju w inny, jakby próbował odnaleźć w tym chaosie jakiś ład. -- Coś musiało je wywabić na zewnątrz.

Rój zawisł nad osadą niczym ogromne, szumiące koło, które coraz mocniej zaczęło się obracać. Ludzie wybiegali z chat, wpadali na siebie w popłochu. Niektórzy starali się płonącymi strzałami rozpędzić owadzią chmurę, setki ciem z osmalonymi skrzydełkami dogorywało na ulicach, lecz wobec potęgi roju to nie miało żadnego znaczenia. Wnętrze kręgu wirowało nieco szybciej. Niebawem krawędzie zaczęły się rwać, tworząc długie warkocze, z których odpryskiwało coraz więcej wyczerpanych owadów, pokrywając całe zbocze deseniem rozpostartych skrzydełek. Kilka ciem padło aż na ubity śnieg targowiska -- mcharze natychmiast porozgniatali butami włochate odwłoki.

Nagle środek roju zapadł się, tworząc chwiejny lej podobny do trąby powietrznej. Szum zmienił się w przeciągły świst, podstawa leja obniżyła się jeszcze, wzniecając na ulicach śnieżny tuman. Ludzie porzucali broń i uciekali na oślep, psy wyły rozpaczliwie, miotając się na łańcuchach. Pociemniało, jakby zaszło już słońce.

Wydłużony lej dotknął wreszcie dachu jednej z chat. Ciemny jezor wślizgnął się przez komin do izby. Kacper miał wrażenie, że w tej samej chwili wewnątrz roju rozświetliła na mgnienie oka niebieska błyskawica.

Drzwi odskoczyły, jakiś człowiek wypadł przez próg. Mimo odległości bracia dostrzegli, że na jego twarzy siedzi wielka ćma, zasłaniając mu oczy rozpostartymi skrzydłami. Zdołał ją strącić i wdeptać w śnieg, ale następne już wysypywały się za nim przez drzwi albo spadały wprost z nieba. Bezskutecznie próbował się przed nimi opędzać, wymachując rękami ponad głową; w kilka sekund pokryły go całego ruchliwym całunem.

Stał jeszcze przez chwilę na szeroko rozstawionych nogach, z coraz większym trudem podnosząc i opuszczając ramiona. Był podobny jakby do grubej kukły utkanej z małych owadzich skrzydełek. Wreszcie legł o kilkanaście kroków od domu, a wtedy z kołującego roju zaczęły opadać na niego kolejne ćmy.

Szum cichł z wolna, a na ulicy wyrastał ponad dachy owadzi kopiec.



Spotkali się ze Stachem ponownie jeszcze tego wieczoru. Brat odbył całą niebezpieczną wspinaczkę do przysiółka już po zapadnięciu zmroku, bez żadnego łączywa ani choćby kaganka. Miał na sobie podróżne ubranie, mocno przybrudzone sadzą, i podniszczzone ojcowe buty. Zabrał ze sobą także nóż i oszczep.

Nie chciał wejść na górę po kłamrach, chociaż Kacper zapraszał gorąco.

Nie mam czasu. -- Stał na półce skalnej pod dziuplami, oglądając się niespokojnie na ścieżkę, jakby sprawdzał, czy ktoś za nim z dołu nie przyszedł. -- Pośpiesz się.

Mira także się ubrała, nie chciała zostać sama. Wciąż jeszcze była w szoku po tak gwałtownym wyroju. Ostrzeżenie przed zagrożeniem na szczęście nadeszło w porę i udało jej się zbiec z Rozpadliny, ale kilkunastu mcharzy, którzy pracowali tego dnia najbliżej Studni, odnaleziono martwych zaduszonych przez ćmy.

Zanim zesli, Stach zniknął w mroku. Odnaleźli go u wylotu omszałej, parującej w gwiazdnej poświacie Rozpadliny. Grzał plecy w strumieniu cieplejszego powietrza, ale patrzył w przeciwną stronę, w zamyśleniu wierząc drzewcem oszczepu w śniegu.

-- Nie chodźcie tam. -- Ogarnął gestem szeroki stok, który rozpościerał się jaśniejszą płaszczyzną u jego stóp. -- Nie trzeba nawet Lucyfera. Ludzie sami zgotowali sobie piekło.

Z tego miejsca nie mogli dostrzec osady, ale widzieli drżące łuny kilku pożarów.

-- Kieratnicy znowu palą chaty? -- zapytał cicho Kacper.

-- To już nie jest tylko sprawa garstki skazańców, którzy zastraszają osadników. Ludzie poszaleli ze strachu. Biegają po ulicach z pochodniami, tropią opętanych i podkładają ogień wszędzie tam, gdzie wedle pogłosek zagnieździły się Świetliki. Wytłukli nawet kamieniami witraż świętego Jerzego z zemsty za to, że ich nie obronił. Podpalili kościół. -- Wskazał ręką jaśniejszą od innych łunę. -- A tam płoną ćmy, byłem przy stosie. Niektóre wciąż jeszcze żyły, słyszałem w ogniu trzepot skrzydeł.

-- Dowiedziałeś się czegoś o tym człowieku, którego zabił rój?

-- To złomiarz. Wrócił z Ruin w ostatniej grupie tuż przed buntem kieratników. Był opętany, i to od dawna, niewiele czasu pozostało mu już do samozapłonu. Jeszcze teraz w płomieniach stosu przebłyskuje błękit. To jego nimb musiał zwabić ćmy. Wyczuły go nawet ze swojej Studni. Nie potrafią się oprzeć światłu Lucyfera.

-- Mówisz tak, jakbyś wiedział to na pewno... -- Kacper zawahał się, poszukał wzrokiem poparcia u Miry. -- Skąd możesz znać zwyczaje ciem?

-- Zawsze byłem ciekawski.

Młodszy brat skrzywił się zniecierpliwiony, ale zaraz potem w nagłym olśnieniu szeroko otworzył oczy.

-- Sygnalizatornia! Bibliotekarz! -- zawołał. -- Posłuchaj, nie wiem, co ci jeszcze naopowiadał, ale jemu nie można ufać. On nawet nie wierzy w Lucyfera.

-- Nie obchodzi mnie, w co kto wierzy. Ważne, że on jeden przewidział, na co się zanosi. -- Stach odwrócił się od pożarów. -- Teraz to już nieważne, każdy musi radzić sobie sam. Przyszedłem tutaj prosto z roboty, nadałem ostatnią wiadomość. Nie było odpowiedzi.

Kacper zwiesił głowę. Przyszło mu na myśl, że w ciągu tego krótkiego czasu, jaki minął od dnia, gdy cieszył się swoim pierwszym złowionym szczurem, wszystko wokół zmieniło się nie do poznania -- góry, ludzie, ich marzenia i obawy, nawet znaczenie wielu najprostszych słów. Nie był pewien, czy warto zabiegać o to, żeby przetrwać w takim obcym świecie.

-- Kiedy wyruszasz? -- zapytał oschle. Widział, że jeśli teraz podda się zwątpieniu, brat zauważy to natychmiast.

-- Rankiem. Muszę jeszcze tylko załatwić tutaj jedną ważną sprawę.

-- W Rozpadlinie? -- Zdumiony Kacper dopiero teraz zauważył, z jakim skupieniem sygnalista wpatruje się w śródskalny mrok.

-- Tak. Czy możesz mi pożyczyć długą linę?

-- Jasne, ale... -- Chłopiec szybko potarł czoło. -- Jeśli potrzebujesz świeżego mchu, mamy zapas.

-- Dasz linę czy nie?

W ciszy mlasnęło błoto, rozległ się kaszel i u wylotu Rozpadliny zamajaczyła półnaga postać Marka, który dźwigał na ramieniu kilkanaście uprząży porzuconych przez uciekających przed wyrojem zbieraczy. Osnuty oparem mcharz nie wyszedł dalej. Patrzył na braci w milczeniu.

Stach dotknął rękojeści noża za pasem, ale Kacper uspokoił go skinieniem dłoni.

-- W porządku, to nasz -- mruknął i zwrócił się głośniejszym głosem do przybyłego: -- Czemu łazisz po nocy?

-- Zabawne, właśnie chciałem zadać wam to samo pytanie. -- Marek nie stropił się ani na chwilę. -- Na szczęście usłyszałem waszą rozmowę, reszty się domyślałem.

-- Na przykład czego?

-- Na przykład tego, że ten sygnalista potrzebuje liny, żeby się opuścić do Czarnej Studni.

Kacper zaniemówił. Stach wykorzystał tę chwilę, żeby odsunąć go szorstko na bok.

-- Nie wyobrażaj sobie zbyt wiele, śmierdzielu! -- Był tak wściekły, że drżał mu głos. Ruszył w stronę Rozpadliny, ale młodszy brat znowu zabiegł mu drogę.

-- Czy to prawda?

-- Przepuść mnie.

-- Chcę wiedzieć.

-- Prawda, zejdę tam. Ale najpierw wrzucę do środka tego pyskacza.

Chciał wyminąć Kacpra, lecz ten rozłożył szeroko ramiona. Marek przykucnął na piętach i przyglądał się tej scenie z widocznym rozbawieniem.

-- Przestańcie! -- Prawie zapomnieli o Mirze, dlatego jej głośny krzyk podziałał niczym chluśnięcie zimnej wody. Podeszła bliżej, spod kaptura błyszcząły jej rozognione oczy. -- Zachowujecie się tak samo jak tamci na dole.

Stach opanował się pierwszy. Energicznie odrzucił głowę do tyłu, przez jakiś czas patrzył na skąpo pobłyskujące gwiazdy.

-- Masz rację -- zgodził się, lekko wzruszywszy ramionami. -- Chciałem zachować tę rzecz w tajemnicy, ale teraz to i tak nie ma już znaczenia. Albo uda mi się zrobić to dzisiaj, kiedy w Studni nie ma ciem, albo wcale.

-- Ale po co, na Boga?

-- Ja wam powiem. -- Marek wstał, otrzepując dłonie. -- On zamierza wydobyć ścierwo Lucyfera.

Kacper z otwartymi ustami czekał na odpowiedź brata, ale ponieważ ten uparcie milczał, obrócił się na pięcie w kierunku mcharza.

-- Przecież to tylko legenda!

-- Dla was w osadzie może i tak. W przysiółku każdy dzieciak wie, że to prawda. Wystarczy pochylić się nad Studnią, żeby poczuć smród ściierwa. Zawsze tam będzie. Nigdy nie zamieni się w proch.

-- Na co komu takie obrzydlistwo?

-- Kto ma przy sobie cząstkę Lucyfera, tego nie skrzywdzą Świetliki.

-- To prawda. Zdobycie tej wiedzy zabrało mi dziesięć lat. -- Wtrącił się Stach z cicha. -- Widzę, że traciłem czas. Powinienem od razu przyjść po naukę do przysiółka.

-- Bardzo byś się zawiódł. Są takie historie, których nie opowiadamy przy obcych. -- Marek przyjrzał mu się przeciągle. -- A czy wiesz także i to, że Lucyfer nie daje nic za darmo? Za jego ochronę trzeba zapłacić, i to słono.

-- Ja będę płacił, nie ty, więc się o to nie martw.

-- O czym mówicie? -- próbował dowiedzieć się tknięty złym przecuciem Kacper, ale tamci dwaj, zajęci sobą, nie zwrócili na niego uwagi.

-- Śmiały pomysł, moje uznanie. -- Marek zmienił ton głosu na swobodniejszy. -- Ale jest jeszcze jedna drobnostka, o której powinieneś wiedzieć. Do dna Studni nie sięgnie nawet najdłuższa lina.

-- Mimo wszystko muszę spróbować. Bez tego nie mam po co schodzić z gór. Świetliki prędzej czy później mnie dopadną.

-- Tak, słyszałem, idziesz do Ruin... Co chcesz tam znaleźć?

-- Nie twoja sprawa.

-- Może jednak moja... Nie zapominaj, że jestem tutaj u siebie. Mógłbym ci pomóc, gdybyś zdecydował się wreszcie porozmawiać ze mną szczerze.

Stach w roztargnieniu przechylił głowę w jedną i w drugą stronę, a potem nagle wyprostował się.

-- Złomiarze także mają swoje legendy. Jedna z nich mówi o samotnym człowieku, który żył w Ruinach jeszcze w pół wieku po tym, jak uciekli stamtąd ostatni mieszkańcy. Widywano go tylko z daleka, jak chodził nocami po pustych ulicach, zawsze z psem u nogi, a Świetliki nawet się przy nim nie zatrzymywały. Unikał ludzi z gór, zresztą sami złomiarze się go bali. Podejrzewali go o zмовę z Lucyferem. Znikał gdzieś w podziemiach pod siedmioma wieżami. Nikt oprócz niego tam się nie zapuszczał. Wreszcie przestał się pojawiać. Pewnie umarł, musiał być już stary. Chcę odszukać jego kryjówkę, przyjrzeć się temu, co po nim zostało.

-- Po co?

-- Może się dowiem, jak udało mu się unikać opętania. Mam swoje podejrzenia, ale muszę się upewnić.

-- Jakie podejrzenia?

-- Jest za wcześnie, by o tym mówić. Ale jeśli się uda, to byłaby szansa na ratunek dla wszystkich. Dla was w przysiółku także.

Przez chwilę zdawało się, że mcharz wybuchnie drwiącym śmiechem, ale po chwili milczenia skrzywił się, jakby musiał przełknąć coś niesmacznego, i skinął głową.

-- Dobrze.

-- Co dobrze? Dasz mi linę?

-- Nie. Ja zejść.



Stanęli w milczeniu dookoła Studni wsłuchani w ciszę, którą zakłócał tylko odgłos spadających kropel. Ciepła wilgoć osiadała na ich twarzach i wsiąkała we włosy. Mieszając się z potem, spływała po plecach swędzącymi strużkami. Próbowali dostrzec coś wśród skłębionych oparów, ale z głębi napływały jedynie bezkształtne cienie, które natychmiast rozwiewały się w słabym świetle.

-- Nie ma na co czekać. -- Marek wspiął się na palce, zatknął łuczywo w uchwycie na jednej z kolumn. --
- Larwy wciąż tam są, za parę dni rój się odrodzi.

Stach obszedł Studnię, przyklękając co parę kroków i dotykając stromo opadających ścian. Wreszcie uniósł twarz; światłocień wyrzeźbił na jego czole czarne bruzdy.

-- Jak chcesz tam zejść?

-- Zwyczajnie. -- Mcharz zrzucił z ramienia na ziemię uprząż.

Mira zasłoniła usta dłonią, Kacper sapnął głośniej.

-- Nie dasz rady, ściany są zbyt gładkie -- orzekł sygnalista.

-- Tylko na początku. Głębiej jest dużo szczelin i występów.

-- Skąd ta pewność? Przecież nic nie widać.

-- Kiedy pierwszy raz tutaj stróżowałem, z ciekawości opuściłem się kawałeczek w głąb Studni. To nie było rozsądne, łatwo mogłem spłoszyć rój, ale dzięki temu oswoiłem trochę tę przeklętą dziurę. Nie przeraża mnie już tak bardzo jak innych.

Sygnalista czujnie zmrużył oczy

-- Ale czemu w ogóle chcesz to zrobić? Ja zbieram się do tej wyprawy od paru lat i nadal uważam, że jest szalona.

-- I to właśnie mnie w tym wszystkim pociąga. -- Marek uśmiechnął się do Miry i dopiero potem przeniósł spojrzenie na Stacha. -- Może jestem nieszczęśliwie zakochany i chcę zginąć śmiercią bohatera?

Stach potem schylił się i wyszarpnął z płataniny skórzanych pasów pierwszą lepszą uprząż, nie sprawdzając nawet, czy nie jest uszkodzona.

-- Zostaw sobie te szczeniackie popisy na lepszą okazję -- cedził teraz powoli słowo po słowie. -- Twoja śmierć nikomu na nic się nie przyda.

Mcharz zacherlał, skrzywił się, otarł z brody strużkę krwawej śliny.

-- Nieładnie to wygląda, co? Nawdychałem się tam, w dole, jakiegoś świństwa, przyplątało się choróbsko i teraz mam płuca w strzępach. Starzy mcharze mówią, że pożyję jeszcze najwyżej ze dwa lata, ale nie więcej. -- Wzruszył ramionami. -- Chyba nie mam zbyt wiele do stracenia. Jak wam się wydaje?

Stach zawahał się tylko na mgnienie oka.

-- Dobra. Ale ja idę z tobą.

-- Po co?

-- Zwiążemy się liną, będziemy się nawzajem ubezpieczać.

-- Nigdy się nie wspinałeś. Będiesz dla mnie ciężarem, nie pomocą.

-- On ma rację -- Mira uprzedziła odpowiedź Stacha. -- Poza tym nie jesteś przyzwyczajony do wdychania oparów, mógłbyś zasłabnąć. -- Odgarnęła z czoła mokre włosy, odsłaniając bladą twarz. -- Ja dam sobie radę.

Kacper bez słowa podniósł następną uprząż, założył, dociągnął pasy i na próbę poruszył ramionami, żeby się upewnić, czy ma odpowiednią swobodę ruchów.

Mcharz obserwował te przygotowania z kpiącym uśmiechem, sygnalista był nachmurzony -- ale obaj nie powiedzieli ani słowa; dopiero dziewczyna, ochłonawszy z zaskoczenia, przerwała krzykiem to nieznośne milczenie:

-- Co ty wyprawiasz?

-- Wspinasz się dużo lepiej ode mnie, ale jeśli będziesz musiała utrzymać na ścianie podwójny ciężar, nie wystarczy ci siła i odpadniesz. -- Kacper umocował do pasa biodrowego linę, a drugi koniec rzucił Markowi. -- Poza nim tylko ja mam jakieś widoki na to, żeby wrócić stamtąd żywy ze ścierwem Lucyfera w zębach.

Mcharz zachichotał z cicha, gładząc się po lśniącym od potu brzuchu.

-- Wyjątkowo zgadzam się z tobą, szczurołapie. Ciągle uważam, że powinienem iść sam, ale skoro się naprzykrzacie, wybieram ciebie. Jestem bardzo ciekaw, jak szybko narobisz w spodnie.

Spokojnie przygotował własny sprzęt, powiesił przy biodrze lampkę i żelazny hak, przywiązał linę. Stał tyłem do Studni z rękami założonymi na piersi, uśmiechając się krzywo. Nagle bez uprzedzenia cofnął się o krok i zniknął w ciemnym otworze.

Kacper odruchowo zaparł się na szeroko rozstawionych nogach, ale lina z cichym szelestem przesunęła się nad krawędzią i znieruchomiła po krótkiej chwili, nie naprężając się.

-- Nie żegnaj się zbyt czule, szczurołapie, to przynosi pecha. -- Odmieniony głos Marka zahuczał echem w skalnej tubie.

Kacper nie wiedział, co powiedzieć, więc po prostu posłał Mirze niewyraźny uśmiech i skinął głową bratu. Przykucnął nad krawędzią Studni, nie patrząc w dół, obrócił się tyłem i ostrożnie opuścił prawą nogę. Przez dłuższy czas wodził palcami stopy po kamiennej gładzi, nim wreszcie natrafił na płytką, ukośną szparę. Przeniósł ciężar ciała na to niepewne oparcie, zwiesił drugą nogę i przytrzymując się obiema rękami krawędzi, powoli zaczął znikać w Studni. Kiedy poziom gruntu znalazł się na wysokości jego oczu, mimo woli odetchnął chrapliwie, jakby zbierało mu się na płacz. Zaciśnął powieki, opuścił się niżej, a gdy spojrzał znowu, otaczał go już całkiem inny świat.

Zmieniło się wszystko -- smak powietrza, sposób, w jaki rozchodziły się odgłosy, barwa przesianego przez opary światła lampy. Po plecach przebiegły mu ciarki. Nagrzana ciemność oblepiała stopy niczym smoła.

Mijając Marka, zatrzymał się na chwilę. Tamten wisiał na pionowej skale wczepiony rękami i nogami w ledwie dostrzegalne nierówności. Mogłoby się wydawać, że robi to bez wysiłku, ale Kacper zauważył pulsującą na jego skroni żyłę.

-- Zejdź jeszcze parę metrów -- rzucił mcharz słumionym głosem. -- Samo ujście Studni jest bardzo gładkie, dalej będzie łatwej.

Nie mylił się. Gdy Kacper dotarł niżej, długo i starannie planując każdy ruch, natrafił na chropawą, pobrużdżoną skałę, gdzie łatwo mógł się zaprzeć obiema stopami. Pozostało już bardzo niewiele luźnej liny. Popatrzył w górę, gdzie kołysał się cień mcharza; klepnął otwartą dłońią w ścianę:

-- Dobra, stoję! Złaź.

Schodzili na przemian w milczeniu, błyskając tylko ku sobie krótkimi spojrzeniami, gdy znajdowali się na tej samej wysokości. Kacper szybko odnalazł właściwy rytm. Intuicyjnie wybierał najdogodniejsze miejsca dla postoju, ale wcale nie miał pewności, czy w razie potrzeby wytrzyma impet upadku towarzysza. Starał się o tym nie myśleć -- przy skrobaniu mchu nauczył się, że lęk, który powoduje sztywnienie mięśni i spłycenie oddechu, jest na wysokiej ścianie najgroźniejszym przeciwnikiem. Koncentrował się tylko na najbliższym kroku, nie wypatrywał dna parnej gardzieli.

Nie zdążył się nawet zmęczyć, gdy niespodziewanie noga trafiła w próżnię. Serce natychmiast podskoczyło mu do gardła, z trudem oparł się fali narastającej paniki. Sięgnął stopą w prawo i w lewo -- nic; ściana urywała się pod nim nierówną, poszarpaną krawędzią.

-- Tu jest pusto! -- krzyknął rozpaczliwie w stronę wątego płomyka, który pełgał o kilka metrów wyżej.

-- Spokojnie, zaraz będę przy tobie.

Nie odpowiedział. Zdawało mu się, że szorstka skała milimetr po milimetrze wysuwa mu się spod śliskich palców. Druga noga, ugięta niewygodnie, już zaczynała drętwieć -- nie czuł nawet, że się na niej wspiera.

Sylwetka Marka zamajaczyła w pobliżu, z lewej strony. Kacper nie widział go dobrze, ale bał się poruszyć głową, żeby nie zburzyć kruchej równowagi.

-- Wytrzymaj chwilę -- usłyszał zdyszane słowa.

Mcharz opuścił się jeszcze niżej, zwisając nad przepaścią na samych rękach. Kacper przez moment widział w blasku lampki tylko jego zbielełe z wysiłku paznokcie, a kiedy i one zniknęły, struchlały czekał na śmiertelne szarpnięcie liny.

Nic takiego nie nastąpiło. Gdzieś spod skalnego nawisu dobiegł głos Marka:

-- Wszystko w porządku, siedzę na półce. Możesz się puścić, wciągnę cię tutaj.

Nie potrafił się do tego zmusić. Kurczowo trzymał się ściany, choć drżały przeciążone nadgarstki, a lewą łydkę przeszył bolesny skurcz. Zamierzał wisieć aż do omdlenia, ale mcharz nie dał mu tyle czasu -- pociągnął za linę niezbyt mocno, lecz to wystarczyło, żeby chłopiec runął w przepaść.

Odruchowo zacisnął zęby, jednak wstrząs okazał się o wiele słabszy, niż oczekiwał; rozciągliwa lina zamortyzowała upadek. Oszołomiony, otworzył oczy. Wisiał w uprzęży odchylony do tyłu, obracając się z wolna wokół własnej osi. Przez chwilę widział jaśniejszy poblask ujścia studni, potem wszystko zasłonił nawis skalny podświetlony od spodu czerwonym płomykiem lampki. Dotknął barkiem twardej ściany, gdy Marek krótkimi pociągnięciami zaczął windować go w górę. Starał się mu pomóc, szukając rękami i nogami oparcia na skale. Niebawem wdrapał się na szeroki występ; usiadł obok mcharza, zwiesiwszy nogi. W skroniach głucho dudniło tętno.

-- Dziękuję -- wychrypiał. Splunął w otchłań i dopiero teraz odetchnął nieco swobodniej.

Marek wzruszył ramionami, ale Kacper spostrzegł, że ostatnie minuty także jego kosztowały bardzo wiele. Patrzył prosto przed siebie zapadniętymi oczyma, wargi ściągnęły się w grymasie zaciętego uporu.

-- Tak głęboko wcześniej nie dotarłem -- odezwał się po chwili. -- Mam nadzieję, że nie spotkamy już więcej takich niespodzianek.

Lampka Kacpra zgasła przy upadku. Chłopiec wyskubał z postrzępionej nogawki parę nitek, skrzył w palcach, a potem ostrożnie przeniósł na tym prowizorycznym knocie ogienek z jednej puszki do drugiej.

Uniósł lampę w wyciągniętej ręce, żeby odepchnąć ciemność jak najdalej od miejsca, gdzie siedzieli.

Studnia rozszerzała się w tym miejscu i była podobna kształtem do wnętrza smukłego dzbana, którego szyjkę właśnie zdołali pokonać. Przeciwnie ściana tylko z rzadka przebłyskiwała zza oparów. Pochyły nawis okalał ujście węższego odcinka, gdzie słabym już odbłaskiem mżyło światło odległego łuczywa. Kacper miał ochotę zawołać Mirę po imieniu, aby się upewnić, że tam w górze wciąż jeszcze ktoś na niego czeka, ale nie uległ pokusie -- nie chciał budzić uspionego w głębinach echa.

-- Jak się tutaj dostałeś? -- zapytał, z niedowierzaniem mierząc wzrokiem odległość od dolnej krawędzi przewężenia do skalnej półki.

-- Rozbijałem się i skoczyłem. Gdyby było choć o dwa palce dalej... -- Zniecierpliwiony podciągnął nogi. -- Zresztą nieważne. Liczy się tylko to, co pod nami.

-- Pełno tu szczelin, skała wygląda jak skamieniała kora. -- Kacper wychylił się, pokonując gwałtowną niechęć przed spojrzeniem w dół.

-- I to mnie martwi.

-- Dlaczego?

-- Ćmy składają jajeczka właśnie w takich zakamarkach. Czasem robią to nawet w Rozpadlinie, ale tam jest za zimno i bardzo rzadko wylęgają się gąsienice.

-- Są groźne? -- zaniepokoił się Kacper.

-- Nie, dopóki żadnej nie dotkniesz. -- Mcharz wstał. Pośliniwszy palce, poprawił knot w lampce, sprawdził mocowanie liny.

Po krótkim odpoczynku, który niewiele ich pokrzepił, ruszyli dalej. Pocięta ciemnymi rysami szczelin ściana nie odbiegała od pionu, ale schodzili równie łatwo, jak po klamrach; po kilkudziesięciu metrach przestali nawet zważać na asekurację. Trzymali się blisko, ramię przy ramieniu, zgodnie zstępując w nieznaną otchłań. Kacper od czasu do czasu zerkał w górę, gdzie pomniejszony otwór studni połśniewał zwodniczo jak zamglony księżyc. Płomyczki lamp nabierały w przesyconym trującymi wyziewami powietrzu dziwnych szkarłatnych odcieni. Czasem przygaszały raptownie, knoty ledwie się żarzyły. Było cicho, ale w miarę upływu czasu z dołu coraz wyraźniej dobiegało stłumione bulgotanie, jakby gdzieś tam na dnie wrzał wielki kocioł gęstej polewki. Rozwłózione opary osnuwały się wokół nich leniwie. Niekiedy w skalnych pęknięciach pod palcami chlupotała ciepła woda. Kacper chwilami musiał się zatrzymać, żeby przeczekać atak dławiącego kaszlu. Marek obejmował go wtedy ramieniem i mocno przyciskał do skały.

W pewnej chwili Kacper usłyszał szelest za uchem, kark musnął włochaty dotyk. Zanim zdążył odwrócić głowę, mcharz złapał ćmę w locie za skrzydło, uderzył nią w skałę i rzucił za siebie. Opadła w ciemność, wirując; fosforyzujący rysunek trupiej główki zniknął na samym końcu.

-- Czemu nie wyleciała z całym rojem? -- Chłopiec wciąż jeszcze czuł swędzenie w miejscu, gdzie na lepkiej od potu skórze przysiadł owad.

-- Pewnie przepoczwarzyła się dopiero dzisiaj. -- Marek odpiął lampkę od biodra i wsunął do zagłębienia w skale. -- Niedługo będzie ich więcej. Kokony są wszędzie.

Kacper ostrożnie zajrzał w głąb szczeliny. Płomyk lampki wydobył z mroku podłużny, jasny kształt poczwarki w oprzędzie. Była wielkości kciuka dorosłego mężczyzny. Wzdrygnął się ze wstrętem; to utajone

życie, które przeobrażało się cierpliwie w całkowitych ciemnościach, chłonąc przetchlinkami trujące wyziewy, mogło budzić jedynie odrazę.

Od tej chwili czujniej rozglądał się wokół. Czasem udawało mu się dostrzec umykający z którejś ze szczelin trzepotliwy kształt. Znajdował także puste, rozerwane kokony. W mroku coraz częściej rozbrzmiewały suche szelesty. Chwilami bulgot na dole wzmagął się, gęstniały fale cuchnących oparów -- dno było już bardzo niedaleko.

Nagle poczuł pieczenie na wewnętrznej stronie dłoni, jakby dotknął rozżarzonych węgielków. Natychmiast wyrwał rękę ze szczeliny, ale ból nie wygasł -- rozlał się po skórze palącą falą, dotarł do czubków palców, ogarnął nadgarstek.

-- Nie ruszaj się! -- Mcharz od razu odgadł, co się stało, złapał przestraszonego Kacpra za pas upręży. -- Ani drgnij, bo dostaniesz więcej jadu.

W skalnej szczelinie zamigotały drobne ogniki i ukazała się bezbarwna głowa gąsienicy o ruchliwych żuwaczkach. Powoli wysuwała się z ukrycia, segment po segmencie, wyginając na boki miękkie ciało. Trzy pary pierwszych odnóży przebierały w pustce. Grzbiet porastały kępki delikatnych włosków. Na końcu każdego z nich tliła się iskierka pulsującego blasku.

Kacper zastygł, wstrzymując oddech, gdy gąsienica sięgnęła odnóżami jego policzka, przesunęła się ponad górną wargą na drugą stronę twarzy i gdzieś za uchem znowu spelzła na skałę, pozostawiając na skórze odczucie nieznośnego świądu.

-- Już po wszystkim. -- Marek wciąż przytrzymał chłopca jedną ręką. -- Na szczęście tylko musnąłeś włoski. Do jutra trucizna przestanie działać.

Kacper spojrzał z obawą na swoje przedramię -- spuchło aż po łokieć, pod skórą wystąpiły nabrzmiące sploty żył. Ból tętnił w rytm uderzeń serca, paznokcie zsiniały, palce zastygły w przykurczu.

-- Nie mam czucia -- w jego głosie zadrgała panika -- nie zejdem.

Mcharz objął go, przewiesiwszy sobie jego odrętwiałą rękę przez kark.

-- Dasz radę, to już niedaleko. Na drugi raz patrz, gdzie pchasz paluchy.

Z ostatniego odcinka Kacper nie zapamiętał prawie nic. Wielokrotnie tracił przytomność i zaraz odyskiwał pod wpływem bólu. Słyszał z bliska wytężony oddech Marka. Czarne szczeliny ściany przesuwały się z dołu ku górze. Przedramię płonęło, chwiejna głowa obijała się o skałę. W otwartych ustach zamiast śliny zbierała się cuchnąca, kleista maź.

-- Jeszcze kawałek! -- Mcharz odnalazł w którymś z zagłębień trochę wody, ochlapał słabnącemu chłopcu twarz. -- Spójrz w dół.

Niemal cały nieregularny owal dna zajmowało błotniste, rdzawe bajoro szerokie na kilkanaście metrów. Tylko pod samymi ścianami ciągnął się wąski pas suchego gruntu. Gęsta breja kipiała nieustannie, czkała smrodem, z pękających na powierzchni bąbli rozpryskiwały się wokół gorące krople. Przy brzegach narastał drgający kołnierz brudnej piany, który zapadał się miejscami i cofał, pozostawiając na kamiennym podłożu zwały tłustego błočka o czerwonym zabarwieniu. Wszędzie dookoła, na brzegach wrzącej topieli i na ścianach, tłoczyły się setki, tysiące gąsienic; im niżej, tym gęściej było od świetlistych grzbietów. Czasem mocniejszy rozbryzg ochlapał skały i spływając, z powrotem porywał skręcające się w ukropie larwy; tonęły w ciszy, a zwolnione miejsce w pobliżu bajora zajmowały następne. Tam, gdzie odsłaniały się przyzmy ciastowatego błota, natychmiast robiło się ciaśniej; gąsienice szybko oczyszczały skałę z kleistej

papki, a potem z trudem odpełzały do góry pękate z przejedzenia. Inne, wygłodniałe, unosiły do połowy segmentowane ciała, czekając na swoją kolej.

-- Ścierwo Lucyfera chyba leży gdzieś w tym gnojowisku. -- Marek uchylił się przed kłębem gorącej pary. -- Musimy zejść jak najbliżej. Uważaj na larwy, nie przydepcz którejs.

Opuścił lampkę na długim rzemieniu, aż puszka stanęła na samym dnie. Knot ledwie się tlił, ale larwy ustępowały z wolna przed płomieniem, odsłaniając niewielki fragment podłoża przy ścianie. Mcharz bez namysłu skoczył z wysokości dwóch metrów. Zachwiał się, ale zaraz przykucnął, unikając upadku. Okadził kopnącą lampką grunt wokół siebie. Gąsienice kurczyły się gwałtownie niczym harmonijki. Uciekając, spychały się nawzajem w kipiel.

-- Teraz ty! -- krzyknął.

Kacper spadł ciężko i zatoczył się bezwładnie. Gdyby nie mocne ramiona Marka, postawiłby prawą stopę prosto w rojowisko świetlistych punkcików.

Przez chwilę przyglądali się w milczeniu wzburzonej powierzchni bajora. Każdy bulgot w głębinie tchnął z pewnym opóźnieniem obezwładniającym, gnilnym wyziewem. Drobinki lepkiego błota osiadały im na twarzach czarnymi cętkami, bluzgi piany parzyły stopy.

Mcharz pierwszy otrząsnął się z posepnego czaru tego miejsca. Rozstawił lampki z obu stron, żeby nie dopuścić gąsienic bliżej. Wypiął linę i do jednego z końców przywiązał żelazny hak.

-- Chcesz wyłowić ścierwo na wędkę? -- Kacper przylgnął plecami do ogołoconej z larw ściany. -- Nie uda się.

Tamten cisnął zakrzywione żelazo daleko, aż pod przeciwległy brzeg. Dobre trzy metry liny zatonęły w kipieli. Pociągnął ostrożnie -- oblepione rudą mazią sploty wynurzyły się powoli, ale hak był pusty. Spróbował znowu w innym miejscu, a potem jeszcze raz, nie zważając na pryskający w oczy wrzątek.

Kacper osunął się na ziemię, przytrzymując zdrową ręką obolałe ramię. Wodził niespokojnym wzrokiem od jednej lampki do drugiej. Poskręcane knoty skwierczały na resztkach tłuszczu.

-- Śpiesz się... -- poprosił, świszcząc płytkim oddechem.

Po kolejnej nieudanej próbie Marek upuścił ciężką od błota linę i przykucnął zasepiony, opierając brodę na kolanach. Gąsienice taplały się w płytkiej brei niebezpiecznie blisko jego stóp -- kępki włosków niemal łechtały go po kostkach.

-- Czy stałeś się już choć po części mcharzem? -- zapytał niespodziewanie.

Zaskoczony Kacper zmarszczył brwi.

-- Przyjęliście mnie. Jestem jednym z was.

-- Przysięgnij, że nie zapomnisz o ludziach z przysiółka, jeśli uda ci się stąd wydostać. Przysięgnij, że nie zostawisz ich samym sobie.

-- O co ci chodzi?

-- Przysięgnij.

Chłopiec usiłował się pozbyć obrzydliwego, mdlącego posmaku, ale otarcie dłonią warg niewiele pomogło.

-- Nie zapomnę.

Mcharz zdjął przez głowę zawieszony na szyi woreczek, rozsypał go, wydobyl suszony okrawek grzyba i wsadził pod policzek. Resztę rzucił w stronę chłopca, nie patrząc nawet.

-- Masz. Będziesz tego potrzebował.

-- A ty?

Tamten podniósł się powoli i zrobił pół kroku naprzód, zagłębiając się do połowy łydek w syczącej pianie.

-- Pozdrów ode mnie Mirę. Zabierz ją z przysiółka, kiedy tylko będzie można. Za ładna jest do tej głównianej roboty.

-- Marek!

-- I powiedz bratu, że nie miał racji. -- Zacisnął mocno powieki, w kącikach oczu pokazały się kurze łapki zmarszczek. -- Moja śmierć przyda się wszystkim.

Skoczył głową naprzód, wyciągnąwszy ramiona. Rozkołysana powierzchnia bajora przez chwilę głośniejsz chlupotała przy brzegach.

Wszystko wydarzyło się tak szybko, że Kacper nie zdążył wykonać żadnego ruchu. Tkwił otępiały na szczupłym kawałku wystającego ponad pianę gruntu pomiędzy dogasającymi puszkami lamp, poza którymi wiły się migotliwe grzbiety gąsienic. Nie odczuwał grozy ani rozpacz, nie myślał o niczym; po prostu stał i patrzył na rozedrganą powierzchnię bajora, a w uszach brzęczała mu cisza.

Później -- czas przestał mieć znaczenie -- z bulgocącego blocka wynurzyła się zaciśnięta pięść, zniknęła, znowu ukazała się ponad breją niemal u jego stóp. Dopiero wówczas otrząsnął się z niemocy, padł na kolana i złapał obiema rękami poparzony nadgarstek. Pociągnął z całych sił, udało mu się wydobyć ramię po łokieć; stulone palce mcharza rozluźniły się, z dłoni wytoczył się na brzeg niewielki, czarny kamień. Kacper zaparł się, szarpnął jeszcze raz, ale w tej samej chwili zrozumiał, że nie da rady -- topiel trzymała mocno jak bagno.

Nie wypuścił ręki, teraz już zupełnie wiotkiej, dopóki wyczuwał słabnące, nierówne tętno. Potem zamknął oczy i zwolnił uścisk; warstwa błota zamknęła się z cichym kłaśnięciem.

Wtedy znienacka opadły go emocje, które aż dotąd krążyły gdzieś w ciemnościach ponad głową, jak ćmy. Strach, wątpliwość, poczucie osamotnienia i ból przesywający ramię od czubków palców aż po bark - - wszystko to wymuszało pośpiech. Wytrząsnął całą zawartość woreczka wprost do ust, odrzucając do tyłu głowę. Musiał odczekać jeszcze chwilę, żeby grzyb puścił soki -- niebawem udręczone ciało ogarnęła błoga ulga.

Schylił się po czarny kamień. Pocierając o nogawkę, oczyścił go z błota i podniósł do oczu na otwartej dłoni. Był zaskakująco lekki, kanciasty, porowaty. Gdzieś na dnie zagłębień można było dostrzec jakiś brunatnoczerwony nalot podobny do pleśni. Nie miał pojęcia, czy to jest właśnie to, czego potrzebował Stach -- odłamek dziwnej skały nie przypominał szczątków żywej istoty. Z wahaniem wsunął kamień do opróżnionego woreczka i zawiesił go na szyi. Musiał wierzyć, że Marek wiedział, co robi.

Lampka po lewej zakopciła czarną smużką i zaraz potem zgasła. Nakrapiana świetlnymi punkcikami ciemność zaszemrała głośniejsz setkami odnóży. Kacper nie czekał, aż wypali się resztką tłuszczu w drugiej puszcze -- wdrapał się na ścianę, póki jeszcze w powietrzu unosił się zapach dymu. Szybko przedostał się wyżej, gdzie larw było już znacznie mniej i bez trudu mógł je omijać. Po raz ostatni spojrział w dół. Pienista fala bluznęła na brzeg, przewracając lampę i na powierzchni bajora lśniła teraz tylko słaba poświata gąsienic.

Wspinał się w mroku, ale szczelin było tak wiele, że nawet nie musiał się zatrzymywać. Palce prawej ręki poruszały się z trudem, jednak nie cierpiał -- oddychał lekko, serce pracowało równo. Po pewnym

czasie znowu mógł dostrzec wysoko w górze krążek bladego światła u wylotu studni. Miał wrażenie, że słyszy jakieś głosy, może wołanie, lecz to równie dobrze mogły być zniekształcone echa bulgotu. Coraz więcej ciem krążyło w kamiennej czeluści, lecz prawie się od nich nie opędział; potrząśnięciem głowy odganiał tylko te, które siadały na twarzy albo próbowały się dostać do ust.

Uderzył czołem w skalny nawis. Skoncentrowany na wspinaczce nie zauważył nawet, kiedy dotarł do podstawy węższego odcinka. Nie poczuł bólu, ale musiał przywrzeć do ściany i przeczekać lekkie zamroczenie. Gdy ustały zawroty głowy, ostrożnie spojrzął za siebie.

W słupie padającego z góry światła, pełnego skłębionej pary, na wysokości jego twarzy wisiała końcówka grubej liny, jakich używano przy kieracie. Ktoś musiał opuścić ją, żeby ułatwić powrót z otchłani -- Kacper odgadł w tym pomysł brata. Ostrożnie odwrócił się bokiem do ściany i wyciągnął dłoń. Od zbawczego sznura, zawężonego w kilku miejscach dla ułatwienia chwytu, dzielił go metr, może trochę mniej. Musiał zaryzykować. Poszukał dobrego oparcia dla prawej stopy, kilkakrotnie odetchnął głęboko, jeszcze raz ocenił wzrokiem odległość, a potem ugiął kolano i z całej siły odbił się z jednej nogi.

Uchwycił linę bardzo nisko, pod ostatnim węzłem. Na kilka sekund zlodowaciało w nim serce, gdy twarde sploty zaczęły wyslizgiwać się z palców.

Wtedy nagle ze światłości wynurzyła się ręka, złapała go za włosy i podciągnęła wyżej.



Każdej nocy do przysiółka wspinali się uciekinierzy z osady -- dziesiątki, a potem setki głodnych, przemarzniętych nieszczęśników najczęściej ograbionych do cna. Tylko nieliczni dźwigali w tłumokach resztki dobytku albo ciągnęli na sznurku opierającą się, przestraszoną kozę. Szli w ciszy niczym korowód cieni. Nawet małe dzieci nie płakały. Za nimi, daleko w dole, wciąż wykwiwały nowe grzywy pożarów. Stawali wreszcie u stóp podziurawionego pieczarami urwiska, podnosili twarze i czekali w pokorze, nie śmiejąc prosić o litość.

Starosta Rafał złorzeczył, wymyślał przybyłych od darmożjadów, ale nie odegnał nikogo. Dziuple zapełniały się szybko, uciekinierzy wespół z miejscowymi sypiali pokotem na ziemi, grzejąc się nawzajem. Szczupłe zapasy żywności, które zapobiegliwi mcharze przechowywali z myślą o ciężkich czasach, topniały z dnia na dzień. Wśród stłoczonych na niewielkiej przestrzeni osadników -- przerażonych i niepewnych swego losu -- wybuchały często gwałtowne awantury, ale Rafał dusił wszelkie spory w zarodku, wymuszając posłuch groźbą wydalenia z przysiółka. W dwóch mężczyznach podających się za drwali rozpoznano kieratników -- tych bez sądu związano i strącono z urwiska.

Niebawem zamarł ruch na krętej ścieżce. Wiatr przynosił z dołu zapach spalenizny, nocami wyły psy, ale poza tym nad stokiem zapadła niedobra cisza. Twarda ręka starosty uspokoiła trochę nastroje, ludzie otrząsali się powoli z grozy minionych dni. Zaczynali się urządzać w nowych warunkach tak, jak mogli. Pobudowali w Rozpadlinie zagrody dla kóz -- odpasione na świeżej paszy zwierzęta znowu zaczęły dawać mleko -- łatali przyodziewek, który udało się wynieść z płonących chat. Przerabiali na łąchy nawet stare worki zzieleniałe od mchu.

Zagląдали do sąsiednich dziupli, rozpytywali szeptem o znajomych, odtwarzali we wspomnieniach szczegóły ostatnich, rozplamionych nocy. Nie tracili nadziei, że odnajdą jeszcze kiedyś zagubionych bliskich. Krążyły plotki, że wielu myśliwych i drwali wraz z rodzinami szukało ocalenia w łowieckich szałasach rozsianych w kotlinie, inni podobno uciekli przez Grań. Jeszcze wszystko się odmieni na lepsze -- powtarzano -- byle przeczekać ten parszywy czas. W końcu przecież nadejdzie taki dzień, gdy będzie można wrócić do osady, odbudować domy, nałowić fok -- i życie znowu potoczy się jak dawniej.

W dziupli Miry, jak wszędzie, było tłoczno i parno od ludzkich oddechów, ale dziewczyna uchroniła dla Kacpra wymoszczony skórą i suchym mchem kącik w pobliżu paleniska, ukryty za pękatym koszem. Tam przeleżał pierwsze dwie doby po powrocie z Czarciej Studni. Był półprzytomny z gorączki. Kiedy ustało znieczulające działanie grzyba, rwący ból nie pozwalał nawet na krótką drzemkę. Opuchlizna ramienia cofała się bardzo powoli, zimne okłady przynosiły tylko chwilową ulgę. Mira prawie nie odstępowała od legowiska chorego -- poila go cierpliwie łyżeczką i odganiała złym spojrzeniem ciekawskich, którzy chcieli wiedzieć, co mu jest.

Trzeciego dnia, gdy gorączka spadła, przyszedł Stach. Przykucnął na skrawku wolnego miejsca, oparłszy się plecami o kosz, roztarł między kolanami zziębnięte dłonie. Policzki pokrywał mu jasny zarost, czoło przecinała pręga świeżej rany. Na ramieniu, oplótnięty grubym ogonem kark sygnalisty, drzemał szczur.

-- Jak się czujesz? -- Stach ułożył wargi do uśmiechu, ale znużone oczy pozostały bez wyrazu.

-- Nieźle. -- Kacper zgiął i rozprostował osłabioną rękę. Na bladej skórze przedramienia wyraźnie odcinały się dwa równoległe ściegi czerwonych punkcików, które pozostały po dotknięciu trujących włosków larwy. -- Już dawno wyszedłbym z tej dusznej nory, ale Mira nie chce mnie puścić. Mówi, że nie utrzymam się na klamrach.

Stach kiwnął w roztargnieniu głową. Nie słuchał uważnie. Obejrzał się na klapę u wejścia, jakby myślał tylko o tym, jak skrócić tę wizytę.

-- Chciałem ci podziękować. -- Bezwiednie dotknął miejsca na piersi, gdzie pod koszulą chował woreczek z cenną zawartością. -- Dobra robota.

-- To nie moja zasługa.

-- Twoja także. -- Sygnalista zmarszczył płowe brwi. -- Nie miej wyrzutów sumienia, że ty przeżyłeś, a Marek nie. Będzie jeszcze wiele okazji, żebyś mógł naprawić to niedopatrzenie.

Kacper rzucił ukradkowe spojrzenie na Mirę, która czuwała przy ogniu nad parującym kociołkiem. Zniżył głos:

-- Czy znaleźliśmy właśnie to, czego chciałeś?

-- Nie wiem -- przyznał Stach otwarcie. -- Wyobrażałem to sobie całkiem inaczej, ale w tych sprawach nie ma mądrego. Niedługo się przekonamy.

-- Idziesz do Ruin? -- Zaniepokojony chłopiec podniósł się na łokciach. -- Tak szybko?

-- Nie ma na co czekać.

-- Myślałem, że my razem...

-- Źle myślałeś.

-- Dlaczego zawsze wszystko chcesz robić sam? -- wybuchnął Kacper niespodziewanie nawet dla samego siebie. Mira odwróciła się od ognia, w pieczarze przycichł jednostajny szmer rozmów.

Stach powoli wstał, szczur na jego ramieniu zakołysał się sennie.

-- Przygotowywałem się do tego od lat. Twoje miejsce jest tutaj.

-- Rób, jak uważasz. -- Rozzłoszczony chłopiec przekreślił się na drugi bok. -- Byłem na dole i wiem, jak tam jest. W pojedynkę trudno przeżyć. Gdyby nie pingwiny, nigdy bym nie wrócił.

Czekał na odgłos oddalających się kroków, ale starszy brat nie odchodził. Po długiej chwili ciszy usłyszał tuż nad sobą jego zmieniony głos:

-- Naprawdę je spotkałeś?

-- Przecież mówię.

-- Martwiłem się, czy to całe zamieszanie nie wypłoszyło ich na dobre z naszych okolic. Całe gromady zbiegów błakają się teraz w kotlinie, w lesie wybuchają pożary, ludzie strzelają do wszystkiego, co można zjeść.

-- Czemu tak ci na nich zależy?

-- Bo też zamierzam skorzystać z ich pomocy, chociaż w inny sposób. -- Roześmiał się z cicha. Ta wiadomość musiała sprawić mu wielką ulgę. -- No dobrze, pójdiesz ze mną, skoro taki z ciebie szczęściarz.

Myśliwi wierzą, że ten, kogo nakarmi pingwin, dożyje późnej starości.

-- Przecież ty nie wierzysz w myśliwskie przesady!

-- Więc może teraz zacznę? Ostatecznie w coś trzeba w końcu uwierzyć...



Kacper pożegnał się z Mirą na ścieżce pod dziuplami -- krótko, nieco szorstko. Niecierpliwił się, miał dość gnuśnienia w zatłoczonej dziupli.

-- Myślałam, że już mnie nie zostawisz -- poskarżyła się jakoś nieśmiało, z trudem panując nad drzeniem głosu.

-- Ruiny są niedaleko, widać je nawet z urwiska. Wróć szybko. -- Przymusił się do uśmiechu. -- Muszę dopilnować, żeby mój brat nie zrobił jakiegoś głupstwa.

Skinęła głową, ale nie spojrzała mu w oczy. Szybko pocałowała go w policzek, odwróciła się i nie spoglądając więcej w dół, wspięła po kłamrach.

Zeszli ze Stachem oblodzoną ścieżką.

Osada leżała w zgliszczach. Nagie kikuty kominów sterczały ponad osmalonymi, pozbawionymi dachów ścianami, pomiędzy którymi czerniały zwaliska popiołów. Na zszarzałym śniegu ulic leżały przewrócone płozami do góry sanie i porozrzucany w beładnej ucieczce dobytek. Gdzieniegdzie rozciągały się na wpeł zwęglone zwłoki nadgryzione już przez szczury. Nieliczne ocalałe psy snuły się w ciszy między wciąż dymiącymi pogorzeliškami, kuląc pod siebie ogony. Wyczuwały kozie mięso w worku na plecach Stacha. Węszyły chciwie, ale żaden nie odważył się podejść bliżej; wystarczyło parę dni, żeby całkowicie przestały ufać ludziom.

-- Szkoda -- mruknął sygnalista. -- Byłoby nam łatwiej na dole, gdyby udało się złożyć jakiś zaprzęg.

Kacper nie odpowiedział. Od momentu, gdy rankiem zeszli ze ścieżki mcharzy, nie umiał się pozbyć uczucia grozy. Chociaż w przysiółku wysłuchał wiele opowieści uciekinierów, nie spodziewał się aż tak ogromnych zniszczeń. Cały stok sprawiał wrażenie, jakby życie już nigdy nie miało się tutaj odrodzić. Pomyślał o zlodowaciałych resztkach dawnych budowli, które mijał w drodze na Grań. Tutaj wprawdzie popioły jeszcze nie całkiem ostygły, ale przypuszczał, że za parę lat osada będzie już tylko wspomnieniem -- jeśli oczywiście gdzieś przetrwają ludzie zdolni do snucia takich wspomnień.

-- Może sprawdzimy, co w domu? -- wykrztusił wreszcie z trudem.

-- Nie ma już domu. -- Stach spojrzał twardo. -- Weź się w garść.

Jedynie miedziany dach dzwonnicy lśnił takim samym blaskiem jak dawniej, choć mury pociemniały od sadzy. Przez puste, wypalone okna kościoła widać było na przestrzał błękit nieba. Z wielu nagrobków na cmentarzu zwalono krzyże. W śniegu pobłyskiwały potrzaskane szkiełka witraży.

-- Lepiej, że ksiądz tego nie dożył -- Stach wypowiedział na głos to, o czym pomyśleli obaj.

Zbliżyli się z wolna do cmentarnego muru, choć nie mieli tutaj nic do roboty. Pragnęli w cieniu wieży pożegnać osadę -- taką, jaką ją znali.

Znienacka w przejrzystym powietrzu rozbrzmiało pojedyncze uderzenie dzwonu. Ten swojski dźwięk nad opuszczonymi zgliszczami był tak przejmujący, że Kacpra przeszły ciarki. Z parapetu małego okienka

izdebki dzwonnika osypało się trochę śniegu. Spomiędzy nagrobków czmychnął, skamłając, oszroniały psiak -- potem znowu zapadła cisza.

Stach uważniej wpatrzył się w cienie pod wciąż jeszcze kołyszącym się lekko kielichem dzwonu u szczytu wieży.

-- Wszyscy o nim zapomnieli... -- powiedział półgłosem.

-- Dlaczego dzwoni?

-- Nie wiem. Może nas wzywa? Przekonajmy się.

Przecięli cmentarz, starając się nie nastąpić na przewrócone krzyże. Przez rozbite drzwi ostrożnie zajrzeli do wnętrza wieży. W dolnej izbie nie było śladów ognia, ale żaden ze sprzętów nie pozostał cały; wiatr nawiał sporo śniegu, do ścian przymarzły bure plamy krwi.

Kiedy przestąpili próg, między belkami powały opadła z trzaskiem drewniana kłapa i opuściła się drabina, stuknąwszy na kamiennej posadzce. Patrzyli przez chwilę w ciemny otwór pomieszczenia na górze, ale w półmroku niewiele mogli dostrzec. Wreszcie Stach chwycił oburącz drabinę, sprawdził, czy stoi dobrze, a potem pierwszy zaczął się wspinać po skrzypiących szczeblach. Brat podążył za nim.

Stanęli obok siebie w izdebce na piętrze, wdychając pełne zastarzałego kurzu powietrze. Czekali, aż oczy przywykną do skąpego światła, które przenikało ukośną smugą przez jedyne, wąskie okienko. Wyżej, nad kratownicą z grubych desek, wisiał dzwon; serce już znieruchomiało, ale długi sznur kolebał się jeszcze, rzucając ruchomy cień na bardzo strome schodki przylegające jednym bokiem do ściany.

-- Czy to Stach, syn Józwy myśliwego? -- dobiegł z góry cichy, szeleszczący głos.

-- Tak. -- Zaskoczony sygnalista drgnął. -- Skąd mnie znasz?

-- Pamiętam, jak przychodziłeś na nauki do proboszcza. Poznają ludzi po krokach jak dobry pies. Kto jest z tobą?

-- Młodszy brat.

-- Po co wróciliście? Tutaj nic już nie ma. Nawet za dnia strach słuchać tej ciszy, a noce należą do Lucyfera.

-- Po zmroku będziemy daleko.

Nad kratownicą coś poruszyło się w ciemnościach, zatrzeszczały deski. Słowa dzwonnika zabrzmiały teraz wyraźniej:

-- Dokąd chcecie iść?

Stach podszedł do okna i ogarnął długim spojrzeniem szeregi odsłoniętych kominów, które ciągnęły się wzdłuż ulic. Zamiast odpowiedzi sam zadał ciche pytanie:

-- Dlaczego nie uciekłeś razem z innymi?

-- Tu jest moje miejsce. Przed czym miałbym uciekać? Śmierci się nie boję. Lucyfer nie dba o taką marną zdobycz jak ja. Świetliki przylatują każdej nocy. Nie mogę ich zobaczyć ani usłyszeć, ale czuję, jak krążą wokół wieży i zagląдают do okna... -- Przez chwilę słychać było tylko suchy, starczy kaszel. -- W gruncie rzeczy umarłem już dawno temu, a ta izba jest tylko moim grobem.

-- Jak chcesz. -- Sygnalista odwrócił się od okiennej wnęki, słoneczny błękit obrębił krawędź jego kaptura. -- Słyszałem, że za młodu byłeś inny. Żaden z myśliwych nigdy nie odważył się na tak daleką wyprawę jak twoja.

W górze zawirował kurz, na schodkach zaszurały niedołożne kroki. Dzwonnik powoli schodził zgarbiony, wodząc dłonią po ścianie. Zatrzymał się na dole w najmroczniejszym kącie, gdzie nie sięgał snop światła.

-- Powinienem być od razu się tego domyśleć -- wychrypiał. -- Wiem, co ci chodzi po głowie, chłopcze. Zawróć, póki możesz. Tej drogi nie da się pokonać.

-- Mnie się uda.

Starzec zrobił kilka kroków naprzód, stając pośrodku słonecznej plamy na podłodze.

Chociaż Kacper widywał od dziecka bardzo wielu ludzi okaleczonych przez mróz, cofnął się ze zgrozą. Starzec nie miał obu uszu i nosa, zniekształconą twarz szpeciły setki sinych blizn. Śnieżna ślepotą na zawsze zgasiła jego oczy, w lewej dłoni brakowało trzech palców, prawy rękaw kurty zwisał całkiem pusty.

-- Skoro tak kusi cię szlak donikąd, pomogę ci... -- W przerażającym grymasie odsłonił nagie dziąsła. -- Na cmentarzu w ostatnim grobowcu, pod samym murem, jeden z myśliwych ukrył swoje psy zaprzęgowe, kiedy zaczęła się tutaj jatka. Dokarmiałem je nocami. Jeśli nie zdziczały w tej ciemnicy, będziesz miał z nich pożytek.

Na Stachu wygląd starca też musiał wywrzeć wrażenie -- grot jego oszczepu zadrżał lekko w smudze blasku. Sygnalista nie odezwał się już ani słowem, podbiegł do otworu i nie korzystając nawet z drabiny, zeskoczył na dół. Kacper pośpiesznie zsunął się za nim.

Łatwo odnaleźli właściwy grobowiec. Wspólnie odsunęli ciężką płytę. Stach zeskoczył na dół i po kolei wydobył wszystkie psy. Poza przewodnikiem zaprzęgu wszystkie wyglądały na młode. Bojaźliwie łąsiły się do nóg wybawicieli. Gdy bracia ruszyli w stronę furtki, skwapliwie pobiegły za nimi.

Po paru minutach marszu Kacper zwolnił, a potem zatrzymał się pośrodku wymarłej ulicy. Stach szedł jeszcze przez jakiś czas, lecz w końcu i on przystanął, ze złością wbijając oszczep w śnieg.

-- Co znowu? To nie przechadzka! -- warknął.

-- O czym mówił dzwonnik? O jakiej wyprawie?-- zapytał chłopiec, nie ruszając się z miejsca.

Sygnalista spod przymrużonych powiek popatrzył na jaskrawe słońce.

-- Jest pomyłony. Większość życia spędził w zamknięciu. Jeśli ciekawia cię jego opowieści, wracaj tam. Ja nie mam czasu na brednie.

Odwrócił się i wyrывая stopy z sypkiego śniegu, pobiegł w dół stoku. W chwili, kiedy Kacper ruszył za nim, z wieży poniósł się rwany głos dzwonu huczący echem na kamiennych urwiskach ponad osadą.



Strzaskane koło kieratu leżało pod urwiskiem z linami wplątanymi między połamane szczelble. Ze spalonego pomostu pozostały tylko sterczące ze ściany resztki rusztowania. Pozbawiona drzwi ziemianka kieratników ziała czarną, zimną pustką; przed wejściem piętrzył się stos bezładnie rzuconych sań. U szczytu słupa, gdzie dawniej płonął wieczny ogień, na długim biczysku nadzorcy wisiał za szyję któryś z jego psów z wyprężonymi w męce konania łapami i soplami śliny u pyska.

To wszystko przygnębiło Kacpra jeszcze bardziej niż pogorzeliska osady -- może dlatego, że niegdyś właśnie w tym miejscu po raz pierwszy zatęsknił do czasów sprzed Upadku, a teraz oglądał ruinę dzieła, które stworzyły minione, lepsze pokolenia.

-- Jak zejdziemy? -- zapytał, próbując skupić myśli na najbliższej przyszłości.

-- Wielu ludzi uciekło tędy już po buncie kieratników. -- Stach przyklęknął na jedno kolano niemal na skraj urwiska i ostrożnie pochylił się nad przepaścią. -- Jest lina. Powinna wytrzymać.

Kacper zsunął się pierwszy. Było trudno, bo oblodzony sznur wyślizgiwał się z dłoni, a na gładkiej ścianie znajdował niewiele miejsc dogodnych dla odpoczynku. Stał wreszcie zgrzany na dole pośród zwęglonych bierwion pomostu i pomachał ramionami nad głową.

Minęło sporo czasu, nim Stach opuścił kolejno wszystkie psy zaprzęgowe. Przestraszone wonią spalenizny i śmierci zwierzęta skamlały z cicha, a kiedy Kacper chwycił je u stóp urwiska, w panice drapały go pazurami po twarzy i szyi. Na koniec złapał sanie, rozkołysane na linie przez wzmagający się wiatr, i worek z kozim mięsem. Ostatni zjechał na dół sygnalista.

Szybko i w milczeniu sprawili zaprzęg; każda chwila spędzona w tym odsłoniętym miejscu napawała ich niepokojem. Stach usiadł na saniach, a Kacper stanął z tyłu na końcach płóz. Psy ochoczo wrywały naprzód, choć sanie nie ślizgały się dobrze na przysypanym popiołem śniegu. Dopiero dalej, gdzie nie sięgał już cień urwiska, płozy wpadły do wyłobionych w lodzie kolein i od tej pory Stach nie musiał nawet trzaskać z bata -- mknęli gładko, szybko, niemal bez wstrząsów.

Kacper cieszył się pędem. Mroźny bezkres śnieżnej pustki pomagał zapomnieć o tym wszystkim, co zostało na stoku. Mrużył oczy przed blaskiem, oddychał pełną piersią. Szeroki, od wieków przetarty szlak prowadził lekkim spadkiem w stronę szarego widnokręgu, gdzie czerniały kikuty pierwszych drzew. Nisko zwieszono psie pyski dymiły parą, skrzypiały naprężone rzemienie. Przygarbiony Stach zdawał się drzemać. Bat sterczał ukośnie ponad jego ramieniem.

Jeszcze przed południem gdzieś nad puszcą skłębiły się ciemne chmury, a z boku uderzyła lodowata zamieć. Kacper musiał ukryć twarz w głębi kaptura. Wszedł kolanami na tył sań i skulił się przed wiatrem. Z wolna ogarnęła go senność pełna jazgotliwych poświstów i sapania psów. Czasem pod płożą trzasnęła większa gruda lodu.

O mało nie wypadł z sań, gdy Stach raptownie wstrzymał zaprzęg.

-- Co się stało? -- zrzucił kaptur, zamrugął ciężkimi powiekami.

-- Zaczekaj tu. -- Starszy brat wstał i szeroko stawiając stopy na śliskim podłożu, zbliżył się do pobocza.

W zaspie ktoś leżał -- Kacper dostrzegł mierzwę oszronionej brody i przekrzywioną czapę. Stach przyglądał się przez chwilę pochyłony, potem wrócił tym samym, rozważnym krokiem.

-- Jeden z uciekinierów -- wyjaśnił sucho, choć Kacper o nic nie pytał.

Ruszyli znowu, ale posuwali się teraz wolniej. Na zmianę truchtali obok sań, żeby odciążyć zdrożone psy. Wiatr nie ustawał, nad drogą przetaczały się szare tumany, niewidoczne za chmurami słońce skradało się cierpliwie ku zachodowi. Coraz częściej mijali porzucone w ucieczce tłumoki, czasem całe zaprzęgi, zaryte w zwałach śniegu. Było też coraz więcej trupów -- duże i małe, niektóre niemal całkiem zasypane, inne siedzące z opuszczonymi głowami nad popiołami wygasłych ognisk. Kacper nie liczył ich, nie starał się rozpoznać twarzy. Wbił wzrok w ciemniejsze smugi kolein przed saniami i myślał o tym, że być może nie przejedzie tędy już nigdy żaden inny zaprzęg.

Kiedy wśród zawiei wyraźniej ukazała się ściana lasu, Stach skierował sanie w lewo od głównego szlaku na ledwo przetartą dróżkę między wysokimi garbami zasp. Musieli jeszcze zwolnić, psy zapadały się po brzuchy w sypki puch. Wyglądało na to, że nie było tu nikogo od wielu dni.

-- Nie zabłądzimy? -- zaniepokojony Kacper obejrzał się na szeroką pręgę rozjeżdżonego szlaku, która tymczasem ginęła w zadymce.

-- Od dawna znam każdy zakręt drogi do Ruin, chociaż nigdy tam nie byłem. -- Stach przystanął na chwilę, żeby odpocząć. -- Przejdziemy bokiem. Szlak przez las jest łatwiejszy, ale nie wiadomo, kogo moglibyśmy tam spotkać. Nie wszystkich zabił przecież mróz i wilki.

-- Myślisz o kieratnikach?

-- Na pewno byli najlepiej przygotowani do drogi. Zresztą wszystko jedno. Nie chciałbym się teraz tłumaczyć nikomu obcemu z tego, co chcę zrobić.

Wiatr zelżał nieco albo po prostu nie odczuwali go już tak dotkliwie osłonięci z obu stron śnieżnymi usypiskami. Przypięli do butów rakiety i dreptali noga za nogą. Często musieli się zatrzymywać i rozplątywać rzemienie zaprzęgu, bo rozdrażnione powolnym marszem, głodne psy kąsały się nawzajem, psując szyk. Niewidoczna puszcza szumiała gdzieś w pobliżu, może tuż za pasmem zasp. Na stromych skłonach widzieli łańcuszki wilczych tropów, czasem w przedwieczornej szarzyźnie błysnęły nieruchome ślepia, ale syte ludzkiego mięsa zwierzęta nie podchodziły bliżej. Chmurzyska rwały się gdzieś na zachodniej połąci nieba, w szczelinach pobłyskiwała słoneczna czerwień. Tężał mróz, śnieg pod raketami skrzypiał głośnie. Psy niepokoiły się, wyciągały karki i węszyły, tuląc na płask uszy.

-- Trzeba pomyśleć o postoju... -- wydyszał Kacper.

-- Już niedługo. -- Stach popychał sanie jedną ręką. -- Tutaj nie znajdziemy nawet drewna na ogień, a nocą wilki robią się zuchwalsze.

Brnęli dalej w milczeniu pod szybko ciemniejącym niebem osaczani przez spływający ze stoków zasp mrok. Chwilami sanie grzęzły tak głęboko, że wyczerpane psy nie mogły ruszyć ich z miejsca; musieli napierać z całej siły, żeby pchnąć płozy dalej. Gęstniejąca noc szczypała mrozem policzki i nosy, każdy głębszy oddech boleśnie rozdymał płuca.

Przestraszony Kacper natychmiast poderwał głowę, gdy sygnalista szturchnął go lekko w ramię.

-- Co? -- Szybko omiół wzrokiem obłe wierzchołki zasp.

-- Tam! -- Stach wyciągniętą ręką wskazał prosto przed siebie.

Chłopiec wpatrzył się w prześwit śnieżnego wąwozu, ale z początku nie dostrzegł tam nic niezwykłego. Dopiero gdy uspokoił oddech i otarł załzawione oczy, zobaczył odcinające się na granatowym tle nieba kanciaste kształty dalekich budynków.

-- Czy to naprawdę Ruiny? -- spytał szeptem.

-- Dzisiaj wyśpimy się pod dachem. -- Sygnalista strzelił z bata, a przeczuwające bliski nocleg psy ruszyły żwawiej.

Między pierwsze budynki przedmieścia weszli już po wschodzie księżyca. Wysrebrzona, prosta droga, na całej długości pobrużdżona płozami, ciągnęła się pośród przysypanych śniegiem zwalisk cegieł. W tej części wymarłego miasta, gdzie złomiarze docierali najwcześniej, szkolone szczury wielokrotnie spenetrowały każdą kupę gruzu -- na pewno nie pozostało tu już nic cennego. Wszędzie dookoła walały się zwęglone szczapy z dawnych obozowisk, kawałki zmrożonego psiego łajna i pokruszone cegły.

Kacper rozglądał się zawiedziony -- nie tak wyobrażał sobie to miejsce, gdzie czas nie zdołał jeszcze zatrzeć śladów minionej epoki. Wiele razy śnił o subtelnych pięknie ruin, marzył o rozległych placach z kamiennymi pomnikami postaci, których imion nikt już nie pamiętał, o potężnych wieżach, podziemnych

korytarzach, białych liniach na szarej nawierzchni ulic przezierającej gdzieś pod lodu. Zamiast tego patrzył na bezkształtne usypiska, do których od głównej drogi nie prowadziły nawet wydeptane ścieżki, jakby od dawna nikt tam nie zaglądał.

Stach kroczył obok sań zamyślony. Pozwalał psom samodzielnie wybierać drogę. Miał rację: niebawem przewodnik zaprzęgu -- najstarszy, doświadczony w licznych wyprawach -- skręcił w bok i bez wahania poprowadził przesmykiem wśród zasp do większego od innych gruzowiska. Budynek liczył zapewne niegdyś kilka pięter, po których pozostały zaledwie ceglane zwaliska, ale parter o zabitych deskami oknach chyba ocalał.

Sygnalista zapalił łożową lampkę i przez pozbawione drzwi wejście ostrożnie zajrzeli do ciemnego wnętrza.

Klepisko niewielkiego pomieszczenia wymieciono z gruzu i śniegu, pośrodku czerniało obłożone kamieniami palenisko. W kącie wznosił się stos porąbanego na opał drewna, a obok stały oparte o ścianę sianie ze złamaną płożą. Na murach krzyżowały się rowki po wykutych rurach i przewodach, gdzieś zachowały się płyty zielonej farby. Powietrze przesyciła zastarzała woń zwierzęcej sierści i dymu.

Rozniecili ogień, wyprzęgli i nakarmili psy, a potem sami przysiedli na drewnianych kłocach z kawałkami twardej koziny w dłoniach. Kiedy zza pazuchy Stacha wychylił się szczur, ten zaczął odkrawać małe kęsy i na końcu noża podtykał pod ruchliwy, wąsaty pyszczek.

-- Ty nie jesz? -- wymruczał Kacper sennie.

-- Nie jestem głodny.

-- Nawet po takiej drodze?

-- Śpij lepiej, zamiast gadać. -- Sygnalista wzruszył ramionami. -- Jutro czeka nas trudny dzień.

Kacper szybko przełknął ostatnie kawałki, podścielił sobie blisko ognia, zdjął buty i z ulgą rozprostował obolałe nogi. Pomimo wszechogarniającego zmęczenia nie potrafił zasnąć. Myślał o ludziach, którzy zamieszkiwali ten dom przed Upadkiem -- wyobrażał sobie ich twarze i głosy. Zastanawiał się, jakie były ich ostatnie dni -- czy zdawali sobie sprawę, że to kres świata, jaki znali, czy może do samego końca nie utracili nadziei.

Od czasu do czasu przez szparki lekko uniesionych powiek patrzył na brata. Stach nie położył się, pozostał na poprzednim miejscu, przygarbiony nad paleniskiem. Ruszał się tylko po to, żeby dorzucić do ognia. Patrzył uparcie w ogień i nie uchylał się nawet przed kłębamii dymu.

Takie dziwaczne zachowanie martwiło Kacpra. Uważał, że wobec niepewnej przyszłości powinni dbać o siebie i oszczędzać siły. Obiecał sobie w duchu, że gdyby rankiem Stach nadal nie chciał jeść, zmusi go do tego, choćby kosztem awantury. To postanowienie uspokoiło go nieco. Obrócił się na drugi bok, westchnął i w końcu zapadł w płytki, czujny sen.

Zbudził go błękit pod powiekami. Od razu wiedział, co to jest -- widział już przedtem na Grani blask o tak intensywnej, czystej barwie. Ścisnęła go za krtań tamta tęsknota, o której sądził, że już w nim umarła. Odwrócił się powoli, podniósł na łokciu. Zanim otworzył oczy, poczuł na twarzy ciepło paleniska.

Stach wciąż siedział na pniaku, zwiesiwszy dłonie między kolanami. Za jego plecami, w prostokącie wejścia, noc pojaśniała od niebieskawej poświaty -- zdawało się, że każdy płatek śniegu lśni własnym odbłaskiem. Smuga siniego światła podpełzła po klepisku aż do przeciwległej ściany. Przybladły płomienie, ale Stach nie zwracał na to uwagi. Gdyby nie to, że pierś podnosiła mu się w powolnym oddechu, można by

sądzić, że umarł na siedząco, z otwartymi oczami, jak tyłu innych, których zlodowaciałe trupy widzieli poprzedniego dnia wzdłuż podgórskiej drogi.

Na zewnątrz głośniej świsnęła zadymka, przy wejściu zakotłowała się śnieżna kurzawa. Gdy opadła, Kacper zobaczył zawieszono nisko nad progiem Świetlika.

Maleńki pęcherzyk blasku wpłynął z wolna do pomieszczenia, sunąc tuż nad klepiskiem. Po ścianach przemieszczały się w przeciwnym kierunku cienie sprzętów i ludzi. Świetlik poszybował dookoła izby, rozpraszając mrok kolejno w każdym z kątów, a gdy zakończył pełne okrążenie, przyspieszył zniemacka, zawirował po wznoszącej się spirali i po chwili kręcił się już tylko wokół głowy Stacha tak szybko, że sprawiał wrażenie świetlistej, lekko rozchwianej obręczy.

Sygnalista wyprostował plecy. W jego rozszerzonych źrenicach odbijała się niebieska smuga. Obręcz pojaśniała jeszcze i Kacprowi zdawało się, że powietrze wibruje bardzo wysokim gwizdem, który odbierał raczej jako nieprzyjemny ucisk w uszach niż dźwięk.

Raptem zapadła ciemność, nawet płomienie paleniska przygasły, jakby zduszone wiatrem. Kacper bał się poruszyć, mrugał tylko raz po raz powiekami, żeby szybciej przyzwycząić oczy do mroku.

-- Stachu! -- zawołał wreszcie drżącym szeptem. -- Nic ci nie jest? Odezwij się!

Sygnalista rzucił na tłący się żar parę suchych szczapek. Powoli odżyły płomienie, a w chwilę potem do Kacpra na nowo dotarły zwyczajne dźwięki, jakby nagle odetkały mu się uszy: słyszał tęskne pojękiwanie wiatru w szparach gruzowiska, syk ognia. Któryś z psów raz po raz powarkiwiał przez sen.

-- Czego wrzeszczysz? -- burknął Stach po swojemu, jakby nie wydarzyło się nic ważnego.

-- Był tu Świetlik!

-- I co z tego? Nic mi nie robi, i tobie też nie, dopóki jesteśmy razem.

Kacper usiadł, podciągając kolana i okrywając plecy kożuchem. Teraz był już pewien, że nie uda mu się zmrużyć oka. Zresztą do świtu nie było chyba daleko. Na widocznym w wejściu kawałku nieba coraz wyraźniej rysowały się szare pasma chmur.

-- Gdyby ścierwo Lucyfera nie zadziało, już byłoby po nas. -- Wciąż jeszcze trzął się z emocji.

-- Musiało zadziałać.

-- Jeszcze niedawno wcale nie byłeś taki pewien. -- Chłopiec pochylił się, kilka razy mocno dmuchnął w ogień. -- Gdyby każdy mógł zawiesić sobie coś takiego na szyi, ludzie nie musieliby dłużej ukrywać się w Górach. Znowu zaludnilibyśmy niziny, jak przed wiekami. -- Rozejrzał się po ścianach, jakby to właśnie w tej odrapanej dziurze miała niebawem rozpocząć się nowa era.

-- Brednie -- Stach jednym brutalnym słowem rozwiął te marzenia.

-- Dlaczego?

-- Lucyfer przyniósł światu klęskę. Tylko głupcy mogą oczekiwać od niego wybawienia. -- Dotknął wypukłości pod koszulą na piersi, ale zaraz cofnął dłoń. -- Za jego pomoc zawsze trzeba płacić wysoką cenę.

Pomimo kożucha Kacper poczuł na plecach przenikliwy chłód ciągnący od starych murów. Po lekko skrzywionych wargach brata poznał od razu, że Stach wbrew sobie powiedział o parę słów więcej, niż zamierzał.

-- Co ty ukrywasz? -- zapytał szybko.

Sygnalista wstał. Na zewnątrz szarówka przedświtu zacierała faliste kontury zasp.

-- Zbieraj się -- rozkazał sucho. -- Dziś poszukamy tego, po cośmy tu przyszli.

W dziennym świetle wszystko wyglądało inaczej. Ośnieżone gruzowiska, które ciągnęły się równymi szeregami z obu stron drogi, nie sprawiały już tak odpychającego wrażenia. Łatwiej można było się domyśleć pierwotnego kształtu budowli -- gdzieś tam zachowały się na murach spękane tynki, oblodzone gzymsy, kawałki szkła w okiennych ramach. Jasność wlewała się do pustych pomieszczeń, po girlandach sopli ślizgały się słoneczne rozbłyski. Na migotliwym śniegu układały się długie cienie betonowych słupów. W perspektywie przecznicy -- z prawej strony opadających ku zastygłej rzece, z lewej wznoszących się aż do odległego pasma wzgórz -- wiatr przeganiał siwe tumany, łudzając wzrok pozorami życia.

-- Bardzo tu cicho -- Kacper wzdrygnął się; ogrom ruin przekraczał jego wcześniejsze wyobrażenia.

Stach szedł na przedzie. Odwrócił lekko głowę, ukazując ostro zarysowany profil w parze oddechu.

-- Mój niedoszły teść opowiadał kiedyś, że w pogodne dni, jak ten, z każdej strony dobiegały odgłosy pracy złomiarzy.

-- Gdzie są teraz?

-- Ci, którzy przeżyli, pewnie siedzą w lesie. Tam łatwiej zdobyć pożywienie.

Ulica zmieniała się stopniowo. W miarę jak posuwali się naprzód, mijali coraz wyższe, lepiej zachowane budynki, niektóre nawet czteropiętrowe, ze śnieżnymi kurhanami na dachach. Często musieli obchodzić okrągłe, pozbawione pokryw dziury kanałów, nad którymi drżała mgiełka oparu. Bił stamtąd ciężki odór, w ciemnościach pluskała woda. Kacper strącił butem do jednej ze studzienek grudę zmrożonego śniegu, ale cofnął się natychmiast, gdy Stach sarknął gniewnie:

-- Uważaj! Tam też żyją szczury, ale dwa razy większe od naszych. Zawsze polują w stadzie. Zdarzało się, że wciągały do kanałów ludzi.

-- Dlaczego ścieki nie zamarzły?

-- Nie wiem.

Wędrowali dalej po rozjeżdżonej szerokimi płozami śnieżną drogą. Minęli wielką halę, z której pozostał tylko szary szkielec, przeszli pod zawalonym wiaduktem. Przez jakiś czas posuwali się w cieniu ogromnych drzew martwego parku -- zbyt grubych do ścinki i transportu. Na brzegu skutego lodem stawu wciąż jeszcze sterczały granitowe podpórki ławek ogołoconych z desek. Dalej ulica lekko skręcała i otworzył się przed nimi rozleglejszy widok.

-- Chryste! -- Kacper mimo woli zwolnił kroku. -- Jakie to piękne...

Wyludnione miasto rozpościerało się w szerokiej dolinie pośród niewysokich wzgórz. Z miejsca, gdzie stali, widzieli wszystko doskonale: białą pajęczynę ulic, szerokich i prostych albo wąziutkich i bardzo krętych, pofałdowany zaspami prostokąt rynku, lśniący łuk rzeki, kościelne krzyże, resztki czerwonych dachów -- a nade wszystko siedem smukłych, skupionych na niewielkiej przestrzeni wież. Szyby w oknach tych wielopiętrowych budowli, zrobione z materiału trwalszego niż szkło, od wschodniej strony płonęły w słońcu; ich długie cienie pocięły w pasy wielką połąć ruin.

-- Złomiarze twierdzą, że one chwieją się pod silnym wiatrem, ale nie padają.

-- Czy z góry widać morze?

-- Nie. -- Stach sposepniał. -- Świat jest o wiele większy, niż ci się wydaje.

Kacper chciał iść dalej, gdy raptem posłyszał z tyłu dziwny dźwięk, jakby szybko zbliżający się szum. Wśród psów wybuchła nagła wrzawa. Spojrzał za siebie równocześnie z ostrzegawczym krzykiem brata. W

ostatniej chwili zdołał osłonić twarz przedramieniem. Mocne uderzenie niemal zważyło go z nóg. Z trudem odzyskał równowagę i zdumiony spojrzął na poszarpany rękaw kurty -- ale zaraz szum rozległ się znowu, tym razem z przeciwnej strony.

-- Na ziemię! -- zawołał Stach. -- Jej nie chodzi o nas.

Kacper padł na brzuch, uniósł twarz. Środkiem ulicy szybko sunął wielki cień. Teraz zrozumiał: nisko nad drogą szybowała ogromna sowa śnieżna o białych, brązowo prążkowanych skrzydłach rozpostartych na dobre dwa metry. Zobaczył jej okrągłe, żółte ślepie, mocny dziób, stulone pod brzuchem szpony. Uchylił się, poczuł na czole muśnięcie zimnego powiewu. Wiedział, że rozzłoszczone ptaszysko potrafi rozszarpać dorosłemu mężczyźnie ucho albo wydziobać oko. Słyszał historie o tym, jak to w głodnych latach sowy porywały matkom niemowlęta wprost z ramion. Nawet jeśli to nie była prawda, należało zachować ostrożność.

-- Zawraca! -- Stach podczołgał się bliżej, sięgnął do sań po oszczep.

Przerażone psy miotały się w uprzężach, każdy ciągnął w inną stronę. Ogromny ptak wzleciał nieco wyżej, zawisł na chwilę w łopocie skrzydeł, a potem spadł z całą siłą na grzbiet przewodnika zaprzęgu. Pazury łatwo przebiły skórę, pies zawył i skręcił się rozpaczliwie, usiłując dosięgnąć zębami napastnika. Uderzyły potężne skrzydła, i jeszcze raz; wzbija się śnieżna kurzawa. Wszystkie cztery psie łapy znalazły się pół metra nad ziemią.

-- Zabij ją! -- Kacper przekrzyczał niemilkający skowyt.

Sowa szarpała z furją, ale nie mogła rozerwać skórzanych pasów, które przytrzymały zdobycz. Nie rezygnowała, młóciła skrzydłami, a krople gorącej krwi pryskały na wszystkie strony.

Sygnalista obserwował przez chwilę tę walkę, potem powoli odłożył oszczep i wysunął z pochwy nóż. Podpełznął bokiem, na łokciu, a kiedy podmuch spod skrzydeł wypełnił mu kaptur, dwoma krótkimi błyskami noża odciął rzemienie uprzęży.

Ptak wzleciał ciężko. Osłabły pies już bezwładnie zwisał w zaciśniętych szponach.

Oszołomiony gwałtownością ataku Kacper zerwał się na nogi, zatoczył na sanie.

-- Czemu to zrobiłeś? -- wychrypiał.

Stach podniósł się ostrożnie z powalanego krwią i sierścią śniegu, schował nóż i dopiero wtedy spojrzął na brata spod ubielonych rzęs.

-- Nie miał szans. I tak zdechłby od ran.

-- Ale przecież bez przewodnika zaprzęg pójdzie o wiele gorzej.

-- Wiem, dlatego rozpuścimy psy.

-- Zwariowałeś?

-- Poradzimy sobie bez nich. -- Potrząsnął głową, głos nieco mu złagodniał. -- To najlepsze wyjście. Dzikie zwierzęta dotychczas trzymały się z dala od Ruin. Odstraszał je hałas i woń złomiarzy, ale teraz, kiedy do lasu uciekło tak wielu ludzi, nie wiadomo, jak będzie. Może wypłoszyli stamtąd nie tylko tę sowę... -- Rozłożył dłonie. -- Lepiej, żeby drapieżniki polowały na psy, nie na nas.

Kacper przypomniał sobie własną ucieczkę przed wilczą watahą. Przyklęknął i zacisnąwszy zęby, poprzecinał resztę rzemieni. Ogłupiałe ze strachu zwierzęta umykały z podkulonymi ogonami, szukając kryjówek wśród gruzów, byle zniknąć jak najszybciej spod otwartego nieba.

Gdy przepadł ostatni, chłopiec zabrał worek z mięsem, a Stach podniósł oszczep. Pchnęli sanie w dół ulicy; sunęły przez jakiś czas z chrzęstem, podskoczyły na nierówności i wbiły się do połowy w zasępę.

-- Co teraz? -- zapytał młodszy z braci.

Sygnalista wskazał wyciągniętym ramieniem sam środek doliny, gdzie najwyższe piętra wież wciąż ociekały słoneczną pozągą.

Zbiegli w dół długiej, bardzo szerokiej arterii, nie zatrzymując się nigdzie po drodze. Z obu stron ciągnęła się zwarta zabudowa zachowana lepiej niż na przedmieściach. Stare mury pokrywały liczne ślady po wyprutych metalach, brakowało rynien, blaszanych parapetów i klamek u bram, ale w wielu oknach zachowały się szyby, a gdzieniegdzie wisały nawet firanki. Tam, gdzie kanały przebiegały płytko pod powierzchnią gruntu, śnieg topniał, odsłaniając długie pasma spękanego asfaltu i nagiej ziemi; ciepłem parowały także niektóre z piwnicznych okienek. Przed wejściami do wielu domów wały się sterty odpadów pozostawione tu przez pokolenia złomiarzy. Kroki dźwięczały głośno w pustej ulicy, wiatr podzwaniał w soplach i zmiatał śnieg z wysokich dachów.

Bez przygód dotarli między lśniące wieże, zziajani, ocierając ciekące po biegu nosy. Zmrożony, twardy jak skała śnieg był gęsto zryty płożami w garby i bruzdy, które krzyżowały się we wszystkich kierunkach. W cieniu ogromnych budynków zrobiło się zaciszniej, ale i mroźniej. Gdy Kacper spojrzał w górę i dostrzegł odbijające się w szybach wyższych pięter obłoki, zakręciło mu się w głowie.

-- Są chyba wyższe od naszego urwiska! -- zawołał z podziwem. -- Czy każda ma własny wyciąg z kieratem?

-- Oko by ci zbiegło, gdybyś zobaczył, jak naprawdę żyli tu ludzie -- odburknął Stach. -- Nawet za tysiąc lat nie będziemy podobni do nich. Może uda nam się pokonać Lucyfera, zejdziemy z gór i zasiedlimy niziny, ale tak naprawdę nic się nie zmieni. Nadal będziemy się bać zamieci, dzikich zwierząt i głodu.

-- Więc po co tu wracać? -- Kacpra zaniepokoiła gorycz, którą usłyszał w głosie brata.

-- Bo nasza przeszłość jest wszystkim, co mamy. Gdybyśmy przez ostatnie trzysta lat nie mogli patrzeć na te wieże, choćby z daleka, dzisiaj może już by nas nie było.

Niespodziewanie rozległ się wyższy od wiatru świst i o pół kroku przed Stachem wbiła się w śnieg strzała. Kacper cofnął się gwałtownie, ale sygnalista powstrzymał go uniesieniem dłoni.

-- Spokojnie. Nie ruszaj się, bo następny strzał nie chybi. -- Zmrużył oczy, wodząc wzrokiem po dachach pobliskich domów. -- Jeden stoi tam, na narożnym budynku. W prawo, za kominem, kryje się drugi.

-- Czego od nas chcą?

-- Pewnie tego samego co wszyscy. Rzuć worek przed siebie.

-- Umrzemy z głodu!

-- Być może, ale jeśli tego nie zrobisz, umrzemy od razu.

Chłopiec cisnął worek na śnieg. Był czerwony z gniewu i upokorzenia.

-- Tylko skończone łotry rabują żywność!

-- Kotlina jest teraz pełna skończonych łotrów. -- Stach ukradkiem spojrzał w prawo i w lewo, znowu zatrzymał wzrok na roziskrzonych krawędzi dachu. Nagle drgnął. -- Uciekaj do wieży!

-- Co się dzieje?

-- Widziałem błysk grotu, chyba znowu będzie strzelał. Chce nas wykończyć. Ruszaj! -- Odepchnął brata w tej samej chwili, gdy powietrze przeszył jękliwy świst strzały.

Kacper padł twarzą w śnieg, poderwał się natychmiast i skoczył w kierunku szklanych, zmatowiałych od lodu, w pół rozsuniętych drzwi budynku. Przebiegł kilkanaście kroków, rzucił się głową naprzód do przestronnego wnętrza i potoczył w bok. Przez przezroczystą ścianę widział nadbiegającego sygnalistę. Następna strzała przemknęła nad jego głową i odbiła się od skrzydła drzwi, pozostawiając na nim pajęczynę pęknięć.

Kiedy Stach znalazł się wreszcie poza zasięgiem łuku, wściekły Kacper sypnął mu w twarz garścią śniegu.

-- Nie rób tego nigdy więcej!

-- O co ci chodzi?

-- Nie musisz mnie chronić jak dzieciaka.

Stach strzepnął z zarośniętych policzków biały puch, niedbale wzruszył ramionami.

-- Tamci widzieli, że jestem uzbrojony. Było jasne, że najpierw zechcą ustrzelić mnie. Dzięki temu miałeś więcej czasu na ucieczkę.

-- Ale ty mogłeś zginąć!

-- Nie sądzę. -- Stach odwrócił się nieco i przez ramię spojrzał na własne plecy. Nad lewą łopatką sterczały pierzaste lotki strzały.

Kacper wstał chwiejnie i oparł się o ścianę zrobioną z gładkiego materiału przypominającego przydymione szkło.

-- Jesteś ranny... -- Trzęsa mu się broda. -- Czy bardzo cię boli?

-- Ani trochę. -- Sięgnął za siebie, złapał strzałę i jednym mocnym szarpnięciem wyrwał skrwawiony grot. -- Nawet nie zaswędziało.

Kacper stał oniemiały. Był bardziej przerażony tym, co zobaczył, niż niebezpieczeństwem sprzed paru chwil. Stach złamał strzałę na kolanie i uśmiechnął się kwaśno, nie patrząc bratu w oczy.

-- Ścierwo Lucyfera to nie amulet jak wilcze kły albo pazury niedźwiedzia. Ono naprawdę chroni. -- Poruszył zranionym barkiem, nie syknąwszy nawet z bólu. -- Taka rana nie jest teraz dla mnie groźniejsza od drzazgi pod paznokciem. Ledwie parę kropel krwi, nawet nie ma czego opatrywać.

Kacper ochłonął z wolna i cisnąc palcami skronie, usiłował zebrać myśli. Zaczynał pojmować dziwne zachowanie brata w ciągu paru ostatnich dni.

-- Nie musisz spać, nie musisz jeść... Trudno cię zabić. -- Zmarszczył brwi. -- Czy to znaczy, że stałeś się nieśmiertelny?

-- Nikt nie jest nieśmiertelny. Oddałem się pod opiekę Lucyfera, ale kiedyś będę musiał za nią zapłacić.

-- Jak?

-- Nie twoja sprawa! -- ofuknął starszy brat młodszego swoim zwykłym, wiecznie poirytowanym tonem. -- Im mniej wiesz, tym mniej zrządzisz.

Chłopiec wziął się w garść. Rozumiał, że w tej chwili nie wyciągnie ze Stacha już nic więcej.

Rozejrzał się w przestronnym wnętrzu pełnym słonecznego blasku. Rozświetlone ściany dawały złudzenie otwartej ze wszystkich stron pustki. Na gładkiej szachownicy posadzki, wyłożonej jasnymi i ciemnymi płytami marmuru, niewiele było śladów bytności złomiarzy -- chyba stronili od nocowania w tym

dziwnym miejscu, które zapewniało wprawdzie ochronę przed wiatrem i śniegiem, lecz każde ognisko mogło być dostrzeżone z bardzo daleka.

Środek holu zajmował betonowy rdzeń wieży z pustymi szybami wind i ciemną klatką schodową, dawno już ogołoconą z metalowych poręczy. Gęsto najeżony błyszczącymi sopłami sufit do złudzenia przypominał stalaktytowe sklepienie jaskini.

-- Trudno będzie się tutaj ukryć... -- Kacper bezwiednie dotknął spękanej po uderzeniu strzały tafli drzwi. -- Myślisz, że teraz dadzą nam spokój?

-- Chyba nie będą tracić czasu na ściganie nas. Ostatnio w Ruinach nie brakuje ofiar do złupienia.

-- Którędy uciekniemy?

-- Jeszcze nie wiem. -- Stach sięgnął za pazuchę. Zaniepokojony krzykami i wstrząsami szczur nie kwapił się do wyjścia i trzeba było siłą wyciągać go za ogon. -- Czas, żebyś pokazał, co potrafisz, przyjacielu.

Postawiony na zimnej podłodze gryzoń pisnął nieufnie, skrobął różowymi łapkami marmur; wskoczył na but Stacha i po jego nogawce próbował wspiąć się wyżej, ale ten go strząsnął.

-- Dosyć grzania zadu, tłuściochu. Szukaj.

Szczur przetoczył się z grzbietu na cztery łapy, przymknął czarne ślepia i węszył długo, poruszając leniwie na boki końcówką nagiego ogona. Znienacka pomknął prosto przed siebie, ślizgając się lekko na cieniutkiej, niewidocznej warstwie lodu. Przeciął jasny hol, zatrzymał się na moment u wejścia do szybu windy, skąd wykuto nawet żelazne obramowanie po drzwiach, a potem skoczył w ciemność.

-- Uciekł! -- krzyknął Kacper.

-- Nie zrobiłby tego, jest zbyt wygodny. Urodził się w klatce, nigdy nie musiał zdobywać pożywienia. Wie, że beze mnie zginie. -- Stach zarzucił oszczep na ramię. -- Chodźmy.

Kacper bez przekonania podreptał za bratem, oglądając się jeszcze na niewyraźny zarys dachu, gdzie czatował łucznik.

-- Myślisz, że wskaże nam drogę ucieczki?

-- Nie. Jest szkolony do szukania ciał w gruzach. Nikt nigdy nie widział trupa ostatniego mieszkańca Ruin, dlatego sądzę, że umarł w swojej kryjówce, gdzie nie dobrały się do niego dzikie zwierzęta. Jeśli wciąż gdzieś tutaj jest, szczur zaprowadzi nas do niego.

Wątpliwa nadzieja Kacpra ulotniła się natychmiast. Przez chwilę zwątpił nawet w zdrowe zmysły brata.

-- Jeśli to takie proste, dlaczego nikt wcześniej tego nie próbował? -- Podbiegł parę kroków, zrównał się ze Stachem.

-- Nie powiedziałem, że to proste. -- Stach skrzywił się cierpko.

Stanęli przed prostokątnym otworem w betonowej ścianie. W szybie huczało echo wiatru. Kacper złapał jedną ręką za krawędź muru, wychylił się ostrożnie i spojrział w górę. Zobaczył zatrważająco długi, ciemny komin w regularnych odstępach pocięty snopami światła z kolejnych pięter. U szczytu przez dziurę w dachu widać było mały fragment zachmurzonego nieba. Cofnął się, nim na dobre zawirowało mu w głowie, przyklęknął i rzucił w mroczną pustkę na dole mały kawałek betonu. W skupieniu nasłuchiwali odgłosu upadku.

-- Niżej są chyba jeszcze ze dwa albo trzy poziomy -- ocenił Stach po chwili milczenia. -- Powinien wystarczyć mój sznur.

Rozpiął kurtę, podciągnął pod brodę wełnianą koszulę, ukazując cienką, ale bardzo wytrzymałą linę, którą obwiązał się w pasie. Kacper pomógł mu odwinąć długie sploty i zapętlił jeden koniec sznura na metalowym pręcie -- złomiarze nie zdołali wyrwać zbrojenia z betonowych ścian -- a drugi spuścił w dół.

Stach pierwszy zanurkował w głąb szybu, a Kacper zaraz po nim. Stanęli obok siebie w mrocznym podziemiu. W resztkach dobiegającego z góry światła dostrzegali tylko jaśniejsze plamy swoich twarzy. Wyczuwali wokół rozległą przestrzeń. Powietrze zdawało się odrobinę cieplejsze niż w holu.

Sygnalista grzebał przez jakiś czas w kieszeni, potem trzasnęła zapalka i mały płomyk przeskoczył na knot łojowej lampki. W drżącym blasku mogli się rozejrzeć w najbliższym otoczeniu.

Zobaczyli uporządkowany las betonowych filarów o kwadratowym przekroju, które łączyły gładkie, bezkresne płaszczyzny podłogi i stropu. Na pobliskich słupach mogli dostrzec jakieś litery, symbole i strzałki -- kolejne ginęły w gęstniejących ciemnościach.

-- Wiem, gdzie jesteśmy -- powiedział cicho Stach. -- Czytałem o podobnych miejscach. W pierwszych dziesięcioleciach po Upadku stały tutaj setki pojazdów, które złomiarze pocięli na kolorową blachę.

Z góry dobiegł jakiś niewyraźny szelest i Kacper pośpiesznie odsunął się spod szybu.

-- Tamci chyba nie mogli tak szybko zejść z dachów... -- szepnął.

-- Nie oni, to inni, co za różnica. Teraz bezpieczniej spotkać wilka niż człowieka.

-- Co zrobimy?

Stach gwizdnął cicho. Z mroku odpowiedział krótki, szczurzy pisk.

-- Idziemy -- zakomenderował.

Posuwali się ostrożnie od filaru do filaru, starając się stąpać możliwie bezgłośnie. W zasięgu rozkołysanego kręgu światła lampki coraz częściej pojawiały się fragmenty samochodów, których złomiarze nie wynieśli z podziemnego parkingu -- koła o sparciałych oponach, rozprute fotele, szyby, nawet całe pozbawione karoserii podwozia. Choć Kacper widział już wcześniej to wszystko na fotografiach w Bibliotece, aż sapał głośno ze wzruszenia. Wydawało mu się, że niektóre z tych maszyn można by sklecić na powrót z porozrzucanych części, uruchomić i wskrzesić w ten sposób jakąś cząstkę przeszłości. Podniósł urwaną kierownicę, zacisnął na niej obie dłonie i przymknąwszy oczy, wyobraził sobie, że gdzieś po tamtej stronie czasu ktoś inny trzymał ją w podobny sposób.

-- Zostaw to! -- syknął Stach. -- Poświeć mi tutaj.

Pochylił się nad kwadratową dziurą, która ziała w betonowym podłożu. Gwizdnął znowu -- tym razem niepokojąco długo czekali na odzew, nim wreszcie go usłyszeli. Był przytłumiony odległością i zniekształcony echem.

-- Po co tam włąził, głupi spaślak? -- Kacper na rzemieniu opuścił lampkę do otworu. Zobaczyli ceglane ściany i kilka pierwszych klamer, które schodziły w głąb. -- Stąd musi być jakieś inne wyjście.

-- Wyjazdy pewnie zasypał śnieg, ale nawet gdyby było inaczej, co z tego? Powiedziałem ci już, po cośmy tu przyszli.

Kacper przykucnął nad ciemną studnię i wyraźniej poczuł na twarzy ciepłe tchnienie.

-- Nie wierzę, że ktoś wybrał sobie takie miejsce na mieszkanie.

-- Nie zapominaj, że złomiarze go nienawidzili. Musiał się ukrywać, wychodził tylko nocami.

-- Ale to przecież kanał! Sam mówiłeś, że tam jest niebezpiecznie i... -- Nie dokończył. Daleko z tyłu, w kolumnie słabego światła, pod szybem windy, poruszyły się jakieś cienie i dobiegały podniecone głosy.

-- Jedno jest pewne. -- Stach uśmiechnął się zimno. -- Dalej nie będą nas ścigać.

Na zamulonym dnie studzienki było niewiele miejsca. Z trudem zmieścili się tam obaj. Ocembrowany betonowymi kręgami kanał ciągnął się w obu kierunkach. Średnica czarnego tunelu nie przekraczała metra. Musieli przykucnąć, żeby zajrzeć do środka. Dnem leniwie ciekła gęsta, cuchnąca struga, ze szpar między kręgami kapiała woda.

Stach gwizdnął. Pogłos bardzo długo dobrzmiewał w mroku. Szczur odezwał się ze strony, w którą płynął nurt -- kanał wydawał się tam cieplejszy, w świetle lampki ulatywały strzępki pary.

-- Czy on na pewno wie, czego szuka? -- Kacper zaparł się obiema rękami na krawędziach cembrowiny i wetknął głowę do tunelu; wyraźniej usłyszał dalekie odgłosy, które przypominały ludzkie westchnienia i jęki.

-- Za późno na wątpliwości. Idziesz sam, czy mam cię wepchnąć?

Z dreszczem wstrętu chłopiec upadł na kolana, chwycił ramię lampy w zęby i na czworakach ruszył w głąb kanału. Z początku odór rozmarzłego ścieku był tak intensywny, że Kacper mimo woli wstrzymywał oddech. Kilka razy był bliski omdlenia. Po kilkudziesięciu metrach pełzania w gnoju przestał na to zważać i poświstując głośno przez nos, parł naprzód, byle jak najszybciej mieć za sobą tę mordęgę. Choć starał się opierać dłonie jak najszerzej, poza nurtem, do rękawic szybko przeniknęła lepka wilgoć. Z czapy na twarz ściekały brudne strużki, kolana taplały się w grząskim mule, w butach chlupotała woda. Słyszał z tyłu strudzone sapanie brata, który wciąż włókł ze sobą oszczep.

Nabrał otuchy, gdy zobaczył przed sobą światło, lecz rychło przekonał się, że to tylko prześwit małej studzienki w sklepieniu kanału. Zatrzymał się tam na chwilę, wystawiając twarz na czysty, mroźny podmuch, i nieco pokrzepiony ruszył dalej. Robiło się coraz cieplej, pocił się obficie. Stopniowo wzbierał bury nurt.

Zmęczony, na wpół przytomny, źle postawił rękę, poślizgnął się i padł na prawy bark. Nim Stach podniósł go szarpnięciem za kołnierz, zachłysnął się błotnistą cieczą. Długo dochodził do siebie, plując i parskając.

-- Zgubiłem lampę. -- Oprzytomniał wreszcie na tyle, by spostrzec, że tunel wypełniła smolista czern.

-- Co za różnica? Tutaj nie można zabłądzić. Jeszcze trochę wysiłku.

Brnęli dalej środkiem coraz głębszego ścieku. Echo każdego kaszlnięcia huczało w betonowej gardzieli niczym daleki grzmot. Przeczogli się pod kolejną studzienką i na rozgrzane czoło Kacpra spłynęło kilka płatków śniegu. Niebawem z lewej strony, a także kilkanaście metrów dalej z prawej zaszumiały strugi niewielkich dopływów. Skończyły się betonowe okrągłaki -- chłopiec wyczuł pod rękawicą regularny wzór ceglanego muru. Wydało mu się, że znowu widzi światło. Chciał się odwrócić do brata i powiedzieć mu o tym, gdy nagle stracił oparcie i poleciał głową naprzód.

Na szczęście nie było wysoko. Spadł o pół metra w głęboki po kolana, rwący bystro strumień. Poderwał się szybko, kilkoma mrugnięciami strącił z powiek ciepłe krople i dezorientowany okręcił się dookoła.

Stał w szerokim korytarzu o łukowatym sklepieniu z poczerniałych cegieł -- wystarczająco wysokim, żeby mógł swobodnie rozprostować plecy. Pośrodku pluskał spieniony nurt -- ścieki rozplływały się w czystej wodzie z topniejącego śniegu. Wzdłuż obu ścian ponad nurt wystawały wąskie, miejscami podmyte chodniki. Nie było tu już tak duszno i parno -- spocony kark przyjemnie chłodził przeciąg. Z góry mżył słaby blask.

Kacper zrzucił przemoczoną rękawicę i sięgnął do sklepienia -- w ukośnym murze znalazł głęboką wnękę zamkniętą z drugiej strony żeliwną kratą o prześwitach wypełnionych lodem.

-- Cały jesteś? -- Stach ostrożnie opuścił się na chodnik i nie czekając na odpowiedź, wskazał za siebie na okrągłą dziurę w ścianie, z której właśnie się wydobył. -- Na pewno nie czołgał się tędy za każdym razem. To tylko droga ucieczki. Musiał mieć też dogodniejsze przejście. Znajdziemy je.

Ściągnął rękawice oraz czapę i przysiadłszy na podmurówce, zsuł buty. Zepchnął wszystko do wody i patrzył spokojnie, jak części odzieży spływają z nurtem.

-- Co ty wyprawiasz? -- Kacper w dwóch skokach znalazł się przy nim.

-- Te ugnojone łachy już nie będą mi potrzebne. -- Rozpiął kurtę i pozwolił, żeby zsunęła się z ramion, potem zdarł koszulę przez grzbiet i ściągnął spodnie.

-- Kiedyś przecież będziemy musieli stąd wyjść!

Nagi, białoskóry sygnalista z westchnieniem zadowolenia podrapał się po wychudzonych bokach.

-- Mówiłem, żebyś się o mnie nie martwił. Lucyfer nie pozwoli mi zamarznąć.

Chłopiec skupił wzrok na małym woreczku, który ciemniał na bladej piersi brata. Tamten pochwycił to nieufne spojrzenie, mocnym szarpnięciem zerwał rzemyk i cisnął mieszek w ślad za koszulą połyskującą bielą na powierzchni wody. Kamień od razu poszedł na dno.

-- Zaskoczony? -- Sygnalista uśmiechnął się. -- Niepotrzebnie. Nosilem go wystarczająco długo, żeby stał się częścią mnie.

-- Nie rozumiem... Gdzie teraz jest ścierwo Lucyfera?

-- Tutaj. -- Wskazał kciukiem miejsce pośrodku piersi, pomiędzy tarkami żeber.

Kacper dostrzegł na skórze małe, okrągłe znamię nie większe od źrenicy. W słabym oświetleniu nie widział szczegółów, ale wydawało mu się, że wypukłą brodawkę porastają kępki drobnego meszku.

-- Zaraziłeś się tą pleśnią! -- Oparł plecy o mokrą ścianę i na chwilę zamknął oczy, żeby ochłonić.

-- Lucyfer jest teraz we mnie: odżył, rozrasta się. Potrzebujemy się nawzajem. Ja go żywię, a on mnie chroni.

-- A co potem? W jaki sposób się go pozbędziesz?

Stach przykucnął. Zmarszczywszy brwi, musnął końcami palców pianę przy brzegu. Zamiast odpowiedzi gwizdnął cicho, odczekał chwilę, spróbował jeszcze raz. Z obu stron korytarza pluskała woda, ale nie było słychać niczego więcej.

Kacper próbował sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni słyszał szczurzy pisk. Chyba niedługo po tym, jak zagłębili się w kanał.

-- A jednak uciekł... -- Miał wrażenie, że wokół gęstnieje nieokreślone niebezpieczeństwo.

Stach potrząsnął głową, położył palec na ustach. W napięciu patrzył w górę korytarza, jakby potrafił przeniknąć wzrokiem skłębioną ciemność. Podniósł oszczep, czekał jeszcze przez chwilę, a potem nagle dźgnął w sam środek strumienia. Gdy uniósł drzewce, na grocie wisiał ociekający wodą, martwy szczur. W miejscu, gdzie powinna być głowa, kołysał się jedynie krwawy strzęp.

-- Zginął od razu, inaczej słyszelibyśmy odgłosy walki -- osądził, oglądając go z bliska. -- Musimy iść tam, skąd przypłynął.

W dwóch susach przesadził ściek. Gdy znalazł się pod przeciwległą ścianą, gestem nakazał bratu marsz w górę korytarza.

Posuwali się krok za krokiem wąskimi chodnikami, rozdzieleni nurtem, uważając na pęknięte lub obluzowane cegły. Pasiasty deseń światła przeciekającego przez oblodzoną kratkę ześlizgnął się ze ścian, niebawem ogarnęły ich całkowite ciemności.

Kacper stąpał ostrożnie, lewą dłonią wodząc po ścianie, w prawej ściskając nóż. Przy każdym kroku w butach przelewała się woda. Zimny powiew chwilami przybierał na sile i mierzwił mokre włosy. Z bijącym sercem nasłuchiwał odgłosów, które napływały z mroku, próbował w porę przewidzieć niebezpieczeństwo. Niecierpliwie wypatrywał prześwietu następnej kratki, do której przecież kiedyś powinni dotrzeć. Bardzo pragnął usłyszeć głos Stacha, choćby tylko zniecierpliwiony pomruk, ale sam bał się pierwszy odezwać.

Nagle szumiącą ciszę zakłócił jakiś nowy dźwięk -- nieregularny, słaby stukot podchwycony w dole kanału przez zwodnicze echo. Spojrzał w bok, starając się odgadnąć, czy Stacha także to zaniepokoiło. Niespodziewanie dostrzegł majaczące w mroku źrenice brata, jakby podświetlone wewnętrznym blaskiem. Zakrył usta dłonią, żeby nie krzyknąć; na szczęście sygnalista zaraz odwrócił wzrok i fosforyzujące plamki zgasyły.

-- Co z twoimi oczami? -- jęknął.

-- Wszystko w porządku, tak ma być -- z tamtej strony korytarza napłynął zduszony szept. -- Cicho, jesteście już blisko.

Po kilkunastu następnych krokach Kacper wreszcie zobaczył przed sobą światło, ale nie takie, o jakim marzył. Smuga siniego blasku drżała na pomarszczonej wodzie, przenikając najniższe pasma oparów. Źródło jasności musiało się znajdować bardzo nisko -- po tej stronie kanału, którą szedł Stach. Po dłuższej chwili ciszy stukot rozbrzmiał dużo głośniej. Przypominał teraz nierówne, natarczywe pukanie do drzwi.

Kacper znowu przystanął, bez skutku próbując obetrzeć z twarzy wilgoć. Właściwie się nie bał. Zbyt intensywna groza spowodowała otępienie. Podjął marsz, nie skradając się już, z fatalistyczną pewnością oczekując najgorszego. Każdy karb na rękoności noża odciskał się w spotniałej dłoni. Wszystko działo się teraz powoli, rozwlekłe, z nieuchronną konsekwencją złego snu, który trzeba wyśnić do samego końca. Rozróżniał coraz więcej szczegółów; w bocznej płaszczyźnie przeciwległego chodnika brakowało paru cegieł, puste miejsce zajmowała rdzewiejąca krata. To musiało być ujście niewielkiego dopływu -- leniwa struga wody naniosiła tu półkole niebieskawej piany. Właśnie stamtąd sączył się rozdygotany blask. Pręty krat, uderzane od wewnątrz, dźwięczały metalicznie.

-- Mogłem się tego spodziewać. -- Stach stanął okrakiem nad wąskim korytem kanału.

Kacper przyklęknął, żeby zajrzeć za kratę. W pierwszej chwili nie domyślił się, na co patrzy -- widział tylko obły, podrygujący w ciasnej przestrzeni kształt, który rozsiewał chaotyczne błyski. Dopiero gdy z ujścia bluznęła większa fala, odwracając uwięziony między cegłami przedmiot, rozpoznał podkówkę żółtawych zębów i puste dziury oczodołów.

-- Jak to możliwe? -- Nagle poczuł się bardzo słaby. Usiadł na gzymsiku, opuszczając stopy do wody.

Czasce brakowało dolnej szczęki, na ciemieniu zachowało się parę kłaczków rzadkich ciemnych włosów. Wewnątrz delikatnie tliło się jasnoblękitne światło -- łagodne i zwiewne jak nimb.

-- Nie tylko w jeziorze zdarzają się tacy topielcy. -- Stach przeczekał kolejną falę, która zagrzechotała czerepem o kratę. -- Ten musiał dawno temu wpaść do kanału. Dopóki tu leży, ścieki będą ciepłe. Daj nóż.

Podważył kratę, szarpnął -- zapiekłe zawiasy ustąpiły z trudem. Gdy czaszka wypłynęła, wsunął ostrze w pusty oczodół i podniósł ją. Zaledwie ociekła z rdzawej wody, eksplodował błękit, odrzucając ciemność

daleko w głąb kanału. Kacper odruchowo zacisnął powieki, a gdy po chwili spojrzął znowu, w mroku żarzyły się tylko oczy Stacha.

-- Co się stało? -- Oparł się o mur, odchylił głowę do tyłu. Usiłował oddychać głęboko, ale od przesyconego wilgotnym smrodem powietrza dostawał mdłości.

-- Samozapłon. Ten biedak musiał czekać tutaj na uwolnienie przez wiele lat.

-- Mówisz tak, jakbyś oddał mu przysługę...

-- Leżał tutaj i cierpiał, a teraz jest szczęśliwy. Jak myślisz, o co by mnie poprosił, gdyby mógł mówić?

-- Wszystko jedno, tak czy inaczej, to koniec. Twój szczur znalazł nie tego trupa, którego potrzebujemy.

-- Nie doceniasz go, a przecież doprowadził nas prawie do celu. -- Sygnalista spojrzął w górę. Jego źrenice jarzyły się wystarczająco mocno, aby oświetlić łuk sklepienia.

Kacper podążył za jego wzrokiem. W płytkiej wnęce dostrzegł szary prostokąt żelaznej kłapy. Nie zdążył nawet ocenić tego odkrycia, gdy zniemacka uchwycił kątem oka ruch na chodniku -- tam, gdzie ciemność mieszała się z łagodną jasnością.

-- Trzymaj, będzie ci potrzebny. -- Stach oddał mu nóż, nie podnosząc głosu ani o ton. -- Teraz możesz udowodnić, że na niego zasługujesz.

Atak nastąpił tak szybko, że Kacper miał czas tylko na odruchy; odchylił się w bok, żeby uchronić twarz przed pazurami ogromnego szczura, ciął ostrzem na oślep. Trafił -- rozplątane cielsko plusnęło do wody, ale z głębi korytarza oboma chodnikami już sunęły następne, pobłyskując wypukłymi ślepiami. Skoczył na środek nurtu, gdzie woda sięgała mu wyżej kolan. Kilka szczurów natychmiast rzuciło się za nim, rozchlapując pianę ogonami grubymi u nasady jak kciuk.

-- Jest ich za dużo! -- krzyknął przestraszony.

Nie dosłyszał już odpowiedzi. Długie, ostre zęby przebiły pod wodą grubą cholewę buta, raniąc go w łydkę. Przeszywający ból sięgnął aż po biodro. Wyrwał stopę ze ścieku, lecz uczepony nogawki szczur owinął ogon wokół jego buta. Kacper dźgnął go czubkiem noża w kark, strząsnął mokre ścierwo i zaraz potem znowu jęknął z bólu, gdy któryś z gryzoni, ukryty pod mętną powierzchnią, ukąsił go w drugą nogę. Inny wdrapał się na ścianę i skoczył mu na plecy, kolejne popiskiwały niecierpliwie w ciemnościach.

Bronił się, walczył, zabijał jednego gryzonia po drugim, ale na miejscu tych, które spłynęły z nurtem, zaraz pojawiały się następne, całymi tuzinami. Zdawał sobie sprawę, że klęska jest już tylko kwestią czasu. Mógł sobie poradzić z każdym z osobna, ale wobec zajadłego stada nie miał żadnych szans. Był zbyt cenną zdobyczą w tym podziemnym świecie. Wiedział, że prędzej czy później, gdy osłabnie z upływu krwi, szczury dobiorą mu się do gardła.

Nagle pośród tej jatki rozbrzmiał inny niż wszystkie, krótki i przenikliwy pisk. Na mgnienie oka zrobiło się całkiem cicho, a zaraz potem woda spieniła się chłostana ogonami uciekającego stada. Chwila -- i było po wszystkim: chroboty pazurów na ceglach wsiąkły w ciemność.

Kacper chwiejnie podszedł do chodnika, usiadł ciężko. Przez jakiś czas ze świstem łapał oddech, ale gdy spojrzął wreszcie na drugą stronę korytarza, zapomniał o bólu i zmęczeniu.

Stach wyglądał strasznie. Chyba w ogóle nie bronił się przed szczurami, które dotkliwie pokąsały go po całym ciele.

Skubnął rozdartą wargę, uśmiechnął się i splunął gęstą czerwienią.

-- Moja krew jest teraz dla nich trująca. Trochę potrwało, zanim się o tym przekonały, ale to mądre bestie. Przywódca dał znak do odwrotu, kiedy zobaczył, że odpadają ode mnie martwe. -- Pod jego na wpół opuszczonymi rzęsami niezwykle jasno lśniły oczy. -- Lepiej nie czekajmy, aż wyczują, że ty jesteś inny.

Kłapa była zamknięta od środka, lecz gdy Stach ją podważył, wsuwając w szparę koniec grotu, ustąpił przerdzewiały skobel i ciężkie żelastwo opadło z łoskotem. Z ciemnego otworu buchnął mróz. Na uniesione twarze osypał się lodowy pył.

-- Pomóż mi! -- Stach wrzucił oszczep do środka, złapał się oburącz obmurowanej krawędzi otworu i po barkach brata wspiał się na górę. Po chwili z ciemności wyłoniło się jego nagie ramię. -- W porządku, włącz.

Kacper wdrapał się z trudem, pokonując piekący ból w poranionych stopach. Mokre ubranie zakrzepło w skrzypiący pancerz, a każdy zbyt głęboki oddech parzył krtań.

-- Daj zapałki -- Stach powiedział to tak swobodnie, jakby wcale nie odczuwał zimna. -- Tutaj jest piec, osuszysz się.

Chłopiec zgrabiętymi palcami wydobył z wewnętrznej kieszeni pogięte pudełko; na szczęście okazało się suche. Sygnalista pewnie poruszał się w półmroku, po ścianach skakał podwójny odbłask jego oczu. Rozpalił w piecu ogień, dorzucił parę szczapek -- niebawem zrobiło się jaśniej i cieplej. Kacper zatrzasnął kłapę, wsuwając w miejsce urwanego skobla jedną z wielu rozrzuconych wokół trzasek. Poczuł się raźniej, gdy z dołu przestał napływać podświetlony opar.

-- Gdzie jesteśmy? -- zapytał, wyciągając skostniałe dłonie w stronę blaszanego piecyka z harmonijkową rurą odprowadzającą dym przez niski strop.

-- Chyba w jakiejś piwnicy.

Kacper wstał, obszedł z wolna niewielkie pomieszczenie. Oprócz pieca, skrzyni na ubranie i kilku zakurzonych półek na ścianach nie było tu nic więcej. W rogu pod sufitem czerniał mały zakratowany otwór wentylacyjny, w którym świstał wiatr.

Zatrzymał się przed jedynymi drzwiami zbitymi byle jak z nieheblowanych desek. Były tylko przymknięte. Z uchylonej szpary ciągnął ziąb. Spojrzał niepewnie na brata, a gdy tamten skinął głową, pociągnął za kłamkę.

Druga komora wydawała się nieco większa, czerwony poblask pieca pełgał słabo na przeciwległej ścianie. Kacper dostrzegł krzyżaki podpierające blat stołu, na którym poniewierały się kuchenne naczynia i poprzewracane świece, opartą na dwóch pniakach deskę zamiast ławy, beczkę w kącie, skórzany płaszcz zawieszony na gwoździu i następne drzwi -- solidniejsze, zamknięte na żelazną sztabę. Zrobił krok naprzód, żeby zobaczyć niewidoczną od progu część pomieszczenia.

Zmartwiał. Nie mógł wykrztusić ani słowa.

Na niskim legowisku ktoś leżał. Był przykryty aż po brodę oszronionym kocem.

-- To musi być on... -- Stach wszedł za bratem, trzymając w dłoni kopnącą świecę. -- Wygląda, jakby umarł we śnie.

Zbliżyli się cicho. Sygnalista przyklęknął, oświetlając martwą twarz. Mróz bardzo dobrze zakonserwował zwłoki: głowa była lekko odwrócona w stronę drzwi, opadniętą szczękę pokrywał siwy zarost. Wokół zbrązowiałej czaszki bielił się wianuszek rzadkich włosów, czoło pokrywała gęsta siatka starczych zmarszczek. Nie widzieli oczu -- zasłaniały je okrągłe, czarne szkiełka drucianych okularów.

-- Tutaj leży coś jeszcze... -- odezwał się Kacper szeptem, wskazując drugi koniec legowiska.

Gdy Stach przeniósł tam światło, zobaczyli truchło dużego psa, który zwinął się w kącie, oparłszy pysk na nogach pana. Zdechł z otwartymi ślepiami, jakby do samego końca czuwał. W każdej z czarnych źrenic odbijał się teraz płomień.

Kacper cofnął się mimo woli, przewracając białą laskę opartą na wezglowiu legowiska.

-- Nie podoba mi się to wszystko... -- Jeszcze raz przebiegł spojrzeniem mroczne kąty. -- Sam jeden w wymarłym mieście? Musiało być mu tutaj strasznie. Dobrze, że został przy nim chociaż ten wierny pies -- szybką paplaniną starał się zagadać grozę. -- Po co mu były te ciemne szkła? Dla ochrony przed słońcem?

Stach nie odpowiedział. Schylił się po laskę i oglądał ją przez chwilę, obracając w palcach. Płomyk świecy tańczył pod jego niespokojnym oddechem.

-- Chodźmy stąd -- rzucił w końcu głucho.

-- Mieliśmy się przecież rozejrzeć...

-- Już nie trzeba.

Szarpnął sztabę drugich drzwi z taką siłą, jakby zamierzał ją wyrwać. Zaraz za progiem zaczynały się strome schody. Sygnalista wbiegł na nie bez wahania.

Zaskoczony Kacper został sam. W sąsiedniej komorze już dopalał się ogień w piecu, ze ścian powoli spełzały odblaski. Po raz ostatni spojrzął na trupa, który pod wpływem ciepła zaczynał rozmarzać: głowa opadła niżej, jakby zmarły zareagował na niespodziewane zamieszanie po dwustu pięćdziesięciu latach ciszy.

Wskoczył na schody, zatraskując za sobą drzwi. W całkowitych ciemnościach słyszał człapanie bosych stóp sygnalisty -- gdzieś bardzo już wysoko błysnęły na krótko jego odmienione, lśniące oczy. Kacper pognął za nim, objając goleń na krawędziach wysokich, kamiennych stopni. Długo jeszcze słyszał zawodzenie wiatru w przewodach wentylacyjnych piwnicznego grobowca.

Raptem załało go światło dnia i musiał na jakiś czas przymknąć oczy, chociaż słoneczny krąg ledwie przezierał zza chmur. Na oślep pokonał kilka ostatnich stopni, wydostał się z podziemi przez słabo widoczny wyłom w rumowisku wprost na ślepy zaułek otoczony wysokimi murami. Stach czekał nieopodal wsparty na oszczepie -- wyprostowana sylwetka na tle bieli.

-- Za mną -- rozkazał.

Poprowadził brata ciasnymi, oblodzonymi przesmykami między zwaliskami cegieł, unikając szerokich ulic i placów. Wiedział, dokąd idzie -- ani razu nie zawahał się przy wyborze drogi. Nie zmienił rytmu marszu nawet wtedy, gdy w wąskich przecznicach wiatr wzbijał zamieć, siekąc jego nagie ciało. Przy każdym kroku odpadały zeń zakrzepłe strupy, odsłaniając na plecach i na ramionach zaróżowioną, zdrową skórę.

Kacprowi trudno było nadążyć. Do środka porozdzieranych szczurzymi zębami butów sypał się śnieg, kostniały stopy. Czuł, że wydarzyło się coś bardzo złego, ale nie śmiał pytać o to Stacha. Chwilami wątpił nawet, czy ten dziwny człowiek o rozwianych włosach, który nie kulił się pod lodowatymi podmuchami, wciąż jeszcze jest jego starszym bratem.

Dotarli wreszcie na szczyt niewysokiego, bezdrzewnego wzgórza, które wznosiło się już za miastem -- po przeciwnej stronie niż okalający ruiny od południa górski łańcuch. Wiało mocno, chmury sunęły bardzo nisko, ocieniając kotlinę przedwczesnym zmrokiem. Ze śniegu sterczały suche badyłe krzewów -- Stach naciął nożem całe naręcze, ułożył w stos i nakazał chłopcu rozpalic ogień. Kacper biedził się z tym długo,

zapalki gasły na wietrze w zdrętwiałych palcach, lecz w końcu zdołał rozniecić płomień, który szybko przeskakiwał z patyka na patyk.

Gdy podniósł łzawiące od dymu oczy, zobaczył, że jego brat stoi nad północnym skłonem wzgórza, przyglądając się płaskiej, bezkresnej nizinie, nad którą bez żadnych przeszkód przetaczała się potężna śnieżna kurzawa. Podszedł do niego, przytrzymując kaptur przy każdym mocniejszym podmuchu.

-- Dlaczego zatrzymaliśmy się właśnie tutaj? -- zapytał gniewnie. -- Wieje z każdej strony.

-- Stąd widać je najlepiej.

Dopiero teraz Kacper zorientował się, na co patrzy Stach. Zamieć chwilami cichła, jakby zbierając siły do nowego tańca -- można było wtedy dostrzec szerszą połąć białej równiny, czasem nawet pusty horyzont. W dole, między grzbietami zasp, posuwał się wolno rozciągnięty wąż pingwiniej pielgrzymki. Ptaki kolebały się w marszu, niekiedy podbiegały kawałek, rozcapierzając małe skrzydła; po paru sekundach czarne grzbiety znowu ginęły z zadymce.

-- Odchodzą nad morze... -- Sygnalista przykucnął w głębokim śniegu. -- Pójdę za nimi.

Zaskoczony Kacper gwałtownie potrząsnął głową, jakby chciał się w ten sposób obronić przed przyjęciem do wiadomości tego, co usłyszał.

-- Nie posłużyło ci to bieganie z gołym tyłkiem -- wymruczał wreszcie. -- Wracamy do przysiółka.

-- Morze jest pełne życia, nie zamarza przez cały rok.

-- I co z tego?

-- Każdy myśliwy wie, że Świetliki nigdy nie zapuszczają się daleko nad otwartą wodę. Na pewno trzymają się wybrzeża i nigdy nie dotarły do odległych wysp. Tam właśnie musimy się przenieść.

-- Co ty opowiadasz, na Boga?

-- Dojdę nad morze, pingwiny znają najdogodniejszą drogę. Zbuduję tratwę i popłynę dalej. Kto wie, co znajdę? Może ludzi, może całe miasta, porty, fabryki, plantacje? A może tylko skrawek pustego, bezpiecznego lądu, gdzie będzie można zacząć wszystko od początku. Jeśli mi się uda, przygotujecie się wszyscy do drogi i opuścicie góry na zawsze.

-- Nie możesz być przecież pewien, że takie wyspy naprawdę istnieją! To tylko marzenie...

-- Wszystkich wielkich odkryć dokonali marzyciele.

Kacper uchylił kaptura, próbując dostrzec w zadymce półkole siniego widnokregu. Wydawało mu się, że ta przerażająca pustynia musiała być bezludna nawet przed Upadkiem.

-- Już postanowiłeś, prawda? -- wyszeptał.

-- Wiele lat temu.

-- Pójdiesz samotnie? Bez zaprzęgu?

-- Psy mogłyby spłoszyć pingwiny, przecież wiesz. -- Stach spojrzął na brata, jego głos złagodniał. -- Wszystko będzie dobrze. Mogę iść bez odpoczynku i bez jedzenia jeszcze przez wiele dni. Dojdę.

-- A potem wrócisz?

Sygnalista nie odwrócił fosforyzujących oczu. Położył chłopcu na ramieniu szczupłą dłoń, na której topniały padające płatki śniegu.

-- Nie bądź dzieckiem. Wiesz, że to niemożliwie. To, co mam w sobie, trawi powoli moje ciało od środka.

-- Musi być na niego jakiś sposób!

-- Jest tylko jeden. Gdy poczuję, że już czas, ułożę gdzieś nad brzegiem morza stos. Widziałeś przecież na Krzywym Wierchu, jak to się robi. Tylko ogień niszczy Lucyfera, nic innego.

Kacper wymarzył nagle aż do głębi, do samych trzewi.

-- Nie możesz tego zrobić...

-- Muszę. Teraz Lucyfer daje mi siłę i wytrzymałość, bo jestem jego żywicielem, ale w końcu moje ciało zamieniłoby się w kupę drgającej pleśni, z której wyłoniłaby się brudna dusza. Taka, jaka wpadła do ognia, kiedy byłeś po raz pierwszy w sygnalizatorni. Pamiętasz? W porównaniu do takiego losu parę chwil bólu i strachu na stosie to naprawdę nic wielkiego. -- Pieszczotliwie klepnął brata w policzek, jak robił przed laty, kiedy obaj byli dziećmi. -- Wszystko dobrze przemyślałem, wiem, co robię. Wypatruj jesienią powrotu pingwinów. Jeden z nich będzie miał na nodze skórzaną opaskę. Podod spodem znajdziesz wiadomość ode mnie. Jeśli znajdę nad morzem lepsze miejsce do życia niż tutaj, zbierzesz wszystkich ocalałych i pójdziesz moim śladem.

Kacper wyczuwał ciepło jego ręki nawet poprzez kurtę. Nie wiedział, co powiedzieć, nie potrafił okazać żalu; ssła go od wewnątrz czcza pustka, bardzo podobna do uczucia fizycznego głodu, a nade wszystko przytłaczało bezbrzeżne zmęczenie.

-- Okłamałeś mnie... -- szepnął.

-- Po prostu nie powiedziałem całej prawdy. Tak było łatwiej. Nie masz powodu się o mnie martwić. Zawsze chciałem zobaczyć kawałek świata. -- Urwał, jakby trudno mu było dobrać właściwe słowa, i dokończył już ciszej: -- Ty będziesz potrzebował znacznie więcej odwagi.

Kacper zrozumiał, że wszelkie strachy, których doświadczył w swoim krótkim życiu, prowadziły go właśnie do tej chwili na wzgórzu, pośród zamieci, pod zmierzchającym niebem. Nie był w stanie się odezwać, oddychał z trudem przez zaciśnięte zęby; struchlały czekał na to, czego nawet nie śmiał się domyślać.

-- Nie ma żadnego cudownego sposobu na Świetliki. Ten człowiek, którego znaleźliśmy w podziemiach, był niewidomy. Tak samo jak nasz dzwonnik. Ślepotą uchroniła ich obu przed opętaniem, bo nie mogły ich skusić blaski Lucyfera.

Kacper znowu potrząsnął głową, jakby chciał zaprzeczyć temu, co niewypowiedziane, co kryło się za słowami Stacha.

-- Czy to znaczy, że... wszystko na nic? Przegraliśmy?

Wrócili do ognia. Przyduszone wiatrem płomienie lizały śnieg.

-- To znaczy, że pewnie nie uda wam się przetrwać w przysiółku ani tym bardziej w osadzie. Niedługo odnajdzie cię tutaj Bibliotekarz. Wiem, że mu nie ufasz, ale tylko on może jeszcze coś wymyślić. Pilnuj, żeby ognisko nie zgasło. To umówiony sygnał dla niego. -- Stach rozejrzał się jeszcze raz po grzbiecie wzgórza, chyba już tylko po to, żeby odwlec choć trochę tę chwilę, od której już nie będzie odwrotu. Potem lekko stuknął brata pięścią w ramię, jak robił to przed laty, kiedy chciał rozgonić jego dziecięce smutki. -- No, bywaj. Dasz radę.

Odwrócił się i zbiegł po północnym stoku, czasem ześlizgując się na tyłku. Kacper nie ruszył się od ognia. Wokół wzgórza już zaczynał ścielić się mrok.



Długo czekał, drzemiąc na siedząco, słuchając wiatru i od czasu do czasu podsycając ogień. Nie rozmyślał, nie był ciekaw przyszłości. Przeczuwał, że zwycięstwo nad Lucyferem -- jeśli w ogóle się ziści -- może przynieść więcej goryczy od najgorszej klęski.

Ściemniało się już, gdy w przerwach między podmuchami usłyszał chrapliwy oddech strudzonego wędrowca podchodzącego pod szczyt wzgórza. Nie musiał patrzeć w tamtą stronę, żeby odgadnąć, kto się zbliża.

-- A jednak Stach nie zczekał na mnie, jak widzę. Wolał uniknąć tego spotkania. -- Łukasz rozpiął długi kożuch i przykucnął po drugiej stronie ognia. -- Cały on. Do końca niezależny. Może obawiał się tego, co mam mu do powiedzenia. Ale za to my znowu się spotykamy, chociaż tak bardzo chciałeś przede mną uciec. Mam nadzieję, że tym razem okażesz mi więcej zaufania.

W półcieniu kaptura bieląca jego chuda, szczeciniasta twarz. Wyglądał jak schorowany, zmęczony życiem starzec, któremu uciążliwa podróż odebrała resztki sił.

Kacper tylko na moment podniósł wzrok i znowu zapatrzył się w wirujące iskry.

-- Nikomu już nie wierzę. -- Obojętnie wzruszył ramionami.

-- A może to właśnie ty przez cały czas oszukiwałeś samego siebie, czepiając się złudzeń? Czas zmierzyć się z prawdą.

-- Którą prawdą? Okazuje się, że każdy ma własną.

-- Tylko jedna ma wartość. Ta, która rodzi się z wiedzy. -- Wyciągnął dłonie przed siebie, kierując je do ognia. -- Wtedy, w Bibliotece, na ostatnim wykładzie, nie powiedziałem wam wszystkiego, co wiem. Jeszcze było na to za wcześnie, ale teraz nie ma już powodu, żeby cokolwiek ukrywać. Nadszedł czas ostatecznych decyzji. Dla wszystkich, dla ciebie też. Zależy mi na tobie, bo jesteś zdolny i potrafisz samodzielnie myśleć. Udowodniłeś to, kiedy nie uległeś namowom Oświeconych. Wiem, jak trudno im się oprzeć. Potrafią być bardzo wiarygodni.

-- Czy wszędzie masz swoich szpiegów? -- zapytał Kacper mrukliwie, starając się ukryć zaskoczenie.

-- Jasiek to jeden z moich uczniów.

-- Jest opętany jak inni!

-- Oczywiście, inaczej by go odegnali. Dobrowolnie przyjął Świetlika, żeby lepiej go poznać. Moje badania były bardzo powierzchowne, dawne zapiski też nie mówią wszystkiego. Ten dzielny chłopak poczynił wiele cennych spostrzeżeń. Dzięki niemu jesteśmy lepiej przygotowani do przesilenia, które właśnie się rozpoczęło.

-- Przecież sam mówił mi, że tęskni do Przeobrażenia...

-- Bo tęskni, a pewnego dnia spłonie. Nie może być inaczej, ale wiedział o tym od samego początku. Podjął się tego trudnego zadania, żeby ocalić innych, choćby nielicznych.

Kacper westchnął, kiwając się na piętach.

-- Jak mój brat...

-- Tak.

-- Czy myślisz, że Stach znajdzie te wyspy? -- zapytał nieśmiało.

Mnich milczał przez chwilę, chuchając w przemrożone dłonie.

-- Nie może ich znaleźć, bo one nie istnieją -- odpowiedział wreszcie twardo. -- To tylko mit, jeden z wielu, które ludzie tworzą po to, żeby nie umarła nadzieja.

-- Jak to?! Więc dlaczego pozwoliłeś mu się grzebać w Czarnej Studni?

-- Nie potrzebował na to mojego pozwolenia. Zresztą gdybym nawet mu tego zabronił, nie usłuchałby mnie. Nie powinno cię to dziwić. Ty przecież także nie byłeś mi posłuszny. Sam postanowił, że wyruszy na tę wyprawę, sam wszystko zaplanował. Jedyne, co mogłem zrobić, to zadbać, aby jego ofiara nie okazała się daremna.

-- Co to znaczy? Po co w ogóle tutaj przyszedłeś?

-- Uspokój się. Kiedy wysłuchasz mnie do końca, zrozumiesz, że nie było innej rady. -- Zakaszłał sucho, w piersiach coś mu świszczowało, ale zaraz mówił dalej tym samym, niewzruszonym tonem. -- Świetliki nie pojawiły się na świecie za przyczyną Lucyfera, ale nie są także Tchnieniem Boga, jak wierzą Oświeceni. Właściwie nie są żywe, przynajmniej nie w takim znaczeniu, jakie zwykliśmy przywiązywać do tego określenia. Kometa była dla nich jedynie zewnętrzną powłoką, która rozerwała się przy Upadku, a to, co nazywamy dzisiaj ściągawką Lucyfera, było czymś w rodzaju pożywki, dzięki której mogły przetrwać długą podróż. Świetliki są jak nasienie, które samo w sobie nie służy niczemu i szybko obumiera, jeśli nie trafi do płodnego łona. Ale jeśli tylko połączy się z komórką rozrodczą samicy, współtworzy nowe życie. To my właśnie jesteśmy takimi komórkami, każdy z nas, a raczej nasze dusze. Upadek w rzeczywistości był wielkim poczęciem, a łonem cały nasz świat. Świetlik łączy się z ludzką duszą, żeby powstała nowa istota, której nie dotyczą już nasze ograniczenia. Istota, która nie umrze, przynajmniej tak długo, dopóki trwać będzie Wszechświat. To rozumna światłość, dla której nie ma rzeczy niemożliwych, najwyższe stadium rozwoju życia, pełnia istnienia. W doczesnym świecie trudno sobie wyobrazić coś doskonalszego.

-- Jeżeli to poczęcie... gdzieś musi być też ojciec -- szepnął wstrząśnięty chłopak. -- Kim on jest?

-- Nie wiem, może nigdy się tego nie dowiemy. Mogę się domyślać, że to istota nieskończenie potężniejsza od nas samych, która unosi się gdzieś w przestworzach, bardzo daleko. Musi być niewyobrażalnie samotna, ale znalazła jednak sposób na to, żeby mieć potomstwo. Nieustannie rozsiewa swe nasienie, wyrzuca komety na wszystkie strony. Wiele z nich pewnie przepada w pustce, niektóre padają na jałowe planety, ale nieliczne docierają do światów, gdzie żyją stworzenia obdarzone duszą. Tak dochodzi do poczęcia.

-- A więc Oświeceni mają rację? Powinniśmy temu ulec?

-- Powoli, powoli... Możliwe, że ta istota jest najdoskonalszym dziełem Boga, że to na jej miarę został skrojony Wszechświat, nie na naszą, ale ona sama na pewno nie jest Bogiem. Jej dzieci nie rodzą się z miłości, lecz z gwałtu. Co z tego, że są jak anioły, że nie ma dla nich żadnych tajemnic ani żadnych przeszkód? To tylko namiastka zbawienia. Kiedyś przecież nadejdzie koniec świata, pogasną gwiazdy i wszystko dobiegnie kresu, nawet życie ich nieznanego ojca. Nastanie nowe niebo i nowa Ziemia, ale dla nich nie będzie tam już miejsca. Pozostaną w zimnej ciemności. Będą osierocone na wieczność.

-- Dlaczego? -- Kacper mimo woli przysunął się bliżej ognia.

-- Ponieważ tylko człowiek może być zbawiony właśnie ze względu na swoją niedoskonałość, ze względu na zmartwienia, choroby, starość, głód, strach. Do niebios wchodzi się przez bramę śmierci. Gdy jej zabraknie, pogrążona w błogostanie dusza wystarcza sama sobie i łatwo zapomina o Bogu. Napawa się swoją własną światłością, ulega złudzeniu, że Bóg nie jest jej już do niczego potrzebny. Nie ma żadnych pragnień, do niczego nie tęskni, nikogo nie kocha. -- Gdy spojrzął ponad płomieniami, jego twarz miała surowy, nawet bezwzględny wyraz. -- Jesteśmy dziećmi Boga, a Boże dzieło nie może się zakończyć porażką. Dlatego musimy pozostać tym, czym jesteśmy. Za wszelką cenę.

Choć Kacper wysłuchiwał tego wyводу uważnie, przyszłość wcale nie wydawała mu się jaśniejsza niż dotąd. Czuł się opuszczony i bezsilny. Te uczucia były teraz dla niego ważniejsze od całego bezmiaru Wszechświata, o którym mówił Bibliotekarz.

-- Czasem mam wrażenie, że Bóg dawno już o nas zapomniał. -- Rozejrzył się strapiony, osłaniając przedramieniem twarz przed bezlitośnie zacinającym śniegiem. -- Gdzie są twoi uczniowie?

-- Zaraz tu będą. Idą wolniej. Po drodze przyłączyło się do nas trochę zbiegów z gór. Są bardzo wyczerpani. Zaczniemy tutaj nowe życie.

-- Wszyscy wychowaliście się w mieście. Jak długo przetrwacie? Rok, dwa?

-- Wystarczy sześć miesięcy, potem będzie dużo łatwiej. Każdy, kto nie przyłączy się do nas, zginie najdalej w ciągu paru tygodni od mrozu, z głodu albo w samozapłonie. Potem na całym świecie zostaniemy tylko my. Świetliki nie znajdą już ani jednej duszy, z którą mogłyby się połączyć, więc zaczną się wypalać po kolei, aż w końcu zgasną wszystkie. Taki będzie koniec Lucyfera. Wtedy wreszcie ludzie otrząsną się ze strachu, w którym żyli od trzystu lat. Zaczną się rozmnażać, odbudują Ruiny i zaludnią je. Ja nie dożyję już tych czasów, ale wy, moi uczniowie, będziecie nadal czuwać nad Biblioteką. Pokażecie ludziom, czym jest wiedza, jak z niej korzystać i jak ją rozwijać. Z tego zaczynu wyrośnie nowa ludzkość.

-- To się nie może udać! Gdzie zamieszkacie?

-- W Ruinach.

-- Co będziecie jedli?

-- Znam składy żywności, do których nie dotarli wcześniej złomiarze. Ale nie to jest najważniejsze. Po raz pierwszy od wieków mamy przed sobą jasny cel i krzepi nas nadzieja. Zniesiemy wszystko, co trzeba. Będzie trudno, wielu umrze, ale z czasem nauczymy się tutaj żyć.

Kacper zdrętwiał z przerażenia. Miał wrażenie, że wichur przenika szpilami mrozu do wnętrza czaszki.

-- Świat nie może być taki pusty! Gdzieś przecież muszą być jakieś inne osady!

Łukasz spokojnie przetrwał ten wybuch. Nadpalonym kijkiem pozgarniał do ognia rozrzucone grudki żaru.

-- Kiedyś zapewne były, ale przez trzy wieki Świetliki musiały dotrzeć wszędzie, a tam, gdzie nie doleciały o własnych siłach, na wierchy i na dalekie wyspy, zaniósł je wiatr. Z katedralnej wieży przy dobrej pogodzie jest bardzo rozległy widok. Bibliotekarze pozostawili zapiski z wieloletnich obserwacji. W dawnych czasach widać było błękitne roje, które nocami unosiły się nad nizinami. Z biegiem lat było ich coraz mniej, a wokół robiło się coraz ciemniej. Zdarzało się, że małe grupy Świetlików przylatywały z daleka w poszukiwaniu dusz -- można to było poznać po tym, że były bardzo blade, prawie przejryste, bliskie wygaśnięcia -- ale potem skończyło się i to. Od kilku pokoleń nie widziano w kotlinie ani jednego

Świetlika, który miałby za sobą długą drogę. Pozostały tylko te, które namnożyły się w okolicznych lasach z naszych własnych opętanych. A to oznacza, że tylko tutaj mają jeszcze żer. Wniosek jest oczywisty, chociaż, przyznaję, niełatwo go przyjąć.

-- Dlaczego akurat tutaj ludzie przetrwali najdłużej?

-- Nie mam pojęcia. -- Łukasz wzruszył ramionami. -- Ktoś musiał być ostatni, padło na nas. Ja też byłem bardzo przygnębiony, kiedy zdałem sobie sprawę, że jesteśmy tacy osamotnieni. Ale pewnego dnia zrozumiałem, że to właśnie wyludnienie świata jest naszą jedyną szansą na przetrwanie. Postanowiłem ją wykorzystać. Długo przygotowywałem się do tego, co musiało nastąpić, a kiedy uznałem, że nadszedł odpowiedni czas, z piwnicznego okienka w Bibliotece wypuściłem na wolność pierwszego ze Świetlików. Być może to był właśnie ten, którego spotkałeś wtedy na Grani.

-- To zbrodnia!

-- Zrobiłem tylko to, co konieczne. Ten ostatni bastion w górach opierał się nad podziw długo, a ja nie mogłem ryzykować, że zestarzeję się w oczekiwaniu i w końcu nie będę już w stanie spełnić moich zamiarów. Musiałem przyspieszyć zagładę, bo tylko przez nią mogło przyjść ocalenie. Uwolniłem jeszcze tylko parę Świetlików, a potem namnażały się już same, w miarę jak przybywało opętanych na Krzywym Wierchu i w osadach. Sam byłeś świadkiem, jak szybko to poszło.

Kacper spojrzał na zachodni widnokrąg, nad którym ścieliły się wieczorne łuny.

-- Nie wiem, czy jesteś szaleńcem, czy mędrce. Może jednym i drugim. -- Wstał, przytupnął w miejscu, podciągnął pas i poprawił kaptur. -- Nie zostanę z tobą. Wolę zwyczajne życie mcharza w Rozpadlinie, choćby miało potrwać bardzo krótko.

-- Nie masz po co wracać do przysiółka. Tam nikogo już nie ma.

-- Łzesz!

-- Kiedy twój brat wydobyl z Czarnej Studni odłamek komety, po paru dniach wystygły wszystkie gorące źródła. Wymarzły mchy, wyzdychały kozy. Na wierchach nie da się już żyć. Wszyscy zbiegli w kotlinę.

Kacper zachwiał się, pobladł gwałtownie. Zaczynał pojmować, że nawet to nietrwałe, nędzne szczęście, które chciał dla siebie wydrzeć, wymyka mu się z rąk.

-- Wiedziałeś, że tak się stanie! -- wysyczał, trzęsąc się z oburzenia. -- Nie powiedziałaś o tym Stachowi!

Łukasz wstał również.

-- Nie mogłem dopuścić, żeby mcharze utrzymali się w swoich dziuplach, bo wówczas Świetliki wciąż miałyby żer i nie pozbylibyśmy się ich. Ważniejsza od losu garstki ludzi jest przyszłość całego świata. Kiedy to spokojnie przemyślisz, zgodzisz się ze mną.

Po chwili ciszy w przedwieczornej szarówce rozległ się chrzęst kroków, z zadymki z wolna zaczęły się wyłaniać zgarbione, chwiejne sylwetki; spod kozuchów wystawały habity. Kacper rozpoznał szczupłą postać kroczonego na czele Marcina.

-- Jak ich zmusiłeś, żeby poszli za tobą? -- wskazał podbródkiem zziębniętą grupkę dawnych szkolnych kolegów. Zdumiało go beznamiętne brzmienie własnych słów. -- Czym ich omamiłeś?

-- Czy naprawdę jesteś aż tak zarozumiały, żeby traktować ich jak zgraję głupców, którzy nie są zdolni do własnego osądu? Zrozumieli, że nie ma innej drogi. Taka jest cena życia, cena przetrwania nie tylko nas

samych, ale wszystkich przyszłych pokoleń, aż po kres czasów, kiedy przyjdzie Zbawiciel. Czy wyobrażasz sobie, że nie zastanie tutaj nikogo?

-- Nie wiem, nie wiem... Czasami mówisz tak, jakby Bóg nie potrafił sobie poradzić bez twojej pomocy.

Ja chcę tylko odnaleźć Mirę, potem pójdziemy za Stachem. Może go jeszcze dogonimy.

Kacper odwrócił się i wielkimi krokami zaczął schodzić w dół. Zdawało mu się, że jest już wystarczająco daleko, że uciekł przed tym czymś najgorszym, czego jeszcze mógłby się dowiedzieć, gdy nagle przez wiatr przebił się mocny głos Łukasza:

-- My dogonimy go pierwsi. Mamy zaprzęg.

Zwolnił, przystanął. Teraz dostrzegł, że w ślad za uczniami psy z trudem ciągną ciężkie sanie, na których spoczywa wielka klatka o osmalonych w ogniu prętach -- ta sama, w której na Krzywym Wierchu palono żywcem opętanych.

-- Po co to...? -- zapytał, mrugając zaczerwienionymi od dymu powiekami.

-- Stach nie może odejść. Jest dla nas zbyt cenny. -- Mnich zbliżył się powoli. -- Kiedy chłopcy trochę wypoczną, ruszą za nim. Wyślę też paru myśliwych. Twój brat jest teraz bardzo silny i sprawny, a wątpię, czy z własnej woli zgodzi się z nami zostać.

-- Chcesz go uwięzić? Dlaczego?

-- Sam powinienes się domyśleć. To właśnie on zapewni nam bezpieczeństwo. Mnie, chłopcom i tym spośród uciekinierów, którzy przyłączą się do nas. Świetliki nie ruszą nikogo, kto w nocy będzie się trzymać w pobliżu klatki.

Chłopcy zatrzymali się w pewnej odległości i siadali tam, gdzie stali; niektórzy padali w zaspy wyczerpani do cna. Sięgali do kieszeni po skrawki mięsa czy okruchy sera. Żuli je powoli i przekrzywiając głowy, nasłuchiwali odgłosów zapadającej nocy. Stopniowo dołączali do nich zbiegowie z gór -- brodaci mężczyźni, kobiety, garstka dzieci.

-- Pół roku... Nie możesz tego zrobić, to dla niego za długo! Wcześniej musi spłonąć na stosie, żeby nie zabrudzić duszy...

-- Niestety, nie mam wyboru. On jest naszą jedyną szansą.

-- Wykorzystałeś go! Przez ciebie do końca świata będzie błąkał się w chmurach!

-- Szczerze nad tym boleję, ale bez jego wielkiej ofiary ludzie na zawsze znikną z powierzchni ziemi.

Zastanów się. Czy uważasz, że wiedząc o tym, miałem prawo się wahać?

Kacper nie potrafił już myśleć o niczym. W głowie miał pustkę.

Bezwiednie postąpił parę kroków w dół zbocza, gdzie tkwiły ciemniejące sylwetki uczniów. Ślizgały się po nich z rzadka precedzone przez zamieć różowe błyski zmierzchu. Był teraz dziwnie spokojny, jakby to wszystko, co działo się wokół, nie dotyczyło jego samego. Przeżył już swój własny koniec świata i nie mogła go poruszyć nawet groźba powszechnej zagłady.

Znów utknął w głębokim śniegu. Drgnął, podniósł głowę i zaczął nasłuchiwać. Wiatr przyniósł z daleka odgłosy beładnej szczekaniny, na co przewodnik zaprzęgu odpowiedział wyciem. Wszystkie głowy obróciły się w stronę, z której dobiegało ujadanie. Hałas zbliżał się z wolna, ale nieustannie; ogień na szczycie wzgórza mógł zwabić watahę dziedzicznych psów, których wiele włóczyło się ostatnio po lasach, ale mógł też wskazać drogę jakiemuś zagubionemu podróżnemu.

Niebawem w krąg blasku wsunęły się śmigłe sanie myśliwskie ciągnięte przez dobrze ułożony zaprzęg. Wokół biegały luzem rozdokazywane szczeniaki, poszczekując radośnie i kicając w głębokich zaspach jak zające. Z tyłu i po bokach sań trzymały się starsze, wielkie psiska; jedno z nich wysunęło się naprzód i trąciło Kacpra pyskiem w kolano. Dopiero teraz otrząsnął się z odrętwienia; rozpoznałby Kudłacza bez trudu nawet po ciemku.

Józwa gwizdnął przenikliwie i przewodnik zaprzęgu przysiadł natychmiast, wywiesiwszy jęzor. Myśliwy zeskoczył z sań i nieśpiesznym, równym krokiem ruszył wprost ku Bibliotekarzowi. Ten w pierwszej chwili cofnął się nieco, ale zaraz się wyprostował, zrzucił na plecy kaptur i czekał już spokojnie.

Józwa z marszu, bez ostrzeżenia uderzył go pięścią w twarz; mnich z rozrzuconymi ramionami upadł na wznak w śnieg. Kilku uczniów poderwało się na nogi, ale w tej samej chwili błysnął w blasku płomieni grot strzały nałożonej na cięciwę łuku.

-- Z takiej odległości trafiam nawet po ciemku -- ostrzegł myśliwy, nie podnosząc nawet głosu. -- Który nie dowierza, niech ruszy się pierwszy.

Łukasz jęknął cicho, dźwignął się na łokciu, splunął krwią i przyłożył do twarzy garść śniegu. Józwa pochylił się nieco, jakby w czerwonym półmroku chciał pochwycić jego spojrzenie.

-- Bardzo się martwiłem, że rozszarpiał cię wilki, zanim cię znajdę. Muszę zapłacić ci za syna, którego zwiódłeś na złą drogę.

Zamroczony Bibliotekarz już doszedł do siebie; odezwał się niewyraźnie, z trudem poruszając obolałymi, napuchniętymi wargami:

-- Ty zapewne jesteś ojcem Stacha... Powinieneś być dumny. Przyszłe pokolenia będą czciły jego imię.

-- A twojego zapomną. Nie wspomina się długo szubrawców.

-- Jesteś niesprawiedliwy, mówisz w gniewie. Rozumiem to i wybaczam, ale opamiętaj się. Choćbyś mnie teraz zabił, i tak niczego nie zmienisz. Moi uczniowie wiedzą, co robić. Poprowadzą dalej moje dzieło.

-- Pogłupieli pewnie od książek, jak Stach, ale są młodzi i jeszcze zmagają się, kiedy nikt już nie będzie mącił im w głowach.

Nagle któraś z kobiet krzyknęła, głośno zapłakało dziecko. Józwa spojrział w tę stronę; niżej, u stóp wzgórza, po śniegu rozlała się niebieska poświata. Pojedynczy Świetlik sunął z wolna pomiędzy zaspami przywabiony dużym zbiorowiskiem dusz. Ludzie ciaśniej skupili się wokół sań. Wiedzieli, że największe niebezpieczeństwo zagraża teraz tym, którzy stoją samotnie.

Myśliwy złożył strzałę, zawiesił łuk na plecach i chwyciwszy oburącz za kozuch na piersiach mnicha, bez trudu postawił go na nogi.

-- Zamierzałem wsadzić cię do tej klatki i przypiekać po trochu na małym ogniu -- wysyczał Bibliotekarzowi prosto w twarz. -- Ale teraz mam lepszy pomysł. Łatwo przyszło ci poświęcić duszę mojego syna...

-- Zrobiłem to dla dobra wszystkich!

-- A więc teraz poświęć własną.

Łukasz zrozumiał od razu. Zatrzepotał bezradnie w mocnych rękach Józwy.

-- Nie możesz tego zrobić, człowieku! Całe życie walczyłem z tą plagą... Lepiej mnie zadźgaj.

-- To byłoby dla ciebie zbyt łatwe.

Pchnął mnicha tak mocno, że ten stoczył się po zboczu, wzbijając śnieżną kurzawę. Zdołał się jeszcze podnieść, stanął na drżących nogach, ale w tej samej chwili oślepił go rozbłysk Świetlika. Zaraz potem zgęstniała ciemność.

Ludzie wyteżali wzrok, usiłując dojrzeć cokolwiek, ale na dole ścielił się nieprzenikniony mrok. Usłyszeli tylko coś jakby westchnienie -- ulgi czy bóleści -- a potem skrzywienie nierównych, śpiesznych kroków, które oddalały się w stronę lasu.

Ze stłoczonej przy klatce, skamieniałej z przerażenia gromadki cieni wyskoczył nagle Marcin i pobiegł pod górę, wrywając nogi z grząskiego śniegu, padając i wstając. Józwa przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu, a kiedy chłopak zbliżył się na kilkanaście kroków, wyszarpnął zza pasa nóż.

Kacper rozbudził się wreszcie ze swego dziwnego snu na jawie, w który zapadał, gdy usłyszał z daleka znajome szczekanie. Przeciął Marcinowi drogę, złapał go w pól i obalił; miał wprawę w takich bitkach, więc szybko zyskał przewagę, choć tamten był starszy i silniejszy. Zdarł mu kaptur z głowy, chwycił za długie włosy i wtłoczył jego twarz w śnieg. Zwolnił uścisk dopiero wtedy, gdy przeciwnik zwiotczał pod nim i przestał bić naokoło pięściami.

-- Cicho, cicho... -- Pozwolił zaczerpnąć mu chrapliwego oddechu. -- Nie musisz umierać.

Marcin podniósł głowę, wyparskał śnieg i znów opadł bezsilnie.

-- Zdrajco...!

-- Nikogo nie zdradziłem. To nie ja wypuściłem Świetliki na Krzywym Wierchu.

-- Ani ja!

-- Ale nie opuściłeś Bibliotekarza, kiedy dowiedziałaś się, co zrobił.

-- Wy tłumaczył mi, że tak było trzeba...

-- A czy wytłumaczył to tym wszystkim, których bez skrupułów skazał na śmierć albo opętanie? Czy zapytał ich o zgodę? Albo czy zapytał Stacha? -- Puścił go i wstał, otrzepując rękawice. -- Zastanów się. Przecież pamiętam, że już wtedy, w szkole, miałeś wątpliwości.

-- Lepiej zapytaj swojego ojca, kogo rzuci następnemu Świetlikowi, który przyleci prędzej czy później. Mnie? Któregoś z chłopaków? A może ciebie?

Kacper nie odpowiedział. Obejrzał się przez ramię w czarną pustkę, gdzie zgasł błękit, a potem przeniósł czujne spojrzenie na resztę uczniów -- ale ci, przerażeni, zdruzgotani, ogłupiali, tulili się do siebie nawzajem niczym osierocone pisklęta pingwinów.

Marcin zwinął się w kłębek, przycisnął czoło do kolan i tak już pozostał; wszystkie siły, wykrzesane z rozpacz, opuściły go w tym krótkim starciu.

Józwa tymczasem przykucnął przy ogniu, odwrócony plecami, jakby całe to zamieszanie przestało go obchodzić. Gdy usłyszał zbliżające się kroki syna, dorzucił parę drewniek, ale nie podniósł głowy. Chłopak nie wiedział, co mówić; trudno było dobrać odpowiednie słowa, kiedy wokół, w ciemnościach, dogorywał dawny świat.

-- Jak do mnie trafiłeś? -- zapytał wreszcie z cicha.

Myśliwy wzruszył ramionami.

-- Stach powiedział mi, gdzie jesteście, ty i tamten łajdak.

-- Spotkałeś go? -- Przysiadł obok. -- On myśli, że na wyspach znajdzie jakichś ludzi.

-- Nie znajdzie.

-- Wiedziałeś o tym? I nie zawróciłeś go z drogi?

-- Dopóki idzie, ma nadzieję. Nie mogłem mu jej odebrać, nic poza nią mu nie pozostało. -- W nagłej złości cisnął w ogień garść śniegu. -- Dlaczego ubzdurał sobie, że sam musi wszystkiego dokonać? Czemu nigdy nie zaufał własnemu ojcu?

-- Przecież prawie ze sobą nie rozmawialiście, od kiedy postanowił zostać sygnalistą...

-- I miałem rację, że sprzeciwiałem się temu! Gdyby zamiast do księdza na naukę chodził ze mną na łowy, nigdy nie usidliłby go tamten zakłamanym mędrak z Krzywego Wierchu. -- Wciąż trzymał w dłoni nóż, teraz położył go przy ogniu w ten sposób, żeby koniec ostrza tkwił w żarze.

-- Łukasz chyba wierzył w to, co robi... Dużo się od niego nauczyłem.

-- Na pewno niczego pożytecznego.

-- A ty nigdy nie zastanawiałeś się nad tym, co naprawdę zniszczyło dawny świat? Kometa, tchnienie Boga, Lucyfer?

-- Nie wiem tego. I nie chcę wiedzieć. Czy na wszystko musi być odpowiedź? Jestem prostym człowiekiem. Moja rzecz to polować na foki, żeby wyżywić rodzinę. Nie zmienię świata, mogę się tylko do niego przystosować. Jeśli już koniecznie mam w coś wierzyć, to taka jest właśnie moja wiara.

-- Stach myślał inaczej...

-- I co mu przyszło z tej całej nauki? Wcale nie musiał się taplać w ściekach pod Ruinami, żeby odkryć to, co nie jest tajemnicą dla żadnego z myśliwych. Ani w ogóle dla nikogo, kto zna historię Dzwonnika i potrafi myśleć.

Kacper przyglądał się przez jakiś czas, jak metal czerwienieje. Pomimo tego, że serce waliło mu mocno, z każdą chwilą coraz szerzej rozlewał się w nim chłód strachu.

-- Co chcesz zrobić...? -- wymamrotał.

-- Nic innego nam nie pozostało. Spodziewałem się, że kiedyś nadejdzie taka chwila. Przygotowywałem się do niej od dawna. -- Podniósł nóż. Koniec ostrza dymił cienką smużką, którą zmiatał wiatr. -- Nigdy już nie przeczytasz żadnej książki, synu. Albo umrzesz.

-- Oszalałeś!

-- Świetlik może opętać człowieka tylko przez oczy. Trzeba pozbawić się wzroku, żeby ukryć duszę w ciemnościach i uczynić ją niewidzialną. Kto tego nie robi, przepadnie.

Chłopak przysiadł z wrażeń na piętach. Przez dłuższą chwilę nie potrafił wydobyć głosu.

-- Ale... jak? -- wyjąkał w końcu. -- Przecież nikt ślepy nie przeżyje tutaj...

-- Człowiek, którego znaleźliście ze Stachem w podziemiach Ruin, przetrwał bardzo długo.

-- Miał psa, który go wszędzie prowadził!

-- Myślisz, że moje są gorsze? -- Zagwizdał cicho i kilkanaście szczeniaków natychmiast obskoczyło go ochoczo, próbując polizać po twarzy lub złapać zębami za rękaw. -- Te są jeszcze młode i głupie, ale starsze już wiele umieją. Długo szkoliłem je tylko po to, żeby w razie potrzeby umiały zastąpić swojemu właścicielowi oczy.

-- Prawda, twoja hodowla! Wszyscy zawsze z niej żartowali...

-- Teraz już nie będą.

-- Ale przecież nikt dobrowolnie nie wydlubie sobie oczu!

-- Wystarczy lekkie nacięcie źrenicy. Wypróbowałem to już.

-- Więc dlaczego nie oślepiłeś jeszcze samego siebie?

-- Zrobię to ostatni, kiedy inni będą bezpieczni.

Niepostrzeżenie od grupki osowiałych uciekinierów, którzy dotarli tu z Łukaszem, przyczłapał niemłody już, okulały człowiek z licznymi bliznami na twarzy. Przysłuchiwał się od jakiegoś czasu rozmowie, a teraz pociągnął nosem i stękając, położył się na plecach w śniegu -- głową w stronę ognia.

-- Znam cię. -- Wsunął pod kark sękatę dłoń. -- Spotkaliśmy się parę razy na łowach. Ufam ci. Ja mogę być pierwszy.

Kacper zerwał się na nogi.

-- Może i da się w ten sposób pożyć trochę dłużej, ale... co to za życie? Komu potrzebna będzie gromada ślepców w Ruinach?

-- Na przykład twoim dzieciakom, a moim wnukom. One nie urodzą się ślepe, a jeśli wszystko pójdzie dobrze, zobaczą świat wolny od Świetlików.

Chłopak złapał się za głowę. Zamiar ojca, prosty i szalony zarazem, olśnił go niczym nagły pożar -- ale prawie natychmiast na powrót ogarnęły go ciemności. Wokół ognia z wolna zbierali się ludzie; białe kobiece chusty, kosmaciły się kozuchy. Odblask padł także na wystrzyżoną głowę któregoś z uczniów.

-- Nie mogę z tobą zostać.

-- Dokąd chcesz iść?

-- Jeszcze nie wiem... Chyba do lasu.

Myśliwy nie odpowiedział zrazu. Pochylił się nad leżącym człowiekiem, zbliżył nóż do jego twarzy. Tamten ani drgnął. Trzymał oczy szeroko otwarte, choć jego oddech zrobił się szybki i świstliwy.

-- Nie musisz jej szukać. -- Józwa rzucił jeszcze synowi spojrzenie spoza kłębow pary, wskazał końcem noża w stronę swojego zaprzęgu. -- Ona jest tam.

Chłopak pobiegł, nie pytając o nic.

Mira leżała na saniach. Była okryta troskliwie skórą. Jeden z psów, który warował przy niej, przywitał Kacpra ostrzegawczym warczeniem, ale ucichł, gdy dziewczyna wysunęła spod kozucha rękę i położyła dłoń między jego uszami.

Kacper podniósł Mirę i natychmiast zamknął w ramionach, jakby chciał uniknąć widoku jej twarzy. Przy tym gwałtownym ruchu zsunął się jej kaptur; ujrzał zawiązane z tyłu głowy końce szerokiej opaski zakrywającej oczy.

Poczuł na szyi szmer cichych słów.

-- Rozpadlina zlodowaciała przez jedną noc, mcharze rozpierzchli się. Zostałam sama... Nie miałam opału ani jedzenia. Widziałam Świetliki. Podlatywały coraz wyżej... Myślałam, że to koniec. Wtedy przyszedł twój ojciec. Powiedział, że już nigdy cię nie zobaczę. -- Umilkła na dłuższą chwilę, wtulając nos w futrzany kołnierz jego kurty. -- Że tylko tak będziemy mogli być razem.

Od ogniska dobiegł zduszony jęk kulawego. Józwa rozprostował plecy. Stłoczeni wokół niego ludzie przestali się pchać naprzód, paru umknęło chyłkiem. Z ciemności, ze wszystkich stron, wciąż wyłaniali się kolejni.

EPILOG

Nikt nie próbował go zatrzymać, gdy wyrwał komuś z ręki pochodnię i pognął do lasu. Łatwo dogonił ślaniającego się na nogach Łukasza, złapał go za ramię. Półprzytomny mnich przystanął, ale chyba nie zdawał sobie sprawy z tego, że nie jest sam. Nawet nie zamrugał, gdy chłopak zaświecił mu prosto w szeroko otwarte, nieruchome oczy.

Kacper rozchylił kożuch na jego piersi. Wielki, biblioteczny klucz zaśnił w blasku ognia.

-- Wezmę to, nie będzie ci już potrzebny -- wyszeptał.

DOPÓKI NIE ZGASNĄ GWIAZDY Copyright © Piotr Patykiewicz 2015

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo SQN 2015

Redakcja -- Joanna Mika Korekta -- Michał Wachuła Projekt typograficzny i skład -- Joanna Pelc Okładka -- Paweł Szczepanik / BookOne.pl Rysunek na

okładce i wszystkie rysunki w książce -- Rafał Szłapa All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I, Kraków 2015

ISBN EPUB: 978-83-7924-382-2

ISBN MOBI: 978-83-7924-381-5





www.wydawnictwosqn.pl


Szukaj naszych książek
również w formie
elektronicznej




 DYSKUTUJ O KSIĄŻCE

 /WydawnictwoSQN

 /SQNPublishing

 /WydawnictwoSQN

 NASZA KSIĘGARNIA www.labotiga.pl

Spis treści

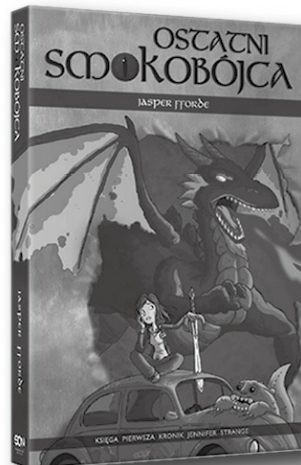
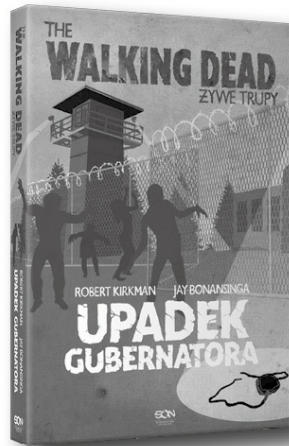
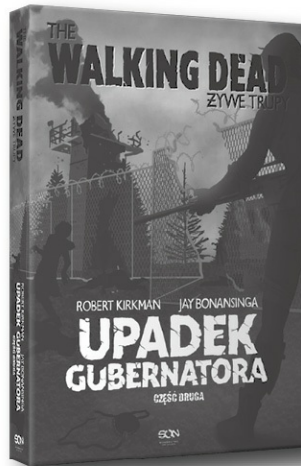
[Okładka](#)
[Strona tytułowa](#)
[Rozdział 1](#)
[Rozdział 2](#)
[Rozdział 3](#)
[Rozdział 4](#)
[Rozdział 5](#)
[Rozdział 6](#)
[Rozdział 7](#)
[Rozdział 8](#)
[Rozdział 9](#)
[Rozdział 10](#)
[Epilog](#)
[Strona redakcyjna](#)

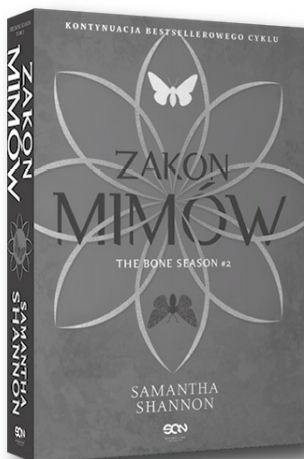
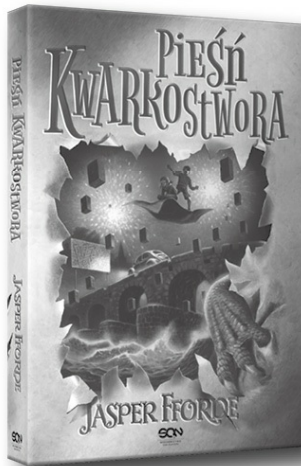
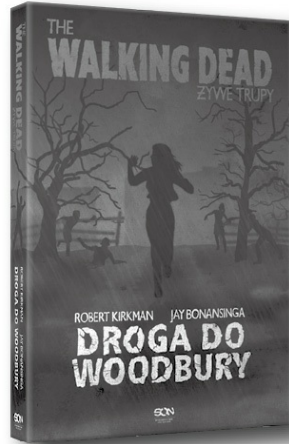
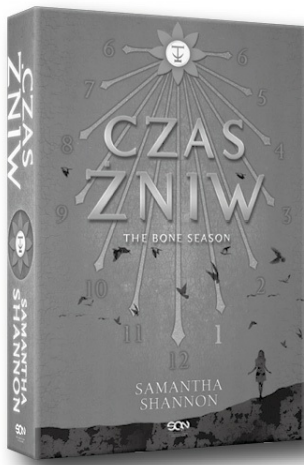
FANTASTYCZNE KSIĄŻKI

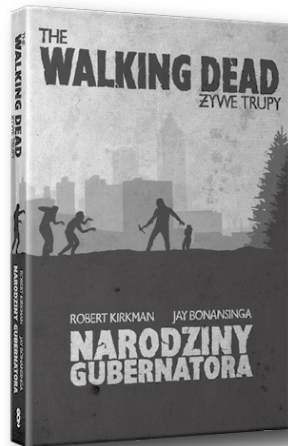
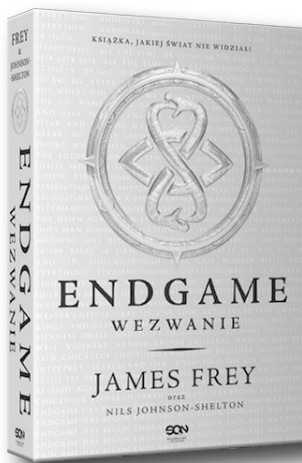
Szukaj w dobrych księgarniach i



www.wsqn.pl





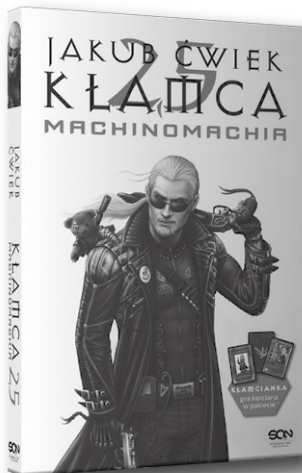


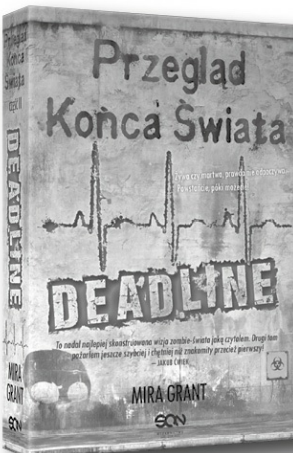
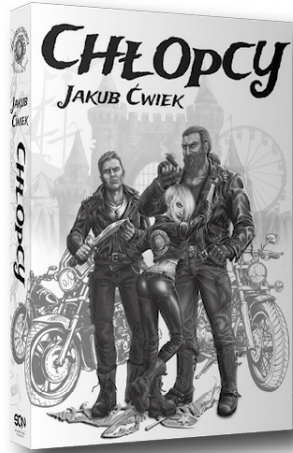
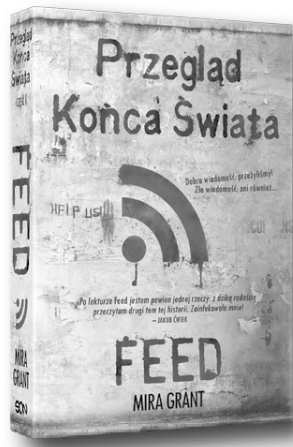
WYDAWNICTWA SQN

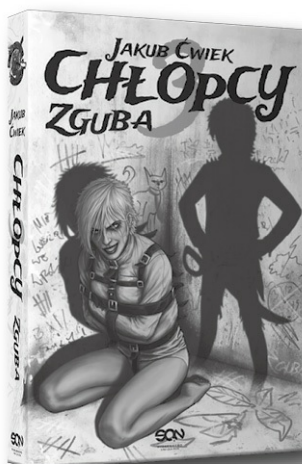
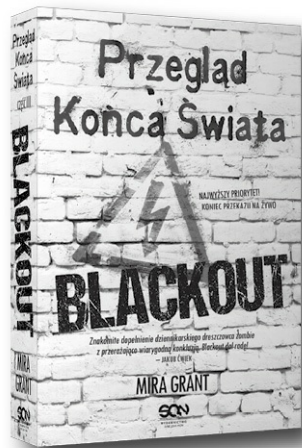
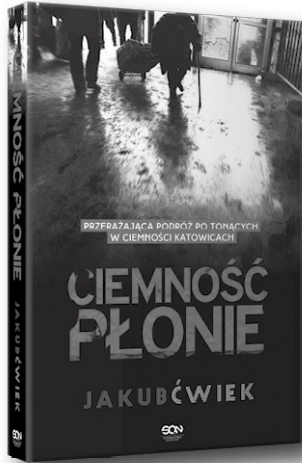
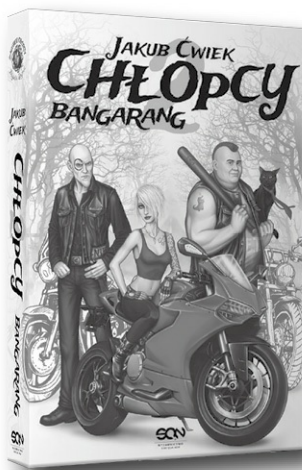
Szukaj w dobrych księgarniach i



www.wsqn.pl









WYDAWNICTWO
SINE QUA NON

Bądź na bieżąco, śledź nas na:

f/WydawnictwoSQN

t/SQNPublishing

www.wsqn.pl

Nasza księgarnia internetowa:

www.labetiga.pl



